

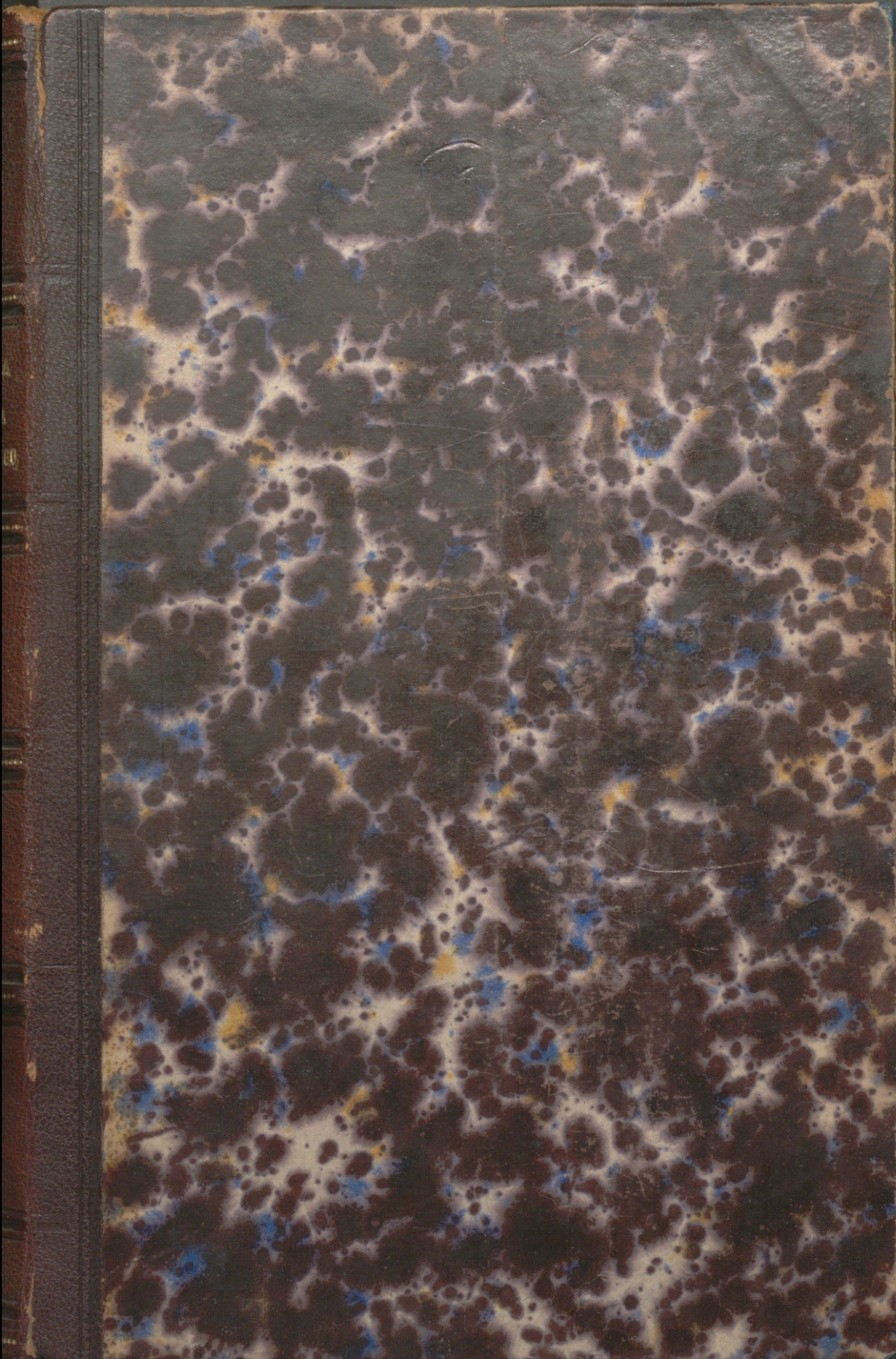
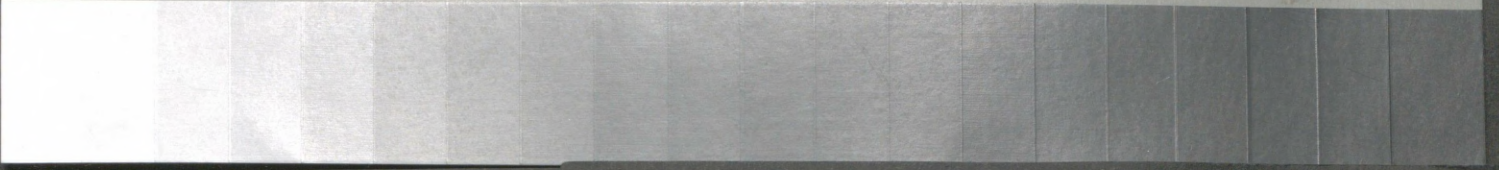


Grey Scale #13

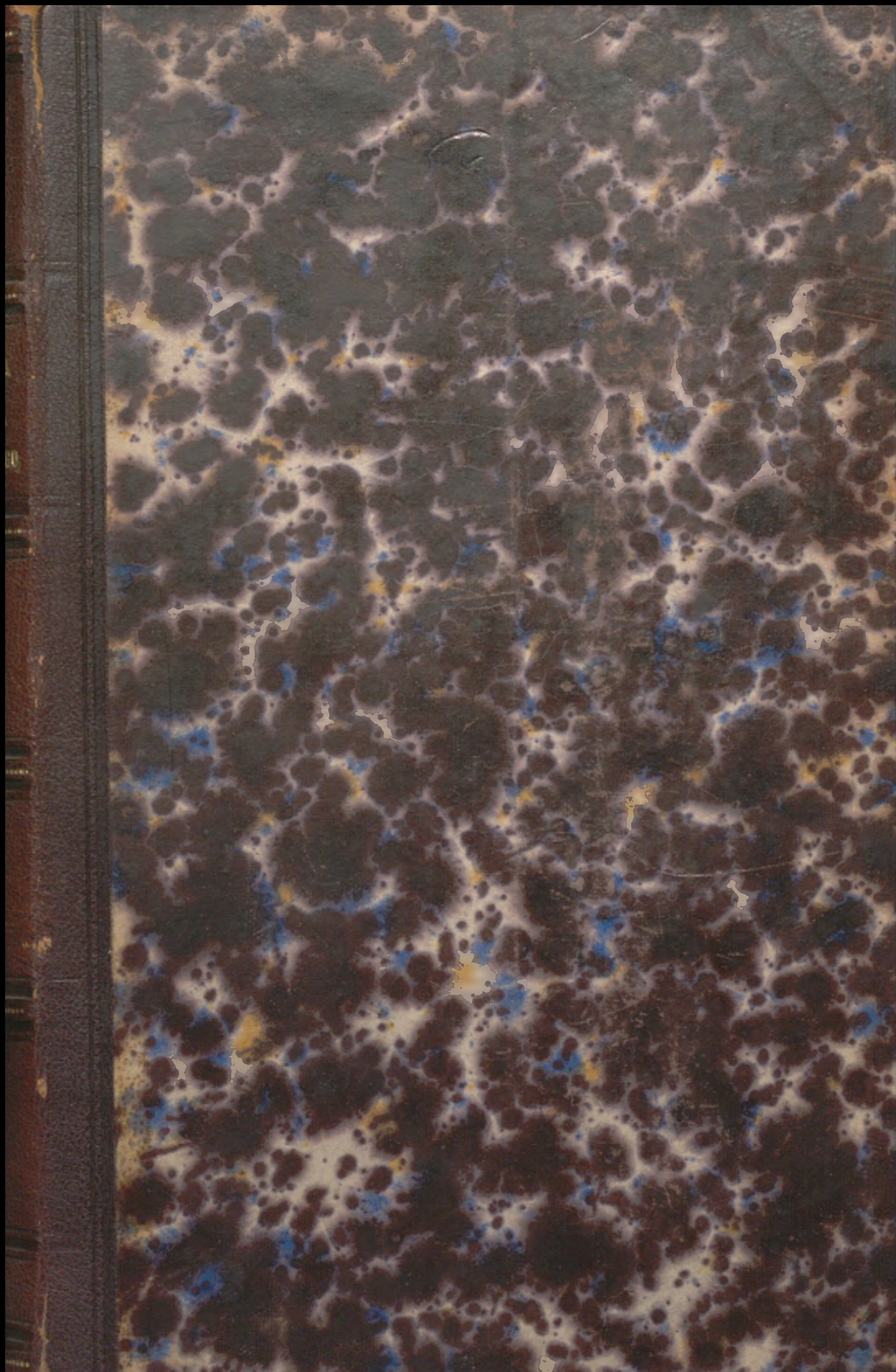


DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



DANES-PICTA.COM



10805/II

DZIEŁA
LUCYANA SIEMIENSKIEGO.

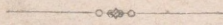




J. Siemieniński

10205/11

DZIEŁA LUCYANA SIEMIĘŃSKIEGO



VARIA Z LITERATURY, HISTORJI, ARCHEOLOGII
I PRZYRODY.

Tom I
Z PORTRETEM AUTORA



WARSZAWA.

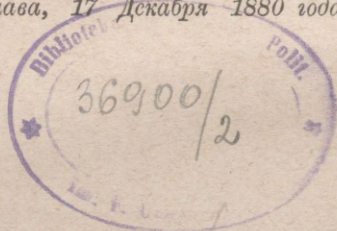
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
przy ulicy Nowolipki, № 3.

1881.

8761

Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Декабря 1880 года.



~~692/5~~



SŁOWO WSTĘPNE.

Są pisarze, których dzieła z postępem czasu nabierają coraz większego znaczenia i nabierać będą w przyszłości z powodu swojej zawsze żywotnej osnowy. Niedawno slyszeliśmy z katedry publicznej w Warszawie, że z setek wydań *Bozkiej Komedji* Dantego, ledwo część czwarta przypada na trzy pierwsze stulecia, reszta zaś na nasz wiek dziewiętnasty, zwłaszcza na jego lata ostatnie, pozbawione jakoby zynsłu patrzania w świat zaziemski. Owoż w szczuplejszych wprawdzie granicach życia naszego narodowego, ale słuszna jest przepowiadać podobne choć mniej uderzające wzrastanie z czasem wziętości dzieł Lucyana Siemieńskiego. Są one bowiem jak pochodnia, około której w miarę szerzenia się czytelnictwa w narodzie, skupiać się muszą coraz szersze pierścienie pokoleń, by przy jej świetle wczytywać się w pomniki najbujniejszego okresu piśmiennictwa polskiego. Sam zarazem i najgorętszy i najkrytyczniejszy uczestnik tego okresu, nazwanego romantycznym, wsławionego wielkimi imionami, będzie Siemieński z naoznego widzenia czynów i z odczuwania tętna czasu we własnej pierś, świadczył o nim: „Czy jak mógł służyć Bogu i ojczyźnie?”

Cały, rzec można, żywot pisarski Siemieńskiego streszcza się w posłannictwie uprzystępniania rzeczy mniej dostępnych ogółowi. Czy pisał prozą czy wierszem, czy z różnokolorowych kamyków mozaikował wizerunek historyczny, czy pajęczynę pieśni ludowej rozpiął na krosnach, by zrobić z niej wstęgę wzorzystą,—owocem pracy jego było uczynienie zrozumialszém, wypuklejszém, barwniejszém i ponętniejszém wszystkiego, co wziął pod pióro. W jego

Portretach literackich, kreślonych niby dwiema kredkami od niechcenia, na pozór niemal bez planu, od razu rzuca się w oczy najwybitniejsza cecha ocenianego pisarza, tak wyrażona, takimi mnemonicznymi znakami napiętnowana, że na zawsze wraża w pamięć oblicze moralne kreślonej postaci. W jego *Wieczorach pod Lipą*, zawila gmatwanina pobudek i czynów zbiorowych, o których znaczenie dotąd zawodzą się spory między dwiema szkołami historycznymi, tak spokojnym i jasnym płynie ruczajem, że nawet przeciwnik pewnych poglądów autora, nie może mu odmówić daru doryckiego budownictwa dziejopisarского. W jego powieściach i obrazkach obyczajowych, których tyle nanałował w *Muzamericie* i *Wieczornicach* z różnorodnych widowni życia przeszłości i terażniejszości narodu, widzimy baczno postrzegacza, subtelno satyryka, lecz nade wszystko przystępnego tłumacza zjawisk, które w rozproszeniu swoim traciły dla nas na zrozumiałości. W jego *Trąbach w Dnieprze*, albo w *Potrzebie Warneńskiej*, albo w *Dymitrze Wiśniowieckim* możemy odgadywać, czém były, albo właściwiej czém byćby mogły rapsody historyczne polskie, gdyby po burzach walk nad Salą, nad Dnieprem, nad Dunajem spokój i szczęście kiedykolwiek nawiedziło progi pieśniarza wiejskiego. Przekładem *Krółodworskiego Rękopisu* sięgnął Siemieński jeszcze głębiej w przeszłość zamroczną, przypomniał dźwięki pieśni podczas wspólnego pochodu Słowian z za Kaukazu na równiny Dunaju. Dość z lekka tylko porównać w *Poliglocie* Hanki rozmaite przekłady słowiańskie zabytku, ażeby nabrać przekonania, że się ani umyły do polskiego, że owszem przekład polski, choć to rzecz prawie niepodobna do wiary, jest dla nas przynajmniej dzielniejszym pobrząkiem o tarczę siwój przeszłości, aniżeli sam oryginał obareczony pomówiskami. Cóż mamy zaś mówić jeszcze o tłumaczeniu *Odysei*? Tomy komentarzy nie wyjaśniają tyle co jedno pochwycenie w tej epopei właściwego tonu przez Siemieńskiego. Równego temu przekładowi nie było w piśmiennictwie europejskiem, a w polskiem jedno tylko pokrewne dzieło mamy wyższe. Imię jego odgadł już sam czytelnik: zowie się — *Pan Tadeusz*.

Jan Śniadecki, oceniając zasługi obywatelskie i pisarskie Hugona Kołłątaja, powiada o nim w jedném miejscu: „W dziełach Kołłątaja język wszędzie czysty, żadném przekręcaniem słów niedręczony, ani znieważony niepotrzebném nowych kleczeniem; tok rodowity i szeceropolski, styl poważny, płynny i harmoniczny, ciągnący ozdobę ze zdań i myśli porządnie i jasnie wywiedzionych. Tam trafnie rzucone zdania lub podsunione czyny chwytają uwagę i obudzają poruszenia utrzymane żywością opisów i obrazami imaginacyi w wyrazach umiejętnie dobranych, szczęśliwie umieszczonych, w przenośni ani niedociągnionych, ani przesadzonych, a przez to ubierających myśl w barwę żywą i przyjemną. Trafie nawet można w pismach Kołłątaja na tę szacowną cechę talentu, którym zadziwia Krasicki, kiedy pojęcia wielkie i głębokie objawia w sposób tak prosty, iż im nadaje postać pospolitego rozsądku.” Te wyrazy znakomitego pisarza możemy tu w zupełności, bez najmniejszej obrazy prawdy, przystosować do Siemieńskiego, i w nich właśnie upatrywać klucz do powodzenia jego posłannictwa. Umiejętnością oświecania przedmiotu, dobitném słowem, obrazem, porównaniem, Siemieński podobnie jak Krasicki nadaje pojęciom wielkim i głębokim postać pospolitego rozsądku, mając to jeszcze niemal nad księdzem biskupem warmińskim, że czuje goręcej, więc i obrazuje poniekąd żywić, nie wybiegając z granic prostoty. Kompozycya jego utworów, nietylko w wierszach, ale i w prozie, daleka jest od oschłego schematyzmu szkołarstwa, robiącego rzecz nudną i wyprężoną z najpowabniejszej. Punktem wyjścia dla Siemieńskiego jest zwykle to, co najbardziej uderza w przedmiocie, drogę zaś pochodną wytyka samo kojarzenie się wyobrażeń, z kąd zamiast koszarowych i kolejowych linii prostych, dzieło układa się w wirydarz o ścieżkach pełnych różnaitości, a jednak wiernie prowadzących do głównego celu. Przystęp do rzeczy bywa tu zawsze ze strony najłatwiejszej i najbardziej zaciekawiającej; a po drodze, niby przypadkiem, z powodu jakiegoś napomknienia, znajdują się i wiadomości historyczne, i teorye naukowe, i nawet surowa glina, z której mistrz lepi obraną postać lub grupę. O samém zaś zacięciu pisarskiém

ani mówić nie potrzebujemy, bo przeczytanie choćby kilku stronnie wystarczy każdemu do ocenienia harmonii, prostoty i czystości stylu Siemieńskiego. W czasach gdy tyle różnorodnych wpływów zgubnie działa na mowę polską, gdy coraz szersza improwizacya dziennikarska, zamiast zdożyć tę mowę, kazi ją potwornymi wyrazami i zwrotami,—język Siemieńskiego staje się źródłem żywej wody dla umysłu. Gdyby nawet przedmioty poruszane przez pisarza mniej były niż są ważnemi, gdyby nie podnosiły najgłębszych zagadnień literackich i społecznych, gdyby ich nie oceniali w poczuciu potrzeb naszych,—już sam sposób ich traktowania, jak u autorów klasycznych, byłby godzien badania i przejmowania się jego zaletami. Kiedy zaś i treść i forma zarówno się narzucają ciekawości i uwadze, więźtość pisarza tém większą stać się musi.

Płodna działalność pisarska Siemieńskiego dotychczas była znana w całej rozciągłości jedynie na pewnych przestworach mniej rozległych i mniej pochopnych do czytania. W obecném wydaniu szersze koło publiczności polskiej po raz pierwszy się spotka z wielu jego pracami, w części rozrzuconemi po czasopismach mało dostępnych, w części uwięzłemi w wydawnictwach wyszłych z obiegu, a w pewnej części nawet całkiem niedrukowanemi i tutaj zjawiającemi się po raz pierwszy. Przeto i powab nowości obok zalet wewnętrznych, niewątpliwie stanie się bodźcem do garnięcia się ku wydawnictwu. Ale jest jeszcze jeden powód, który kiedy mówimy do rodaków, nie pozwala nam wątpić o powodzeniu przedsięwzięcia; ten zaś powód na tém się wspiera: że im wydawnictwo pójdzie pomyślniej, tém wdowa po autorze spokojniejszą mieć będzie starość. W ciernistej i skwarniej podróży żywota Siemieńskiego, była ona według słów Jana z Czarnolasu, „ozdobą mężowi i jego głowy koroną,” a „smutek mu z głowy wywabiała słowy słodkimi.” Więc osłodzić schylek jój życia przystoi tym, których obficie darzył i z za grobu darzy Siemieński duchem swoim.

I.

O R Ó Ź Y.

Tytuł „Królowej kwiatów” nadany Róży, sięga zapewne najgłębszych mroków przeszłości, i niezawodnie styka się z datą, w której Iwa ogłoszono królem czworonogów, orła ptaków, a dyament kamieni.

W naszym wieku, pochopnym do ruszania każdej rzeczy z właściwego jój miejsca, próbowano różnych sposobów zdetronizowania róży; ale jakoś się to nie udało. Wykrochmalona elegantka, z zimnem sercem, jak ta pora, w której króluje w salonach,—kamelia jest tylko prostą uzurpatorką, wspinającą się na stopnie tronu w nieobecności prawowitój królowej.

Nie zrównane muszą być przymioty róży, kiedy plebiscyt całego świata zgodził się na ofiarowanie jój téj godności. Najgorliwszymi jednak agitatorami w sprawie osadzenia jój na tronie byli, jak się łatwo domyślić, kochankowie i poeci, którzy w niej upatrywali symbol pięknej kobiety we wszystkich przemianach, zaczawszy od rumianego a wiele obiecującego buziaczka dziewczynki, do ślicznej panny w lat swoich poranku, do kobiety w pełni kraszy rozwiniętych wdzięków, a nareszcie do téj melancholicznej chwili, kiedy listek po listku osypuje się z wonnej korony. Róża zawdzięcza szczęście swoje już podobieństwu do pięknej kobiety, już, i to najwięcej, przypuszczeniu, że w niej ukrywa się zaklęta dusza niewieścia: bo czyż wonna poezya, a lepiej poezya woni, nie każe się domyślać tego mistycznego powinowactwa?

To urojenie, czy też wiara, choć nieujęta ani w system, ani dogmat, miała i ma swoich wyznawców we wszystkich rozkochanych i poetach, biorących zawsze różę za symbol piękności niewieściej, która bywa pączkiem, bywa w pełnym rozkwicie, i niestety! w zwiędnięciu. Atoli nie sama róża miewa ten przywilej; bo czy dla tém bliższego podobieństwa, czy też dla oryginalności, żeby nie być banalnym, uciekają się niektórzy i do innych płodów bogini Flory, jak lilie, fiołki, bławatki. Pierwsze kładą nacisk na niewinność, drugie na skromną wstydlivość, trzecie na prostotę wieśniaczą. Ale są to tylko kaprysy wyobraźni; bo ani lilia, ani fiołek, ani bławatek nie może się mierzyć z wdziękami róży, która jedna zagarnęła wszystkie rodzaje piękności. Niedarmo ona jest królową.

Najświetniej sportretował Różę pędzel śpiewaka *Jerozolimy Wyzwolonéj* w dwóch oktawach kończących opis cudów ogrodu Armidy. Pochwycił on najdelikatniejsze odcienie piękności kwiatu, któremu dał niemal duszę kochanki. Strofki te nieporównanego wdzięku we włoskim oryginale, nęciły już niejednego z tłómaczów, i niejeden choć wiernie powtórzył wyrazy i dobrał rymy dźwięczne, ciężkiém jednak dotknięciem zmiotł delikatne pyłki, lub się minął z miękką harmonią oryginału. Otoż szczęśliwym trafem, osoba młoda, ze świeżém uczuciem, z żywą fantazją, rozmilowana w bohaterskim poemacie Tassa, tak na prośbę moją przełożyła te dwie oktawy poświęcone Róży, a które śpiewa jakies cudowne ptaszę:

„O patrzaj!—śpiewa ptaszę—na różę, co świta
Z pośrodka zieloności skromna i dziewicza—
I już na wpół rozwarta, a na wpół zakryta;
O tyle jest piękniejszą, im mniej się użycza.
Patrz! oto jasném łonem już śmiało rozkwita...
Patrz! już mdleje i traci blask swego oblicza...
Traci blask—do którego westchnienia gorące
Słało tysiąc kochanków i dziewięc tysięcy.

I tak przechodzi szybko z tym dniem, co przechodzi,
Śmiertelnego żywota zieloność i kwiecie,

I choć wiosna powróci i ziemię odmłodzi,
Dla niego już po kwiatach, zieleni i lecie....
Rwiń różę, póki rosa poranku ją chłodzi,
Jeszcze dziś, gdy niebawem czas jój piękność zmiecie;
Rwińmy różę miłości, wtedy serce dając,
Kiedy jeszcze być możem kochani, kochając....

Kwiat ten, jakim go widzimy w naszych ogrodach, w niezliczonych swoich odmianach co do barwy, kształtu, układu listków, woni silniejszej lub słabszej, zaprawnej różnemi aromatami, jest produktem cywilizacji. W stanie dzikim, tak zwana polna róża znajduje się wszędzie, zawsze jednak w pewnym pasie ciągnącym się od wschodu do zachodu, a nieprzekraczającym swoich granic. Nigdy ona nie przeszła za równik, ani przekroczyła ku północy siedmdziesiątego stopnia szerokości geograficznej. Jest to zatem własność północnej części kuli ziemskiej.

Lindley, autor wyborniej monografii róży, wylicza przeszło ośmdziesiąt rodzajów dzikich róż, z których na Europę przypada dwadzieścia i pięć. Mają one ten przymiot, że w nich najlepiej się przechował pierwotny charakter i typ róży, w tych regularnych pięciu listkach, między którymi wyglądają zaostrome, zielone liście kielicha kwiat utrzymującego, a w środku wystrzela żółty guzik z prątkami pyłkowemi.

Oto jest róża w najprostszym swoim kształcie, blado-różowa i nader lekkiej woni. Poeci kochają się czasem w jój prostocie: nie wiem czy szczerze, czy też na złość jakiej pysznej centyfolii, która od nich główkę odwraca....

Pielegnowanie róży sięga najgłębszej starożytności, co bardzo łatwo przypuścić, bo musiała zwrócić na siebie oczy pierwszej mieszkanki raju, która zapewne nie była wolna od kokieteryi, tak jak cały rodzaj niewieści. Nasz jednak wiek badawczy w nie nie chce wierzyć, jeżeli nie ma na to dokumentalnych dowodów; ale niestety! poszukiwania odnoszące się do wieku kamiennego, nie znalazły w nim śladu téj delikatnej rośliny. Za to już w młodszych, ale zawsze sięgających w głąb setki wieków, jak twierdzą archeologowie, w palafitach szwajcarskich jezior, — czyli po naszymu,

w nawodnych mieszkaniach,—miano odkryć w kuchennych śmieciach pestki głogu, co naprowadza na myśl, że ten owoc służył za pożywienie; niewiadomo tylko czy z niego robiono zapkę, czy sos do sztukimęsa.

Egipt, to prawdziwe przedhistoryczne archiwum, z którego wszystko da się wyczytać, miał przechować w zwojach najstarszych papyrusów wzmiankę o różach; podobnie mówią o nich stare pisma Hindusów i Parsów; a co już Greków się tycze, to u nich róża była niezbędną ozdobą uroczystych obrzędów i uczt, jako kwiat poświęcony Afrodycie. Hellenin obdarzony wykwinłym smakiem stroił się nią, rozkoszował w jej barwie i woni, słowem widział w niej symbol miłości. Anakreon, żyjący na sześć wieków przed Chrystusem, może się nazwać kochankiem i poetą róży par excellence. Nie rozumiał on wesołej zabawy bez dziewcząt, wina i róż; kiedy kochał i pił, wieniec różany opasywał mu skronie, a on wyśpiewywał:

Róża to kwiat najpiękniejszy,
Rozkoszą wiosny są róże;
Ich wonią karmią się bogi;
Różami Eros okryty,
Kiedy w płas idą Charyty.

W innej pieśni jeszcze ją wyżej stawia, gdy mówi: „Róża to kwiat pielęgnowany przez Muzy, to ozdoba poetycznej krainy. Mędrzec nie obejdzie się bez niej przy godowym stole; bez niej nie ma bachicznego święta. Nie się też nie dzieje na świecie bez róży. Jutrzenka musi mieć różowe palce, poeci wystawiają nam Nimfy o różowych ramionach, a pleć Afrodyty ma być tak przejrzysta, jak listek różany. Róża przywraca chorych do zdrowia; ona chroni nawet martwe zwłoki od zepsucia.” Kończy tę swoją apostrofę wyprowadzając początek tego kwiatu od chwili, „jak Anadyomene wyszła z morskiej topieli okryta pianą, a wojenna Atena wyskoczyła z głowy Kroniona, natenczas zdziwiona Ziemia wydała ze swego łona krzew różany... Bogowie niecierpliwi, żeby się pączek prędszej rozwinął skropili go swoim nektarem.”

Rzym lubiący we wszystkiem naśladować Greków, których nie miał geniuszu, pieścił się także z różami, ale pieszczoty te były grubo zmysłowe. Na ich ucztaach wieńczono się niemi, tak samo jak Anakreon, tylko, że Anakreonta nie było; za to marnowano ten kwiat, chcąc wonią jego zaprawić powietrze. Nietylko że liściem różanym posypywane były podłogi, ale wyścielano nim siedzenia, a raczej legowiska biesiadników. Wyrażenie „spoczywać na różach” mogło wziąć od tego zwyczaju początek. Róże mieszano do wina, do kąpeli wlewano wodę różaną, a wyszedłszy z niej, potrząsano ciało proszkiem różanym. Olejek różany i takaż pomada wchodziły w niezbędne rekwizyta rzymskiej toalety. Raz podczas zimy przybył okręt z Egiptu wiozący w podarunku dla Nerona ładunek róż; ale przelozony nad tym transportem bardzo spuścił z tonu, przekonawszy się, że róże z Pestum piękniejsze są od egipcckich, a wiosenna flora Włoch i krasą i wonią przewyższa afrykańską, a obfitość jej taka, że ścieżki i drogi, po których stapał Neron, wysłane były różami. Okrutny ten amator kwiatów kazał, z powodu jakiejś uroczystości, pokryć różami powierzchnię Lukryńskiego jeziora. Wyuzdanej rozwiążności Heliogabal nie poprzestał na wodzie różanej, napełniającej sadzawki marmurowe, w których się kąpał; kazał on jeszcze wielki staw spuścić i napełnić go wodą różaną!

Zeby na takie zbytki wystarczyć, na jakież olbrzymie rozmiary musiano róże uprawiać w starożytniej Italii!

Na Wschodzie i do dziś ma być niesłychane marnotrawstwo tego kwiatu. Jeden z angielskich podróżników po Persyi powiada, że mieszkania nietylko wewnątrz, lecz i zewnątrz okryte są różami, a w łaźniach podłoga bywa niemi wysypywana, i to codzień świeżemi. Daleko jednak więcej zużywają tam tego kwiatu na wyrabianie eterycznego olejku. Woń róży, jak wiadomo, pochodzi od bardzo lotnej, olejnój substancyi, w listkach kwiatu zawartej. Gdy ta woń najmocniej czuć się daje z rana, więc korony zrywane bywają bardzo weześnie, kiedy na nich wiszą krople rosy, i rozcierają się w wodzie, która przyjmuje w siebie cenny olejek w liściach będący. Odecdzona woda nalewa

się w płytke naczynia i stawia w miejscu chłodném; poczem na powierzchni jój pokazują się drobne oczka, a te zebrane stanowią ów cenny różany olejek, po persku: Atargut. Produkeya téj poszukiwanéj do wszystkich perfum essencyi nader jest szczupła, a tém samém bardzo kosztowna. Jeden uprawiacz róż nad Gangesem z siedmnastu morgów zebrał 4,366 funtów liści, a te mu wydały tylko pół funta olejku. Róże Kaszmiru mają być wydajniejsze, a olejek z nich wydobyty używa największej wziętości na Wschodzie.

W starożytności słyęły ogrody różane w Jerychu, i dziś jeszcze znana jest w ogrodach róża jerychońska. Jerycho, położone w dolinie Jordanu, miało być niegdyś najrozkoszniejszym rajem ziemskim; dziś jest najnędzniejszą wioszczyną, że drugieję tak ubogięj i jałowęj nie znajdziesz w całej Palestynie. Róża jednak i dziś uprawiana, przynosi mieszkańcom, wyrabiającym wodę różaną, jaki taki dochód.

Róże Pestum, opiewane przez rzymskich poetów, zdożyły niegdyś i bogaciły tę okolicę dawnięj pełną ogrodów i uroczych willi bogatych Rzymian; dziś wszystko ma tam wejrzenie pustyni. Kilka kolumn precudnej greckieję architektury daje tylko świadectwo, że niegdyś był tu raj kwitnący; o różach już ani słyechu.

Dzisiaj na Wschodzie, a mianowicie w Persyi, przepych swój przechowały różane ogrody. Tutaj róże rozrastają się w drzewa, nieraz na trzydzieści stop wysokie. Mianowicie piżmowa róża, chińską zwana, osobliwie jest tam pielęgowana. Ale niczém te wszystkie przepychy, w porównaniu z różami Szirazu. W okolicy ruin starożytnego Persepolis udają się róże w takieję obfitości i krasie, jak nigdzie indzieję w świecie. W miesiącu maju, gdzie nie spojrzysz, widzisz przed sobą morze róż, a widok ten przewyższa wspaniałością swoję najbujniejszą wyobraźnię mieszkańca Europy. W porze kwitnienia róż powietrze przepelnione jest ich upajającą wonią, a śpiewak miłości słowik, kąpiąc się w tych balsamach, wywodzi tony również upajające, tak, iż ta woń w połączeniu ze śpiewem wprawia zmysły nasze w prawdziwy zachwyt rozkoszy. Takim jest Sziraz czasu kwitnienia róż, słusznie nazwany przez Persów

„Różańcem Farsistanu.” Dla tego też sławny ich poeta Hafiz, nazywany Anakreontem perskim, bo jak on śpiewał miłość, wino i różę, to co powiedział przed pięciu wiekami:

„Sziraz być nie przestanie krainą różaną,

I słowiki w nim śpiewać nigdy nie przestaną,”—

do dziś dnia jest prawdą. Jeszcze przed Hafizem równie jak on sławny poeta Saadi, przebywając w ogrodach Szirazu, napisał był dydaktyczno-etyczny poemat *Gulistan*, czyli ogród różany; atoli wyłącznym czcicielem róży był Hafiz, który jęj wiele poświęcił pieśni.

Na skalę tak olbrzymią, jak na Wschodzie, a za dawnych Rzymian w Pestum, nigdzie w Europie nie pielęgnowano tego kwiatu, chociaż możnaby naliczyć kilka głośniejszawy ogrodów różanych: jak w Malmaisonie, rezydencyi cesarzowej Józefiny; jak w Fontainebleau za Ludwika Napoleona; jak w hrabstwie Herford w Anglii, sławnym z uprawy róż; w Niemczech w Kasselu, w Monzy we Włoszech i w wielu innych miejscach. A cóż dopiero powiedzieć o hodowli róż przez prywatnych amatorów, którzy nietylę się starają o ilość, ile raezj o pielęgnowanie najrozmaitszych odmian tego kwiatu, których liczba ma już dochodzić do trzech tysięcy!

Pomimo tak rozlicznych odmian mnożących się co rok przez sztucznią kulturę róż, posuniętą dziś do specyalnej umiejętności, bo z dzieł traktujących o róży, możnaby złożyć osobną bibliotekę, wszystkie jęj odmiany w barwie, kształcie, woni, aczkolwiek podnoszą dumę i współzawodnictwo ogrodników, niemniej jednak muszą schylić czoło, a raezj piękny swój kielich, przed jedną, najprawowitszą ich wszystkich królową. Prawda, że między pięknością jedną, drugiej, setnej, tysiącznej róży, trudno rozstrzygać; istny to sąd Parysa, bo każda piękna swoją pięknością, i każda byłaby najpiękniejszą w świecie, gdyby towarzyszek nie miała. Atoli jest między różami Afrodyta, której się jabłko należy: tą Afrodytą, tą królową, jest róża Stulistna, Centyfolia, powszechny przedmiot ubóstwienia poetów. Powiadają, że przed wielu wiekami przyszła do Europy z Kaukazu: zapewne wędrówka jęj odbyła się z tym pięknym plemieniem aryjskim, które przyniosło z sobą zarody



dzisiejszej cywilizacji, a ten kwiat przechoowało jako drogą pamiątkę słonecznej ojezyzny.

Centyfolia pomimo zmienności smaku i upodobania panującego między miłośnikami kwiatów, zawsze siedzi na swoim tronie i nie da się z niego strącić, z prostej przyczyny, że jest urzeczywistnieniem ideału róży. Jakaż bo to skończona doskonałość w tych pełnych, miękkich kształtach! a to cieniowanie kolorów od najbledszego, do najmocniejszej purpury, ileż sprawia oczom rozkoszy! Woń niezbyt tęga i nieodurzająca, w samą miarę pieści zmysł powonienia, kiedy heliotropy, hiacynty, jaśminy, lilie i gwoździki mają niekiedy swoich przeciwników, niemogących znieść ich mocnej woni. Stulistna bez wyjątku sprawia każdemu przyjemność. A kiedy nabrzmiała, a silnie zwinęty pączek, zwieszając główkę z lekka otworzy się w pięknym poranku czerwcowym, jakże zachwycone oko nasze zatapia się w tajemnicze zwoje i oczekuje jak cudu rozwinięcia się całego kielicha w prawdziwie królewskim majestacie, któremu dla większej ozdoby rosa używa swoich dyamentów! Trzeba było takiego geniuszu poetycznego jak Mickiewicz, żeby umiał powiedzieć coś o róży inaczej niż wszyscy, co ją przed nim opiewali; on jednak jój nie opiewał, tylko potrzeba mu było porównania, wziął je patrząc na Centyfolię okiem poety:

Twarz jój jak róży bladój zawoje
Skropione jutrzeńki łezką.....

W tym malowniczym wyrazie „zawoje” mieści się cała poezja porównania i trafność rysunku.

Malczewski mówiąc o bohaterach poległych na stepie, daje im za pomnik polną różę.

A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnej róży,
Czyjeż się serce, czyje w żalu nie zanurzy?!

Te wątle listeczki, które lada wiatr oberwie i rozmiecie bez śladu, tęgną melancholią bezpomnikowej sławy. Dwa te rodzaje róż — stulistnej i polnej, posłużyły dwom najznakomitszym poetom do porównań.

Poeci obchodzili się z nią w sposób dość konwenyonalny, jak to zobaczymy poniżej.

Nie bez powodu mniemam, że od wojen krzyżowych, bogactwo róż na Wschodzie obudziło i w Europie chęć do pielęgnowania tego kwiatu i przywiązania do niego symbolicznego znaczenia.

Św. Dominik po uśmierzeniu się walki z Albigenami, widział potrzebę uspokojenia sere wzburzonych namiętnościami, znalazł na to środek w modlitwie na cześć Najświętszej Panny, i nazwał tę modlitwę Ogrodem Różanym czyli Różańcem. Sam ten tytuł pokazuje, że zakładanie ogrodów różanych na sposób wschodni, musiało być panującą modą. Forma téj modlitwy ma też wiele podobieństwa z ogrodem różanym mieszczącym same tylko róże, nie więcej tylko róże, i to podobne do siebie jak dwie krople wody, a mimo tego pięknością swoją nienużące oka, a treścią wonną upajające powonienie. Podobieństwo do tego ogródka ma i nabożeństwo zaprowadzone przez Św. Dominika. To ciągle i monotonne powtarzanie Pozdrowienia Anielskiego, wracające w pewnym porządku z innymi modlitwami, dziwnie odpowiada téj prostej formie, w jakiej lud zwykle się modli. Temu zawdzięcza Różaniec, że się wnet przyjął w całym chrześcijaństwie i wszędzie potworzyły się bractwa Różańca Ś-go, a serca były jak korony róż łączące się w ogólnym wonnym hołdzie na cześć Matki Zbawiciela.

Rycerstwo obierało różę za godło na swoich tarczach; ząd przeszła ona do herbów. Naszych polskich kilka herbów, jak: Róża, Ramułt, Rola, Doliwa i jeszcze parę innych, nosi heraldyczną Różę, odróżniającą się naiwnym swym kształtem od prawdziwój.

Różę złotą rozdawał Papież w upominku niewiastom królewskiego lub książęcego rodu, dobrze zasłużonym kościółowi. Różę otrzymywał w nagrodę trubadur na poetycznym popisie w tuluzañskiej instytucji Jeux floraux. Atoli w wiekach średnich, a nawet w dzisiejszych, kwiat ten spleciony w wieńce i bukiety rękami dziewie, dostawał się na ołtarze i ozdabiał obrazy Bogarodzicy.

Zapewne odgrywał on i anakreontyczną rolę na wesółch biesiadach. Jeżeli, jak podają kronikarze: „Król

Zygmunt Stary rad chadzał w różanym wieńcu na głowie — to niechybnie wzór jego znajdował naśladowców w mnożących się humanistach, rozmiłowanych we wszystkim, co przypominało dawnych Greków i Rzymian.

Same nazwy niektórych miejscowości u nas, jak Rożan, Rożana, Różany Stok — robią prawdopodobnym przypuszczenie, że mogły tam być z dawien dawna pozakładane różane ogrody, tak jak o istnieniu dawnych winnic świadczą dzisiejsze Winnice, Winniki, Winne Góry, Winogrady i t. d. We Francyi, w Niemczech, a osobliwie w ostatnich, pełno było Różanych ogrodów opiewanych nawet przez ich poetów. Zwyczaj ten mógł być u nas naśladowany, z wyjątkiem, że nikt nie opiewał ogrodów Grimhildy, ani wieńca róż, z pocałunkiem będącym nagrodą zwycięzcy w turnieju.

W rycerskich wiekach róża niepoślednią grała rolę; miała ona jeszcze nielada znaczenie w sentymentalno-pasterskim wieku, kiedy przesycony świat elegancki zaczął się bawić w owieczki i huletki, słomkowe kapelusze i różowe trzewiczki na korkach. Sielankowe festyny mogły się obejść bez bukietów i girland różanych? Pasterka mogłaż nie wtknąć róży w upudrowaną fryzurę? Zapewne że nie; ale mocnobył podejrzewał te artystyczne pasterki, czy nie wycięj w guście ich była — robiona niż prawdziwa róża?

Ależ w epoce tej Nemorynów i Mirtylów, która tak lubiła się bawić z zamrużonemi oczyma, dziwnie sielankowe rodziły się pomysły, nawet w takich głowach, które nie a nie nie miały sielankowego.

Traf zdarzył, że się spotkał z francuzką broszurką, która mię zaciekawiała z tego względu, że coś mówiła o róży, — a że jestem miłośnikiem tego kwiatu, więc lubię wiedzieć co o nim piszą. Otoż czego się z nią dowiedziałem: W r. 1778 zawiązało się we flandryjskiem mieście Arras, anakreontyczne grono wesołych towarzyszków, i nadało sobie nazwę Rosati. Początek tego stowarzyszenia był taki: W pierwszym dniu maja, kilkunastu młodzieńców dla obchodzenia pierwszego dnia wiosny, postanowiło zejść się o piątą z rana w ogrodzie za miastem, aby tam czytać wiersze, jakie każdy przyniesie, i przy śpiewkach i musującym szampanie dzień ten wesoło przepędzić. Jeden z należących

do tego grona przyniósł z sobą kosz pełny świeżych róż, ubrał w nie altanę, posypał niemi siedzenia i stoły. Na ten widok jednogłośnie uradzono święcić ten dzień co rok i nazwano go świętem róż. Zwyczaj ten jednak nie ograniczył się na jednym dniu; towarzystwo Rosatich zbierało się co dzień przez całe lato do późnej jesieni, i miewało swoje literackie posiedzenia.

Dziwny to był ten pociąg do sielankowości w tej Francyi, która miała niebawem zamienić się w scenę najkrwawszej tragedyi, jakiej drugiej nie pokaże historia świata. Ale co jeszcze bardziej zastanawia, to lista członków stowarzyszenia Rosati. Któżby się bowiem spodziewał, żeby w liczbie tych czcicieli anakreontycznej muzy, układających kuplety bardzo niewinne i dosyć głupie, znalazły się takie nazwiska: Carnot'a, który był wtedy kapitanem inżynierii, i Maksymiliana Robespierre'a, który był adwokatem w prowincjonalnym miasteczku? Jakiej zaś wartości były te madrygały owych dwóch historycznych wielkości? Zadałem sobie pracę, żeby parę strofek jak najwierniej przetłómaczyć, z dołączeniem oryginalnego tekstu.

Owoż Carnot, nie wiem à propos jakiej okoliczności, palnął taki wiersz na cześć swego kollegi:

Ah! redoublez l'attention,
J'entends la voix de Robespierre;
Ce jeune émule d'Amphion
Attendrirait une panthère.

(Młodzi! tutaj zgromadzona,
Słuchaj pieśni Robespiera;
Na głos tego Amfiona
Zmiękłaby sama pantera).

Na to Robespierre odpowiedział następującym kupletem, przyjmując ofiarowany sobie bukiet róż:

Je vois l'épine avec la rose
Dans les bouquets, que vous m'offrez,
Et lorsque vous me célébrez,
Vos vers decouragent ma prose;
Tout ce qu'on m'a dit de charmant,
Messieurs, a droit de me confondre:

La Rose est vôtre compliment,
L'Épine est la loi d'y repondre.

(Widzę różę, koleców grozę
W ofiarowanym bukiecie,
A choć mię uczyć pragniecie,
Wasz rym straszy moją prozę;
Wasza przemowa tak grzeczna
Pomieszała mię do szczętu:
Bo w różach woń komplementu,
W koleach—odpowiedź konieczna).

Pokazywałyby się z tego, że wielkie wypadki mają moc nie tylko zmieniać charakter i przeznaczenie człowieka, ale nawet wpływać na jego talent. Ktoby się był wtedy domyślił, że ten wierszokleta młodziutki i wymanierowany, kiedyś z trybuny będzie rzucał takie słowa, że za każdym czyjaś głowa spadnie?

Wypadałoby jeszcze powiedzieć coś o naszej róży, jakie ona zajmuje stanowisko w poetycznej florze, i jak się na nią zapatrywali nasi starzy i nowi poeci. Co do pierwszego, nie przestała ona siedzieć na swoim tronie, i ogólnie jest uznana za królową kwiatów. Co zaś do drugiego, pomimo odbieranych holdów, znajduje czasami niebezpieczne rywalki w liliach, bławatkach, niezabudkach i innych polnych kwiateczkach błękitnej barwy, może dla tego, że przypominają kolor oczek jakiejś ubóztwianej bogdanki, a może też dla odróżnienia się, żeby nie iść za głosem powszechnej opinii. To jednak pewna, że od samego początku jak poeci zaczęli śpiewać w rodzinnej mowie, róża zaczęła się plątać w ich rymach, dostarczając im porównań w razie, gdy wypadło im mówić o jakiejś pięknej i rumianej twarzy. Pomysł nie uderzał nowością, ale zawsze bywał trafny. Już Kochanowski pisze:

Twarz jako kwiatki mieszane
Liliowe i różane.

Albo:

Jako lilija różą przeplatana
Zdała mi się twarz twoja malowana.

Nie trzeba jednak domyślać się, żeby poeta chciał pod tém malowaniem rozumieć róż i bielidło, lubo i ta toaletowa tajemnica nie była wówczas tajemnicą.

Stary poeta ostrzega jakąś piękną Zofię, może zbyt ufającą w swoje powaby:

Nie zawždy, piękna Zofija,
Róża kwitnie i lelija.

Ta krótka trwałość kwiatu róży ciąglym jest tematem naszych poetów; traktują go jednak dość prozaicznie i zimno. Cztery sławne wszędzie i zawsze cytowane wiersze Malherbes'a na śmierć młodej dziewczyny, które wiernie starałem się oddać:

Na tym padole najpiękniejsze rzeczy
Los niezbłagany niweczy;
Ot i ta róża żyła życiem róży—
Jeden poranek—nie dłużej,—

jaką tchną melancholią! Francuzki poeta mocno czuł, kiedy tę elegię pisał.

Jest jeszcze jeden wierszyk Kochanowskiego wprost zwrócony do róży:

Nadobny sobie kwiat Wenus obrała,
Kiedyby jego krasa dłużej trwała;
Lecz co zakwitnie, jako słońce wznijdzie,
To znowu spadnie ledwo wieczór przyjdzie.
Rwięj panno różę za nowego kwiatu,
A pomnij, że tak bieżą twoje lata.

Zimorowicz więć farb już dobiera na odmalowanie róży, gdy mówi:

Róże! ucieszne róże! ognie samorodne,
Szkarłatne me opony i gwiazdy ogrodne!

Te „samorodne ognie“ te „gwiazdy ogrodne“ to już język poety w zachwyceniu. Kwiat jednak, aczkolwiek tak czarujący, niczem jest w porównaniu z jego kochanką, przy której kwiaty gasną.

Od twojej twarzy—i róże rozliczne
Rumienieją się, patrząc w ciebie ustawicznie.

La Rose est vôte compliment,
L'Épine est la loi d'y repondre.

(Widzę różę, koleców grozę
W ofarowanym bukicie,
A choć mię uczyć pragniecie,
Wasz rym straszy moją prozę;
Wasza przemowa tak grzeczna
Pomieszała mię do szczętu:
Bo w różach woń komplementu,
W koleach—odpowiedź konieczna).

Pokazywałyby się z tego, że wielkie wypadki mają moc nie tylko zmieniać charakter i przeznaczenie człowieka, ale nawet wpływać na jego talent. Ktoby się był wtedy domyślił, że ten wierszokleta młodziutki i wymanierowany, kiedyś z trybuny będzie rzucił takie słowa, że za każdym czyjąś głową spadnie?

Wypadałoby jeszcze powiedzieć coś o naszej róży, jakie ona zajmuje stanowisko w poetycznej florze, i jak się na nią zapatrywali nasi starzy i nowi poeci. Co do pierwszego, nie przestała ona siedzieć na swoim tronie, i ogólnie jest uznana za królową kwiatów. Co zaś do drugiego, pomimo odbieranych holdów, znajduje czasami niebezpieczne rywalki w liliach, bławatkach, niezabudkach i innych polnych kwiateczkach błękitnej barwy, może dla tego, że przypominają kolor oczek jakiejś ubóztwianej bogdanki, a może też dla odróżnienia się, żeby nie iść za głosem powszechnej opinii. To jednak pewna, że od samego początku jak poeci zaczęli śpiewać w rodzinnej mowie, róża zaczęła się plątać w ich rymach, dostarczając im porównań w razie, gdy wypadło im mówić o jakiej pięknej i rumianej twarzy. Pomysł nie uderzał nowością, ale zawsze bywał trafny. Już Kochanowski pisze:

Twarz jako kwiatki mieszane
Liliowe i różane.

Albo:

Jako lilija różą przeplatana
Zdała mi się twarz twoja malowana.

Nie trzeba jednak domyślać się, żeby poeta chciał pod tém malowaniem rozumieć róż i bielidło, lubo i ta toaletowa tajemnica nie była wówczas tajemnicą.

Stary poeta ostrzega jakąś piękną Zofię, może zbyt ufającą w swoje powaby:

Nie zawždy, piękna Zofija,
Róża kwitnie i lelija.

Ta krótka trwałość kwiatu róży ciąglym jest tematem naszych poetów; traktują go jednak dość prozaicznie i zimno. Cztery sławne wszędzie i zawsze cytowane wiersze Malherbes'a na śmierć młodej dziewczyny, które wiernie starałem się oddać:

Na tym padole najpiękniejsze rzeczy
Los niezbłagany niweczy;
Ot i ta róża żyła życiem róży—
Jeden poranek—nie dłużej,—

jaką telną melancholią! Francuzki poeta mocno czuł, kiedy tę elegię pisał.

Jest jeszcze jeden wierszyk Kochanowskiego wprost zwrócony do róży:

Nadobny sobie kwiat Wenus obrała,
Kiedyby jego krasa dłużej trwała;
Lecz co zakwitnie, jako słońce wznijdzie,
To znowu spadnie ledwo wieczór przyjdzie.
Rwięd panno różę za nowego kwiatu,
A pomnij, że tak bieżą twoje lata.

Zimorowicz więcęj farb już dobiera na odmalowanie róży, gdy mówi:

Róże! ucieszne róże! ognie samorodne,
Szkarłatne me opony i gwiazdy ogrodne!

Te „samorodne ognie“ te „gwiazdy ogrodne“ to już język poety w zachwyceniu. Kwiat jednak, aczkolwiek tak czarujący, niczém jest w porównaniu z jego kochanką, przy której kwiaty gasną.

Od twojęd twarzy—i róże rozliczne
Rumienieją się, patrząc na ciebie ustawicznie.

Wszystko nizacz, mą kochanko, gdy nie masz ciebie;
 Mnie żaden kwiat nie powabi wonny do siebie.
 Cóż mi potem, chociaż pójdę na konwaliją,
 Chociaż uszczknę miłą różę, albo liliją?
 Bez twojej urody niczem są ogrody;
 Twe wargi szkarłatne i czoło udatne
 Wszystkie kwiecie najbogatsze czynią niepopłatne.

Któżby śmiał za złe brać rozkochanemu poecie, że
 panią serca nad kwiat znikomy przekładał? Wyższość zawsze
 jest po stronie piękności kobiecój; a róża hołd, jaki odbiera,
 może najwięcej temu zawdzięcza, że jakąś piękność przy-
 pomina.

Wespazyan Kochowski nie zachwyca się różą, lecz
 z niej wyciąga moralne zdanie:

Patrz jaka śliczna róża! a nie jest bez wady;
 Z niej pszczołki miód zbierają, a pająki jady.

Nie zapomniał też o herbownej róży:

Rwą różę, choć od cierni ma obrony swoje;
 Lecz i tej nie obronią jej żelazne kroje.

Zapewne musi to być jakaś alluzya do pewnych osób
 połączonych z sobą, a mających za herb Różę i Kroje. Po-
 święcił on jeszcze cztery dość słabe wiersze Róży mistycznój.

Rózo! co nocną dobą zawierasz się liściem,
 I tyś maleńką była przed synowskiem przyjściem;
 Ale sprawiedliwości już słońce błysnęło,
 W tobie kwiat najwdzięczniejszy bujno rozwinęło.

Sarbiewski poświęcił osobną pieśń na cześć Róży ma-
 jącej ozdobić oltarz Bogarodzicy. Przytaczam ją w prze-
 kładzie Syrokomli:

Rózo krasna kształtem zorzy,
 Czyż się tobie kryć potrzeba?
 Niech się młody kwiat roztworzy!
 Powstań młoda córko nieba!
 Z nad twój głowy obłok dżdżowy
 Rozpędzają wiatry chyże;
 Kap się kwiatku purpurowy
 W czystej woni i zefirze.

Wstań i zbadaj swoją dolę,
Przestań kryć się w trawę podłą,
Nie na ziemskim maluj czole
Wstydlivosti świętej godło.

Nie masz zdobić ludzkie łona,
Na ołtarzach mieć cię życzą;
Kwitnij, kwitnij poświęcona
Na Maryi skroń dziewicza!

Myslałem, że sielankowy i sentymentalny Karpiński
różę zrobi przedmiotem swoich uniesień; ale tylko jedną
piosnkę o nią znalazłem, a i w tej, po za różą, którą
opiewa, stoi jakaś panienka, jeszcze podlotek:

Ja pierwsza Róża, wiosniana,
Jeszcze nie jestem tykana;
Jeszcze dopiero się rozwinęła
I piękną tę barwę wzięła.

Kiedy wiatr zimnem powieje,
Albo gorąco przygrzeje,
Chroncie się ze mną, bom niecierpiąca
Ni zimna, ani gorąca.

Można mi się przypatrować,
I z daleka się dziwować,
Ale nie mam być jeszcze zrywana,
Boby mię szkoda, żem rana.

Wy, w których rosnę ogrodzie,
Dziwiąc się mojej urodzie,
Śpiewajcie w koło i czeladź cała:
„Róża się nasza udała!”

Najlepsze wiersze o Róży bez wątpienia napisał Karol
Sienkiewicz. Jest w nich pewne ciepło i woń.

Chwało wiosny! nad tobą któż się nie zdumiewał?
Któryż cię malarz minał, poeta nie śpiewał?
Który kochanek kwiaty zbierając na wianki,
Nie widział w twoich wdziękach wdzięków swój kochanki?
Patrzcie! jak się wychyla róża pięknołica,
W pączku wstydliva jeszcze i jeszcze dziewica,

Niewidziana połową, połową rozwita
 I piękniejsza tém więcej im więcej ukryta;
 Wnet się cała rozwija śmiała i ozdobna,
 Rozwija się i więdnie, i już niepodobna,
 Niepodobna już róży chwytanėj do wianków
 Od tysiąca kochanek, tysiąca kochanków.

Koniec tego epizodu poświęconego róży osłabł cokolwiek, dzięki tój banalnej skardze na prędkie więdnienie jój wdzięków. Któż o tém nie wie? Nic to jednak nie przeszkadza szczeremu upojeniu się poety na widok czarującego kwiatu, co też i w poezyi się odbiło.

Z nowszych chyba jednego Lenartowicza zacytować mi przyjdzie, który mimochodem wtrącił cztery wiersze o róży, i można powiedzieć, że je zaprawił olejkiem różanym, taka mocna woń z nich się rozszerza:

A wszystkie róże do nóg się kłonią,
 I aż się proszą, żeby je zbierać,
 I tak przedziwnie wdychają wonią,
 Jakby z miłości chciały umierać...

Mickiewicz tedy najtrafniej oddał kształt kwiatu przyrównywając go do zawoju; Malezewski z krzaczka polnej róży zrobił melancholiczny nagrobek bohaterowi bez nazwiska; Lenartowicz woń jój pochwycił; Sienkiewicz przepychy wdzięków wyśpiewał. Są to lekkie dotknięcia pendzla, mniej więcej genialne, mające przecież tę zasługę, że umiały oddać hołd tój córce wiosny, nie robiąc z niéj wyłącznego przedmiotu owaeyi sentymentalnej, jak to się praktykuje u Niemców, którzy oprócz nieskończonej ilości wierszy o Róży i do Róży, zjawiających się co rok z przyjsciem wiosny, poświęcali jój całe poemata, czego im wcale niepowinniśmy zazdrościć; gdyż między innemi taka *Zaczarowana Róża* (*), dość spory poemat Schulze'go, a w dziejach ich poezyi zaszczytne zajmujący miejsce,—tak jest niemiłosiernie nudny i ekliwy, że chyba mogłaby z nim iść o pierwsze nasza: *Świątynia Wenery w Knidos*.

(*) Die bezauberte Rose.

W nowszych poematach możeby się co więcej znalazło o róży niż to, co do tej drobnej antologii dało się zebrać, z czego ten wypadłoby wyciągnąć wniosek, że wśród tylu ważniejszych przedmiotów do śpiewania, na ten jeszcze kolój nie przyszła.

Mnie samemu wychodzącemu raz z długiej a ciężkiej choroby, wypadło przepędzić cały Maj, wyjątkowo piękny, w towarzystwie najcudniejszych róż, których w pół zwinięte lub rozkwiecione kielichy, były jakby gojącym balsamem dla oczu, a ich wonie dla piersi. Mogę powiedzieć, że się wścigały jedna przed drugą, aby mię co rano powitać wdzięczniejszym uśmiechem i świeższą upoić wonią, co mię tak dla nich zobowiązało, żem zaczął je opiewać, wmawiając w siebie, że to nie kwiaty, lecz różne piękności spotykane w życiu, które się zbiegły do tego Gulistanu, aby mię swoim szczebiotaniem rozrywać; dobrowolne to złudzenie skryształizowało się w wiązce rymów, które mógłbym dorzucić do tej antologii, gdybym się nie obawiał słusznego pomówienia o chełpliwą próżność.

Dla dopełnienia tej monografii na małą skalę zakresloniej, należałoby jeszcze zaczerpnąć filozofii ludu, czyli zapytać naszych popularnych przysłów, co o nią myślą? Atoli przerzuciwszy zbiory przysłów, jakie mamy, nie znalazłem nic więcej prócz jednej przypowieści, która jest wspólna wszystkim narodom: „Nie ma róży bez kolców.“ Przysłowie to jednak jest teraz bardzo podkopane, albowiem uprawiacze róż mogą faktycznie przekonać, że bywają róże bez kolców nie przestając być różami.

II.

SŁOWIK.

POGADANKA PRZYRODNICZO-LITERACKA.

Któż jest ktoby nie znał słowika, tego wirtuoza wiosny, tego starego jak świat pieśniarza, który zawsze umie być nowym, przywilój godny zazdrości i udzielany przez Opatrzność rzadkim tylko śmiertelnikom? Słowika zna każdy i cieszy się nim jak upragnionym gościem, bez którego wiosna nie byłaby tém czém jest. Nie wyobrażam sobie nawet, jakie tam w strefach północnych mogą być wiosny, i czy warte są tego nazwiska, jeżeli im nie towarzyszy śpiew słowika? W naszym bowiem pojęciu nie ma jednej bez drugiego, jak balu nie ma bez muzyki, jak nie ma święta bez hymnów na cześć Boga. W odradzającej się naturze gra uczucie, które potrzebuje być wyśpiewane i to wysokim nastrojem dytyrambu, a tego nikomu Opatrzność nie dała, tylko jednemu słowikowi, który w śpiewie swoim łączy wszystkie miłosne głosy stworzeń, wszystkie ich strzeliste wybuchy, bo i dzwonienie wzbijającego się w obłoki skowronka, i gruchanie gołąbków, i świergot wróbli i wabienie przepiórek, zgola w tej wielkiej orkiestrze uskrzydłonego świata on jeden prym trzyma, on śpiewa za wszystkich i dla wszystkich.

Pewien jestem, że kiedy słowik odzywa się w gaju, nawet zbrodniarz, jeżeli nie staje się lepszym, to go przynajmniej na tę chwilę zła myśl opuszcza, jak tego Włocha,

który czyhał z gotowym sztyletem, aby zamordować owego sławnego grajka Stradellę. Stradella grał właśnie na chórze, a grał tak cudownie, że nastawionego zbója, który go słuchał, rozbroił i ujrzał go u nóg swoich błagającego o przebaczenie....

Ta sława słowiczego śpiewu utrzymuje się zapewne od początku świata i we wszystkich krajach, gdzie wirtuoz ten lubi przesiadywać. Nikt jeszcze dotąd nie zaprotestował przeciw niemu, jest to zatem najprawowitsza królewskość. Patrząc na tę jego skromną sukienkę, na te szare piórka niezem niebijące w oczy, na tę postać tak niepokaźną, że możnaby go wziąć za najpospolitszego wróbla—prawdziwie wierzyć się nie chce, żeby z tego gardziolka płynął potok tonów mogący rywalizować z organami kościołami. A przecież tak jest: wirtuoz ten śpiewający w nocnej ciszy napelnia swoim głosem całą okolicę; wszelkie stworzenie ucisza się, aby jego tylko słuchać...

Skromnego, tajemniczego pieśniarza próżnobyś szukał na szczytach najwyższych drzew; tam go nie znajdziesz; nie lubi on paradować swoją figurą; owszem obyczaj to jego trzymać się poziomych krzewów, chodzić nawet po ziemi, lub przeskakiwać po niskich gałązkach. Gdzie tylko wrzawa, zgiełk, niepokój—tam go nie zobaczysz... Zaraz wynosi się. Gęste zarośla, leszczyny, wikle, strumyk żywej wody—są najponętniejszym dla niego schronieniem. Miejscowość wiele znaczy: nasze nadwiślańskie słowiki używają największej sławy. Ptasznicy cenią je najwyżej. — Lat temu wiele, przypominam sobie, jakby to było wczoraj, przechadzałem się w nocy po Puławskim ogrodzie, i tyle na raz śpiewało w nim słowików, tak jedne z drugimi szły w zawody, który z nich dłuższe będzie wyciągał tony, — że mi się zdawało chwilami, iż jedynymi mieszkańcami tych czarowanych miejsc muszą być nie ludzie, lecz słowiki. Bez wątpienia, są pewne miejscowości, które je przyciągają setkami, co każe się domyślać, że ptaszę to ma poczucie estetycznego piękna, i zapewne tak jest, bo taki artysta jak słowik, musi się znać na wszystkiem i mieć smak delikatny. Nie idzie jednak za tém, żeby celował przebiegłością i sprytem, żeby umiał się dobrze sprzedać; rola dworaka

nie odpowiada jego usposobieniu; mają go nawet za głupiego ptaka, gdyż łatwo daje się podejść pierwszemu lepszemu kotowi, wiewiórce, sroce i wronie, a cóż dopiero chytrym zastawkom ptasznika, który umie skorzystać z jego łatwowierności, a drażniąc przyrodzoną ciekawość, setkami chwytając w sidelka, aby go sprzedać jakiemu Niemcowi, który zamknawszy w zielonej klatce biednego niewolnika, cieszy się, że mu będzie śpiewał tak jak na swobodzie w rozkoszonym gaju; tymczasem nie wiem czy jest co bardziej monotonnego i męczącego nad ten śpiew przymuszony. Pewnego razu miałem w sąsiedztwie parę klatkowych słowików, którym, a właściwie ich pieśni zlorzeczyłem z całego serca; wybijały mię bowiem ze snu tą swoją urywaną melodyą i tęp nieustannem da capo, jakoś tak stereotypowo wracającym, że wyczerpywała się wszelka cierpliwość, jak przy czytaniu tych autorów, którym jeżeli się co raz udało, przepisują się przez resztę długiego żywota. Słyszając ten nudny śpiew uwięzionego ptaka, przyszła mi na myśl teoria metempsychozy, i już zacząłem na dobre wierzyć, że dusze poetów przechodzą w słowików i mieszkają w nich aż do czasu, póki słowika co nie zdusi, lub póki nie dostanie się do klatki; w tym ostatnim przypadku duszyczka poety go opuszcza, a ptaszę zatrzymawszy w pamięci parę motywów melodyi, wygłasza te swoje kuranty jak na pozytywie wyczynony kanarek. Śpiew staje się regularnym, monotonnym, nudnym; odwołuję się do badaczy natury, czy mi nie przyznają, że w uwięzionym słowiku nie ma już duszy poety?

Żeby nie pominąć ważniejszych rysów w charakterystyce słowika, winienem powiedzieć, że lubi słońce, ciepło i piękne niebo—poeci tak samo do tego wdychają jak on. Do Europy przylatuje z początkiem wiosny, aby wyprawiać wokalne koncerty, na które lubo nikt go nie zaprasza, ani mu za nie płaci, jak wszystkim sławnym śpiewaczkom, to przecież nie mniej są one warte od tamtych. Kiedy inne krzykliwe ptactwo, jak gęsi, bociany, żórawie, zbiera się gromadami do odlotu, będącego wróżbą bliższej zimy, słowik, jak niepostrzeżony przylatuje, tak na raz gdzieś znika. Zapewne podróż odbywa samosam, o mroku, małemi etapami, póki nie dostanie się pod wiecznie pogodne niebo

i grzejące słońce Afryki. Gdyby przylot i odlot jego był pierwój zapowiedziany w ogłoszeniach dzienników, niezawodnie witanoby go i żegnano demonstracyjnymi wieńcami, ale on tego wszystkiego nie lubi i o to nie stoi, jak ów wędrowny bandurzysta Widort, który śpiewa o sobie:

„O tak siadu zaspiewaju,
„Widspiewaju, taj pijdu.“

Utrzymują naturaliści — a jakże im nie wierzyć, kiedy wszystko wiedzą, a wiedzą tak dokładnie, że słowikowi nietylko porachowali wszystkie piórka, ale i kosteczki?—otoż utrzymują oni, że słowiki walczą z sobą o pierwszeństwo w śpiewie, coby tylko dowodziło, że w nich pokutują dusze poetów... To prawda, nieraz przysłuchując się ich melodyjom, uważałem, jak jeden sady się nad drugiego, i widocznie chce go prześpiewać. Już dostrzegł to rzymski naturalista i posunął tę walkę do ostateczności, kiedy zanotował: „*Certant inter se, palamque animosa contentio est: victa morte finit saepe vitam.*“ (Plinius, Lib. X.) A czy się sprawdza w rzeczywistości, że zwyciężony śpiewak często życiem przyplaca swoją porażkę, to już zostawiam badaczom; niech dochodzą na ptaku, aczkolwiek i to być może, jeżeli słowikom przyznamy te same własności co poetom o prym wależącym. Przecięż za naszych czasów wależył Juliusz z Adamem, a czyżby wczesny zgon śpiewaka Bieniowskiego miał z téj przyczyny nastąpić?

Pokazuje się, że słowik czuje swoje mistrzowstwo, i nie da go sobie wydrzeć; w tém całą ambicyę pokłada, i bardzo sprawiedliwie gniewa go, jeżeli z nim puszcza się w zawody taki partacz, jak kanarek wyuczony na pozytywee. Czytałem gdzieś, a chociaż niezawsze ręczę za wycytane szczegóły, jednakowoż bardzo mogło się zdarzyć, że słowik śpiewający w sadzie, gdy usłyszał kanarka wystawionego za oknem, jak ten popisował się jakąś aryą z opery—ostatnich sił dobywał, aby go zagłuszyć, co w końcu zmusiło kanarka do milezenia.

Ale lepszą jeszcze rzecz opowiadają naturaliści, że słowik, nie wiem czy swobodny, czy klatkowy, bo tego nie dodają, — słysząc młodą i piękną osobę obdarzoną miłym

i wdzięcznym głosem, śpiewającą przy fortepianie, a widząc się zwyciężonym, przyleciał i u stop jej skonał...

To już zakrawa na tragedję, albo przynajmniej na Werterowski romans.

Przypisując ptaszkowi temu te różne własności, jakie się spotyka między ludźmi, a mianowicie u poetów, widać jak dwa te pojęcia o poecie i o słowiku z dawien dawna zbiegały się z sobą, jedno dopeśniało drugie, a często służyło za miarę porównania wcale nienaciąganego; rzeczywiście zachodzi wielkie podobieństwo między temi dwoma wyróżniającemi się istotami, tak w rzeszy uskrzydlonój, jak w społeczeństwie ludzkim. W jednej i drugiej przeważa coś eterycznego, duchowego, a głównie moc uczucia w przeciwieństwie z tēm, co je otacza, tak dalece, iż w stosunku tym przeznaczeniem ich tracić równowagę i odgrywać smutną rolę istot wydziedziczonych z tych dóbr, jakie każda istota ziemską zdobywa sobie przemyślem, podstępem, siłą, zabiegliwością i nieskończoną litanią innych środków. Jednakowoż wielka zachodzi różnica w doli słowika a poety. Słowik, kiedy rozpuści gardziołek, wyśpiewa wszystko, co mu tam gra w piersi; nie ma on potrzeby nie ukrywać, ani modyfikować; poeta przeciwnie tak jest zależny od tysięcy okoliczności, od stosunków do społeczeństwa, pośród którego żyje, że nigdy nie śpiewa całą piersią, ani wszystkiego wypowiada, co w jego głębi się dzieje, w czem wielkie ma podobieństwo do organów w Leżajsku, tak potężnie olbrzymich, że gdyby, jak mówią, na całych zagrano, tego potopu tonów kościółby nie wytrzymał.

Poeci wszystkich narodów lubią, mimo powyższej różnicy, porównywać swe liryki ze śpiewem słowika; nie jest to jednak zarozumiałość z ich strony, ale raczej definicya rodzaju ich śpiewu pełnego harmonii, słodyczy i miłosnej tęsknoty... W taki też sposób zwrócił się Adam w kilku zwrotkach do Bohdana, kiedy go wabił w swoje koło, naśladując prawie śpiew słowika:

Słowiczku mój! a leć, a piej!

Na pożegnanie piej

Wylanym łzom, spełnionym snom,

Skończonój piosnce twój.

Słodkiego i lotnego pieśniarza nie można było trafniej scharakteryzować, niż nazywając go słowikiem; bo któż się na to nie zgodzi, że pieśni jego, te dumki i szumki ukraińskie, pełne są téj tęsknej, melancholicznej rzewności, jaka cechuje melodyę słowika?

Jest w naturze słowiańskiego ludu i jego poczciwej analogia ze śpiewem tego ptaka; zdawałoby się jakoby na ten wzór nastrajali swoje gęśli, a nie siląc się naśladować niepodobnej do naśladowania formy i dźwięku, wnikaliby w ducha, aby w słuchaczach sprawić to samo wrażenie. Już przed ósmiu może wiekami znalazł to podobieństwo nieznanemu białoruskiemu pieśniarzowi, ten sam, który śpiewał wyprawę Igora na Połoweć, kiedy wspominając, a raczej odwołując się do jakiegoś dawnego pieśniotwórcy Bojana, odezwał się z apostrofą: „O Bojanie, solowiju starało wremeni!“ O Bojanie! słowiku starych czasów! O wieszcu! jeżeli chciałeś komu śpiewać, toś myślał bujał jak słowik na drzewie, jak wilk szary po ziemi, jak siwy orzeł pod obłokami.

Charakterystyka ta, wnosząc z określenia rodzaju gęśli Bojanowej, pozwala się domyślać w tym bohaterским śpiewaku, jakiegoś zaginionego słowiańskiego Homera. Tradycya tego porównania pieśniarza ze słowikiem, jak widzimy, sięga nawet czasów przedchrześcijańskich, a ma przytém inne jeszcze znaczenie, że tak powiem lingwistyczne i etymologiczne, o czém wypadnie niżej więcéj coś dodać.

Nietylko poeci, ale szczególniej badacze natury, nieraz silili się opisywać śpiew słowika, a nawet co trudniejsza oddawać podobnie brzmiącemi wyrazami jego melodyę. Że trudności téj nie potrafili pokonać, nie pewniejszego; to tylko godne uwagi, że w śpiewie ptaka dosłyszeli jakby brzmienie słów ludzkiego języka.

Co do opisów jeden tylko udał się i znaleźć go można w historyi naturalnej Buffon'a; jest to arcydzieło stylu, wyszłe z pod pióra znakomitego naturalisty Gueneau de Montbeillard, współpracownika przybranego przez Buffon'a.

Posłuchajmy co mówi:

„Ilekroć koryfeję wiosny zabiera się śpiewać hymn na cześć odradzającej się natury, zazwyczaj zaczyna od nie-

„śmiałej przygawki, kwiląc słabym, niepewnym siebie głosem, jak gdyby chciał wypróbować swój instrument. Trwa to niedługo, bo wnet pewny już swego, stopniowo ożywia się i zapala, aby w całej pełni rozwinąć wszystkie zasoby, z niczym niezrównanego organu. Sypią się też z łoskotem wypadające tony, niby rotowy ogień leciuchnych dźwięków, niby przeciągłe race wzbijającej się w niebo melodyi, a każda nота wybita tak czysto i dokładnie, że nie nie traci mimo szalonej szybkości. Śpiewowi temu towarzyszy jakieś wewnętrzne głucho dudnienie, niezrozumiałe dla ucha, lecz pomagające do wybitności tonów; melodia przechodzi chwilami w przyśpieszone gruchanie, pełne energii wpadającej w twardość, która wcale nie razi. Wszystko to przeplatane mdlejącymi jękami nieutulonej tęsknoty. Tony te powiązane bez żadnej sztuki, lecz wygłoszone z duszą i uczuciem, przenikają do głębi i oczarowują; są to prawdziwe westchnienia miłości i omdlejącej rozkoszy prosto z serca płynące, i dla tego też robią tak mocne na każdym wrażenie.“

Ktokolwiek zachował w pamięci wiosenną melodyę słowika, przyzna, że niepodobna było szczęśliwiej wywiązać się z zadania, niż to uczynił współpracownik wielkiego francuzkiego naturalisty; powiedziano też o nim, że musiał to pisać przy otwartém oknie, słuchając przez całą noc słowiczego koncertu, i notując pochwytane jakby na gorącym uczynku wszystkie przejścia i akkordy czarodziejskiej melodyi. Dla tego też choćby kto i nie słyszał śpiewu słowika, mógłby o nim z tego opisu dokładniejsze mieć wyobrażenie, niż, jak na to silili się niektórzy, z naśladowania wyrazami jego głosu, chociaż samo materyalne brzmienie nigdy nie jest w stanie oddać duszy.

Z poetów starożytnych wiem tylko jednego, który pozwoił sobie tej igraszki. Był nim komedyopisarz Arystofanes; atoli igraszka ta daje się usprawiedliwić, gdyż wprowadzając do swojej komedyi ptaki „*Ορνιθες*“ nie dziwnego, że im kazał mówić ptasim językiem. Słowik u niego odzywa się dźwiękami mającemi śpiew jego naśladować jak:

Epopopopopopopoi
io io ito ito tio

tio tio tio tio.
trioto, trioto, trotobrix itd.

Był to pierwszy zapewne w tym rodzaju przykład (*), czém zachęcenii naturalisei niemieccy, jak znakomity Naumann (*Naturgeschichte der Vögel Deutschlands*) i Bechstein, próbowali téj saméj sztuki.

Nie odważyłbym się tu przytaczać tych wszystkich dźwięków, jakie Niemcy chcieli oddać równobrzmiącemi wyrazami, bo żeby je chcieć wygłosić trzeba by koniecznie zachować akcent słowiczy, a to rzecz podobno niełatwa... Atoli mnie wcale o co innego idzie w tych próbach onomatopei. Zauważyłem bowiem, że niemieccy naturalisei, którzy z taką pilnością obserwowali słowika podsłuchując jego śpiew, aby go oddać brzmieniem słów, natrafili, zapewne niechęcący na wiele brzmień czysto słowiańskich, jak: *Cika, cika, cika; jeden, jeden, jeden; goi, goi, girr*. Albo: *Czerk, czerk--wojsda, wojsda, wośda... kwark, kwark, kwark; kokerk, kokerk; tarrak, tarrak; kat, wat, wat; cika, cika, cirr, cirr, cürrp, cierp, cierp*. Albo: *Dobrylak, dobrylak, dobrylak, two, two, two, twa, twa, kwa, kwa, czerk, czerk, ciurrr, lilie, lilie, lilie, wi, wi, wi, wirrr, twoji, twoji, woti, woti, woti, twor, twor, twor, za, za, za, za, itd.*

Ledwie małą cząstkę przytaczam tych brzmień bez żadnego znaczenia, ale mających w wygłoszeniu widoczne powinowactwo z dźwiękami słowiańskiej mowy, co by mogło naprowadzić na ten wniosek, że kiedy słowik we wszystkich językach ma nazwę to od nocy, w której śpiewa, to od miłego śpiewu, — przez jakąś analogię we wszystkich językach słowiańskich bierze nazwę od *słowa* i zowie się słowikiem!—Nie dziwiłbym się, gdyby który Słowianin notując wyrazami śpiew tego ptaka, był znalazł brzmienia do słowiańskiej mowy podobne; lecz to jest dzieło Niemców,

(*) Średniowieczny poeta ze szkoły francuzkiej Ś. Bonawentura w mistycznej swéj pieśni Philomena mniej więcej w ten sposób, co grecki komedyopisarz chciał naśladować wyrazami śpiew Filomeny (Słowika) w tym wierszu: „Oci, oci, clamitat illo suo more; albo: Oci, oci, anima clamat“ itd.

niedomyślających się nawet, z jakim językiem mogą być spowinowacone te dźwięki przez nich wyrażone. Pierwszy, który nazwał śpiewaka wiosny słowikiem, lub sołowijem, musiał odczuć to podobieństwo jego śpiewu z dźwiękami naszej mowy. Inaczej trudno by sobie wytłómaczyć pochodzenie tej nazwy, na co, jak mniemam, nikt dotychczas nie zwrócił uwagi.

Niemozna jeszcze pominąć i tej okoliczności, że próbowano śpiew słowika ująć w nóty muzyczne. Sławny ze swej uczoności we wszystkich gałęziach nauk Jezuita Kircher żyjący w 17 wieku pokusił się pokonać tę trudność i każdy ton chciał nótami wyrazić; że mu się nie udało próba, nie pewniejszego. Anglik Barrington idąc za jego przykładem, przyszedł w końcu do przekonania, iż niepodobieństwem jest ocenić względną wartość każdego tonu, ani czas jego trwania. Niepodobieństwem zaś w tym głównie leży, że słowik śpiewając nie trzyma się żadnej miary; jakież sposób schwytać ten rytm tak rozmaity, tak wycieniowany w swoich przejściach, tak swobodny w swym prądzie, tak nietrzymający się żadnych reguł! Nigdy też martwy instrument nie zaśpiewa jak słowik; nikt też nie potrafi z niego wydobyć tych dźwięków, w których gra dusza tych gardłowych tonów, tych drzeń, tych mdlejących westchnień.

Może za długo rozszerzałem się nad śpiewem tego ptaka; ale mówiąc o słowiku, o czémże mówić, jeśli nie o jego śpiewie, który jest jednym z wielkich cudów stworzenia?

Teraz zobaczymy, jakie on ma wspomnienia w naszej historii, a głównie, jaką gra rolę w poetycznej literaturze tak dawniej jak nowszej? Poci, lub ei co się stykają z poezją, obok wszystkich kadzidel na cześć żywych i nieżywych wielkości, noszą w sercu cichy ołtarzyk dla bóstwa Wiosny i jej melodyjnego reprezentanta. Nie znajdziesz bowiem jednego, któryby zapomniał o wiosnie, róży i słowiku.

Długosz w swojej kronice zapisał przyczynę zgonu już wiekowego Jagielly, i winę złożył na słowika. Biedna ptaszyna napełniająca śpiewem rozkoszne gaje medyczne, ani przeczuwała, że jej król słucha w chłodną noc majową,

że się zaziębi, i z tego zachorowawszy, ledwie dowlecze się do Gródka, aby tam umrzeć! Gdyby to nieszczęście przeżyły były słowiki medyczne, najpewniejby milczały całą noc, aby nie narażać na śmierć tego zacnego pana, mającego tak poetyczną duszę...

Jest jeszcze podanie o Janie Szczęsnym Herburcie, butnym warchole z czasów Zygmunta III-go, że tenże nabroiwszy niemało, bo z kupą swoją napadał i rabował dwory, wpadł w ręce władzy i osadzony był w więzieniu zamku krakowskiego, gdzie bardzo tęsknił do wolnego powietrza, a tęskniąc rymami się pocieszał śpiewając:

„Siedzi słowik na topoli,
A przecię go serce boli;
Śpiewa więzień okowany,
Licząc w ciele swoim rany, i t. d.”

Pierwsze dwa wiersze pożytych wprawdzie od Kochanowskiego, ale to nie przeszkadzało mu w następnych skarżyć się na swoje tak dobrze zasłużone nieszczęście, z którego jednak się wykrcił udarowany przebaczeniem dobrego króla, w skutek czego poprawił się i już nie broił. Współczesny mu Miaskowski, także poeta, nazwał go Herkulesem słowiańskim i także go zrobił słowikiem, jak to ów wiersz pokazuje, gdzie mówi:

„Krzyczy on, słowik słowieński, by w maju.”

Ponieważ właściwa poetyczna literatura zaczyna się u nas z Janem Kochanowskim, i duchem jego, oraz myślami z niego kradzionemi żywi się po nim z półtorasta lat, więc wypada nam wiedzieć, jak on sobie wyobrażał śpiewaka wiosny, który zapewne często przyśpiewywał mu w cieniu lipy czarnoleskiej.

Kiedy Kochanowski żył i pisał, była to epoka reminiscencyj klasycznych, przez które przesiewano wszystkie wyobrażenia i uczucia, choćby te pochodziły z pierwszej ręki, na czem oryginalność pomysłu i wyrażenia wcale cierpiała. Mógł tedy poeta patrzeć na słowika tylko przez to szkło klasyczne, nie mógł go inaczej pojmować, tylko tak, jakby go pojmował Horacy lub Anakreon. W Sobótee, mającój wszelkie prawo do korzystania z materyałów ludo-

wych jak pieśni, podania, wyobrażenia, zwyczaje naszego gminu, spotykamy się z kilku strofkami o słowiku:

Śpiewa słowik na topoli,
 A w sercu go przedsię boli
 Dawna krzywda, mocny Boże!
 Że z człowieka ptak być może.
 A ona niewinna córa
 Obrosła w słowicze pióra,
 I dziś wdzięcznym głosem cieszy
 Kto się kolwiek w drogę śpieszy.

O jakiej krzywdzie tu mowa? Zkąd to przypuszczenie niczém nieutulonej boleści w śpiewie słowika? Mitologia wszystko to tłómaczy ową legendą wcale niebudującą o Tereuszu, Prognie jego żonie, o Filomeli siostrze żony i o Itysie synu Progny, która go ugotowała—czuła matka!—i dała zjeść mężowi, w skutek czego cała ta zacna rodzina, która dziś musiałaby stawać przed sądem przysięgłych, zamieniona była w ptaków: Tereusz w dudka, Progna w jaskółkę, Itys (zjedzony) w bażanta, a Filomela zhańbiona przez Tereusza i do tego z uciętym językiem w słowika!

Trudno znaleźć coś niedorzeczniejszego nad te wszystkie mitologie fabrykowane dla panienek uczących się po pensyonach, a opowiadające z suchością dogmatyczną bardzo ślizkie awantury bogów i bogiń. Jeżeli to ma być klucz do zrozumienia starożytnego świata, to mocno się pomylili, kto pierwszy wpadł na koncept ułożenia tej mitologii, bez odniesienia się do tekstu poetów, jedynych objawicieli i ustawodawców tej fantastycznej religii.

Lecz wróćmy do Kochanowskiego. Kiedy naszemu „słowiańskiemu słowikowi” poświęcał tych parę strofek, grecka legenda stała mu na myśli, i już po za nią nie więcej nie widział, bo gdyby był chwilkę zastanowił się nad gościem wiosny, który co rok śpiewem go swoim rozczulał, — byłby rozumiał ducha tego śpiewu, wcale niebolejącego nad „dawną krzywdą” doznaną od Tereusza, lecz śpiewu, który wybuchał ogniem miłości ze wszystkimi tęsknicami, pragnieniami i spazmami namiętnie rozgorączkowanego serca, przeplatanemi, gdy już sił zabrakło, elegicz-

na skargą na niewzajemność.... Poeta czarnoleski dopiero wtedy zrozumiał słowika, gdy serce ojcowskie krwawymi łzami zapłakało nad stratą Urszulki..... Wtedy to zapytuje on ducha poetycznego dziewczątka:

Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?...

Kochanowski nie tylko co do słowika, lecz dla tylu innych wyobrażeń, pojęć, uczuć, stał się krynicą, z której czerpano; stał się formą, w której odlewano prawie przez ciąg dwóch wieków wszystkie pomysły. Niepospolity to bogacz, jeżeli przy nim tylu głodnych się żywiło!

Szymonowicz, najlepszy po nim poeta, uocąc Sielanki, nie mógł pominąć śpiewaka wiosny:

Słowiku! mój słowiku! co w tym krzu różanym
Od północy mię budzisz swoim głosem rannym,
I ty mi z serea śpiewasz, i ciebie coś boli,
I ja śpiewam, i rym mój idzie po niewoli.

To już lepiej, lecz zawsze nie mogło się obejść bez tego „i ciebie coś boli,” co zdaje się przypominać „dawną krzywdę” Tereusza wyrządzoną greckiej Filomeli.

Bartłomiej Zimorowicz, który rzeczywiście więcej miał oryginalności niż Szymonowicz, patrzy się na słowika ze strony realnej; możnaby nawet przypuścić, że studiował jego naturę, gdy mówi:

Prawie pod samą pełnią maja w końcu roli
Siedziałem rano wedle narożnej topoli,
Brzękając na bandurze; aliści ptaszyna,
Sołowiej po naszymu, zwadę ze inną wszczyną:
Ja hołubca przebieram palcami powoli;
A słowik też powtórzył na wierzchu topoli.
I tak trafnie muzyce mojej się przeciwił,
Żem się z razu uśmiechnął, a potem się zdziwił.”

W innym miejscu tenże sam Zimorowicz przedstawia słowika w tragicznej chwili, kiedy płacze po stracie swych dzieci:

„Żałuje lichych dzieci, do których się skradła
Sztuczna wiewiórka, aby oraz je pojadła;
Tymczasem to skrzydłami daremnie trzepocze,
To podlatując, zewsząd rzeźliwie szczebiocze,
A też nie mogąc skwierku znosić biednych dzieci,
Z krzykiem nieutulonym na topolę leci.

Obrazek ten służy mu za porównanie, podobnie jak Wirygiliuszowi, od którego w części się zapożyczył:

Qualis populea moerens Philomela sub umbra
Amisissos queritur fetus, quos durus arator
Observans nido implumes detraxit, at illa
Flet noctem et moestis loca questibus implet.

„Durus arator” zmienił się u niego na „wiewiórkę” i bardzo słusznie, bo wieśniak na Rusi nie popełniłby tego okrucieństwa.

Pomijam innych owego wieku poetów wzmiankujących o słowiku tylko mimojazdem lub w formie porównania. Gawiński, acz sielankarz, poświęca mu ledwie cztery wiersze:

Lubo wieczór zapada, lub zaranne zorze,
Lubo w nocy, zawsze ja smutne skargi tworzę.
Pomnę dawne obelgi i dawne niewoli.
Czyliż łatwo zapomnieć, gdy co kogo boli?

Tu już żywcem przeniesiona myśl Kochanowskiego.

Śpiewająca cztery pory roku Druźbacka, nie zapomniała o słowiku, dość szczęśliwie uchwyciła charakter jego melodyi i miejscowość, gdzie przebywać lubi:

Tu słowik wdzięczne przemiany w swym głosie
Posyła echu, które chętnie niesie
Przyjemny koncert porankowej rosie.
Słysząc go w gaju, słysząc w ciemnym lesie,
A gdzie strumyczek szemrząc płynie wązki,
Pluszcze skrzydełka, skoczywszy z gałązki.

Ostatnie dwa wiersze są jakby podpatrzone. Wiejska ta poetka miała pojęcie otaczającej ją natury.

Poważny Naruszewicz pisał Dumę do słowika, i tak ją zaczął:

Wdzięczna ptaszyno! słowiku malutki!
Długoż tu będziesz dawne kwilił smutki,
Kiedy ci na trosk serdecznych ulżenie
Wszystko się śmieje nadobne stworzenie?

Chociaż i tu poeta nie pominął „dawnych smutków,” jednakowoż robi nadzieję, że kiedyś powinny się skończyć. Czyżby Naruszewicz przeczuwał erę nowej poezji? — Być może; ale tymczasem Dyonizy Książnin, jego współczesny, idzie dalej w kierunku wytkniętym przez swoich poprzedników, gdy w bajce Jaskółka i słowik mówi o ptaszku „milutkim,” który

Sam sobie wdzięcznym pokwila głosem,
Dawne rozwodząc żale i smutki
Nad rodu swego nieszczęsnym losem.
Mocny Boże!
I z człowieka ptak być może.
Byłyć to niegdyś ateńskie królowny
Progne i Filomena

I tu przywodzi całą mitologiczną legendę, jakby już nie miał co innego do powiedzenia. Renesansowy klasycyzm widocznie gonil już resztkami. Kochanowski i inni mieli jeszcze tyle smaku, że napomykali słówkiem o legendzie, ale jój nie rozraczali przed czytelnikiem.

Na schyłku epok literackich zazwyczaj panuje nie-wstrzeźliwość słowa, a przytém forsowanie nieświeżych pomysłów do ostatecznych granic, co je dobija do reszty.

Symboliczny słowik zaczyna występować w bajkach i apologiach, a pod nim trzeba rozumieć poetę, skarżącego się na swoją dolę, albo trzymającego prym między swymi kolegami. Dowcipny Kajetan Węgierski, nie uciekając się do żadnej przenośni, wprost nazywa Trembeckiego słowikiem, nie dla tego, żeby rodzaj jego rymów był liryczny i melodyjny jak śpiew słowika, lecz że on jeden umiał pisać jak nikt ze współżyjących:

Gdy się ozwiesz słowiku, nocą drudzy ptacy,
Lecz w rozpaczy zostawiasz znęcone do pracy.

Niemcewicz i inni należący całkiem lub częściowo do ośm-nastego stulecia, często mają do czynienia ze słowikiem, ilekroć mowa o wiosnie; albo też widzą w nim sentymentalnego kochanka odprawionego z kwitkiem, gdy jego współzawodnik trzpiot wróbel, otrzymuje pierwszeństwo... Temat to ulubiony w bajkach i bardzo lekkich powiastkach, naśladowanych z Woltera, który miał nielada talent szydzenia z każdego uczucia, a raczej ze wszystkiego, co miało źródło w uczuciu, jak wiara i poezya.

Jedna z najpiękniejszych pieśni bretońskich,—a są to pieśni gminne tak oryginalne, tak pełne wdzięku, że żaden inny lud równemi poszczycić się nie może,—jedna z takich pieśni opowiada śmierć słowika śpiewającego w sadzie, bo śpiewa tak rzewnie i czule, że nawet morze go słucha i wtedy ucisza szum swoich fal. Słyszając to zazdrośnik, przywołał ogrodnika, przekupił go i kazał złapać ptaszynę. Gdy mu ją przyniósł, ukreślił słowikowi szyję i rzucił pięknej pani pod nogi. Dowiedziawszy się o tém, kochanek zawołał w rozpaczy:

—„Nie ma już dla mnie i dla méj pani
Majowych nocy i pogadanek,
Tam przy okienku, gdzieśmy na dobre
W księżyc patrzałi i w oczy sobie.”

Wolter nie przebaczył téj ślicznej balladzie i zbrudził ją swoim dowcipem. On tak samo nienawidził poezyi, jak nie cierpiał religii. Zaraza ta przyszła od niego i podcięła skrzydła naszym poetom z owego czasu.

Nie wiem czemu by to przypisać, lecz w pieśniach naszego gminu, których mamy wcale obfite zbiory, rzadko spotykamy się ze śpiewakiem wiosny; częściej przychodzą w nich kukulki, szczygły, wróble, jaskółki, skowronki, sokoly, wrony i kawki, orly nawet, a kukulka, ta ruska zozula, gra w tych pieśniach niemal pierwszą rolę. Podania także milczą o słowiku, przynajmniej nie spotkałem się z żadném. Czemu to przypisać? Czy krótkości śpiewu sło-

wika, o którym mówi przysłowie: „Na święty Wit, słowik cyt!” Czy to zapomnienie o nim ztąd pochodzi, że się nie przypomina przez resztę roku, istna Filomela z uciętym językiem? Nie wiedząc jak to wytłómaczyć, odważam się podsunąć jedną przyczynę, ale na nieszczęście, wcale nie-poetyczną. Oto, słowik śpiewa w najprzykrzejszej porze dla rolnika, to jest na przednówku, kiedy ten, zawsze nie-ogłębny, pasem ścisła głodny żołądek, aby się nie upominał; głodnemu też chleb na myśli, a nie poetyczne koncerty, o których nie chce wiedzieć, bo mu przypominają ciężki przednówek. Nie znalazł przeto słowik miejsca w pieśni gminnej, ani w legendzie; artysta-poeta we wspomnieniach ludu nie zagrzął miejsca.

Romantyczna szkoła, uaginająca się formą i naiwnością do pieśni i podań gminnych, inaczej już patrzy na słowika; nie chce już słyszeć o mitologicznej Filomeli; zmieniwszy bowiem punkt widzenia, czyta w duszy śpiewaka lub rozmawia z nim uczuciami, jak ta pastuszką Lenartowicza, pytająca słowika, o czém on śpiewa? a ptaszek odpowiada:

„O ja ci powiem, śliczna pastuszko:
 Śpiewam piosenkę twoją,
 Kiedy ci po czémś tęskni serduszko,
 I oczy we łzach stoją.”

Poeci wschodni lubili śpiewać miłość słowika i róży (Balbul i Gul). A na chrześcijańskim Wschodzie, w Armenii, w klasztorze Eczmiadzimie, ma się znajdować legenda o Słowiku i Róży, którą podał ks. St. Chołoniewski (Odpowiedzi i legenda wschodnia w Wilnie 1847 r.). Zdaje się, że czy sam ks. Chołoniewski, czy kto inny, z którego on ją przetłómaczył, przerobił tę legendę i nadał jój formę literacką, co nie przeszkadza jój być poetycznie piękną i bardzo wzniosłą. Do mego przedmiotu wystarczy, jeżeli samą treść z nięj wyciągnę.

„W rajskim ogrodzie, nim Bóg stworzył człowieka, już wszystkie stworzenia wielbiły swojego Stwórcę; cały świat był w zachwyceniu miłości i wydawał z siebie jeden wielki hymn. Lecz gdy w dniu szóstym człowiek został stworzony, głos jego począł przewodzić głosom wszystkich stworzeń.

W raju była wiosna; słowik ciągle śpiewał, a w głosie jego modliła się cała natura. Nie śpiewał on jak teraz słodko i rzewnie na przemiany, ale daleko weselej wybijał czarujące trele.

I róża wonezas kwitła w raju, a nie miała cierni.

Słowik śpiewał modlitwę ziemi Panu na chwałę, a z róży płynęły wonie. Był to pacierz całej natury.

Słowik i róża kochali się wzajem kochaniem dziewiczém.

Po wygnaniu Adama i Ewy z raju i słowik także wyleciał za nimi.

Długo szukał on miejsca, na którémby spoczął; nakoniec usiadł na rozłożystém drzewie. A drzewo to było osobliwego rodzaju; z niego to po długich wiekach wyciosano Krzyż Pański. Kiedy pierwsi rodzice nasi poczęli uciekać przed głosem gniewu bożego, a płomienisty miecz anioła błyskał nad ich głowami, matka nasza Ewa, na pamiątkę utraconego raju skrycie uszczknęła gałązkę kwitnącej rajskiej róży i przycisnęła do piersi. Róża od płomienia niespokojnego serca nagle uwiędła.

Ewa spostrzegłszy śmierć kwiatu, poszła pod drzewo święte, z którego potem krzyż wyciosano, i zasadziła martwą gałązkę róży w cieniu drzewa, długo, długo, co rano i wieczór podlewając ją łzami skruchy. Kwiat przyjął się, lecz ta róża ziemską nie była podobna do rajskiej; straciła świetną barwę zorzy porannej i najeżyła się kolcami.

Ona jedna z kwiatów patrzyła na siedzącego w gałęziach słowika, a słowik na nią; lecz nie poznali siebie.

Słowik pogrążony w żalu milczał.

A róża z wielkiej żalości stała się bezwonna.

Słowik na widok cierni i boleści ukochanego kwiatu, po raz pierwszy wydał jęk smętnej melodyi na ziemi, która nie była już rajem.

Śpiew jego był serdecznie tęskny, słodki i rzewny na przemian.

Przez długie noce po utraconym raju, słowik i róża przerywali sobie nawzajem śpiew i zrozumieć się nie mogli, bo już nie śpiewali w raju pańskim, ale na ziemi, jęcząc pod klątwą bożą, gdzie głosy wszechstworzeń do pierwszego stroju wrócić nie mogły.

Pewnego ranku Adam z Ewą przybyli do gaju wygnania i ukłękli pod cieniem tego drzewa, z którego był potem krzyż wyciosany. U nóg ich kwitła ciernista róża, a na drzewie siedział słowik.

Rodzice nasi zaśpiewali pokutną pieśń:

„Zlituj się nad nami Panie według wielkiego miłosierdzia Twego!...”

I wnet umilkły śpiewy słowika i róży, i wszystkich stworzeń ziemi.

Wszystko co żyło przysłuchiwało się pokutnej pieśni.

Słowik i róża żałośnie patrzali na dwoje wygnańców, na Adama i Ewę, których łzy spadały na listki róży, a śpiew ich taki tęskny i skruszony rozdzierał serce słowika.

On mileżał drżący i przerażony, i róża oniemiała z bóleści. Wtedy dopiero poznali się nawzajem i zrozumieli.

Hymn żalu króla ziemi wytlómaczył im własną ich niedolę i smutek całej natury.

I odtąd aż po dni nasze, wśród cichłej nocy majowej brzmi pieśń słowika, to wesoło, to żałośnie, a zawsze tak przenikliwie, że się aż na płacz zbiera.

Słowik śpiewa modlitwę w pokucie i słodkiej nadziei.

Podobnie i róża wśród cichłej nocy modli się, a wonna jest jej modlitwa pokory i miłości. A jak pierwój w raju Adam przewodniczył stworzeniom w hymnach dziękczynnych i wesołych,—podobnie po utraconym raju nauczył on całą naturę pieśni pokutnej, rzewnej, przenikliwej, lecz pełnej wielkiej nadziei.”

Nie wchodząc, czy powyższa legenda urodziła się w Armenii, czy jest zapisana w księgach klasztoru w Eczmiazimie,—czy też wyszła ona z pod pióra ks. Chołoniewskiego, powtórzyłem ją dla jej wysokiej piękności, a głównie, że poeta chrześcijański, melancholicznej rzewności słowiczego śpiewu nie przypisał greckiej awanturze Filomeli z uciętym językiem, lecz tak szczęśliwie związał z pierwszym grzechem rodziców naszych, który zasmucił całą naturę.

Legenda powyższa złożona jest całkiem w duchu poczciwej głęboko chrześcijańskiej, do której nam pokazał drogę romantyzm, tak bardzo dziś poniewierany, jak poniewierana bywa każda rzetelna zasługa.

Romansowi klasycey odgadywali w śpiewie słowika krzywdę starożytnój Filomeli; chrześcijańska poezya przyczynę smutnego śpiewu odniosła do pierwotnego grzechu, przez który posmutniały wszystkie stworzenia, i zasępiło się wszystko na ziemi. Poezja widocznie na tém zyskała.

Dla nas nieporównany artysta sadów i gajów niech będzie tym „Bojanem słowikiem,” co to „zwijał wieniec z obu połowin swego czasu,” śpiewa on w terażniejszości, a duszą z przeszłością przebywa.

Nienapróżno powiada Michelet w swojej poetycznej, a niekiedy paradoksalnej książce o Ptakach: „On ne peut pas offencer Dieu en rendant une âme à la bête.” Zapewne, słowikowi można przyznać duszę, nie na mocy jakiegś metempsychozy, lecz że ją ma, że ją czujemy w nim, jak czuł wielki poeta średnich wieków, Św. Bonawentura, w pieśni poświęconej temu ptaszкови, gdzie pyta:

I cóż znaczy ta ptaszyna,
I czémże cię wzrusza?
Filomela to cnot pełna
I miłości dusza,
Co pamiętna swój ojczyzny
I tęskniąca do niej,
Takie hymny czarujące
Wciąż dzwoni a dzwoni.

III.

LAUR I LAUREACI.

Laur i sława to niemal jednoznaczne wyrazy. Wieńcze laurowe, to nagroda poetów i bohaterów w rodzaju Herkulesa:

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze,
Młodzieńcem zdusi Centaury,
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba pójdzie po laury.

Nie ma poety, żeby nie wspomniał o laurze, nie ma panegirysty, któryby nie wieńczył nim swego nieboszczyka, co nie przeszkadza słowom naszym nie zgadzać się z rzeczywistością. U nas laur jest fikcją, aczkolwiek okazy tego krzewu nierzadkie są po naszych oranżeryach, a liście jego pod wcale niepoetyczną nazwą „bobkowych” grają dotąd niemалą rolę w przyprawie kuchennej, co nienajlepiej świadczy o delikatności podniebienia. Laur spolszczono u nas na „Wawrzyn”, mimo tego nudny poeta Twardowski Dafnę zamienił w „Bobkowe drzewo.”

To pewna, że reminiscencye klasyczne wprowadziły do naszego i każdego języka literackiego wiele wyrażen pozbawionych rzeczywistości; są to jakby puste brzmienia, które nie mówią, dla tego, że z tém co jest nie zostają w styczności. Takie laurowe wieńcze, palmy, liry, struny „rzucające strzały” przechowane w dzisiejszej mowie

są dla nas prostym obrazem, przenośnią, kiedy dla starożytnych były rzeczywistością poetyczną. Wyrażenie się Pindara mówiącego: „pięknie wieńczone Ateny” nie było żadną fikcją, jeżeli weźmiemy na uwagę, że wieńiec na głowie Ateńczyka należał do zwykłego stroju. W wieńcu chodził urzędnik, wieńcem się odznaczał, jak u nas stosowanym kapeluszem lub czapką z kolorową wypustką i kokardą. Kwiatami wieńczono się na biesiadach; w wieńcach chodzono do świątyń, nawet niewolnik dopóki był w wieńcu, nie mógł być bity przez swego pana. My radzi mówimy o wieńcach laurowych, dębowych, ale nie wieńczymy nim nikogo *de facto*.

Mityczny laur był drzewem poświęconém bogu Apollinowi, który ujrawszy piękną nimfę Dafnę, puścił się za nią w pogoń, atoli czysta dziewica ratując się ucieczką, gdy widziała, że chyży bożek ją dogania, westchnęła do Zeusa, żeby ją w drzewo zamienił, i tak zamieniła się w laur. Pięknie tę przemianę opisał Owidyusz. Uroczyste wieńczenie laurem odbywało się w starożytnej Grecji na igrzyskach pytyjskich ustanowionych na cześć Apollina, a odbywających się na równinie Cyrrejskiej w okolicy Delfów. Zwykle odbywały się na nich popisy poetyczno-muzyczne. Chóry młodzieńców śpiewały na cześć Apollina *peany* przy odgłosie fletni i cytary. Zwycięzców w nagrodę wieńczono wieńcem laurowym.

Lauru ojczyzną są pobraża Afryki i Azji Mniejszej, później rozmnożono go w Helladzie, gdzie był taki ekspens wieńców. Jest on tam bżowém drzewem, o którém było także mniemanie, że chroni od uderzenia piorunu. Naturaliści znają kilka gatunków lauru, ale jeden tylko o pięknym liściu metalowego połysku, który nosi u nich nazwę *Laurus nobilis*.

Powiedziawszy nieco o laurze, przejdźmy do laureatów.

Pisma publiczne szeroko rozwodziły się w swoim czasie o odbytych we Lwowie jubileuszowym obchodzie pięćdziesiątej rocznicy literackiego zawodu Seweryna Goszczyń-

skiego. Uroczystość tę obchodzono w dniu 7 Marca 1874 r. przy licznych przemówieniach, toastach i wierszach. Pod pewnym względem miało to cechę uwieńczenia poety, chociaż niezbędny wieniec lauru nie figurował. Ścisłej rzecz biorąc, może nietyłe szło o serdeczne uzczenie śpiewaka „Zamku Kaniowskiego“ i „Sobotki“, a mianowicie pierwszego utworu, jako najznamienitszego, który wyszedł z pod pióra jubilata, ile o zaaplikowanie do jego osoby rozmaitych poglądów polityczno-socyalnych, z jakimi mówcy popisywali się.

Nie wchodząc jednak w dalsze roztrząsanie tego festynu, sam fakt obchodu łączy się z wielkimi i świetnymi tradycjami starożytnéj Grecyi i Rzymu, kiedy to wieniec apollińskiego lauru wiencono skronie poetów. Wprawdzie o laurze nie było w tym przypadku mowy, zastąpiła go książka zbiorowa ofiarowana jubilatowi,—rózne przeto kawałki prozą i wierszem miały obowiązek oplatać się jak liście około skroni poety. I słusznie, laur bowiem od upadku pogaństwa stracił na swojej świętości, zostało się tylko symboliczne znaczenie zachowane w każdym języku; z upadkiem też Rzymu Cezarów ustał i zwyczaj wienczenia laurem zwycięzców i poetów, tém bardziej gdy tych ostatnich nie stało.

Niektórzy erudyci chcą znaleźć odnowienie tego zapomnianego zwyczaju w wieku dwunastym po Chrystusie, chociaż jeszcze wtedy starożytność klassyczna leżała jak za gęstą mgłą takich pojęć i uczuć, że te nie pozwalały zbliżyć się do niej, aby ją sobie przyswoić. Święty Bonawentura (w XIII wieku) opowiadając żywot Ś-gó Franciszka Serafickiego, podaje szczegół pozwalający się domyślać, że wienczenie poetów zaczęło być w używaniu; napomyka bowiem, jako założyciel zakonu Franciszkańskiego przyjął był do swego bractwa pewnego młodzieńca, który miał być uwieczony laurem przez cesarza Fryderyka i otrzymał tytuł „Króla pieśni.“ Ślad ten odnowionego zwyczaju wienczenia poetów schodzi się w sam raz z wchodzącami w używanie tytułami akademickimi, jak: Baccalaureus (bakalarz), Licentiatus i Doctor, które wyrngowały dawniejszego Mistrza (Magister). Piotr Lombard professor

uniwersytetu paryzkiego, używający tytułu Magister scien-
tiarum, pierwszy miał go zmienić na tytuł Doktora, a już
inni poszli za jego przykładem. Odtąd wieńczono głowy
doktorów laurem i nazywano ich Doctores laureati.

Poezya, odznaczająca się jeszcze nieśmiałością dźwię-
ki, nieposiadająca tych warunków, jakimi świetniała
w klasycznej starożytności, wzbudzała jednak taką cześć
dla siebie, że ją uczeni owego czasu uznali za umiejętność
i utworzyli dla niej czwarty fakultet, dając mu ostatnie
miejsce po teologii, medycynie i jurysprudencji. Odpowia-
dało to pojęciom wieku, który jeszcze nie miał wyobra-
żenia o ścisłości nauki i jedne mieszał z drugimi.

Zdawałoby się, że jeżeli czyje skronie godne były
poetycznego wieńca, to najgodniejszym był Homer śred-
nich wieków, śpiewak Bożkiej Komedyi. Jednakowoż za-
szczyt ten nie spotkał go za życia. Villani powiada, że go
„pochowano z wielką uroczystością w szacie poetycznej“
(fa sepelito a grande honore in habito di poeta). Jakiego
zaś rodzaju była ta szata? nie wiemy, jak nie wiemy rów-
nież czy poeci ubierali się inaczej od innych śmiertel-
nych? Pod tém wyrażeniem możnaby się domyślać lauro-
wych wieńców. Z tém wszystkiém, dopiero później kardynał
Bembo uczcił zwłoki największego z poetów nawożyt-
nego świata pomnikiem i sześciu lichemi wierszami:

„Dante! ten grób poziomy kryje twoje kości.

Za żywota świat wiedział o twojej wielkości;

Teraz pomnik z marmuru wznosi się nad tobą

I wieńczy czoło twoje promienną ozdobą:

Gdyż nawykły cześć Muzom składać bez ustanku

Bembo postawił pomnik tobie, Muz kochanku!

Mizerne wiersze, jak i ich autor, ale nad pomnikiem
widać wizerunek Danta, wykonany mistrzowskim złotem
Lombard'a, wizerunek uwieczony laurem, co jest tylko po-
śmiertną owacją, odpowiadającą wznowionemu zwyczajowi
koronowania poetów.

Dobrze mówi nasze gminne przysłowie: „Nie ródź się
pięknym, lecz szczęśliwym.“ Dante, który wycierał wscho-
dy tułactwa, nie doczekał się laurowej nagrody; za to
otrzymał ją szczęśliwszy, choć niezasłużony, bo dziś nikt

o niego nie pyta, niejaki Albertinus Mussatus pierwszy też począł nosić tytuł laureata. Przeżył on Danta o lat cztery; a miał tę główną zasługę, wówczas wysoko cenioną, że w jego utworach łacińskich znać było dążność do ożywienia tradycyji klasycznych. Odznaczywszy się we Florencyji w wielu usługach publicznych, wrócił do rodzinnéj Padwy, gdzie dla nauki swojej i czystości stylu podziwianego w łacińskich wierszach, tak wysoko urósł w opinii współziomków, że ksiązę Albert Saski, będący pod ten czas rektorem w Padwie, uczuł się w obowiązku uwieńczenia go poetyckim laurem. Z muzyką, z płonącemi pochodniami wysypał się rój studentów z gmachu akademii, i udał się do mieszkania poety, gdzie po stosownéj oracyi, wręczono mu potrójny wieniec laurowy. Czy jakie oprócz tego były festyny? nie doszło do naszej wiadomości; lecz zapewne ceremonia nie odbyła się na sucho. To jeszcze wiemy, że przy téj sposobności zmieniono jego rodowe miano Mussius na Musaptus (Muis Aptus), z czego potem zrobiło się Mussatus. Pomimo sławy laureata znany on jest tylko bibliografom, którzy wspominają jego dwie tragedye: Achilleis i Eccelinus, mające pewne zalety, jeżeli wierzyć można zdaniu bibliografów.

Daleko więcej podobieństwa do starożytnych igrzysk kapitoliińskich miały we Francyji południowéj tak zwane Jeux floraux. Siedmiu miłośników retoryki i poezyi, zawiązawszy się w taki niby komitet, z prezesem i sekretarzem, zaprosiło wszystkich trubadurów prowensalskich na pierwszy dzień maja r. 1324 do Tuluzy, aby się tam zgromadzili dla wygłaszania publicznie swoich utworów. Poemat uznany za najlepszy miał otrzymać nagrodę w kształcie złotego fiołka. Pomysł ten podobał się trubadurem i publiczności lubującej się w poezyi, i jedni, i druga z żywym udziałem przystąpili do tego pomysłu, który wnet się zorganizował w ciało akademickie. Później dodano jeszcze dwie nagrody, także z kwiatów. Kto zyskał pierwszą, otrzymywał tytuł Baccalaureus, komu zaś wszystkie trzy przyznano, stawał się doktorem poezyi (gace sciencia). We dwa wieki później znalazła się bogata dama Clemence Izaure,

która zapisała majątek swój miastu Tuluzie, aby z tego funduszu mogły się zakupować nagrody dla poetów.

Piękna to była zachęta dla autorów, bo ich spotykała nagroda, a co lepsza interes publiczności. Dwa te warunki powinny były wysoko podnieść literaturę prowensałską; tymczasem zamarła ona sama w sobie, i prawie nie się z niej nie wybiło na szerszą scenę świata. Charakter improwizatorsko-konwenyonalny był wadą organiczną, i rozwinąć się jęj nie pozwolił.

Wiek czternasty rozmiłowany w poezyi, składający hołdy poetom, wysilił się na akt uroczystego uwieńczenia Petrarki, i to na Kapitolu, w czém odnowił tradycję starożytnego Rzymu; lecz sztuka udała się tylko ten jeden raz, a świetny program koronacyi, choć się jeszcze powtarzał nigdy już nie miał tych warunków sceneryi.

Obrząd ten nie odbył się bez zabiegów i przygotowań ze strony śpiewaka Laury. Przebywając on w uroczej Wokluzie, sławnej swemi kaskadami, a jeszcze sławniejszej pobytom poety i jego romansem z panią tajemnych myśli, powziął pomysł napisania łacińskiej epopei na wzór Wirgiliusza, któraby opiewała czyny i charakter Scypiona Afrykańskiego. Mając od dzieciństwa wielką cześć dla tego bohatera, chciał w nim wystawić potęgę i chwałę starłej Romy, co w obecnych czasach zawiechrzeń i upadku wiecznego grodu, miało mieć pewną doniosłość polityczną, a oraz posłużyć mu za stopnie do pewnych ambitnych, od dawna żywionych celów. Ukończywszy kilka pierwszych ksiąg, kazał porobić wiele kopij i rozesłał je do swoich wpływowych przyjaciół, którzy zaraz dzieło to okrzyknęli za ósmy cud świata, a poetę jako najgodniejszego czi całej Italii. O to właśnie najwięcej szło Petrarce: tryumfować na Kapitolu i uwieńczyć się laurem. Rzecz ta jednak nie dała się zrobić bez stosownych do tego kroków; trzeba było poruszyć jakąś wielką powagę, aby ta wzięła go pod swoje skrzydła. Ze wszystkich monarchów wówczas panujących, Robert król neapolitański miał sławę miłośnika nauk i sztuk pięknych. Bądź co bądź wypadło zjednać sobie jego protekcję. Petrarka

obrzucił go zaraz siłkami swojej pięknej prozy i poezji; sadził się na elegancyę stylu, na wonny dym kadzideł, słowem poruszył swój parnas włoski, łaciński i prowensalski, aby zjednać sobie możnego i uczonego protektora. Żeby na pewno dopiąć celu swych marzeń, wyprawił jeszcze jednego ze swoich przyjaciół do Neapolu, który miał polecenie rozniecić w umyśle starego króla zapał i podziw dla poety. Pośrednik wywiązał się z zadania jak najpomyślniej; król Robert zawiązał literackie stosunki z Petrarką i zaczął zasięgać jego rady w niektórych naukowych kwestiach.

Ów pośrednik otrzymał wtedy list od Petrarki, wypowiadający bez ogródki, że chce być laureatem, ale pod warunkiem, że laur otrzyma z rąk króla Roberta. Król usłyszawszy o tém życzeniu poety, czuł się bardzo ujętym, że z jego rąk pragnął otrzymać tę nagrodę, i zaraz dołożył wszelkich starań u Senatu Rzymskiego, a poparty wpływem sprzyjających Petrarce Colonnów, wyjednał dla niego obietnicę obrzędu koronacyjnego. Przeszkody zostały usunięte i Petrarka dostał pismo od Senatu Rzymskiego, zapraszające go w najpochlebniejszych wyrazach, aby przybył do Rzymu po odebranie laurowego wieńca. Zaraz też puszcza się prosto do Neapolu, gdzie król Robert nie może się dość nacieszyć znakomitym gościem. Petrarka chwali królewskie wiersze, król nawzajem rozplywa się nad ustępami „Afryki,” bo taki tytuł ma epeja opiewająca Scypiona. Lecz nie na tém koniec; trzeba było odbyć jeszcze jedną przygotowawczą próbę. Petrarka miał stanąć do egzaminu. Przez całe trzy dni, w obec dworu i licznego zastępu uczonych, biegłych w dyalektyce i w subtelnościach scholastyki, kandydat do laurowego wieńca odpowiada na zadawane pytania, uciera się na słowa, argumentuje i demonstrowuje, w końcu wychodzi zwycięzcą z tego turnieju, a zgromadzona rzesza uczonych ogłasza go godnym kapitoliińskiego wieńca.

Niczego goręcej nie pragnął król Robert, niż żeby poeta z rąk jego ten zaszczyt otrzymał; ale program był już ułożony, i na Kapitolu miała odbyć się ceremonia, zaniedbana od lat tysiąca. Król jednak nierad był puścić

poety bez upominku; zdjął więc z siebie płaszcz purpurowy i zarzucając mu go na ramiona, prosił, żeby tę ozdobę zachował przy koronacji. Niedosć na tém: wręczył mu jeszcze dyplom, mianujący go duchownym radcą, domownikiem i gościem, „presbyterum et familiarem suum domesticum, ac de suo hospitio.“

Na rok przyszyły, w dniu wielkanocnym 8 kwietnia 1341 r. odkryła się ceremonia koronacyjna. Petrarke prowadzono na Kapitol. Ośmnastu młodzieży szlacheckiej, odzianych w purpurę, otwierało orszak, śpiewając hymn na cześć tryumfatora; szlachta, senat, mieszczaństwo i tłumy ludu przybyłe z odległych okolic, brały udział w tym uroczystym obrzędzie. Senator Orso Aguillara niósł wieniec na głowie; za nim postępował Petrarca w purpurowym płaszczu królewskim. Wśród nieustannych okrzyków: „Niech żyje Petrarca! niech żyje senat! niech żyje lud rzymski!“—orszak wstępował na wschody Kapitolu... Poeta ukląkł, a senator przy odgłosie trąb i kotłów włożył mu wieniec na skronie, mówiąc: „Oto nagroda talentu!“ Petrarca korzystając z chwili uciszenia się, wydeklamował sonet na cześć starożytnych Rzymian. Tu znowu zagrzmiął okrzyk: „Niech żyje poeta!“ Po skończonej ceremonii, wręczono mu patent na obywatela Rzymu; poczem orszak udał się do Watykanu, gdzie laureat składał dzięki u stopni ołtarza za tryumf tego dnia, i w pobożnej pokorze złożył otrzymany wieniec. Na zakończenie kardynał Colonna wyprawił wspaniałą ucztę, w której udział wzięli ci wszyscy, co należeli do uroczystego obrzędu.

Laur kapitoliniński na skroni poety unieśmiertelnił jego imię w całym świecie, a we Włoszech zrobił go tak popularnym, że do dziś opinia stawia go po nad Dantego, Aryosta, nawet Tassa, chociaż ci górują nad nim i charakterem, i geniuszem poetyckim. Niektórzy biografowie utrzymują, że nietyłe dla dogodzenia swęj ambicyi starał się o ten zaszczyt, ile żeby pod opieką uświęconego lauru zasłonić się od prześladowań duchowieństwa, które w każdym głośniejszym poecie wietrzyło czarnoksiężnika, w czém szło ręką w rękę z przesadami gminu.

Podobne atoli przypuszczenie należy odnieść do przesądów filozoficznego wieku, który wydając walkę kościołowi, kładł na jego karb takie grzechy, jakich on nie popełniał, bo przecież pod jego skrzydłami rozwinęła się najwspanialsza poezya, a zresztą i sam Petrarka znany i ceniiony na dworze papieżkim w Awinionie, zaprzyjaźniony z kardynałami, sam na pół duchowny, nigdzie nie skarży się w swoich poufnych listach, aby kiedykolwiek miał być prześladowany za sztukę czarnoksiężką. Trafniej ocenia zabiegi poety o ów kapitoliński wieniec najświeższy biograf jego p. Blaze do Bury, gdy utrzymuje, że o ten zaszczyt dla tego się dobijał, aby mógł stanąć przed ukochaną Laurą i złożyć u jej nóg tryumfalny wieniec, jak rycerz zdobytą na niewiernych chorągiew. Bohater pióra spodziewał się zmiękczyć to serce, które tyle lat opierało się pieszczonym dźwiękom sonetów, a teraz już uleść musi przed wielkością i sławą kochanka, o którego przyjaźń dobijają się królowie. Powiadają, że tryumf jego był zupełny: mistyczna, idealna Laura stała się zwykłą córką Ewy. Nie przeszkodziło to jednak, że w późniejszych latach, kiedy serce ochłodziło, a wionęły złudzenia, poeta płakał nad błędami przeszłości, i pisał: „Laur ten nie zrobił mię ani mędrszym, ani wymowniejszym. Owszem na to posłużył, aby zawiść wybuchła przeciw mnie z całą zajadłością, pozbawiając spokoju, którego nad wszystko pragnąłem.”

Podają niektórzy, że i Boccacio, dzielny pracownik na niwie odrodzenia klasycznej literatury we Włoszech, miał także być wieńczony laurem; atoli nagrobek, który sam sobie napisał, nie mówi nic o tém. Dante najwięcej zasługujący na tę odznakę, nie miał jój; przypisać to można politycznym burzom, które zawiechrzały miasta Italii, a poetą jak suchym listkiem miotały z kąta w kąt, a najpewniej charakterowi jego zamkniętemu w sobie i znającemu swą wartość, tak, że nie mógł robić jakichś zabiegów o tytuł laureata. Zdanie całego świata uwieńczyło go w duchu, a taki laur nigdy nie więdnie.

Jeżeli współczesność nie umiała uczyć ani Dantego, ani Boccacia, to znowu z lichwą wyplaciła się niejakiemu Philolph'owi, chociaż ten nie świetniał ani talentem, ani nauką.

Gwiazda tego do szczętu zapomnianego wierszopisa zesłała na dworze króla Alfonsa Neapolitańskiego, który jak widać chciał wstąpić w ślady swego poprzednika króla Roberta, i za jakiś wiersz satyryczny, napisany do okoliczności przez swego Philolph'a, nie tylko włożył mu wieniec laurowy, lecz jeszcze pasował rycerzem. Odnaczenie to popechnęło biedaka na drogę dziecięcej próżności; odtąd wierszy nie pisał, ale bawił się w rycerza, trzymając wiele koni i giermków, co go przypawiło o taką nędzę, że kiedy umarł, nie było za co go pochować.

Inny bardzo mierny poeta Puthius Faustus Anderlini postanowił próbować szczęścia ze swoją muzą na dworze francuzkim. Jakoż udał się na dwór Karola VIII, gdzie znalazł dobre przyjęcie, i tak się podobał, że go zrobiono professorem paryzkiego uniwersytetu. Następca Karola, Ludwik XII, okazywał mu jeszcze więcej względów, bo nie tylko mianował go nadwornym poetą, ale i laurem uwieńczył. Całą jego zasługą było to, że się pięknie wyrażał i pisał czystą łaciną. Vossius nazywa go powodzią słów bez kropli myśli.

Możnaby znaleźć jeszcze więcej podobnie uczczonych, choć niezasłużonych, co przypisać należy panującej modzie wieńczenia głów poetycznych. Z odradzającym się klasyccyzmem ożywiały się zatarte tradycje starożytnego Rzymu, dla tego też zaszczyt ten spotykał najwięcej piszących po łacinie; ci, co pisali językiem włoskim, który nazywał się „idyomatem gminnym,” mniej mieli widoków; laur kapitoliański nie dla nich kwitnął.

Czarodziejski geniusz Aryosta przesunął się bez publicznej nagrody. Kiedy monumenta z szumnemi napisami wznosiły się nad zwłokami łacińskich wierszopisów (o poezji nie ma tu mowy), to śpiewak Orlanda poprzestał na skromnym kamieniu i na skromniejszym epitafie, który sam sobie napisał: „Tu Aryost leży.” Wprawdzie niektórzy późniejsi krytycy chcieli wyższość nad Aryostem przyznać Tassowi, powiadając, że „Orland szalony znalazł swój grób w Jerozolimie wyzwolonej!” Zestawienie to tak jest nietrafne, jak gdyby kto chciał porównywać Eneidę z Don-Quixotem, albo fantazje Callot'a z obrazami Correggia. Dość na tém, że owa wykwiłtna i artystyczna Italia zapomniała uczcić publicznie

jednego z najoryginalniejszych swoich geniuszów poetycznych, kiedy obok tego na pół dzika banda rabusiów umiała ocenić dzieło poëty i lepiej je ucześć niż pyszni Mecenasi, protektorowie literatury i sztuk pięknych. Gdy bowiem Aryosto wysłany był z ramienia księcia Alfonsa Ferrarskiego na gubernatora do dzikiej i górzystej prowincyi Garfagnany, aby tam uśmierzył wybuchły rozruch, zdarzyło się, że w drodze popadł był w ręce bandy rabusiów; z tych jeden poznał go i ogłosił towarzyszom, że to jest śpiewak Orlanda Szalonego, a ci na to odkrycie, rzucili się do nóg poëty, oddali mu zrabowane rzeczy i odprowadzili na miejsce przeznaczenia. Na pożegnanie powiedzieli mu: „Zaprzysięgliśmy zgładzić gubernatora, ale poëta go obronił.“

Aryosto nie otrzymał zasłużonego wieńca, chociaż wziął go przed nim niejaki Combiatore, z tego względu zasługujący na uwagę, że był pierwszym, który został uwieńczony za poezye w języku włoskim; dotąd bowiem, jak widzieliśmy, dochodzili tego zaszczytu poeci piszący po łacinie. Wprawdzie Jocher natrąca, że Karol V zamierzał uwieńczyć Aryosta, ale u współczesnych pisarzów nigdzie nie ma na to dowodu, a Tirabuschi w wyborniej historyi literatury włoskiej wątpliwym robi ten szczegół, zwłaszcza że Paweł Jovius nie byłby go pokrył milezieniem.

Współczesny pisarz Gyraldus gorzko się skarży, że tak piękny zwyczaj koronowania poetów traci na swojej wartości przez nieszczęśliwe zastosowanie laurowej nagrody do głów niegodnych. Napisał nawet w tym sensie epigram, który tu przytaczam:

Kiedy u starożytnych kwitnął wiek uczony,
Nader rzadkim był ptakiem człek laurem wieńczony;
Za to dziś, gdy wiek ciemny nieuków nam płodzi,
Gdzie się tkniesz, masz poëtę, który w laurze chodzi.
Niedziw, że mamy tylu wieńczonych, bo dawniej
Nie króle laur dawali, lecz sędzie wytrawni.

Skarga Gyraldusa jest jakby echem podobnych narzekau rzymskiego poëty „Satiriconu,” niepewnie oznaczonego imieniem Petroniusza, który przed tysiącem lat tak samo narzekał:

Jestem poeta, mniemam, z nienajgorszych rzędu,
Jeśli zawierzym wieńcom, co z wyższego względu
Nawet półgłówek stroją...

Najlepsza instytucya, jeżeli z niej duch uleci, grzeszyć zaczyna nadużyciem, a nadużycie przybiera charakter parodi. W tym samym Rzymie, gdzie się odbyło uwieńczenie Petrarcki z taką okazałością, z takim poważnym przejęciem się uroczystością tego aktu, w tym samym Rzymie, i to za pontyfikatu Leona X, wielkiego sztuk i literatury opiekuna, odbyło się komieczne uwieńczenie lichego wierszoklety, coś w rodzaju naszego Jaksy Marcinkowskiego, którym był Camillo Guerno, mający sławę improwizatora. Przybył on do Rzymu z dwudziestu tysiącami gotowych wierszy, z których się składała jego epepeja. W jednej ręce z ogromnym manuskrytem, w drugiej z lutnią, zaprezentował się gronu ludzi uczonych, światowych i dowiepnych, których tylu liczył Rzym ówczesny. Zmierzone go od stop do głowy, wysłuchano szumnęj perory, w której sławił swój improwizatorski talent i wyliczał ile tysięcy wierszy już spłodził z taką łatwością, że go nie nie kosztowały, zaraz poznano się na nim, a udając zdziwionych i przejętych nadzwyczajnością geniuszu, podbijali mu bębenka, ciesząc się w duchu, że mają go brać na fundusz. Udając tedy najpoważniejsze twarze, ułożyli się o dzień i miejsce, gdzie ma być odczytana owa sążnista epepeja. Stawił się poetyczny atleta na wyznaczony termin; odczytał jedną pieśń, chciał czytać dalej, ale go uproszono, żeby się nie męczył, a właściwie, żeby nie męczył słuchaczów, którym się oczy kleiły, choć usta otwierały się do śmiechu. Huezne brawo rozlegające się po sali, zaspokoilo miłość własną czytającego. Z kolei przyszło do improwizacyi, a że duch poetyczny najlepiej obudza się przy winie, więc zgromadzenie posadziwszy na pierwszym honorowym miejscu improwizatora, zasiadło do uczty. Guerno tego zajadał, a pił jeszcze lepiej. Zadawano mu różne temata, na które odpowiadał wierszami pobrzakując na lutni. W końcu, gdy już wszyscy mieli dość tej krotochwili, okrzyknięto go archipoetą, i przy odgłosie hueznej muzyki uwieńczono wieńcem,

uwitym z liści winnych, kapuścianych i laurowych. Wierszokleta rozplakał się z radości, a sumitując się, że jest niegodzien tak wielkiego zaszczytu, dodawał w pokorze: „Jezelim na ten wieniec zarobił, winieniem to cudownej łatwości, bo któż, przyznajcie sami, poszczyci się większą liczbą wierszy? który poeta ze starożytnych i nowożytnych przewyższył mię w płodności?...”

Przypomina to Jakś Marcinkowskiego, który podobnież bił w to, że więcej daleko napisał niż Kajetan Koźmian i Franciszek Morawski.

Jak tylko autor szuka chluby z ilości, nie z jakości, karyera jego skończona; prawdziwa twórczość ma swoje granice, które przekraczając pełni się rzemiosło.

Koronacya ta, a rzeczywiście parodya koronacyi, odbyła się za świetnego pontyfikatu Leona X, którego imię wystarcza na oznaczenie epoki obfitującej w największych mistrzów sztuki.

Rzeźba, malarstwo, architektura zabrały dla siebie wszystkie entuzjazmy, poezya została na drugim planie, widzieliśmy nawet jak ją wzięto na fundusz, koronując lichego wierszokletę. Była też to jedyna koronacya za tego papieża, jaka odbyła się w Rzymie, chociaż nie brak było poetów godniejszych laurowej gałązki niż tylu innych, których to szczęście spotkało. Dość wymienić takiego Vide, Castigliona, Flaminia, Sannazara, Fracastora, bogatych w piękności nieprzemijające z latami.

Lecz mniejsza o laurowe wieńce; gorsza i smutniejsza rzecz, że taki śpiewak Jerozolimy Wyzwoloniej, wśród tych przepychów sztuki i zbytku książęcych dworów, musiał wyciągać rękę po jałmużnę dziesięciu skudów. Jakże w jego życiu przysięgało się wszystko, aby ten płomienny geniusz, jakim go Bóg obdarzył, przygasić i stłumić! Umysł delikatny i bystry, serce silnie czujące, duch orli, szerokiemi skrzydłami fantazyi bujający po niebie, wszystkie te dary, tak rzadko skupiające się w jednym człowieku, zasiały tylko kolcami cierpień drogę jego żywota... Kiedy już nie było nadziei zatrzymać go dłużej na świecie, wtenczas dopiero świat się domyślił, że wypadaloby uczcić taką znakomitość. Tasso, prawie już gasnący i znękany życiem,

otrzymał uroczyste zaprosiny do Rzymu, gdzie miano go wieńczyć na Kapitolu. Tasso ożywił się na chwilę tym powiewem sławy i pośpieszył... Cały Rzym wyległ na ulice i place, i w tryumfie prowadził poetę przed Ojca Św. Klemensa VIII, który go ślicznemi słowy powitał: „Tasso! ten laur, który cię ma uwieńczyć, więcej zaszczytu weźmie od ciebie, niż innym go daje.” Wszystkie już porobiono przygotowania do téj wspaniałej uroczystości, mającej się najajutrz odprawić, kiedy w wigilię 25 kwietnia 1595 r., poeta Bogu ducha oddał. Tryumfalny wieniec złożono na grobie poety, któremu nieraz brakło świecy, aby mógł przy niej pisać. Jest jeden jego sonet napisany do kotki, którą zaprasza do swego okna, aby mu w nocy świeciła oczyma.

Na kilka lat przed tą smutną koronacją Tassa, odbyła się inna w Wenecyi, a jak niektórzy chcą w Rzymie (o czém wątpię), mająca dla nas osobliwy interes, bo zaszczyt ten spłynął na skronie naszego rodaka Stanisława Niegoszewskiego, szlachcica z pod Krakowa. Był to jakiś fenomenalny młodzieniec. W ośmnastym roku kończy nauki w akademii krakowskiej, jedzie do Wenecyi, poznaje się z uczonym i sławnym wydawcą klasyków Pawłem Aldem Manucci'm, a ośmielony jego pochwałami i zachętą ogłasza publicznie, jako będzie rozprawiał w przedmiotach ze wszystkich umiejętności i ex abrupto odpowiadał na każde pytanie bądź wierszem, bądź prozą. Ciekawy jest ten afisz, na którym są wyliczone materye mające dostarczyć tematów do jego rozpraw. I tak: 1) z teologii dogmatycznej i scholastycznej, 2) z filozofii Arystotelesa naturalnej, moralnej i bozkiej, 3) z matematyki,—nakoniec ze wszystkich nauk wyzwolonych. Na miejsce tych dysput, a raczej dyssertacyj, obrał kościół Ś-go Jana i Pawła, w dzień święta Naj. Panny Gromnicznej, po południu r. 1584. Nie sądzmy jednak, ażeby ten publiczny popis ograniczył się na jedném popołudniu, trwał on bowiem przez ciąg dwóch tygodni, co pozwala domyślać się, że rozprawy musiały bardzo zajmować, jeżeli słuchacze nie znudzili się, a improwizator do końca był niewyczerpany. Stenografów wtenczas nie znano; co za szkoda, że ten turniej uczony nie zostawił po sobie śladu! Ani potop słów, choćby ujętych

w harmonijne i efektowne okresy, ani szumnie brzmiące sentencye wybrane z klasyków, ani erudycya przycho-
dząca w pomoc czy gdzie potrzeba lub niepotrzeba, słowem, żaden z tych środków oratorskiej i improwizator-
skiej swady nie byłby w stanie utrzymać umysłów w za-
jęciu, i to przez dwa długie tygodnie, choćby słuchająca
publiczność składała się z samych pedantów. To prawda,
że wiek szesnasty obfitował w nich; ale i tacy musieliby
nareszcie kapitulować, gdyby im przyszło przez dwa tygo-
dnie żywić się tą sieczką. Pokazuje się z tego, że nasz
krakowski szlachcic był łepak nielada, kiedy zaimponował
Wenecyanom i całemu uczoneму światu, bo w swoim cza-
sie tak o nim wszędzie mówiono, jak dziś o jakiejś sławnej
primadonnie. Rzeczpospolita S-go Marka zrobiła go za
przyjemność, jaką jęj sprawił, szlachcicem weneckim, i wpi-
sała w złotą księgę swoich patrycyuszów.

Po tym publicznym egzaminie, przypominającym egza-
min, jaki niegdyś składał Petrarka przed królem Rober-
tem w Neapolu, miało nastąpić uwieńczenie laurem — za-
chodzi tylko pytanie: czy ten akt odbył się w Rzymie, czy
w Wenecyi?

W ogóle wiele podań o tym naszym improwizatorze
nosi cechę więcej legendową niż ścisłą. Byłoby to nader
zajmujące studyum, gdyby kto zadał sobie pracę i dotarł
do jego pism tak drukowanych jak rękopiśmiennych, i dob-
rze je przewertowawszy, dał nam jasne wyobrażenie tak
o zasobach jego wiedzy, jak o rodzaju talentu. Książki Nie-
goszewskiego liczące się do największych rzadkości, znane
są tylko z tytułów, czyli z okładek; bibliografowie nie
mają zwyczaju zapuszczać się do środka: nic też nie wiemy
o ich wartości wewnętrznej, ani co mamy sądzić o ich
autorze. Byłże to rzeczywisty geniusz, umysł ogarniający
szeroki świat myśli i umiejący patrzeć z innego a własnego
punktu? czy też jeden z tych akrobatów słowa, wyprawia-
jących kozielki na oklepanych frazesach, nieprzynoszących
nic więcej z sobą krom szalonej pamięci i śmiałości nie-
cofającej się przed niczem? Taką rolę szarlatana nie przy-
puszczam żeby Niegoszewski mógł być odgrywać śród lu-
dzi uczonych, tém więcej gdy miał zażyłość z takim wy-

trawnym znawcą literatury klasycznej jak Aldus Manucci, który wydając Cycerona, jemu jedną księgę dedykował. Wszystkie te niepewności i domysły mogłoby rozproszyć ścisłe studyum nad dziełami Niegoszewskiego. Młodzian ten, napelniający odgłosem swego imienia świat uczony w Europie choćby tylko na krótką chwilę, wart przecież, abyśmy go bliżej poznali, zwłaszcza że teraz są na porządku dziennym podobne monografie, poświęcone częstokroć indywidualom, których bliższe poznanie nie przedstawia żadnego interesu, a zawsze wymaga mozolnych poszukiwań i wysiłków straconej erudycji.

Jeden z najważniejszych liryków swojego czasu, któremu pozostał ten przywilej, że po dwustu kilkudziesięciu latach nazwisko jego często bywa powtarzane, a poezye czytane i studyowane nietylko między rodakami jego, lecz i u obcych narodów, Maciej Kaz. Sarbiewski, czł. Tow. Jez., miał, podobnie jak Tasso, z rąk papieża Urbana VIII otrzymać wieniec laurowy. Papież ten bowiem nietylko sam próbował sił swoich w poezji łacińskiej, i to nieraz bardzo szczęśliwie, lecz również nie szczędził wspaniałej zachęty poetom. Pod jego pontyfikatem ożywił się duch poetyczny we Włoszech. Biografowie Sarbiewskiego nie powiadają jednak, w jaki sposób odbyła się ta ceremonia; w jednym z nich znajdujemy następująca wzmiankę: „Gdy Sarbiewski przed swoim odjazdem do Polski przyszedł pożegnać Ojca Ś-go, otrzymał od niego złoty numizmat wielkiej wartości, i ten mu był przez samego papieża zawieszony na szyi.” Z tego jednak nie daje się wyprowadzić uroczyste uwieńczenie laurowym wieńcem; lubo znowu z drugiej strony w lirykach poety znajdujemy dwa wiersze, powiedziane z właściwą temu kapłanowi skromnością, które zdają się potwierdzać podanie, że laur ozdobił skronie pieśniarza:

Na Watykanie w laurowej koronie

Zawieszam ciebie, dźwięczny mój bardonie.

W jednym słowniku dającym biografję Sarbiewskiego, znalazłem ten szczegół, jakoby generał zakonu „uniesiony zazdrością“ z powodu tych tryumfów poety, chciał go wyprowadzić na missyę do Chin. Przypisać tę surowość zazdrości jest to nie znać natury tej instytucyi zakonnej, której za-

daniem czuwać, żeby jój członkowie nie przywiązywali się zbyt do żadnej marności tego świata, ani przez ludzkie pochwały wzbijali się w pychę. Żądanie pokory i posłuszeństwa od podwładnych nie wynika z „zazdrości“, lecz jest warunkiem karności duchownej.

W dopełnieniu tego przeglądu laureatów poetycznych, nie mogę pominąć cesarza Maksymiliana I, który w początkach XVI wieku chciał także w Niemczech zaprowadzić zwyczaj wieńczenia poetów, ale jakoś to się nie udało: laurów nie brakło, ale poetów wartych tego zaszczytu nie było.

Nie od rzeczy tu będzie przytoczyć jeden fakt wieńczenia poety, jaki się odbył w Polsce za czasów Zygmunta Augusta.

„Przywাকronił się tu był do Polski niejaki Jakób Heraklides Bazylikus Despot,“—jak pisze Bielski w Obr. kor. pols.—awanturnik, który potrafił otumanić cesarza Karola V-go, że ten potwierdził jego tytuł księcia panującego na wyspie Samos, a przytém nadał mu prawo mianowania szlachty i wieńczenia poetów i uczonych.

Owoż ten Heraklides Bazylikus mający wstęp do dworu króla i zażyłość z pierwszymi dygnitarzami korony, upatrzył sobie ukształconego młodzieńca Cypryana z Sieradza, pochodzenia miejskiego, i nietylko zrobił go szlachcicem, lecz jeszcze uwieńczył wieńcem laurowym; tym laureatem był znany w literaturze naszój z pism swoich i pięknego języka Cypryan Bazylik. Ceremonia uwieńczenia miała się odprawić w obozie wojska polskiego wysłanego na zajęcie krajów po Kawalerach Mieczowych, których mistrz Wilhelm Fürstenberg stawał się lennikiem korony polskiej. Szczegółów tój ceremonii nie mamy; jest tylko w Metrykach koronnych przywilój Zygm. Augusta potwierdzający szlachectwo nadane Cypryanowi z Sieradza.

W Anglii tak statecznie konserwującej swoje tradycje narodowe, do dziś dnia istnieje urząd poety-laureata, tę mający dogodność, że do laurowego symbolu przyłączona jest roczna płaca stu dwudziestu kilku funtów sterlingów, z małym obowiązkiem napisania co rok dwóch ód à propos

Nowego Roku i urodzin panującego. Zwyczaj ten przeszedł tu w stałą instytucję dającą tytuł i dochód.

W bieżącym wieku najglówniejsza uroczystość wyprawiona na cześć poezyi, odbyła się w Wejmarze w r. 1825 d. 7 listopada.

Tryumfotorem dnia tego był Goethe, poeta i minister.

O samym świcie, zaledwo poeta obudził się ze snu, doleciały go dźwięki muzyki wokalnój: był to śpiew poranny, wykonany przez osoby zebrane pod jego oknami w ogrodzie. Drugą niespodzianką był szereg wspaniałych upominków ustawionych w jego sypialni. O wpół do 8-mej wszystkie powozy miejskie były w ruchu: znakomitości dworskie i obywatelskie pędziły niemi do mieszkania poety. Orkiestra i czternaście dam, jego najbliższych przyjaciółek, zebrało się w bawialnym pokoju dla odśpiewania ody porannój, napisanej przez profesora Riemer'a, a ułożonój pod muzykę przez Eberwein'a. O godzinie dziewiętej, kiedy Goethe'go wyprowadził z gabinetu syn i jeden z przyjaciół, tłum w pokojach był tak wielki, że solenizant musiał wchodzić bocznemi drzwiami. Zaledwo się niemiecki Jowisz ukazał, zabrzmiała muzyka. Nimfy Ilmu oddały dobrydzień poecie i poczęły śpiewać nieśmiertelną jego sławę, a on rozrzewniony dziękował, ściskając za ręce. Baron Fritsch wystąpił i złożył mu własnoręczne pismo książęce i medal złoty wybity w Berlinie, na którym z jednéj stronie był wizerunek księcia i księżny, z drugiejj uwieczona laurem głowa poety, na otoku zaś wyryte imiona Karola Augusta i Ludwiki.

Z kolei nadeszły deputacye z miast wielko-książęcych: z Jeny, Wejmaru, Eisenachu i od łoży massońskiéj. Studenci z Jeny winszowali mu przez dwóch delegatów.

Po dziesiątej, w. księżtwo wejmarscy osobiście przybyli powinszować solenizantowi i pozostali z nim sam na sam przez godzinę; pocém przybył następea tronu z żoną i księżniczkami, ministrowie stanu, prezesi trybunałów, osoby należące do dworu, oraz najznakomitsze paucie wejmarskie, a między temi córki Wieland'a i Herder'a. Wszystko to zebrało się w górnych pokojach, zkąd szli parami do

wielkiej sali, gdzie był umieszczony posąg w. księcia i popiersie Goethe'go dłóta Rauch'a; obok leżał wieniec laurowy. Jak tylko ten orszak znalazł się na środku sali, zabrzmiała orkiestra.

O drugiej godzinie obiad na dwieście osób w sali ratuszowej. Wieczorem w teatrze grano „Ifigenię;” pod koniec 3-go aktu Goethe oddalił się do domu z porady lekarza. Tu oczekiwała go serenada. Hummel z wielkim smakiem i uczuciem połączył był marsz z Tytusa z uwerturą Glück'a do „Ifigenii” i mistrzowskie adagio własnego układu.

Dom na Trauenplanie, gdzie rezydował Goethe, wszystek był illuminowany. Salony napełniało liczne towarzystwo. Goethe godzinę zabawił z gośćmi, potem ośmdziesięcioletni starzec udał się na spoczynek. Dzień ten obchodzono w Lipsku i we Frankfurcie.

Obchód ten jednak miał charakter więcej towarzysko-salonowy, nie zaś publiczny.

Koronacya Petrarki na Kapitolu pozostanie podobno jedyną w swoim rodzaju uroczystością obchodzoną na wielką skalę.

Jeżeli inne koronacye, jak widzieliśmy, nie miały już tego uroczystego znaczenia co ta pierwsza, to cóż dopiero powiedzieć o koronacyach pośmiertnych, jak owa dokonana na cieniach Mickiewicza przez syndyka rzymskiego na Kapitolu? Nieżyjący poeta zapewne musiał drgnąć w swojej trumnie na bluźnierstwa, z których wito mu niby wieniec laurowy.

IV.

KSIĘŻYC

W ARCHEOLOGII, POEZYI, SZTUCE.

Jest to powszechne mniemanie—nie powiem bezzasadne — że pasterze chaldejscy pierwsi poznali obroty gwiazd, zmiany księżyca, bieg słońca, i w skutek swych obserwacyj dali początek nauce astronomii, która już u Egipcyan miała tak postąpić, że piramida Cheopsa zbudowana była w celu robienia obserwacyj astronomicznych, jak niektórzy dziś utrzymują. Żyjąc z naturą, przepędzając noce pod namiotem błękitu, utkanego gwiazdami, łatwo mogli się oni spoufalić z tajemnicami ciał niebieskich, a nadewszystko z księżycem, tym kapryśnym towarzyszem ziemi, który w różnych postaciach przechadzając się po sklepieniu i sprowadzając zadziwiające zmiany w powietrzu, musiał tém samém najwięcej zaostrzyć ciekawość chaldejskich pasterzy, co nie przeszkadzało temu tajemniczemu satellicie wiedzieć o tysiącznych rzeczach, o jakich prostemu pastuchowi ani się śniło. Samotny, tajemniczy, zamyślony, odbywając odwieczną pielgrzymkę po niebie i przypatrując się temu, co się dzieje na naszym padole, miał księżyc sposobność lepiej poznać życie ziemskie, niż ci pasterze poznali co na księżycu się dzieje. Zapewne też nietajne mu były nasze cierpienia, nasze narzekania i smutki, widział, co śmierć wyrabia z człowiekiem, jak przerażającą bladością twarz jego powlóczy, i jak go wypędza z ziemi, daleko od tych, których kocha.

Niedarmo księżyc, ciągle patrząc na ziemię i okrążając ją, nabrał melancholicznego wyrazu. Jest to rzeczywiście typ skończonego melancholika: cichy, samotny, tajemniczy, bladą ten pielgrzym widocznie cierpi nad nami, ale tego nie pokazuje po sobie; promienie jego zawsze zimne, a żadne z ciał niebieskich nie jest tak pogodne i czyste jak on.

Najbliższy ten sąsiad ziemi, który zna wszystkie jej tajemnice, który, choć wszystkie światła pogasną, on „jeden wartość trzyma,” jakby chciał podsłuchiwać, co się nam przez sen marzy,—obudził wzajemną ciekawość w człowieku, który chcąc się z nim bliżej poznać, a już nie ufając własnym oczom, uzbroił je teleskopem, a ciągle doskonając to narzędzie, dobrał się nareszcie do księżycowych tajemnic.

Wiadomo, że sławny astronom Galileusz obserwował księżyc przez szkła teleskopu, i odkrycia, jakie na nim porobił, takie miały zrobić w swoim czasie wrażenie, jak odkrycie Ameryki, a może nawet i większe, bo kiedy w nowym świecie dotykano się rzeczywistości, tedy na księżycu, który zawsze trzymał się w przyzwoitej odległości sześćdziesięciu tysięcy mil, bez stacyj pocztowych, można było swobodnie puścić cugle fantazyi. Zaczęto też zaraz pisać podróże na księżyc, bardzo filozoficzne, pełne romansowych awantur, które jednak nie odebrały chleba dzisiejszemu panu Verne'owi, umięjącemu z zadziwiającą zręcznością korzystać ze wszystkich zdobyczy naukowych, aby je na romans niepodobny do prawdy przerobić.

Zdaje się jednak, że melancholiczny księżyc nietylko nie nie zyskał, ale podobno wiele stracił na bliższym poznaniu, w czem tylko podzielił los wielu popularnych wielkości, chodzących w wieńcu z promieni, które jak liść jesienny osypują się, gdy poznasz je bliżej.

To pewna, że pod szkłem teleskopu owa „pyzata twarz” zaczęła się zmieniać w szczegóły niemające nic wspólnego z rysami twarzy. Jakoż dojrzano na nim części jasne i ciemne; jasnymi miały być góry, ciemnymi doliny. Zrobiono nawet kartę selenograficzną, i ponadawano nazwiska górom, robiąc ich właścicielami różnych astronomów i uczo-

nych, którzy, nie mając własnej jednej piędzi na ziemi, zostali panami szerokich krain na księżycu. Tylko jednym poetom podobno nie się nie dostało; niepowinni się jednak żalić na tę ciągłą niesprawiedliwość losu, albowiem na księżycowym świecie ma panować wieczna nieruchomość, zupełny brak życia. Nigdy tam nie powiewa zefirek, żaden listek się nie ruszy; strumyki nie szemrzą, ani błyszczą jeziora; na całym księżycu nie znajdzie się i kropli wody. Co było wilgoci, wszystko wyparowało. Księżyc nie ma atmosfery. Ale już mniejsza o to; co gorsza, księżyc jest bez nieba. Czarna tam bezdena przepaść zamiast lazurowego sklepienia. W górze ciemność, na dole milezenie śmierci, a te szczyty poszarpane gór, to mają być kratery wypalonych wulkanów. Może być, że druga jego strona powabniejsze mięści widoki; atoli przeznaczenie tak chciało, że od stworzenia świata patrzy on na nas tylko jedną stroną swojej półkuli.

Mimo tego wszystkiego smutny ten światek, niebardzo zapraszający w gościnę, ma dziwny dar wywierania wpływu na naszą biedną planetę. Któżby się spodziewał po tej martwej bryle, żeby mogła mieć tak wpływowy charakter, jaki jej powszechnie uczeni i nieuczeni przyznają? Astrologowie tak wierzyli w ten wpływ, że u kolebki nowonarodzonego dziecięcia zapytywali u księżyca, co myśli o jego przyszłym losie, i księżyc odpowiadał horoskopem, radząc się dla większej pewności kilku innych konstellacyj, pod którymi przyszło na świat nowonarodzone.

Jak wszystko niemal co się działo na ziemi przypisywali astrologowie wpływowi księżyca, dowód mamy w tém, co o nim mówi Korneliusz Agryppa z Nettlesheimu, sławny swojego czasu filozof, astrolog, alchemik. Zdaniem jego, księżyc, ta starożytna Febe, Dyana, Lucyna, Prozerpina, Selena, Hekate, rządzi miesiącami, oświeca noc, przechadza się w przestrzeni milezący, dwurożny, król nieba i duchów; panuje nad wszystkimi żywiołami, słuchają go gwiazdy, za jego wolą udają się lub przepadają zasiewy, ojcem jest owoców, rozdawcą bogactw, karmicielem ludzi, władcą państw, opiekunem człowieka na lądzie i morzu.... Szczególniej wpływ swój wywiera na człowieka

i wszelkie stworzenia; dzieci, które na świat przychodzą w ostatniej kwadrze, kiedy księżyc nie świeci, bywają słabowite; jeżeli się chowają, to wzięte lub głupie, albo też flegmatyczne.... Rośliny także podlegają tym wpływom; ogórki dobrze rosną na pełni, równie jak marchew, pory, rzepa, szafran i t. d. Po pełni lepiej udaje się cebula. Egipcianie nie zbierali cebuli na nowiu.... Ma także księżyc swoje ulubione zatrudnienia i rzemiosła, którym sprzyja, i tak: opiekuje się on szczególnież komezydentami, szulerami, nierządnicami, bankrutami, fałszerzami pieniędzy, zgola wszystkimi, co w cieniach nocy pracują... Fundując się na przysłowiu: kto z kim przestaje, takim się staje,—można by nienajlepsze mieć wyobrażenie o zasadach moralnych księżycy. W rzeczy samej, takie podejrzane i złośliwe istoty, jak czarodzieje i czarownice, nie tylko w starożytności, ale i w nowszych czasach, zawsze miały z księżycem jakieś konszachty i tajemnice. Wiemy przecież, do czego go używały owe sławne tessalskie czarownice, których filtry z ziół wyciągnięte, miały moc zamienić człowieka w osła, w prawdziwego osła, który dopiero zjadłszy różę, wracał do pierwotnej postaci, jak o tym opowiada Apulejusz. A oważ Kamdya Horacyuszowska czego nie dokazywała na swoich tajemnych obrzędach, niemających innego świadka, prócz Dyany, czyli dyskretnego księżycy, który nigdy nie zdradził dyabelskich jej figlów?... Albo ta druga współniczka jej:

Armińska Folia, sławna krasawica,
Co z nieba gwiazdę, lub promień księżycy
Zdejmuje czarem tessalskich zakąci.

U starożytnych Rzymian *Luna*, czyli księżyc, z powodu zmiennych jej wpływów na obliczanie czasu, miała swoją świątnię na Awentynie i na innych dwóch miejscach. Głównem było zadaniem dla gospodarstwa rolnego obserwować zmiany księżycy i porównywać je ze wschodzącymi lub zachodzącymi gwiazdami, z której to kombinacji wyprowadzano wnioski o urodzaju lub nieurodzaju całego roku. Pliniusz widzi w tym jedyne szczęście, że można wyrachować naprzód te smutne wypadki i za wczasu im zapobiegać.

Na Kapitolu już od czasów Romulusa miało się znajdować obserwatorium, gdzie wyznaczeni do tego kapłani śledzili zjawienie się nowego księżyca, a gdy ten ukazał się na niebie, donosili o tém arcykapłanowi, który zaraz odprawiał uroczystą ofiarę i kazał ogłaszać początek miesiąca, podług czego regulowały się wszystkie święta. Z wprowadzeniem kalendarza i juliańskiego roku zmienił się ten tryb, i większa część świąt przywiązana była do pewnych dni miesiąca; atoli gmin do zmian księżyca przywiązywał dawne znaczenie; wieśniak w ubogiej chatce pilnie śledził ukazania się nowiu, aby Larom złożyć ofiarę. Wszystkie tedy dni, od nowiu począwszy, dzieliły się na szczęśliwe i feralne. Nietylko wiejska gospośnia śledziła zmiany księżyca, lecz daleko pilniej uważał na nie żeglarz przed puszczeniem się na pełne morze, równie jak kupiec wybierający się w daleką drogę.

Zaćmienie księżyca napelniało ogromną trwogą; podczas takich *Lunae labores* uderzano w spiżowe naczynia, aby odstraszyć Demona, który *Lunę* chciał połknąć, lub zniweczyć czary, usiłujące księżyc ściągnąć na ziemię, *deducere*.

U wszystkich ludów w zaćmieniu księżyca, podobnie jak słońca, widziano dawniej wyraźny gniew Nieba. Nie więc dziwnego, że nie znając właściwej fizycznej przyczyny, przerażano się tém zjawiskiem, przewidując w następstwie morowe powietrze, nieurodzaje, wylewy wód, wielkie wojny, lub śmierć którego z monarchów. Dziś jeszcze w Chinach panuje przesąd, że smok polyka słońce lub księżyc, i ztąd powstaje zaćmienie.... Żeby zaś smoka odstraszyć, zwykle lud wylega na ulice i wszeczyna przeraźliwy hałas, bijąc w kotły i inne blaszane naczynia, której to kocięj muzyki ów smok znosić nie może.

Stare nasze kroniki i domowe zapiski pilnie notowały każde niezwykle zjawisko na niebie, jak zaćmienie słońca, księżyca, ogoniaste komety, spadające meteory, zorze północne i t. p., dodając nawet niezgrabne konterfekta tych zjawisk i wiążąc je z wypadkami historycznymi, jakie się mogły zdarzyć w najbliższym czasie. Niewiadomość przyczyn budziła przestrach i trwogę; zwykle człowiek tego się

najwięcej lęka, czego sobie rozumem wytłómaczyć nie umie, a co wychodzi z karbów zwykłego rzeczy porządku.

* * *

Zoryan Chodakowski, ojciec dziś licznie rozrodzonej rodziny archeologów, pielgrzymując po Słowiańszczyźnie od Wisły do Wolgi, rozkopywał mogiły, zbierał pieśni, podania, zwyczaje, wynajdował horodyszcza, zaciekał się nawet w herbowne znaki, wszędzie śledząc okruchów pogańskiej wyobraźni, zwyczajów, obrzędów i urządzeń, a jako zapalony poszukiwacz tych zamierzchłych zabytków, często się zżymał na religię chrześcijańską i księży, że głosząc prawdziwą wiarę, zatarli ślady pogańskich bredni... Szczęściem archeologiczny powód żalu sowiecie zapłacił kościół, przynosząc z sobą rozwój cywilizacyjny, do jakiegoby nigdy nie doszły ludy oddające cześć słońcu, księżycowi i innym fenomenom i siłom natury.

Owoż ten Zoryan Chodakowski w poszukiwaniach swoich zabytków Słowian przedchrześcijańskich, napotyka ślady czci okazywanej księżycowi i przywiązuje jakieś mistyczne znaczenie do *trzech księżyców*, a szczególnie do *zorzy Lelowój*, „która zbliża się do młodego miesiąca, miłość nowożeńców i gody zwiastuje; lub zorza księżycem ogrodzona, lub zwojką pokryta, ślubną przysięgę tłómaczy.” Wprawdzie nie jest to bardzo jasne, ale wiele dorozumiewać się każe. Widać z tego, że Chodakowski tak z wyrażeń, jak z pieśni, jak z różnych zabytków usiłował wydobyć mistyczną symbolikę. Jakoż w pieczęci któregoś kniazia halickiego widzi „naprzeciw księżycu młodą żonę,” i podobieństwo tego symbolu upatruje w ruskiej pieśni:

*Postawlu ja świczeńku
Naprotiw misiaczeńka,
Czy budu ja tak jasnaja,
Jak misiaczeńko jasnij? i t. d.*

Słowem herb Leliwa, wyobrażający rogaty księżyc z gwiazdą, ma u niego symboliczne znaczenie, wzięte ze staroślo-

wiańskiego miłu Domysł ten może być bliższy prawdy, niż wywód tego herbu z zamku *Mondstern* nad Renem, tём więcéj, że węgierscy Słowacy zwykli mówić o nadobnej dzieweczynie: *Dziewojka kak liliwka, Dziewojka kak prze-krasna zora!* coby téj nazwie dawało rodzinne pochodzenie, zwłaszcza, że i Orzechowski w życiu Tarnowskiego mówi o zwoływaniu pod chorągiew na okrzyk: Hleliwa!

Sama nazwa księżyc, mająca jednobrzmienność z księdzem, ksiązęciem, naprowadza na domysł, że satelita ziemi, czczony był jako bóstwo, którego wpływ na zmiany atmosferyczne, na wzrost roślin, na zdrowie człowieka, tak był widoczny, że musiano mu cudowną przyznać moc.

Odkąd światło wiary chrześcijańskiej rozpędziło ciemności wiszące nad ziemią przez Słowian osiadłą, zaszła zupełna zmiana. Promienie słoneczne okoliły Zbawiciela, a rogaty księżyc położył się pod stopami Bogarodzicy...

Z okruszyn religii ubóstwiającej naturę, zostały się między gminem pewne wyobrażenia, przesady, baśnie, ułamki pieśni obrzędowych, zabobony odnoszące się do księżyc, a ponieszane z pojęciami, jakie przyniosło chrześcijaństwo.

Lud nasz widząc plamy na księżycu, powiada, że to był chłop, który za to, że w święto nawóz widłami narzucił, skazany jest rozrzucić go całemi dniami na księżycu aż do sądneho dnia.

Trafia się jeszcze, że do księżyc, w niektórych okolicach modlą się, dodając do pacierza: „Witaj księżycu nowy! Niech nas nie bolą głowy!” Ma to odpędzić bole głowy, jak znowu umycie rąk, lub innéj części ciała w promieniach młodego księżyc, spędza brodawki, jeżeli niemi ciało okryte. Także zbieranie ziół na nowiu nadaje im niezwykłą moc leczniczą.

Inne legendy i zabobony w różnych okolicach między gminem zebrane, utrzymują, że księżyc i słońce Matka Bozka dla chwały Pana Jezusa postanowiła, bo ona od nich jaśniejsza świeci na wielu z wysokości swojego nieba. Za jéj wołą Święci pańscy na księżyc jak na słońce otwierają fórtki z nieba.

Na księżycu głównie panuje Św. Jerzy.

O nim taka jest powieść: Św. Jerzy był za żywota swego na ziemi, i wojował z łaski bożej i dla Jego chwały. W jedném mieście pokazał się ogromny smok, a wszystko zjadał, czy bydło, czy jakie bądź stworzenie; nikt mu nie mógł poradzić, aż w końcu, kiedy bydła zabrakło, chwycił się ludzi. Ludzie też z miasta uciekali, i tylko pustki zostały. Znalazł się tam czarnoksiężnik, wierze katolickiej przeciwny, miał córkę podlotkę, której nienawidził dla jej wielkiej pobożności. Panienska ta modliła się skrycie do Matki Bożkiej; dopatrzył tego ojciec, i własne dziecko postanowił zgubić, wydając córkę na pożarcie smokowi. Wtém z rozkazu bożkiego jedzie konno hussarz Jerzy; widząc co się święci, rozpedził konia, a gdy smok szyję wyciągał, aby pożrzeć panienkę, on hyc! na niego, okraczył go koniem i dzidę mu w gardło wpakował, a smok wypuścił się i runął. Na ten widok Najśw. Panienska rzekła do Św. Jerzego: „Za to, żeś tak pięknie obronił niewinne stworzenie, dziewicę czystą, będziesz mój rycerz jeździł po niebie na wozie gwiazdzistym, i mój księżyc ci odstępując na mieszkanie.” Odtąd Św. Jerzy mieszka na księżycu, i ku czci bożkiej przygrywa na lutni. Można go widzieć osobliwie na widka (na pełni), jak gra przy stoliku siedzący, tylko niedobrze jest w to patrzeć, bo jakby Św. Jerzemu nagle pękła struna, toby patrzeć na niego mógł człowiek oslepnąć; lepiej nie patrzeć, i przestrzegać dzieci, żeby tego nie robiły.

W pięknej téj legendzie, wspólne wszystkim ludom podanie o smoku, nie znajdując zastosowania na ziemi, przeniosło się na księżyc.

Lud dodaje jeszcze, że Św. Jerzy na nowiu odpoczywa, i wtedy nie gra na chwałę bożką, a fórtą niebieska bywa przymknięta; otoż w téj porze źniwo dla czarowniców i czarownic. Wszystkie czary dzieją się na nowiu, pora ta nazywa się „nowy czwartek” (nowa kwadra). W innéj kwadrze czarów nie robią.

O 12-tu miesiącach krąży taka powiastka n ludu krakowskiego: „Jedna komornica, odlegle od wsi mieszkająca, miała córkę i pasierbicę. Córce dogadzała, a z pasierbicą źle się obchodziła. Pewnego roku podczas srogiéj zimy, komornica

zwykle rano budziła dziewczki, kazała ogień rozpalać na nalepie, bo chłop jechał do lasu. Po ogniu zwykle owa pasierbica chodziła do wsi, i takowy przynosiła w szmatce. Otoż wyszła ona jednego ranka, ale zamiast do wsi poszła w dalekie pola. Miesiączek świecił, wiatr śniegiem zmiatał, że sobie zmyliła drogę. Na raz patrzy: stoi chałupa pod lasem, a przez okno widać duży ogień na nalepie. Weszła do sieni i puka. Otworzono drzwi do świetlicy, a tam na około ognia siedziało dwunastu strzelców, którzy drzewka przyrzucali do ognia. Powiedziała im bozkie słowo, i prosiła o użyczenie kilku główienek do szmaty, na co oni odrzekli: „Jeżeli powiesz jak się zowiemy, damy ci ognia nietylko w szmatę, ale i w fartuszek.” Ona nie wiedząc nazwisk strzelców,—bo zkądby wiedzieć mogła?—rzekła na chybił trafił: Styczeń, Luty, Marzec, i wyliczyła wszystkie dwanaście miesięcy. — „Otoż, zgadłaś panienko! zawolali wszyscy razem,—gdyż my jesteśmy dwunastu braci miesięczkowie, i tyle ci damy ognia, że go ledwo uniesiesz.” Dziewczyna przestraszona, wzięwszy kilka węgielków, chciała uciekać, ale ten, co się nazywał Grudzień, zatrzymał ją i wszystek ogień z nalepy zsunął do jęj zapaski i z izby wypuścił. Ogień jęj nie parzył, ale było jęj ciężko, bo gdy zaszła do domu, ujrzała, że zamiast ognia, przyniosła fartuszek bitych talarów.

Na drugi dzień, zazdrosna macocha już nie pasierbicę, lecz córkę swoją posłała po ogień do chaty owych dwunastu braci miesięczków, ale że nie uniała ich nazwać, więc wysypali jęj popiołu z żarem, który ją poparzył, a tak wróciła do domu bez pieniędzy i bez ognia. — Otoż i sens moralny: zazdrość została ukarana.

Uważałem, i to zdaje się mi mówić na stronę poszukiwań Chodakowskiego, że między polskim ludem przechowało się w pieśniach, podaniach, obrzędach, daleko mniej zabytków przedchrześcijańskiej Słowiańszczyzny, niż u ruskiego gminu. Dla tego to w pieśniach z nad Wisły i Warty rzadko spotkasz się z księżycem, a jeśli jest o nim wzmianka, to bardzo obojętna. Przeciwnie w pieśniach na Rusi, ile to wezwań do niego, ile zakleć i pieszczot! Kochankowie obejść się nie mogą bez kochanego miesięczka;

rozmawiają z nim jak z osobą należącą do rodziny, jak z przyjacielem, który wie wszystkie ich tajemnice.

Chodakowski w badaniach swoich i podróżach pomiędzy Litwą, mniemał bowiem, że zabytki jej przeszłości nie mają żadnej styczności i powinowactwa z pogańskimi wyobrażeniami Rusi; tymczasem, gdyby był poznał starolitewskie *Dainos* i ich podania, byłby niezawodnie znalazł wiele objaśnień, dających klucz do zrozumienia okruszyn mitycznych i symbolicznych, napotykaných między ludem ruskim. Odrębność litewskiej mowy, niezbyt dawne jej nawrócenie na religię chrześcijańską, wiele przyczyniły się do uchronienia śladów pogaństwa. Pomijając wiele przykładów i zestawień, nienależących do mego przedmiotu, wybiorę tylko jedną piosnkę litewską, opiewającą *Swadźbę księżycy*:

Księżyc słońeczko bierze za żonę,
O rannój wiosnie w pierwsze zielone.
Słońeczko wczesnie przemyło oczy,
Księżyc się schował, coś nieochoczy.
Potém sam chodził przez niebo sine,
Aż umiłował krasną Auskinę....
Postrzegł to Perkun, groźny pan świata,
Mieczem go na dwie części rozpląta:
„Czemuś słońeczko porzucił jare?
„Czemuś Auskinie poprzysiągł wiare?
„Czemu sam jeden błądzisz wśród noc y?

Widzimy tu dramatycznie opowiedzianą miłość księżycy do Auskiny (jutrzenki), za co Perkun przeciął go na dwoje. Ten księżyc zakochany w gwiazdzie — to Leliwa. W ruskich pieśniach przechowały się okrucy mistycznie wytlómaczonego symbolu.

I tak, urywek jednej pieśni zdaje się nawet sięgać jakiejś odległej przeszłości, której piętno przechowało się w kilku wierszach, a ich ton ma niemal uroczystość obrzędowego hymnu:

Połowynoj misiaczeńko na nebi,
Połowynu zemli ośwityw,
Pryjszow nad more, ne spoczyw,
Oj myłyj Boże! koby cily,

Szczoby zemleńku ośwityw,
 Pryjszow nad more, taj spoczyw!

Inne przyspiewki są więcej sentymentalne. Gminna pieśń ruska nosi tak wybitną cechę romantyczności, jaką w nowszych czasach przybrała nasza poezya, że już to samo pokazuje ściślejszy jej związek z naturą, niż owego sztucznego klassycyzmu, który motywa do swoich utworów czerpał nie z pierwszej ręki. Księżyc, gwiazdy, słońce, wody i step, kwiaty i drzewa ze swymi mieszkańcami, góry i równiny złoceące się zbożem,—zgoła cały krajobraz miesza się z uczuciami człowieka, w jakimkolwiek ten znajduje się położeniu; jest to ciągła zamiennosc wrażeń poetycznych. Żadna też miłosna schadzka, żadne tęskne dumanie kochanków rozłączonych z sobą nie obejdzie się bez powoływania na świadectwo, bądź ciał niebieskich, bądź jakiego przedmiotu podpadającego pod oczy. Księżyc szczególniej sprzyja melancholicznemu tonowi miłosnej piosnki ruskiej.—Przytoczę niektóre tak dziwniej piękności, że podpisałby się pod niemi sam Mickiewicz i Bohdan Zaleski.

„Oj misiaciu, misiaczeńku, ne świty nikomu,
 No mojemu myleńkomu, jak ide do domu.
 Oj zaświty misiaczeńku, taj widżiny maru,
 A jak pide do druhoi, to zajdy za chmuru,
 A stanuwszy za chmaroju, taj w temnosti ciły,
 A ja stanu zaplakawszy: pokinuw mia myły!

Śwityt misiać, śwityt misiać, śwityt a ne hryje;
 Odnak meni za myłońkim moje serce mdlije.

Oj misiaciu *perekroju*, zajdy za komoru,
 A z kim meni lubo, myło, naj sy pohoworu.

Misiaciu *rozrożeńku*,
 Świty nam dorożeńku,
 Szczoby my ne zbludyły,
 Winoczka ne zhubyły.

W dwóch ostatnich ulamkach znajdujemy nawet ściśle określony kształt przyświecającego miesiąca. *Perekroj* przypomina nadto mityczną jego historię; *rozrożeńko* przedstawia go na nowiu, na młodziku.

Starożytni poeci, szczególnież greccy, mieli w wysokim stopniu poetyczne uczucie, zostające w bezpośrednim stosunku z otaczającą ich naturą; można ich nazwać pod tym względem romantykami starego świata. Jak w ruskich pieśniach, tak i w urywkach antologii spotykają się nierzadko pogadanki kochanków z księżycem.

Dwa takie kawałki mogą tu znaleźć swoje miejsce i służyć do porównania. Księżyc po grecku *σελήνη* był czczony jako bóstwo, na ofiarę składano mu pieczywo w kształcie rogalów; forma ta do dziś dochowała się,—gdyż co dzień przy kawie lub herbacie spożywamy ofiarę należącą się ongi Selenie.

Otoż i te dwa wierszyki; w pierwszym księżyc odgrywa rolę świadka uczuć miłosnych:

Świeć Selono, dwurożna nocna wędrownico,
Rzucaj strzały przez wrota kraciaste, niech świecą
Na mą złotą Kalistion, gdy siedzę koło niej. ;
Tobie, o nieśmiertelna! patrzeć nikt nie broni,
Bo ty pobłogosławisz dwa bijące łona,
Wszak twe serce gorzało raz dla Endymiona.

W drugim poeta widzi współczucie księżyca dla zmarłej dziewicy, która nazywała się Seleną, i tak się odzywa:

Sam księżyc wschodząc w wieczór, oblicze zachmurzył,
I w czarnych cieniach nocy boleść swą zanurzył:
Gdy bez duszy Selnę, swoją imiennicę,
Ujrzał, jak wstępowała w Hadesu ciemnicę,
Bo jak życiu jój swoim przyświecał promieniem,
Tak i śmierć jój poślubił zupełném zaćmieniem.

U starych Rzymian, mianowicie u ich poetów, niełatwo się spotkać z sentymentem dla natury, chociaż otczeni byli wspaniałemi jój pięknosciami. Mogli je czuć, dla czegożby nie? ale nie umieli ich malować. Pejzaż nie należał do tajemnic ich sztuki. Księżyc, który tak wielką

gra rolę w pejzażu, nie zwracał na siebie uwagi poetów, poprzestających na zanotowaniu jego bytności na sklepieniu w tej lub innej chwili, a o efekta jego światła nie troszczyli się bynajmniej.

Nox erat, et coelo fulgebat Luna sereno
Inter minora sidera.

Daléj po za ten skromny obrazek Horacyusza, nie posunęli się rzymscy poeci.

Księżyc w świetle chrześcijańskich wyobrażeń stracił to znaczenie, jakie miał u starożytnych; czczony przez nich jak bóstwo, zniżył się do stop Bogarodzicy. Objawienie Ś-go Jana, czyli Apokalipsis, taki daje wizerunek Najświętszej Panny (Rozdział 12): „I ukazał się znak wielki na niebie. Niewiasta obleczona w słońce, a księżyc pod jej nogami, a na głowie jej korona z gwiazd dwunastu.”

Wyobrażenie to przeszło w sztukę religijnego malarstwa, które podług tych słów wystawiało wizerunek Bogarodzicy. Pieśń pobożna nie dała się wyprzedzić sztuce, i tak samo malowała wyrazami:

Ślicznaś, piękna i nadobna,
W pełni księżycu podobna.
W cześć się gwiazdy obracają,
Twój śliczności nie zrównają

Inna strofa staréj pieśni dosadniczej oddaje wizerunek:

W słoneczną szatę przybrana,
Koroną z gwiazd haftowana;
Miesiąc też ogniste rogi
Skłonił pod twe święte nogi.

W pieśni tej, śpiewanej u nas w siedemnastym wieku, przychodzi alluzya do ówczesnych wojen:

Tys swą skruszyła nogą łeb smokowi,
Tys pyszne starła rogi Turczynowi,

Tyś Jasną Górę płaszczem okrywała,
Gdy jój Bellona szwedzka dobywała.

Albo w innój pieśni:

Wszak nieraz starłaś Turczynowi rogi,
Rzucałaś księżyc pod zwyczajkie nogi.

Ten księżyc turecki zdeptany przez Matkę Bożką, to palladium Rzeczypospolitój, był niewyczerpanym tematem dla naszych liryków; księżyc bowiem jest herbem państwa otomańskiego, i zielona chorągiew proroka nosi to znamię. Gdzie tylko księżyc połyska na szczytach meczetu tam sięga panowanie Koranu. Był czas, że znamię to świeciło na kościele panny Maryi w Kamieńcu podolskim, lecz gdy ta twierdza napowrot wróciła do Rzeczypospolitój, na księżycu postawiono figurę Najświętszej Panny.

Jeżeli poezya i sztuka religijna odjęła dawne znaczenie księżycowi, to z drugiej strony, dawni poeci wieku szesnastego, trzymali się ściśle renesansowej tradycyi, naśladowującej klasycyzm rzymski, często zaczepiając i o grecki. Wszystkie ich pojęcia i uczucia odnosiły się u nich do tych reminiscencyj. Ztąd widoki brane z natury, z towarzyszącymi im efektami światła, nie wchodziły do ich kompozycyi, w czém również z malarstwem trzymali się antyku, lekko puszczając, lub zupełnie ignorując to, co nas łączyło z pięknościami przyrodzenia, tak na ziemi, jak na sklepieniu niebieskiem. Pejzaż, po większej części fantastyczny, rzadko pojawiał się w obrazie; poezya tak samo traktowała go ogólnikowo, mimochodem. Ztąd księżycowe lub słoneczne efekta, opisy miejscowości, wrażenia zewnętrznego świata, harmonizujące lub sprzeczne z naszym uczuciem, są motywami obojętnymi dla poezyi, która z okiem wlepionem w antyk, myślą przenosi się do człowieka, i uważa go za coś oderwanego od rzeczywistego świata, od żyjącej natury. Zdawałoby się, że język, którym dziś poezya rozmawia z ziemią i niebem, i zjawiskami na ziemi i niebie, nie był jeszcze wynaleziony, gdyż niepodobna byłoby zaprzeczać tak starożytnym, jak renesansowym poetom uczucia natury; czuli oni ją tak dobrze jak dzisiejsi, ale żywił ten nie wchodził w ich kodeks estetyczny, więc

nie ubiegali się o to, aby go wyrażać, malować słowami.— Właściwie mówiąc indywidualności swojej zazdrośni, nie używali jej przedmiotom zewnętrznego świata, jak się to w nowoczesnej poezji i malarstwie praktykuje, a co najwięcej, wzrok ich się zwracał ku błękitnym sklepieniom, zasianym gwiazdami; jeżeli słońce, księżyc, komety zwracały ich uwagę, to jedynie na to, aby te fenomena odnieść do Twórcy wszech rzeczy i podziwiać Jego wszechmocność.

Niedarmo Jan Kochanowski zapytuje:

Za czyją sprawą we dnie słońce chodzi,
A miesiąc świeci, kiedy noc nadchodzi?

Albo na innym miejscu:

Kiedyż słońce swego wschodu
Albo chybiło zachodu?
Kiedyż miesiąc jasne rogi
Skłonił od swęj zwykłej drogi?

Inni znowu, jak Zimorowicz, widzieli w księżycu blade konie.

Gdy w nocy ciemnej świat utonie
A Cyntya po niebie pędzi blade konie.

Klasycyzm szukał na niebie Feba, ciskającego strzały lub czystej Dyany; porównania te miał gotowe w zanadrzu i używał gdzie mu wypadło. Atoli niekiedy umiał się zastanawiać nad temi światłami niebieskimi z punktu erudycyi astronomicznej, jak to znajdujemy u Kaspra Miaskowskiego, który wierszami opisał bieg miesięczny:

Gdy już wymija ciemne miesiąc progi,
W błękitnym płynie polu złotorogi
Hesperus za nim, aż trzynastym sprzęgiem
Przeciwko słońcu pełnym stanie kręgiem;
A odwrot czyniąc, co ustąpią koła,
Znowu uchylą rumianego czoła,
I codzien więcej mieniąc zawždy siebie
W skłnięcém porożu brzeg dierży na niebie;
Wycieka goniec, co zwierz budzi rączy,
Niż Tytan na świat szle promień gorący.

Nie mógłbym zaręczyć czy wierszyk ten Miaskowskiego nie był przeznaczony do współczesnego kalendarza! Spotyka się w nim bowiem trafna obserwacja księżycowych obrotów, co pokazuje, że naszemu pocięciu nie była obca nauka astronomii. Prosiłem też znanego w świecie naukowym, profesora astronomii D-ra Karlińskiego, aby mi zrobił komentarz do tego wiersza, na co otrzymałem następujące objaśnienie:

„Gdy już wymija ciemne miesiące progi,” znaczy, że kiedy minie *nów* księżyca, podczas którego jest on niewidzialny, i tylko jeśli sprawia zaćmienie księżyca, ukazuje nam się czarny na jego tarczy.

„W błękitnym płynie polu złotorogi.” Ukazuje się z wieczora na niebie w kształcie złotego sierpa, i wznosi się z każdym dniem coraz wyżej.

„Hesperus przed nim.” Hesperus jest to planeta Venus świecąca z wieczora; kiedy zaś świeci w zaraniu zwie się Phosphorus, Jutrzenka. Tęj świecącej Venus nie ma na każdym nowiu, ale kiedy się ukaże, czyni widok nader uroczy, i jest to owa „Leliwa” nie tylko znana w polskiej heraldyce, lecz także mająca symboliczne znaczenie, jak to wyżej wskazałem, w wyobrażeniach mitycznych pogańskiej Słowiańszczyzny i Litwy, a dotąd przechowująca się w ich pieśniach.

„...aż trzynastym sprzęgiem

„Przeciwko słońcu pełnym stanie kręgiem.”

„Ten „trzynasty sprząg,” którym księżyc od nowiu dostaje się do pełni, ma dwa znaczenia; albo chciał tu poeta powiedzieć, że księżyc posuwa się codzień o łuk mający 13 stopni na niebie, i tak dochodzi naprzeciw słońca, świecąc jak pełnia o północy; albo co prawdopodobniej, „sprząg” znaczy 24-godzinną dobę, to jest, że po pierwszym ukazaniu się sierpa księżycowego, musi upłynąć 13 nocy i 13 dni, póki go nie zobaczymy na pełni. Wyrażenie: „aż trzynastym sprzęgiem”, dobrze maluje wznoszenie się księżyca od zachodniego poziomu aż na południowe niebo a więc niejako jazdę do góry.

„A odwrot czyniąc, co ustąpią koła,
„Znowu uchyla rumianego czoła.“

„Do pełni wyjeżdżał księżyc jakby pod górę, teraz po pełni zjeżdża ku wschodowi na dół: „czyni odwrot.“ A za każdym okrażeniem ziemi, „co ustąpią koła,“ czyli każdego następnego dnia, chyli się coraz więcej ku wschodniemu poziomowi.

„I codzieln więcej, mieniać zawždy siebie
„W skłnjącem porożu brzeg dzierży na niebie.“

„Po pełni kształt kolisty księżyc zmienia się od dnia do dnia, aż wreszcie widać go już tylko jako słabo świecący przed wschodem słońca sierp, lub poroże, niewysoko na firmamencie, ale nad poziomem, na krawędzi nieba.

„Wycieka gonice, co zwierz budzi rączy,
Niż Tytan na świat, szle promień gorący.“

„Otoż ten uciekający, nknący księżyc, wschodzi teraz niby gonice przed Tytanem, słońcem, budząc ze snu zwierzęta. To pewna, że o ile wieczorem światło księżyc ma w sobie coś pociągającego, sympatycznego, o tyle w zarannój porze, kiedy się ukaże czerwony nad poziomem, jakby luna pożaru, budzą się psy i zaczynają wyć i szczeakać.“

Umiejętność skontrolowała poetę, i wszystko znalazła na swoim miejscu. Nie wiem czy się kto zastanawiał nad tém, że w pewnej epoce heraldyka absorbowwała u nas wszystkie gałęzie nauk, ma się rozumieć, nie pod względem ścisłych badań rodowych i historycznych, o bynajmniej! nigdy bowiem nie wyszła po za legendę, a kochała się tak w symbolice, jak nie potrafiłyby nawet wieki średnie; służyło jój też za symbol każde godło herbowne, w którym upatrywała przymioty i cnoty, charakter i skłonności tego lub innego rodu. Gryfy, Topory, Jastrzębce, Leliwy, Poraje, Dąbrowy, Pilawy, nastrecały niezliczonych motywów i porównań, stosowanych do osoby pieczętującej się tym herbem; naciągania były niekiedy rażące i niestosowne, ale im kto lepij naciągał, tém większy zyskiwał

applauz; im kto zuchwałej zapuszczał się w mroki wieków dla wynalezienia mitycznego protoplasty, tém za ucześniego uchodził. W takiem zaklętem kole pychy szlacheckiej obracała się poezya, wymowa, historia, polityka. Co tylko kto zdobył nauki i wiadomości, a miał zasób wrodzonego dowcipu i talentu, rzucał w ten odmęt legendarnych bredni. Wacław Potocki, ten wcale niepospolity poeta XVII wieku, napisał potężne *in folio*, aby rymem opiewać legendy herbowe, i dodawać im pieprzyku opowiadaniem jowialnych anegdot, co w swoim czasie musiało mu robić wielu admiratorów i czytelników. Można się łatwo domyślić, że nasza słowiańska *Leliwa* nie była w téj galeryi pominięta. Mnie zaś przed innemi herbami tém bardziej interesuje, że mówiąc o Leliwie, nie można nie mówić o księżycu, co właśnie w sam raz nadaje się do niniejszój pogadanki. Szkoda tylko, że poetyczny heraldyk nie dopatrzył w Leliwie słowiańskiego pochodzenia, lecz ją wyprowadził od niemieckiego zamku Mondstern, który był

Założon od Theutona, który po potopie
We sto i trzydzieści lat osiadł w Europie.

Ton szumny przypomina bardzo rozmowę Geldhaba z genealogistą Piórkiem w komedyi Fredry, a ma to jeszcze do siebie, że popisując się dokładnością chronologiczną, staje się prawdziwie komicznym.

Nie przeszkadza to jednak rymowanemu herbarzowi Potockiego z poetycznej strony patrzeć na księżyc:

Piękny miesiąc na niebie, lubo w pełnym kole
Świeci, lub złote rogi postawi na czole,
Rum słońcu na dzień czyniąc i przyszłej pogodzie,
Szare chmury do morza zachodniego bodzie.
Piękny, kiedy ślicznych gwiazd na wsze świata strony
Sam stanawszy we środku, rozpuści zagony,
Póki ich złotym zorza z horyzontu (o czém
Dowie się od Jutrzenki) nie spędzi warkoczem.
Taż jego i na ziemi ozdoba, taż mina,
Kiedy się po sarmackim firmamencie wspina.

Ostatni wiersz wprost odnosi się do Leliwy, bo kiedy

u pogan było i jest zwyczajem kołatać i dzwonić podczas zaćmienia, to

Szczęśliwa tu Leliwa, bo się nigdy nie émi!
Zresztą cały świat wie o tém, że księżyc kradnie światło
od słońca, co bynajmniej nie robi zaszczytu księżycowi;
dla tego

Szczęśliwsza tu Leliwa, bo między Sarmaty
W swęj się świeci, od słońca nie pożycza szaty.

Nareszcie wyższość sarmackiej Leliwy nad księżycem w tém się objawia, że o zmienność nikt jęj pomówić nie może kiedy księżycyca własnością jest ciągła zmienność:

Piękny miesiąc na niebie! cóż gdy w swęj postaci
Dwanaście kroć w rok ginie, trzydzieści ją traci,
Nieraz opędzi sferę od wiotchu do nowiu,
Miejsce sobie niestatku dający przysłowiu;
Bo choćbyś ze wszystkiego świata krawców ruszył,
Nie masz coby mu suknię wedle miary uszył.

Otoż i dowcip heraldyka-poety.

Poezya długo kołując szukała punktu zetknięcia się z naturą i jęj prawdą, do czego posłużył jęj rodzaj sielankowy uprawiany pod koniec XVI i przez ciąg XVII wieku. Wprawdzie pasterze i pasterki arkadyjskie dostarczały obrazków rodzajowych, ale te miały w sobie coś tak konwencyjonalnego, że do wiernego oddania życia na tle otaczającej go przyrody było jeszcze bardzo daleko.

W tym przypadku sztuka malarska wyprzedziła poezyę, która hołdować nie przestawała reminiscencyom klasycznym. Nowy rodzaj pejzażowy wystąpił na scenę, a za tém poszło, że artyści zaczęli z zamiłowaniem studyować naturę, usiłując przenosić na płótno malownicze efekta słonecznego światła: wschód i zachód słońca, łamanie się promieni księżycyca po górach, po drzewach krajobrazu, jego odbicie się w falach wód stojących i żywych, z temi długimi cieniami, jakie od przedmiotów padały.

Malowniczy ten żywioł nie dostarczał jednak motywów do poezyi, która zdawała się być obojętną na ten język natury i jęj zjawisk; aczkolwiek ówczesni poeci udawali

wielką cześć dla natury, idąc za wzorem uwielbionego J. J. Russa, to jednak nie przeszkadzało trzymać się od niej dalej niż kiedykolwiek. Wszyscy bowiem filozofowali i moralizowali, tak poeci jak romansiści, tak przyrodnicy jak estetycy, patrząc na świat stworzony z wysokości swojej.

Ukazanie się tak niespodziewane ossyanicznych poematów Mackpherson'a, lubo daleko pozostających za dzisiejszym sposobem zapatrywania się na tego rodzaju poetyczne dokumenta, sprawiło ogromny entuzjazm i niejako przewrót w pojęciach. Przez nie ocknął się jakby nowy zmysł malowniczości, nastąpiło większe zbliżenie się świata zewnętrznego z uczuciem poetycznym człowieka. Księżyc zaczął tu występować w roli, jakiej nie odgrywał dotąd, już to zimnym i bladym promieniem odbijając się od szczytów wież, od zbroi i tarcz, już przeglądając się w jeziorze, już w magicznym świetle ukazując cień włóczących się po pobojowisku rycerzy.... Melancholiczne światło ze wszystkimi swemi niepewnościami i widmami stało się jakby nowym odkryciem w sferze fantazyi i odbiło się w sztuce zbliżając ją i spoufalając ze zjawiskami, na które od wieków patrzano, lecz obojętnym okiem, jakby one nie miały żadnego wpływu na wewnętrzne usposobienie nasze.

Ossyaniczna poezya ze swemi mgłami i księżycem nie przeszła u nas niepostrzeżona; stanisławowscy poeci rzucili się do tłumaczenia jej w trzeźwym swoim języku, który lubo nie odpowiadał naturze tej poezyi, niemniej wskazywał jak ich ta nowość zajął. Jeden tylko Karpiński czuł ją może najlepiej. Godne zastanowienia, że on najbardziej się wyróżnił z tej plejady ówczesnych poetów; miał bowiem jakby przecucie tej nowej drogi, jaką miała obrać poetyczna literatura. Urodzony i wychowany na Rusi, od dzieciństwa skapał się w żywiole pieśni gminnej iskierek; jeżeli zaś talent jego nie potrafił z nich skorzystać, jak skorzystała późniejsza generacya romantyków, to niemniej pochwyił ton pieśni rodzinnej, jak to widzimy w tej niby balladzie „Filon i Laura,” gdzie z wyjątkiem imion należących do tradycyi sielankowej, więcej zbliżył się do natury niż jego współcześni. Księżyc nicobojętnie spogląda na dwoje kochanków. Wezwany na wstępnie:

Już miesiąc zeszedł, psy się uspiły.....
 W końcu wezwany jest na świadka zakłéć kochanki:
 „Miesiącu, już ja idę do domu,
 Jeżeli kiedy z Dorydą
 Filon tak trawił noc po kryjomu,
 Nie świeć, niech na nie dżdże idą!”

Przypomina to zupełnie gminną pieśń ruską, przytoczoną powyżej, gdzie kochanka prosi księżycą, aby przyświecał kochankowi, a gdyby on poszedł do innéj: „Zajdź za chmurę, a ja widząc cię pogrążonego w ciemności, zapłacę i pomyślę: on mię już porzucił.”

Wpływ ossyanicznój poezji oddziaływał na społeczeństwo, mianowicie na pleć piękną, która przybrała charakter sentymentalnego rozmarzenia. Niedarmo cokolwiek pedantyczny i na dyplomatę kierujący się Werther, chce rozromansować piękną Lottchen i czytuje jéj ustępy z Ossyana. Pod koniec ośmnastego wieku sentymentalizm ten dosta się i do wyższego społeczeństwa, które często używało jego języka, mianowicie w sprawach sercowych. Kobiety wyrażały się jak w romansach, lubiły popisywać się z delikatnemi odcieniami swoich uczuć i przepadały za światłem księżycą i romantycznym pejzażem z szybą jeziora i nową ruiną. Często wśród nocy wybiegano na przechadzkę, byle używać widoku księżycą przechadzającego się po niebie, i powierzać mu swoje wrażenia. „Malwina,” romans owego czasu, najlepiej maluje ten sentymentalizm, a jeszcze dokumentniej korespondencye elegackiej damy z owego czasu, gdzie się doczytasz, w jaki sposób zabawiło się towarzystwo stolicy: „Co wieczór — pisze ona — przechadzamy się w szerokiej alei ogrodowej, którą znasz, i dokazujemy co tylko nam przez głowę przejść może przy świetle księżycą; za każdym razem pokazują się strachy, upiory szczególnego rodzaju, ztąd krzyki bojaźliwych, śmiechy drugich; lecz proszę mię nie liczyć do pierwszych, śmieję się bowiem nócać sobie w duchu aryjkę z *Matri-monio secreto*: Och! jakże miłe wiejskie przyjemności.”

Zresztą wiadomo z opowiadań sentymentalnych pań owego czasu, że melancholicznie błądzić przy księżycu należało do bardzo wykwiutnego tonu; lubiano nawet z nim

prowadzić mistyczną rozmowę, używając go za pośrednika z jakim oddalonym przedmiotem serca; a za pierwszym widzeniem kontrolowano się wzajemnie, czy kiedy ona patrzyła w księżyc i myślała o nim, posyłając mu po promieniach strzeliste westchnienia, on wiedziony przecuciem robił to samo?

Niedawno uważano księżyc za powiernika tajemnic serca; dyskrecya jego była à toute épreuve; nigdy on niktogo nie wydał, i to mu jedna taką wziętość u pleci romansowanej, a co ipso mającej pełno sekretów.

Coś podobnego zdaje się wyrażać sławnie śmieszna ballada Jaksy, który był prawdziwem enfant terrible ówczesnego pseudo-klassycyzmu uprawianego przez wierszopisów szkoły Księstwa Warszawskiego. Właśnie maluje on podobną sytuację w rozmowie z księżycem:

Nieszczęsna stoisz nad Sancem,
Żona ręce załamuje;
Darmo! mąż już jest ułanem,
Księżyc piką pokazuje.

Żona pomnąc, że w rozstaniu
Mąż wskazał na krąg miesiąca,
Przez całą kwadrę w czekaniu
Stała w księżyc patrząca.

Nie wiem, czy księżyc miał chęć prowadzenia rozmowy sentymentalnej z żoną ułana; ale to pewna, że w umysłach i pismach zjawiały się podobne signa temporis, zapowiadające wielką zmianę w świecie wyobrażeń, a jeszcze więcej w sposobie ich przedstawienia.

Dwa tomiki wierszy wydane w Wilnie, z nazwiskiem, o którym nigdy nie słyszano (ówcześni klassycy najwięcej gniewali się na Mickiewicza, że tak od razu wystąpił bez żadnej rekomendacji), zrobiły potężną w pojęciach rewolucję. Pierwszy to poeta co umiał malować słowami pełne życia i prawdy obrazy. Epik i pejzażysta jakiemu nie było równego, rzecz bardzo prosta, że gdzie mu przyszło malować pejzaż, nie mógł pominąć księżyc. Melancholiczne to światło, które dotąd brano co najwięcej za powiernika mi-

łośnych sekretów, zaczęło się przechadzać po niebie w całym majestacie i odgrywać rolę w tych czarujących efektach, bez których się nie może obejść pejzaż nocny.

Komuż nieznanym ten wspaniały krajobraz w balladzie *Świtez?*

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżycy,—
Niepewny czyli szklana z pod twój stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina.

Nie będzie to przesada, lecz istotną prawdą, że księżycowy ten obrazek wszystkim poetom i nie poetom zawrócił głowę, a przynajmniej skierował uwagę na szukanie motywów w świecie zewnętrznym, w którym żyjemy, a właściwie skłaniał do zespolenia się z nim w uczuciach, a tym samym uczył języka, którym zjawiska przyrody do nas mówią.

Atoli mistrz umiał jeszcze szerczej malować i wykończyć swój pejzaż, jak to widzimy na wstępie do „Grażyny.”

Coraz to ciemniej. Wiatr północny chłodzi.
Na dole tuman, a miesiąc wysoko
Pośród krążącej czarnych chmur powodzi
We mgle niecałe pokazywał oko.
I świat był nakształt gmachu sklepionego,
A niebo nakształt sklepu ruchomego,
Księżyc jak okno, któreży dzień wehodzi...
Zamek na barkach nowogródzkiej góry
Od miesięcznego brał pozłotę blasku,
Po wałach z darni i po sinym piasku
Olbrzymim słupem łamał się cień bury,
Spadając w fosę, gdzie wśród wiecznych cieśni
Dyszała woda z pod zielonych pleśni.

W każdym pendzla pociągu znać tu rękę mistrza, wywołującą odtąd mnóstwo naśladowców próbujących tak malować jak on. Odtąd pejzaż przeszedł w skład poezji, stał

się jój własnością. Co tylko porodziło się ballad, legend, poematów, wszędzie musiał figurować nieunikniony księżyc. Czy tak szczęśliwie jak w „Grażynie?” to inne pytanie, które tu nie należy. Dość, że księżyc zyskał obywatelstwo w literaturze poetycznej, a to tak dalece, iż nie przestano na jego łamiących się promieniach, ale nawet użyczono mu daru słowa; pyzate jego oblicze nieraz rozmawiać musiało ludzkim językiem; krótko mówiąc, księżyc stał się w toku przybywających romantycznych produkcji niemal natrętem, bo czy go potrzeba, czy nie potrzeba, wszędzie się znajdzie na końcu wiersza, rymując do *lica*, *tajemnica*, *zachwyca*, *dziewica*, *krynica* etc., aż z tych rymów, do których tylko dodać kilkanaście słów do sensu, splecie się coś nakształt niewinnój piosnki...

Zbytek ten księżycowych efektów, sadzenie się na pejzaż, podług przygotowanych przez mistrza patronów, zaczyna już się zużywać, jak wszystko co trąci nadużyciem, a właściwie co nie z nas idzie, lecz jest pożyczone.

Malowniczość z kolorytem miejscowym stała się przymiotem naszej poezyi — jest to fakt dokonany; wszakże na tém on stoi, żeby umiał zachować miarę i nie przekracza pewnych granic.

Atoli geniusz Mickiewicza sięgnął nierównie dalej; niedarmo miał on w sobie coś wieszczego, coś zapładniającego. Wiemy, jak ogromny wpływ wywarł on na poezycę, jak nicią złotą związał niebo z ziemią, świat widomy z wewnętrznym, dając głos wszystkim tym rzeczom stworzonym na naszej ziemi, które rzadko kiedy umiały przemówić. Wielki czarodziej ożywił naturę, zrobił ją interesującą towarzyszką naszych marzeń, smutków i radości, upojeń i pragnień.

Wiemy już o tém; z tém wszystkiém, gdybyśmy zapytali zkąd się wziął u nas taki nagły zwrot do malarstwa? czemu w tak krótkim czasie rozwinęło się samo przez się, nie mając żadnych prawie tradycyji, któreby nieprzerwanym szły ciągiem? Gdybyśmy jeszcze głębiej szukali odpowiedzi pytając: zkąd się wzięły te artystyczne zdolności, w narodzie piastującym od wieków tylko lemiesz i szablę? Nie umiałbym innego znaleźć źródła, tylko w twórczym

geniuszu Mickiewicza, który pokazał jak malować słowami, aby nauczyć jak malować pędzlem.

Zdanie to może wydawać się paradoksalnym; w istocie nie jest takim, gdy zważymy, że zapładniającym geniuszom służy przywilej sięgania po za obręb tego pola, które wyłącznie wybrała sobie ich działalność....

Więcej niż poetą dla Grecji był Homer; ona mu zawdzięcza swoich Fidyaszów, Praksytelów, Apellesów; bez niego nie poszłyby dalej od innych narodów starożytnych, które nie poszczyciły się téj miary wieszczem i objawicielem.

V.

DZWON ZYGMUNTOWSKI I DZWONY.

Dzieło niepospolitego artysty prawie zawsze daje do myślenia. Jest to przywilej, jakiego nie mają owi biegli i zręczni naśladownicy natury, którzy tylko odpowiadają za wierność, często przeniewierzającą się, bo ta mówi to, co oczy cielesne widzą, a dalej i głębiej nie sięga.

Takie produkeye pendzla lub dłóta mogą budzić podziw, lecz zostawiają nas zimnymi, a przynajmniej nie zaprzątają nam myśli.

Kiedy przed kilku miesiącami oglądaliśmy obraz Matejki: „Dzwon Zygmuntowski”—a właściwie: Wydobyć Zygmuntowskiego dzwonu z dołu, w którym był odlany,—zostało nam wrażenie mozolu i trudu tych robotników zajętych dźwignięciem spiżowego ogromu, takie samo wrażenie, jakie miał król, królowa i otaczający ich orszak dworski, świetny blaskiem przepysznych strojów od złotogłowiów, brokatów, aksamitów. Moje osobiste wrażenie odbijało się w twarzach widzów królewskiego orszaku. Zdaje się, że artysta ten cel miał na myśli. Początek „Pieśni o dzwonie” Szyllera służył mu prawie za temat:

Forma z gliny wypalona,
Stoi w ziemi mocno wryta;
Dzisiaj wyjdzie dzwon z jęj łona,—
Czeladzi, bądź pracowita!
By mistrza chwala
W dziele zabrzmiała!

I to właśnie stanowi główny punkt obrazu. Mistrz stojący najwyżej, z piękną, myślącą głową, jakby zdjętą z tułowia Michała-Anioła, kieruje robotnikami. Czytasz w jego twarzy zadowolenie artysty:

Powiodła nam się robota,
Praca nasza nie jest marną,—
Patrzcie! gdyby gwiazda złota,
Łuszczy się spiżowc ziarno.....
Nawet obraz herbu gładki
Chwali mistrza talent rzadki.

Ależ to nie koniec. Malarz nie chciał pominąć ważnej okoliczności, której i Szyller w poemacie swoim nie pominął, gdy mówi:

Dzwon chrztu żąda, w dobrej wierze
Niech Concordia imię bierze,
By do jedności i serdecznej zgody
Na odgłos jego lud śpieszył w zawody.

Ten obrządek chrztu czyli poświęcenia dzwonu, znalazł miejsce i w obrazie Matejki, tak samo skromne i na drugim planie jak w poemacie. Biskup otoczony duchowieństwem odprawia ceremonię poświęcenia dzwonu świeżo odlanego. Ważny ten obrządek nie został usunięty z obrazu, lecz tylko wsunięty między dwie prym trzymające sceny: robotników pracujących nad wydobyciem dzwonu i okazałego dworu przypatrującego się tój robocie. W obrazie tym pełnym wielu zalet, maluje się wiernie dzisiejsza epoka dająca pierwszeństwo rzeczom pod zmysły podpadającym, jak przepych strojów chronologicznej ścisłości, jak działanie sił połączonych dla poruszenia ogromnego ciężaru. Z prawdziwą też znajomością techniki widzimy pozawieszane bloki na rusztowaniu i w różnych kierunkach idące od nich powrozy, wyprężające się ramieniem czeladzi, na dany znak mistrza.

Nie pewnością: tak być musiało, kiedy z rozbitej formy glinianej wyciągano króla naszych dzwonów.

Pytanie tylko, czy król z dworem swoim przyszedł na to widowisko techniczne, czy żeby być obecnym religijnemu obrzędowi?

Jeżeli artysta miał zamiar zrobić ściśle historyczny obraz, wypadło mu uwzględnić tę ostatnią okoliczność. W owym wieku dwór występował z taką pompą i okazałością tylko na uroczystości religijne, a zatem podług wszelkiego prawdopodobieństwa wypadło ceremonię poświęcenia zrobić głównym punktem ciężkości w obrazie, a ta mogła mu dostarczyć nader wielu pięknych motywów.

Matejko, w historycznych obrazach, pomimo że usiłuje z całą skrupulatnością zachować koloryt wieku, trzyma się wyobrażeń dzisiejszych; mniej on stara się zgłębić ducha dawnych czasów, więcej dba o ich zewnętrzną, pod zmysły podpadającą stronę. Malarz z XVI wieku, a nawet późniejszy, byłby niezawodnie nacisk położył na poświęcenie dzwonu.

Ściśle rzecz biorąc, historyczność nie tyle tkwi w skrupulatności archeologicznej, ile w przejściu się pojęciami i duchem wieku, który się ma wystawić w obrazie.

Znamienity pędzel naszego artysty nie tyle tłómaczy nam i zbliża przeszłość dziejową, ile ją modernizuje.

Co się rzekło na wstępie, że dzieło artysty, ma się rozumieć prawdziwego, zawsze daje do myślenia, znajduje potwierdzenie w niniejszym przypadku. Obraz p. Matejki nasunął mi wiele myśli tak o poezyi dzwonów, jak o ich przeznaczeniu, jak o obrządku poświęcenia ich, czyli chrztu.

Przedmiot ten, wyjąwszy pod względem archeologicznym, nader mało zajmował naszych poetów i literatów; zapewne dla tego, żeśmy do dzwonów tak od dzieciństwa przywykli, iż na nie nikt uwagi nie zwracał, jak się nie zwraca na zdrowie, kiedy się człowiek czuje zupełnie zdrowym.

Pierwszy Mikołaj Rej, ten najzimniejszy prozaik w poezyi, a poeta w prozie, jak o tém świadczą niektóre ustępy w „Żywocie poczciwego człowieka”—napisał kilka wierszy na dzwon Zygmunta. Początkowy wiersz: „Dzwoń miły Zigmuncie, dzwoń po wszystkiój polskiój ziemi,” obiecywał coś, ale nie dotrzymał.

Odtąd nie można się już nigdzie spotkać z poezją dzwonów, aż chyba w epigrammatycznym wierszu z czasów Stanisława Augusta napisanym na śmierć marszałka jego dworu, podobno Świderskiego.

Spisz milczy na twym grobie, bo się stała bronią:

Ci, co jedli pieczenie, niech zębami dzwonią.

Alluzya to do pieczeniarczy, żywiących się przy marszałkowskim stole.

Tłumaczenie Szyllerowskiej pieśni o dzwonie J. N. Kamińskiego, dało dopiero poznać, czém jest dzwon dla wyobraźni prawdziwego poety. Nawet w pieśniach ludu nigdzie nie spotkać tego uczucia, jakie powinienby w duszach obudzać dźwięk dzwonów wiejskiego kościołka, z którym się łączy tyle radosnych i smutnych wspomnień.

Na zachodzie gorętsze uczucie wiązało się do dzwonów. Przypominam sobie jedną bretońską piosnkę, w której rzewne jest pożegnanie wiejskiej dziewczyny z dzwonami: „Żegnajcie dzwony mojej parafii, już was więcej nie usłyszę,“—i tu nasuwają się jój wszystkie wspomnienia, którym dźwięk ich towarzyszył.

Najwymowniej jednak wyraził poezję dzwonów Chateaubriand w swoim dziele: *Génie du Christianisme*. Piękną tę kartę natchnął mu smutny stan Francji rewolucyjnej która przetopila dzwony na działa, albo też biła z nich zdawkową monetę, co byłoby jeszcze do przebaczenia, gdyby nie była zniosła obrządków chrześcijańskich. Tęsknota do tego dźwięku zwolującego wiernych przed poświęcone czci bożej ołtarze, natchnęła Chateaubriand'owi ten śliczny ustęp:

„Był to, jak mierniam, bardzo cudowny pomysł, ażeby jedném uderzeniem młotka obudzić w jednej i tej samej chwili jedno i to samo uczucie w sercach tysięcy ludzi, i zmusić wiatry i obłoki do przenoszenia myśli ludzkich. Dzwon uważany pod względem harmonii, posiada pierwszorzędne piękności; artyści w swoim języku zowią je wielkością. Łoskot gromu wprawdzie bardzo jest szczytny, lecz tylko przez wielkość swego łoskotu; podobnie ma się z wichrami, z morzem, z wulkanami, z wodospadami, lub z głosem całego ludu...“

„Atoli słodsze uczucie wiąże się z odgłosem dzwonów. Weźmy tę chwilę, kiedy w porze żniw, z pierwszym śpiewem skowronka, rozlegały się o porannej zorzy drobne dźwięki dzwonów naszych wiosek, i zdawało się wtedy, że anioł opiekujący się łanami, budzi ze snu pracowitych rolników, i wygrywa na jakimś biblijnym instrumencie historię Sefory i Noemi. Gdybym się czuł być poetą, nie pogardziłbym zapewne tym dzwonem poruszonym przez duchy w stariej kapliczce leśnej; ani temi dzwonami, w które trwoga religijna bije jak na gwałt podczas burzy, aby oddalić pioruny; ani temi, co czasu nocy odzywają się w portach morskich, aby odgłosem ich kierował się pilotą wśród skal podwodnych. Bicie we dzwony różnej wielkości i tonu w dni uroczyste, dodawało wesołości zgromadzonym tłumom wierznych, jak znowu w dniach klęsk lub nieszczęść publicznych te same dźwięki przeszywały dreszczem. Dziś jeszcze włosy stają na głowie na samo wspomnienie tych chwil mordu lub pożaru, którym towarzyszyło bicie dzwonów. Komuż z nas wyszły z pamięci te wycia, te dzikie wrzaski, przerywane milezieniem, pozwalającym odróżnić rzadkie wystrzały ręcznej broni, po których rozlegał się jęk żałosny, a głównie jęk dzwonu uderzającego na gwałt, lub bicie zegaru, który najspokojniej wydzwaniał już ubiegłą godzinę?...

„Takie mniej więcej obudzały uczucia dzwony naszych kościołów, uczucia tém piękniejsze, że z nimi mieszało się przypomnienie o niebie. Gdyby dzwony należały do jakiegokolwiek innego gmachu, a nie do kościoła, niezawodnie straciłyby swoją sympatyę moralną i nie przemawiałyby do naszego serca. Sam Bóg posyła anioła zwycięstw, aby dzwonami ogłaszał tryumfy, lub anioła śmierci, aby oznajmiał oddalenie się duszy wracającej na jego łono. W taki sposób społeczeństwo chrześcijańskie, za pomocą tych tajemniczycych dźwięków, znosiło się ze swoim Bogiem, podobnie jak wszystkie jego ustanowienia na ziemi dążyły do tego mistycznego źródła.”

Tęskne słowa wielkiego pisarza widocznie odnoszą się do przeszłości: pisał ten ustęp w chwili, kiedy dzwonom nie wolno było zapłakać nawet na pogrzebie,— a było pogrzebów tyle, że dzwony musiałyby jęczeć od rana do nocy.

Jest to ta sama tęsknota do dzwonów, jakiej doświadczają chrześciance przebywający na Wschodzie pośród wyznawców Koranu. Śpiew muezzina rozlegający się ze szczytu minaretu jeszcze bardziej ją powiększa.

Niektórzy archeologowie utrzymują, że dzwony znane były starożytnym, chociaż sam ich wynalazek i użycie nie dowodzi. Dopiero chrześcijaństwo przyswoiło sobie dzwony, wydoskonalilo je i uświęciło. Podobnie jak wiele innych rzeczy, które już były znane i używane w pogańskiej starożytności, przyjął je kościół i nadał im właściwe przeznaczenie. Zapożyczał on się od pogańskiej cywilizacji, ale w te nabytki wlewał swojego ducha i nadawał im nieśmiertelność.

Trudność niemała powiedziec na pewno, jakiego znaku używały zgromadzenia zakonne do zwoływania się na nabożeństwo w czasach od Konstantyna W. do szóstego wieku; ponieważ dopiero od tej epoki zaczęto używać dzwonów w klasztorach, jak o tym wyraźnie mówią niektóre zakonne przepisy, między innymi Ś. Benedykta, arcybiskupów: Ś. Cezarego i Aureliana, Ś. Izydora z Sewilli i wielu innych.

Co się tyczy parafialnych kościołów, można przypuszczać, że i przy nich zaprowadzono dzwony w tym samym czasie co i po klasztorach. W rzeczy samej dzwony, jak się trafnie wyraża Albert hrabia Carpe, są najstosowniejszymi narzędziami do zwoływania chrześciance na nabożeństwo; bo ani surmy, ani trąby, ani głos ludzki nie rozlegają się tak szeroko i nie brzmią tak silnie; tym mniej blachy miedziane lub deski drewniane, w które się kolące, mogą iść w porównanie z wibrującym w powietrzu dźwiękiem dzwonu.

Dla tych to przyczyn i własności, kościół przeniósł dzwony nad inne sposoby zwoływania ludzi *). Dodajmy

*) Cum igitur necessarium sit aliquod tale instrumentum construi, nullum certe commodius reperiri potuisset ipsis campanis, ad quas pulsandas non est opus magna arte vel industria, eorumque bombus longe lateque diffunditur. Ita ut etiam valde distantes, illo excitari possint, suavis est et jucundus, alacritatemque et laetitiam spiritalem attestatur fidelium. (L. VII in Erasm.).

do tego i to, że dzwony będąc niejako częścią kościoła, łączą się z budynkiem, i są jego zewnętrznym głosem. Jak zaś dalece dzwony nieodłączne są od świątyni pańskiej, dowód w tém, że, jak mówi znakomity architekt Boisserée w swoim opisie katedry kolońskiej, one wywołały i ustaliły jedną z form architektury chrześcijańskiej, to jest owe cudowne wieżyce, które od IX stulecia zaczęły strzelać w obłoki i niebu posyłać dźwięki przemykające się przez szczeliny koronkowych rzeźbień.

Temu to charakterowi religijnemu zawdzięczają dzwony, że tak w rytuałach jak w języku pisarzy kościelnych wyrażają się o nich poetycznie. Święty Jan Klimakus porównywa je „do trąb duchowych, na których odgłos bracia zakonnicy budzą się ze snu i zgromadzają się widomie, na nocne modlitwy, kiedy tymczasem nasi niewidomi nieprzyjaciele (szatany) zgromadzają się niewidomie.” W różnych dawnych rytuałach dzwony nazywano: „trąbami wojującego kościoła,” albo też „wysłańcami ludu bożego.”

Wielu dawnych autorów piszących traktaty o dzwonach, między innymi kardynał Piotr Damiani, utrzymuje, że początek wzięły od dwóch trąb srebrnych, które Jehowa kazał sporządzić Mojżeszowi dla ogłaszania ludowi, kiedy ma się przenieść na inne miejsce, lub zbierać się na jaką uroczystość, lub na odprawianie ofiar. Aczkolwiek ten wywód nie wytrzyma krytyki historycznej, wszelako być może, iż się opiera na kilku słowach Józefa w „Starożytnościach hebrajskich,” gdzie powiada, że owe trąby Starego Testamentu były zakończone na podobieństwo dzwonu: „Desinebant in extremitatem campanulae similem.”

Lecz jakkolwiek początek jest dzwonów, to niemniej godne uwagi, że weszły w powszechne używanie podobnie jak organy; dwa te instrumenta, dwa głosy kościoła: wewnętrzny i zewnętrzny, tak pod względem swój starożytności, jak powszechności i przeznaczenia, nader zbliżone są do siebie i mają tenże sam charakter. Używanie dzwonów wspólne jest całemu chrześcijaństwu, a nawet praktykuje się u niektórych narodów pogańskich. W historii kościelnej Japonu Ojca Solier'a, jest kilka o tém wzmianek, mianowicie ten ustęp: „Bonzowie, albo kapłani zawiadujący świątyniami

ku czci ich bóstwa Amida, mają wiele dzwonów rozmaitej wielkości, któremi w pewnych godzinach oznajmują ludowi czas do modlitwy. Zwykle wszyscy się schodzą, padają na kolana i wznoszą ręce do Boga.”

Kalwini i Zwinglianie długi czas używali dzwonów przy pogrzebach. Kiedy w księstwie Montbeliardzkim chciało znieść ten zwyczaj, panujący książę sprzeciwił się temu. Mieszkańcy udali się tedy do Kalwina, pytając co mają zrobić w tym przypadku? Na co on odpowiedział: „Dzwon jest rzeczą tak małej wagi, że on spierać się nie warto.” Późniejszy synod kalwiński w Dordrechcie zupełnie zniósł dzwony.

W podaniach gminnych, w wierzeniach naszego ludu, dzwony, jako poświęcone, mają wpływ na złego ducha. I tak sznurami od dzwonów chłostano opętanych, zmuszając szatana do wyjścia z człowieka, w którym siedział. Z dzwonkiem loretańskim obchodzą obejścia gospodarskie w chwili zbliżającej się burzy lub tuczy gradowej. W Wielkopolsce lud słyszy bijące dzwony w miejscach, gdzie za karę zapadło się miasto. Dzwon w Worniach na Litwie zapadł się w ziemię, a wiara ludu słyszy, jak w pewnych dniach odzywa się głuchym jękiem. Wyobrażenia te mają źródło w świętości dzwonów: ponieważ spoczywa na nich błogosławieństwo kościoła, żyją one i odzywają się, chociaż miasto z mieszkańcami uległo strasznej karze. Dodać tu jeszcze potrzeba, że odgłos dzwonów tak samo przeraża złego ducha, jak święcona woda. W legendach gminnych, szatan mający do piekła zagrabić jaką chrześcijańską zblaknąłą duszyczkę, która nie mogła się oprzeć jego pokusom, rozlewa się smołą, gdy zadzwonią na „Angelus.” Zapewne wiele podobnych wierzeń i podań możnaby zebrać między naszym ludem, mianowicie w niektórych okolicach, gdzie się przechowały dawne wierzenia, dziś nazwane przesądem.

Powiedzmy teraz słówko o archeologii dzwonów.

Pierwsze dzwony lane z kruszcem, miały być nietyle wynalezione jak wprowadzone w używanie przez S. Paulina z Noli, co jest prawdopodobnem, jeżeli zważymy geniusz poetyczny tego świątobliwego męża. Dość, że od miasta Noli nosiły nazwę; w średniowiecznej łacinie dzwon nazy-

wał się campana albo nola. Z razu dzwony były małej objętości i przenośne: tintinnabula. Późniejsza potrzeba zrodziła dzwonnice, które stawiano przy kościołach i zawieszano na nich dzwony większego wagoniaru, aby głos ich rozlegał się po mieście lub po okolicy. Ogromny dzwon w Kolonii, zwany Saufang, z VI-go wieku, był zrobiony z blach żelaznych zbitych z sobą gwoździami. Już w ósmym wieku lano dzwony z miedzi, a nawet ze srebra. Najdawniejszy dziś znany dzwon, jest na wieży Bisdomini w Sienie; ma on wysokości więcej niż półtora łokcia i nosi datę r. 1159. Kształt ma beczułki i głos ostry.

Dzwon w Cziersku poczytują za najdawniejszy w Polsce; największym jest Zygmunt na Wawelu. Dzwon Św. Jura we Lwowie, lubo ma datę, atoli nie ma zgody co do jej odcyfrowania. W wielu miejscach dzwony nasze ozdobione są pięknymi rzeźbami i herbami miast lub fundatorów.

Przy dzisiejszém zamiłowaniu w studyach i poszukiwaniach archeologicznych, byłoby zadaniem godném trudu, gdyby kto zajął się opisem najdawniejszych dzwonów i ułożył je w porządku chronologicznym, odczytując z całą ścisłością napisy i daty. Ponieważ lanie dzwonów łączy się pod pewnym względem z rzeźbiarstwem, studjum w tym przedmiocie starannie zrobione stałoby się przyczynek do historyi sztuki w naszym kraju. Tak z kształtu, z mieszaniny kruszców, ze staranności odlewu, z napisów i ozdób, możnaby wnosić, na jakim stopniu stała u nas w pewnych czasach kultura. Niemięj moglibyśmy się dowiedzieć, odkąd w kraju zaczęto odlewać dzwony, a nareszcie z kąd były takowe sprowadzone. Sztuka bowiem odlewania dość z siebie trudna, niepodobna aby kwitnąć mogła zaraz w pierwszych latach zaprowadzenia chrześcijaństwa. Dzwony miałyby zatem wiele do powiedzenia w tój materji, i przy innych poszukiwaniach rzuciłyby światło na początki rozwijającego się przemysłu i rękodzieł, a nawet sztuki w połączeniu z niemi, co właśnie należy do charakterystyki rękodzieł w wiekach średnich.

Przytoczywszy wyżej zdanie Boisserée'go, że dzwony zrodziły nowy kształt w architekturze, to jest dzwonnice,

czyli wieżę kościelną, wypada z porządku rzeczy powiedzieć słówko o dzwonicach, które grają niepoślednią rolę w budownictwie chrześcijańskim. Zdaniem wielu autorów dzwonnice powstały dopiero w XI-m wieku, co pokazuje, że z razu używano dzwonów małej objętości, które gdziekolwiek zawieszzone pełniły swą czynność. Jedni utrzymują, jakoby już w IX-tym wieku budowano wieże na wielu znacznych kościołach. Najstarsze miały kształt czworoboczny i przysiadły; nakryte były dachem krokwiastym lub piramidalnym o czterech ścianach, bez wszelkich ozdób. Często stawiano dzwonnice odosobnione od kościoła.

Od XI-go wieku wszystkie kościoły wielkie i mniejsze mają swoje dzwonnice. Atoli nie wszędzie trzymano się jednej reguły co do miejsca w jakim ją stawiano i co do kształtu. W jednych wznoszono je na przecięciu głównej nawy z poprzeczną; w innych przed główną nawą, a to szczególnie na północy; w południowych bowiem krajach długi czas dzwonnice nie wchodziły w ogólny plan budowy kościoła, lub też zachowywały formę ciężką i zgniecioną. Zazwyczaj dzwonnica składała się z dwóch części: to jest z wieży czworobocznej ze skarpami u spodu, i z piramidy kamiennj lub drewnianej nakrywającej wieżę.

Wszystkie wieże dawniejsze, przed XIII-m wiekiem, stawiane na froncie kościoła, miały pozór baszt obronnych, mianowicie w dolnych częściach. Mało w nich okien, a raczej strzelnic. Zresztą w tych latach wieków średnich, pełnych napadów i wojen między możnowładcami, kościoły bardzo często służyły za fortece dla okolicznych mieszkańców. Nie więc dziwnego, że budowano mocne wieże od strony najprzystępniejszej do wnętrza kościoła. Górna zaś część, gdzie mieszczono dzwony, była opatrzona wielu otworami czyli oknami, aby głos mógł się rozlegać. Szczegół w naszych kronikach o Małgorzacie z Zębocina, która przed napastnikami zamknęła się w wieży kościelnej, jest tylko potwierdzeniem owego rodzaju architektury, używanego w burzliwych wiekach.

Z razu nakrycie wieży bywa o czterech ścianach, później dopiero o ośmiu, coraz ozdobniejsze.

Od trzynastego wieku począwszy, dzwonnice wchodzą w zupełny skład kościoła, a właściwie jego strony naczelné; lecz dzwonnice stawiają się dopiero tam, gdzie się kończy massa murów świątyni. Część ich dolna zawsze zatrzymuje kształt czworoboczny i zlewa się z murami frontonu. Zaczawszy zaś od punktu, gdzie się oddzielają od massy murów, wznoszą się jeszcze do różnej wysokości w kształcie wież czworogramnych, przestrzelonych kilku rzędami długich a wązkich okien, pocém kończą się w iglice ośmiokątne z ciosu lub drzewa. Nad wydoskonaleniem tego rodzaju architektury pracowano przez cały wiek i więcej, nim zdołano ośmiokątną iglicę postawić na czworogramnej wieży. Trójkątne miejscea pozostawione pustemi na czterech rogach, zostały zapelnione przez cztery mniejsze iglice, a na czterech bokach odpowiednich ścianom wieży dano cztery dymniki z pinoklami. Iglica wieży Maryackiego kościoła w Krakowie, ciesielskiej roboty, otoczona jest ośmiu wieżyczkami weale oryginalnej konstrukcyi.

W następnym wieku, szczyty dzwonnice zyskały na lekkości, a długie pasma kamienne biegnące w górę, przyozdabiano kwintesami, aby odbijając się na tle błękitu traciły suchość długich linii pochyłych.

Wiele dzwonnice pozostawiono niedokończonych. Zwykle na dwóch wieżach przy kościele, jedna miała swą koronkową iglicę, gdy druga ucinała się tam, gdzie się kończyły cztery ściany. Przed trzydziestu laty projektowano we Francyi, aby na minsterze w Strasburgu i na katedrze w Rouenie podokonać te niedokończone wieże, nie już iglicami z ciosu, lecz z żelaza, mającego naśladować kamień; atoli projekt upadł, nie dla tego, żeby był kosztowny lub niewykonalny, ale że uważano jako wysoki smak estetyczny wieków średnich nie lubił się powtarzać, i dla tego na jednę poprzestawał iglicy, a przytém i to brał na uwagę, iż jedna przeszkadzałaby drugiej.

O dzwonnicach XIV i XV wieku nie ma co więcej powiedzieć, jedno to, że się trzymały owych pięknych wzorów, jakie po sobie zostawili genialni architekci z końca XIII wieku, wyjąwszy bogactwo ozdób i przejrzystość koronki. W rzeczy saméj, elegancya, delikatność rzeźb, olbrzymie

rozmiary i cudowne kombinacye tych iglic przejmują zdumieniem i obudzają podziw.

W epoce renesansu i późniejszej, kopuły różnego kształtu zastąpiły gotyckie iglice wież.

Tak więc dzwony wywołały jedną z najwspanialszych form architektury średniowiecznej, owe koronkowe wieże strzelające w obłoki.

Kościół z wielką uroczystością, obchodzi poświęcenie dzwonu, a modlitwy odprawiane przy tej ceremonii pełne są wzruszających piękności. Ceremonię tę w zwykłym języku nazywają chrztem dzwonu, z powodu, że go kropią święconą wodą i nadają mu chrzestne imię. Pomimo tego kościół nie przystaje na to porównanie; bo chociaż przy poświęceniu używa wody i świętych olejów, nie uważa tej ceremonii za sakrament, lecz za proste błogogosławieństwo, które, jak wszystkie inne, ma na celu oddzielenie przedmiotu przeznaczonego na służbę bożą od używania go do potrzeb światowych. Następnie przez modlitwę chce ściągnąć wewnętrzną łaskę, nie na sam przedmiot materialny, niezdolny do przyjęcia takowej, lecz na tych, którzy głosem tego dzwonu ostrzeżeni o chwili odprawiającego się nabożeństwa, mają obowiązek śpieszyć do kościoła. Dla czego zaś podobnie jak przy chrzcie dziecięcia, nadawane bywa imię dzwonom? prosta jest odpowiedź: że jak duch religii każe nadawać imiona Świętych pańskich kościołom, tak samo i w tym przypadku dzwon bywa polecany wstawiennictwu Świętych. Kościół wzywa zatem opieki Świętych nie dla materialnego przedmiotu, jakim jest dzwon, lecz dla wiernych, ażeby za ich przyczyną skupiali się duchem, kruszyli wewnętrznie, przejmowali ufnością i miłością, i stawali przygotowani do modlitwy, ilekroć na wezwanie dzwonów udajemy się do kościoła *).

*) *Traité des cloches* de J. B. Thiers, w edycyi r. 1781.

Wybornie tu wytlómaczył autor znaczenie i przeznaczenie dzwonów, szczególnież w tém co mówi: że to błogosławieństwo ma na celu oddzielenie przedmiotu przeznaczanego na służbę bożą od używania go do potrzeb światowych.

Dawano także mistyczne znaczenie dzwonom, uważając je za emblemat nauczania apostolskiego i mężów ewangelicznych, których słowo podobne do przenikającego dźwięku dzwonu, rozeszło się po całej ziemi; inni widzieli w dzwonach symbol kościoła, nieustannie nawołującego wiernych do brania udziału w świętych obrzędach i oddawania Twórey swemu holdu i czci należnej.

Gdy uroczyste błogosławieństwo dzwonu dziś rzadziej się przytrafia, przeto pragnąłbym dać krótki jego opis. Dzwon zawieszany pod baldachinem w środku wieży, gdzie ma być umieszczony, a zawieszany tak nisko, aby kapłan celebrujący i jego pomocnicy mogli się do niego zbliżyć. Na stole obok leżą księgi rytualne i Ewangelia, święte oleje, woda święcona, kropielnica, kadzidło i łochenek chleba; są też przygotowane żarzące się węgle, pulpity i krzesło dla celebrującego.

Księża należący do chóru zaczynają śpiewać psalm 66: „Deus misereatur nostri et benedicat nobis.” Po tym psalmie celebrant żegna wodę, i głośno modli się, aby woda ta święcona użyczyła mocy dzwonowi zwoływania dzieci kościoła; następnie, aby głos jego odpędzał duchy ciemności, oddalał grady, pioruny i wszystkie nawałnice i burze.

Po odczytaniu ustępu z ksiąg Pisma Św. o trąbach Mojżeszowych Starego Zakonu, celebrujący kapłan zapytuje obecnych osób, jakie imię ma być nadane dzwonowi? Późem razem z kumami z lekka uderza w dzwon, jakby ten dawał zezwalającą odpowiedź; diakoni zaś i subdyakoni kropią go święconą wodą, a chór śpiewa psalm 28, po którego odśpiewaniu celebrujący daje mu namaszczenie śś. olejami w miejscu, gdzie jest na dzwonie znak krzyża w płaskorzeźbie. Dzwon bywa w siedmiu miejscach pomazany śś. olejami ze strony zewnętrznej, w wewnętrznej zaś w czterech, zawsze w imieniu Trójcy Św.,

Najśw. Panny Maryi i patrona lub patronki, których imię mu dano. Odprawiwszy to, celebrujący odmawia modlitwę błagającą Boga, aby dzwonowi użyzył mocy trąb jerychońskich, na których odgłos runęły mury tego nieprzyjacielskiego miasta.

Na zakończenie tej ceremonii zwanój suffumigatio, odśpiewany bywa psalm 150: „Laudate Dominum in Sanctis ejus;” poczem dyakon podaje celebrującemu kadzielnicę, który okadza dzwon, narreszcie odśpiewują Ewangelię Mateusza Św., gdzie jest mowa o przyjściu Zbawiciela na sąd ostateczny.

Raz jeszcze celebrujący daje ciche błogosławieństwo dzwonowi, i takowy jest już poświęcony.

Nie nadarmo więc biją we dzwony dla odpędzenia piorunów, burz, nawałnie i gwałtownych wiatrów. Zwyczaj ten, jak widzieliśmy, ma swoje źródło w powyższej opisaniej ceremonii, co też wybornie wyraził dwuwiersz łacińskiego napisu na dzwonie:

Laudo Deum verum, plebem voco, congrego clerum,
Defunctos ploro, pestem fugo, festa decoro.

Ta tradycya kościelna przechowała się między ludem w każdym kraju. Z tego powodu zaczęto oskarżać kościół, że szerzy szkodliwe przesady, albowiem dzwonienie podczas burzy ściąga raczej niż oddala pioruny; co zresztą może być słuszném w niektórych przypadkach, lubo tu rzecz idzie o całkiem co innego. Kościół dobrze wie o tém, że kruszec może ściągnąć iskrę elektryczną, czyli piorun; ale że mniej przyznaje naturze, a więcej Temu, który ją stworzył,—dla tego kładzie ufność w poświęcone dzwony i w te modlitwy, jakie na ich odgłos zanosi do Nieba tłum wiernych. Wielu pisarzów w traktatach o dzwonach, wymownie odpiera te zarzuty; między innemi Delrio tak mówi:

„Nie myślny, aby katolicy mieli tak ciasne mózgi, żeby słońce prawdy nie mogło się do nich przecisnąć. Wiedzą oni, że kościół ich nie naucza, aby burze i uragany miał rozpędzać sam odgłos dzwonów, bo armatnie wystrzały lepiej odpowiedziałyby temu celowi, niż dzwo-

ny. Kościół przyznaje całą moc jedynie poświęceniu ich i błogosławieństwu, jakie na nich spoczywa. Poddanie się i ufność w bożką opiekę rodzi tę wiarę w cudowne odpędzanie piorunów i burz.⁷

To, co się powiedziało o znaczeniu dzwonów w chrześcijaństwie i o ceremonii poświęcenia ich czyli chrztu, mogłoby posłużyć jakiemu artyście malarzowi do kompozycyi obrazu ściśle historycznego, mianowicie w pojęciu ważności obrzędu; co naturalnie musiałoby ceremonii kościelnej naznaczyć pierwsze miejsce, a dwór i robotników pomieścić w akcesoryach.

Wprawdzie nie mamy dokładnego sprawozdania o tych ceremoniach, jakie odbywały się przy poświęceniu dzwonu Zygmunta; atoli śmiało utrzymywać można, że się zgadzały z powyższym danym opisem, a ten, ile nam się zdaje, ma nierównie więcej majestatycznej powagi i poezyi, niż wyteżenie sił fizycznych uwieszonych przy sznurach robotników. Sam nawet mistrz sztuki odlewania dzwonów, dumny ze swego dzieła, ustąpiłby celebransowi, kiedy ten, pełen gorącej wiary, błogosławieństwem przelewa moc bożą w dźwięczne narzędzie.

VI.

OGRODY W HISTORYI I POEZYI.

W krajach, gdzie sama natura postwarzała czarujące widoki, zakładanie zdobnych ogrodów i parków byłoby rzeczą zbytkową, niepotrzebną, jak noszenie drew do lasu, lub sów do Aten. Takie sztuczne piękności uwłaczałyby tylko wspaniałościom samorodnym; kopia pozostałaby zawsze niższą od oryginału.

Dawna Grecya, Włochy, piękne same przez się, nawet wśród największego kwitnienia i zbytku nie myślały o zakładaniu pejzażowych ogrodów, których pomysł urodził się dopiero w zeszłym wieku, i to na północy, gdzie uboga w widoki natura uciekla się do sztuki, i naśladowując znane piękności południa, niemi zdobyła swoje prozaiczne równiny, i pod ołowiane niebo przenosiła drzewa i rośliny przypominające słońce Neapolu, Archipelagu lub Indyj.

Pejzażowy ogród to dziecko nowszej cywilizacyi, znużonej kapryсами sztuki.

W najodleglejszej starożytności i potem, gdziekolwiek zawiązywały się społeczeństwa, zawsze przed pięknością szła potrzeba, — tak samo jak i dziś, każdy wpieryw myśli o sadzie owocowym i ogrodzie warzywnym, niż o klombach, mostkach, wodospadach lub o parku.

Człowiek pierwotny, uporawszy się ze zwierzętami, wziął się zapewne do przyswojenia sobie świata roślinnego, — i to był początek sadu i warzywnego ogrodu.

Z wyjątkiem raj, którego opis przechowany w Piśmie Sw., a będący raczej wizerunkiem cudownej i wspaniałej krainy dziwów stworzenia niż ogrodem, starożytność grecka przekazała Homerowi do odmalowania taki sad, jaki ku potrzebom życia służył i w patryarchalnych i bohaterskich czasach tak samo jak dzisiaj.

Poezya nie tu nie snuła z fantazyi, ale opowiadała to, na co patrzała w rzeczywistości. Zobaczmyż jak wyglądały ogrody Alkinoosa:

Za dziedzińcem sad duży ciągnął się od brony
Czteromorgowy, w koło płotem ogrodzony,
Kędy drzewa wysokie i kwieciami okryte
Rodzą granaty, gruszki, jabłka wysmienite,
Słodkie figi. Toż drzewa oliwne tam były;
Przez rok cały, tak zimą, jak latem rodziły,
Bo w ciepłym zefirze, co tam wciąż powiewa,
Jeden owoc się kłuje, drugi już dojrzewa;
Jabłko idzie po jabłku, gruszka gruszkę spycha,
Figa figę, i owoc zawsze się uśmiecha.
Widać tam i winnicę bujną w winogrona;
Część jej większa na upał słońca wystawiona,
Ażebym schły jagody; więc jedne w kosz biorą,
Drugie tłoczą; wiośniarki dochodzą niesporo;
Tu kwiat ledwo, tam już się rumienią jagody.
Za sadami warzywne leżały ogrody:
Grzędy ziół wonnych, kwiatów pstrokatych bezlikiem;
Jest i dwie krynie, — jedna przez sady strumykiem
Wije się, druga pańskie podwórze obmywa,
Z niej wody na potrzebę lud miejski używa....

Jak widzimy, w cudownych tych ogrodach Alkinoosa zupełnie tak samo wygląda jak u nas, tylko zamiast granatów, fig, oliwek, posadźmy śliwy, wiśnie, czeremchy, agresty i porzeczkę. Słowem jest to ogród dla pożytku.

Można go też sobie z tego opisu wystawić jak wyglądał.

Ponież dworca królewskiego wytryska źródło i tworzy sadzawkę, a druga część obitego źródła przebiega i użycia obszerny sad leżący na stoku wzgórza, narysowany

w kwadrat, objęty żywym płotem i ulicami tworzącymi wewnątrz kwatery. Wyżej, bliżej dworca, są drzewa owocowe, a pod niemi, na pochyłości obróconej ku słońcu, rozciąga się winnica. Ogród warzywny leży na samym dole po obu brzegach potoku, puszczonego dla użyźnienia gruntu. Oprócz warzyw są tam i wonne zioła, i kwiatki.

Odysseja daje nam jeszcze obraz starego Laertesza, poświęcającego resztki życia uprawie ogrodu. Dawni królowie na starość brali się do motyki, i sadząc a okrzesywając drzewka, filozofowali nad marnościami tronów. Podobnie i Salomon sam swoją ręką pracował około upięknienia Libanowego ogrodu, gdy mówi: „Porobiłem sadzawki wód czystych dla skrapiania pozakładanych zwierzyńców.”

Tak w stariej Grecyi jak w Italii były jeszcze bogom poświęcone gaje, zwykle w pobliżności jakiejś świątyni, co bardzo było w harmonii z charakterem tych bogów wyszłych ze zjawisk przyrody. Sądząc z opisów napotykanych w autorach starożytnych, gaje te były niemal to samo, co nasze zwierzyńce: chowały się w nich bowiem kozy, woły, nierogacizna, przeznaczone do ofiar publicznych. Zresztą w tej Grecyi, gdzie sztuka wysiliła się w rzeźbę i architekturę, gdzie malowniczość widoków sama z siebie tak rozmaita, nie zajmowano się upięknieniem tego, co było już pięknnością skończoną. Kilkanaście posadzonych platanów i wiązów wystarczało dla filozofujących pod ich cieniem akademików.

Wschód starożytny, gdzie wszystko miało taką olbrzymią cechę, że dziś odkopywane tam ruiny Palmiry, Niniwy, Babilonu, zdumiewają ogromem kolumn i gładów wiążących się w gmachy, o jakich chyba fantazya jakiego dekoratora czarodziejskiej opery mogłaby marzyć,—Wschód słynął ogrodami, które do siedmiu cudów świata liczono. Sławne wiszące ogrody babilońskie miały być dziełem Semiramidy. Strabon i inni opisali je z pewnym podobieństwem do prawdy. Raj ten napowietrzny był kwadratowego kształtu, mając z każdego boku długości około sześćdziesięciu sążni. Taras na tarasie wznosił się w górę piramidalną. Pod każdym tarasem były galerye sklepione, dźwigające ziemię i drzewa. Na pokładzie granitów rozesłano trzcinę

zmieszana z asiałtem; na tém kładziono dwie warstwy cegły spojonej gipsem, na to szły płyty ołowiane dla ochronienia murów od przeciekającej wody. Na tém wszystkiém dopiero spoczywała gruba warstwa ziemi rodzajnej, mogącej utrzymać drzewa po pięćdziesiąt łokci wysokości. Sztuczny ten grunt doskonale uprawiony, żywił mnóstwo roślin wprowadzonych z najdalszych stref, a odznaczających się bądź wielkością, bądź owocem, bądź osobliwym kwiatem i liściem. Słowem ogród ten miał podobieństwo do lasu pnącego się w kilkanaście pięt. Galerye wychodzące na każdy taras mieściły pokoje królewskie, najwspaniałej przyozdobione, a w jednej z nich były urządzone maszyny, ciągnące wodę z Eufratu, która tryskała z fontanny lub rozchodziła się podziemnymi kanałami, utrzymując wilgoć w warstwach ziemi, co dawało drzewom i krzewom wieczną zieloność. Można sobie wyobrazić, jak ta królewska oaza odbijała od piaszczystej, spalonej dokoła pustyni. Dziś jeszcze jakiś podróżny, zagnany w badaniach swych na babilońskie stepowisko, miał znaleźć w miejscu tych dawnych ogrodów drzewo noszące pięćno wielkiej starożytności i ledwo żyjące końcami swoich gałęzi. Naturaliści dowiedli, że egzemplarz tego drzewa obcy jest téj okolicy, i tylko znajduje się w Indyach. Ta okoliczność, jeżeli nie jest dziełem przypadku, mogłaby świadczyć o wysokim postępie babilońskiego ogrodnictwa, zaliczanego niegdyś między cuda świata.

Zresztą rzecz łatwo dająca się wytłómaczyć, że w pustyniach Azji Mniejszej, nie było bardziej pożądanego niż drzewo cienia użyczające i woda bieżąca; dla tych dwóch warunków musiała się wysilać sztuka ogrodnicza, a nianowicie hydraulika. Arabowie zawsze uchodzili i uchodzą za mistrzów sztucznych nawodnień.

Jednakowoż ogrody i parki z nieregularnością wziętą z natury, a które u nas od niedawna dopiero zaprowadzono, wzięły początek, jak niektórzy utrzymują, w najgłębszym Oryencie, to jest w Chinach, co wyprzedziwszy tysiącami lat Europę w wykwiatach cywilizacji, pokutują teraz chorując na zgrzybłość. W ich starych księgach mądrości spotykają się częste opisy zwierzyńców. Między

innemi jeden z takich mędrców Meng-tsen rozpowiada o parku, mającym siedm mil obwodu, gdzie wolno było każdemu Chińczykowi polować i zbierać drzewo na opał. Bardzo to chwalebnie, atoli nie musiał on więcej obfitować w zwierzynę niż nasze laski w pobliżu Krakowa; dla tego też lud mocno się uskarżał, że ów park Wen-Wanga był za szczupły. Za to znowu inny cesarz Wu-ti, wielki krajów zdobywea, co dotarł do Indyj i do morza Kaspijskiego, założył zwierzyniec mający pięćdziesiąt mil obwodu, pełny pałaców, kiosków, pieczar i rozmaitych ozdób, w którym pracowało rok rocznie trzydzieści tysięcy robotników. Z każdej prowincyi musiano dostarczać najosobliwszych egzemplarzy drzew, krzewów i kwiatów. Inny znowu cesarz miał wstręt do ogrodnictwa i mawiał, że chciałby całe Chiny zrobić jednym ogrodem uprawy, że gdyby jego poprzednik mniej był wydawał na upiększenie ogrodów, milionom ludzi nie brakowałoby ryżu do pożywienia.

Piękne to były myśli, ale Państwo Niebieskie w sobie zamknięte, nie udzieliło ich nikomu, równie jak sztuki zakładania pejzażowych ogrodów.

W starój Romie, bogatěj we wszystkie przepychy świata, sztuka zakładania ogrodów nie była zapomniana, témbardziej, że życie publiczne kwiryków pełne zabiegów i wymuszonej układności, rozstrajało nerwy, zużywało siły umysłowe i témbardziej ciągnęło do wypoczynku w te załomy błękitnych gór opasujących Romę, gdzie pod cieniem dębów lub pinij zamieniali zgiełkliwe forum na szmer kaskatellów. W samém mieście nie obeszło się bez licznych ogrodów, — atoli te mimo całego przepychu nie dawały ochrony od wiejącego sirocco. W górach dopiero poblizkich stary Rzymianin, jak i dzisiejszy, używa zupełnej przyjemności willegiatury.

Pełno rozkosznych willi patrzyło na Rzym ze stroměj pochyłości Tuskulańskićj. Cycero miał tam przepyszny dworzec, istne muzeum dzieł sztuki. Ogrody Rzymian nosiły cechę zepsucia zbytkiem. Drzewa, jak je stworzyła natura, wydawały się za nadto pospolitemi, więc je strzyżono w regularne kształty; strumyk nie mógł płynąć kapryśnym korytem, tylko tworzyć wyrównany kanał, lub wlewać się

w sadzawkę wyłożoną marmurowemi płytami, w której pływały mureny ciałem niewolników karmione. Wszędzie stały posągi lub świątynki; bukszpan na rabatach rysował cyfry lub postaci zwierząt; uliczki biegły pod sznur; a tu i owdzie wznosił się portyk z kolumnadą owiniętą w liść winogrodu, gdzie w upały używano chłodu.

Były to ogrody w klasycznym smaku, bez poczty, ale obrachowane na wygodę i potrzebę.

Pliniusz Młodszy w jednym ze swoich listów daje wizerunek ulubionej swój willi leżącej u stop Apeninu. Miał on poczucie natury, choć hołdował przyjętemu smakowi.

„Sama miejscowość—pisze — niezrównanej piękności. Wyobraź sobie ogromny amfiteatr, na jaki tylko może się zdobyć natura: obszerna płaszczyna otoczona dokoła górami zarosłemi wysokopiennym lasem. Pełno tam wszelkiego rodzaju zwierzyny. Wzdłuż wzgórzy ciągną się winnice tworzące jakby jeden szereg. Dalej idą łąki i łany uprawne. Tyber przepływający przez pola jest tu spławny, i czasu zimy i wiosny idą nim zapasy żywności do Rzymu. W lecie tak wysycha, że przejdiesz suchą nogą; dopiero w jesieni powraca mu nazwisko rzeki. Wielka to rozkosz patrzeć na tę okolicę z wysokości góry. Zdaje ci się, że nie zwykłą wieś, ale widzisz krajobraz ułożony podług idealnego wzoru, tak dalece oko zachwyca się układem i rozmaitością przedmiotów.

„Przed portykiem widać rabaty wysadzone bukszpanem w najosobliwsze wzory; dalej jest trawnik stoczysty, około którego stoją z bukszpanu cięte różne postaci zwierząt symetrycznie ułożone. Dokoła zaś idzie ulica ze smukłych drzew rozmaicie obciętych, i łączy się z promenadą w kształcie cyrku, gdzie bukszpan przybiera najrozmaitsze kształty, gdzie są drzewa zmuszone sztuką trzymać się przy ziemi. Cały ten ogród otacza mur, zakryty w kondygnacye sadzonym bukszpanem. Czarujący ztąd widok na naturalne piękności łąk, tak samo jak go tu czarowała sztuka.”

Nie będę nudził czytelnika, prowadząc go dalej po wszystkich częściach tej ogromnej willi, która mogłaby się mierzyć z najwspanialszemi dziś rezydencyami monarszemi;—

tyle tylko dodam, że za każdym krokiem spotkałby go bukszpan wyprawiający takie same łamane sztuki jak kłowny w cyrku Rentza, lub spotkałby się usiadłszy na kamiennój ławeczce z deszczem drobnych wodotrysków bijących z niej na wszystkie strony.

Rzymianin, prawnik i polityk przedewszystkiē, kiedy nawet i poezyi musiał się uczyć od Greków, nie miał w ogóle uczucia dla tego co proste, co naturalnie piękne. W taki też sposób pojmował poezyę ogrodu.

Jeden Horacy w obec tych klasyków bukszpanu był, jakby rzec, romantykiem. Kochał on wieś, lubił pola i lasy, szemrzące potoki, tak jak je natura stworzyła. Nie zostawił on nam opisu swego folwarczku w górach Sabińskich, ale za to z tylu strofek pieśni jego wieje swobodne powietrze, którēm rad oddychał, czuć woń macierzanki, słychać szum boru i klekot kryniey. Każdy załamek ziemi, wzgórze czy dolina, drzewko czy źródelko, odbiło się w jego pieśni z tēm piętnēm prawdy, z tą trafnością wyrażenia, jaką mogą mieć tylko poeci tego nazwiska godni. Dla nas, cośmy przywykli do pejzażowych opisów, dziś tak nadużytych, przelotne rzuty pendzla Horacego zdają nam się za skąpe, za niedokończone; — ale w tēm właśnie jego mistrzowstwo, że unikając tēj opisowėj amplifikacyi, tyle przecięż co powie, wystarcza, żeby czytelnik resztę wyobraźnią dopełnił. W kilku wierszach zrobił obraz Tyburu (dzisiejszego Tivoli), dając mu pierwszeństwo nad najwspanialszemi widokami Grecyi.

Ani Laryssy żyzna okolica,
Ni twarda Sparta tak mię nie zachwyca,
Jak ten rozkoszny gaiczek w Tyburze,
Jak Albunei jaskińska na górze
Dudniąca szumem Aniowėj kaskady,
Jak te wilżone strumykami sady.

A w tēj apostrofie do źródła Banduzyi ileż prawdziwego uczucia! ile malowniczości!

Źródło Banduzyi, jasny kryształ,
Stoisz za wino, za wonne kwiaty...
Wód twych Psia gwiazda wyssać nie może;
Do ciebie zawsze błądzące trzody

I wól, gdy dość się w plugu naorze,
Przyjdą poszukać słodkiej ochłody.
Kiedyś zasłynieś ty mojem pieniem
Razem z tym dębem na wierzchu skały,
Co się zwieszając otula cieniem
Rzeźwiące twoje kryształy.

Horacyusza pomawiano o dworactwo; mniemam, że niesłusznie. On tylko umiał być wdzięcznym dla dobroczyńców swoich, którzy poccie uwili wiejskie uroczę gniazdeczko w górach Sabińskich i Tyburze. Przeciwnie, a wierzę w jego szczerość, nienawidził on przepychu dworu i miasta; mogąc piąć się po szczeblach ambicyi, prawdziwy kochanek pól i lasów wołał swój kawalek ziemi uśmiechający się mu nad wszystko, gdzie nie zazdrościł Mecenasowi ani jego pałacu na Eskwilinie, ani tym wszystkim, co upędzali się za złotem i godnościami, lub tonąc w zbytkach, zapominali o śmierci.

Trudno się oderwać od tego sympatycznego Rzymianina, umiejącego na swojej lutni wybrać tony, z jakimi się nie spotkasz w całym tym świecie tak artystycznym, tak paragrafami przesiąkniętym, tak zabijająco prozaicznym, jak bukszpanowe rabaty i laweczki tryskające wodą w ogrodzie Pliniusza.

W wiekach średnich, obmurowanych w zamkach i klasztorach, nie było miejsca na pejzażowe ogrody; za czém nie idzie, żeby z tych wysokości, na jakich stały feudalne gniazda, nie używano najwspanialszego widoku, jakiemu najrozleglejszy i najumiejętniej założony ogród sprostać nie zdoła.

Jedni tylko hiszpańscy Maurowie słynęli wtedy rozkosznymi ogrodami, w których grała cała fantazyja wschodnia, posilkowana przez sztucznie prowadzoną wodę, wytryskującą nieraz przez ciąg długich ulic; atoli i tam nie obeszło się bez zbytku sztuki, przerabiającej naturę na swoje kopyto. Widziałeś tam kanały wyłożone marmurem, biegnące pod sklepieniem cisów dziwnie powyginanych i wystrzyżonych; widziałeś w środku ocembrowanej sadzawki laur różowy tworzący jakby kosz, z którego jakby tyśiące roślinnych rac wystrzeliwały kwiaty; widziałeś stru-

myki w łożu z polewanój cegły, pędzące spadziścią jak szalone; z klombów nawet były fontanny,—słowem cała góra była jakby jednym wodotryskiem.

Hydraulika miała taką przewagę w arabskich Huer-tach, że sama sztuka zakładania ogrodów schodziła do drobnych rozmiarów. Tój jednak umięjętności rozprowadzania wody Grenada ma podziękować, że jest rajem hiszpańskim, i że używa wiecznój wiosny w afrykańskój temperaturze.

W szesnastym wieku, kiedy tradycya starożytności greekiój i rzymskiój odżyła, nastal smak inny w ogrodach, mający przymioty i wady ogrodów willi Pliniusza lub Adryana. I tak z jednój strony wybitna symetryczność w prowadzeniu linii prostych, architektura co krok mieszająca się z roślinnością, zręczne nagięcie natury do sztuk i dzieł ludzkich, a z drugiej najdziwaczniejszy kaprys w tych altankach wyciętych w zieloności drzew, w tych sklepionych arkadach, w tych cyfrach i herbach wysadzanych bukszpanem, w tych niespodziewanych wytryskach wody, słowem w tym zbytku zepsutego smaku, który jednak w ogólnój harmonii nie był bez wdzięku.

Charakter włoskich ogrodów, ze świetnój epoki renesansu, najlepiej umiała schwyć poczya śpiewaka „Jerozolimy Wyzwolonój.” Cały ten ustęp, gdzie opisuje ogrody Armidy, zdaje się być wierną kopią, zdjętą z ogrodów księcia Ferrary.

Po Homerze, Tassowi dostał się pendzel, dla odmalowania tego krajobrazu. Posłuchajmy jego opisu w tych pełnych muzyki oktawach, które delikatna ręka młodej poetki umiała tak ślicznie powtórzyć w polskim przekładzie, że mimo twardości naszój mowy, czuć jakby dźwięki harmonii italskiój:

Kragłym jest gmach bogaty, a we środku koła
Ze wszystkich stron zamknięty leży sad ukryty,
Tak strojny, iż przewyższyć blask ogrodów zdoła,
Których piękność w pamięci kwitnie nieprzeżytej.
Tam moc duchów nieczystych stworzyła dokoła
Labirynt nieprzejrany, wielki, nieprzebyty,

Tam tysiąc dróg zawiłych krąży wśród obwodu,
I myląc wzbrania wejścia do cudów ogrodu.

Gdy już ścieżek zawiłych przebyli krąg cały,
Sad przed nimi się nagle rozpostarł uroczy:
Tu z wód słodko drzemiących tryskają kryształy,
Tu słońce złoci wzgórze, cień doliny uroczy,
I kwiaty, krzewy, ziola, grotty, gaj wspaniały
Na raz wdziękiem i blaskiem olśniewają oczy;
A to, z kądem dzieła piękność, z kądem urok przybywa,
Sztuka, co wszystko tworzy, wszędzie się ukrywa.

Rzekłbyś (tak ze złudzeniem tu prawda zmieszana),
Że prawdziwe ta ziemia, te kwiaty, ruczaje,
Że to sztuka natury, która rozigrana
Naśladownicę swoją z uśmiechem udaje.
Powietrze, w którym kwitną i łąki i gaje,
To woń przez czarodziejki potęgę rozwiana.
Tu z wiecznym kwiatem owoc wiecznie krasi drzewa,
I ledwie pierwszy błysnął, już drugi dojrzewa.

Na pniu tym samym, w pośród téj samej zieleni,
Po nad figi zawiązkami, figa nęci oko;
Tu na jednej gałązce jabłko się czerwieni,
Przy niem drugie zieloną kryje się powłoką;
A tam kędy sad błyszczy od słońca promieni,
Wino w bogatych splotach wspina się wysoko;
Tu ledwie świta grono, tam złotem połyska,
I z rubinowych jagód zdroj nektaru tryska.

Nadobnych ptasząt chóry uroczeni tony
Brzmia wesoło pomiędzy wiosennymi krzewy;
Szepece wietrzyk — i woda, i gaik zielony
Szepeca lekkimi wiatru trącane powiewy;
Gdy ptaszki mileżą, wietrzyk śpiewa ośmielony,
Leez gra słodko i z cicha, gdy brzmia ptaszków chóry, —
I czy to czary sztuki, czy natury wdzięki,
To sam nęci, to ptaszkom wtóruje piosenki.

Lecz pomiędzy innemi, lata wśród dąbrowy
Ptaszek dziwnej piękności, z jaskrawemi pióry,
I głos dziwny wydaje z pod dziobka z purpury,
Głos wyraźny i czysty, jak dźwięk ludzkiej mowy.
I teraz on przemawia tak miłemi słowy,
Że w zdumieniu już ptasząt oniemiały chóry,
A dokola słuchając głosu tego brzmienia,
Uciechły i fontanny i wiatru westchnienia.

Ogrody te bardzo sztuczne i wymanierowane, powstające we Włoszech, miały tę wyższość nad podobnemi gdzieindziej, a zwłaszcza u nas, że je otaczał urok wspaniałych widoków natury. Przeniesione na północ, smutną odgrywały rolę, lubo zatrzymały zawsze nazwę włoskich ogrodów. Smak ten przeniósł się do Francyi, gdzie obok wszystkich śmieszności w dręczeniu drzew przyjmujących kształt halabardników, lwów, brytanów, słoniów, a nawet instrumentów muzycznych, wydał i znakomitego planistę Le Nôtre'a, który był naśladowcą włoskiego stylu, jednakoż rozwinięwszy go na olbrzymią skalę, stworzył ogród francuzki, zostawiając po sobie takie monumenta, jak ogród wersalski, St.-Cloud, Meudon i t. p. Prawdziwa jego wyższość była w jedności planu, w czém szedł krok w krok z tragedją rasynowską; pojmował on, że ogród powinien być jakby przedłużeniem pałacu, tak, iż z jednego punktu, za rzutem oka, można było całość ogarnąć. Pomysł ten pod względem sztuki ma pozorną wyższość nad nieregularnym ogrodem angielskim, który żadnego nie może mieć związku z gmachem mieszkalnym; sztuka ma bowiem na celu nie tylko samo naśladowanie natury, lecz użycie jęj własności i wdzięków do potrzeb i myśli człowieka. Zapewne dziś przechodząc się po tych olbrzymich królewskich ogrodach, tęnących takim smutkiem i chłodem, nie przypisujemy tego ich pompatyczno-nudnej symetryczności, ale raczej opuszczeniu, w jakim się znajdują. Pałac wersalski stoi pustkami—nie ma w nim dworu Burbonów—przechadza się tylko melancholia dumająca nad przeszłością. Ale ożywmy myślą ten dwór elegancki, romansowy, rycerski i puśmy tą ginącą w oddali ulicą wy-

purowane, ogoniaste piękności, szeleszczące jedwabiem, otoczone rojem diuków i markizów pachnących i nadskakujących; posłuchajmy ich rozmów tryskających dowcipem jak te bijące wodotryski; zajrzyjmy do tych altan, współniczek tyłu serdecznych a i politycznych tajemnic; wyobraźmy sobie dni uroczyste, galowe,—a każdy zakątek, każda perspektywa ożywi się, i wytlómaczy, że tylko przy takim Wersalu mógł powstać taki monumentalny ogród.

Jego przeszłość robi jego poczę. Właściwie bowiem ogrody francuzkie, hołdujące tradycyi klassycznej, nie zostawiają wiele wolności naturze; sztuka przysiadła ją za każdym krokiem. Woda tam nie płynie zwyczajnym korytem, ani tworzy nieregularnych zwierciadeł, ale wlewa się w ocembrzone basseny i urny. Trawniki jak w ramy oprawione w bukszpan, na grubość muru i wysokość człowieka, tworzą trójkąty najregularniejsze; szpalery ciągną się pod linię, i tyle przepuszczają nieba, ile go widać w ciasnej uliczce wielkiego miasta. Nierówności ziemi zastąpione są kamiennymi schodami; rabaty kwiatów okala ów nieunikniony bukszpan; a i kwiaty tu nie rosną uroczym nieładem, lecz tworzą pewny rysunek, co wszystko przypomina dywan kanwowej roboty. Dodajmy do tego nieuniknione Neptuny i Amfitryty przeglądające się w zwierciadle wody, fauny i satyry wyglądające z krzaków—zgola wszędzie i wszędzie dekorację — a mieć będziemy charakter włosko-francuzkiego ogrodu w stylu klassycznym.

Anglia, która długi czas szła za smakiem Włoch i Francyi, zaczęła inaczej pojmować sztukę zakładania ogrodów, odkąd geniusz Milтона pokazał jej cuda Raju.

Walpole nazywa Eden Milтона prawdziwym ogrodem angielskim, i gniewa się, że kilkadziesiąt lat upłynęło, jak wszyscy czytają Milтона, a dotąd nikt planu tego nie śmiały wykonać. W rzeczy samej piękny jest opis Edenu, ale nie różni się niczem od innych opisów natury. To jednak godne uwagi, że już uczuwano niesmak do tej sztuki, co tak wieczy narzucała przyrodzonym pięknościom.

Głównymi jednak obrońcami pejzażowego ogrodu byli Addison i Pope. Ostatni nietylko wydrwił w wierszach satyrycznych zły smak panujący, ale w niewielkiej swojej

posiadłości Twickenhamie założył ogród, który się stał jakby *alma mater* innych ogrodów.

Wszakże dopiero prawdziwym pejzażystą był Kent, żyjący na początku zeszłego wieku.

Miał on za zasadę, że natura nie znosi linii prostej, z czego znowu wypadła ta niedogodność, że w ogrodach jego nie było jedności. Dla tego to park angielski, będący wierną kopią natury, nigdy nie jest skończony. Ziemię uważa on jak płótno, ogród jak malowidło na niem rzucone za pomocą wody i drzew, tych dwóch kolorystów. Widoki należą do najistotniejszych piękności każdego ogrodu. Byłe umieć skorzystać z miejscowości, wszędzie można stworzyć największą różnaitość, a tém samém uniknąć monotonii, właściwej ogrodom w stylu klasycznym.

Jak widziny, był to romantyczny styl, wypowiadający posłuszeństwo swemu poprzednikowi. Odtąd rzeczywiście zaszła reforma w ogrodach. Zbliżono się do natury. Jaka ztąd korzyść, pojmie się łatwo, gdy przypomnimy sobie zasadę Kent'a, że *ogród pejzażowy niepowinien się kończyć*. W takim razie cała prowincya może się w ogród zamienić. Ogród klasyczny, oddalając się od natury, miał zaletę jedności planu, harmonii ogólnej, umiejętności łączenia wszystkich części; lecz za to, zamknięty w sobie uchodził raczej za dziwo sztuki, za przedmiot ciekawości, za kaprys możnego pana, plód zbytku i marnotrawstwa, nie zaś za wzór mogący służyć dla wszystkich, tak majątniejszych jak uboższych, nie za szkołę przyprowadzenia okolicy, prowincyi, kraju do stanu tak wysokiej kultury, żeby ogół mógł przybrać charakter ogrodu.

Tę myśl już był rzucił Addison, gdy pisał przed półtora wiekiem: „Gdyby łąki upiękniano kwiatami tu i owdzie rzucanemi, gdyby drogi biegły w cieniu starych drzew i klombów kwiecistych, natenczas każdy właściciel choćby szczupłego kawałka ziemi przyczyniłby się do utworzenia najrozkoszniejszego pejzażu.“

I rzeczywiście, w krajach wysoko posuniętej kultury, najsmutniejsza okolica przybiera charakter ogrodu. Tego zamilowania w pejzażu układanym z drzew, kwiatów i wody nigdyby nie obudził ogród w stylu klasycznym, hoł-

dujący wyszukany i kosztownym pięknosciom; missya ta dostała się tak zwanemu ogrodowi angielskiemu, którego styl dziś panuje udzielnie...

Z tego ogólnego poglądu, będącego wstępem objaśniającym, pozostaje mi tylko przenieść się z czytelnikiem w polskie ogrody.

Czy polski ogród ma jaki odrębny charakter?

Jeżeli weźmiemy pod uwagę miejscowy obyczaj, krajową roślinność, tedy fizyognomia jego różni się od ogrodów innych krajów, mianowicie południowych. Poeta także może znaleźć w nim czy kwiat, jakiego nigdzie nie znajdzie, czy drzewo, pod którym młodość przemarzył, jakiego także gdzieindziej nie znajdzie, aż do olbrzymich słoneczników, szczawiów, łopuchów, pokrzyw, przez które patrzył Tadeusz, goniąc za ślicznymi oczkami Zosi. Fantazja z tego surowego materiału, podobnie jak z traw stepowych i piasków pustyni, może czarodziejskie tworzyć obrazy, harmonizujące lub kontrastujące z uczuciem i położeniem bohatera poetycznego dramatu; atoli z kulturą i sztuką tworzenia ogrodów nie ma to innego powinowactwa, tylko że z tych poetycznych piękności, cokolwiek dzikich, powstają piękności cywilizowane, mające to do siebie, że się zbliżają podobieństwem, z różnicą, jak mówiłem, podniebia, roślinności i przypadłości gruntu, — chociaż ściślej rzeczy biorąc, jedno tylko niebo, czyli klimat zostaje niezmiennym; sztuka bowiem sili się przyswajając egzotyczne rośliny, drzewa, kwiaty, a nawet tworzy skały, wody, wodospady, grotty tam, gdziebyś nie znalazł nawet kamyka, żeby się od psa napastnika obronić.

Mimo więc najlepszej chęci, niepodobna znaleźć tam odrębnej cechy, gdzie rzecz sama przysła jak towar zagraniczny, a nie wyrodziła się sama z siebie. Przesadne pojęcia o narodowości, każą często zapominać, że najbardziej narodowe kraje winny swój wysoki wzrost, swoją kulturę i cywilizację jedynie temu, iż przyswoiły sobie wszystko, co gdzieindziej najlepszego znalazły. Angielski pejzażowy ogród wykształcił się dopiero przez stosunek z Chinami, gdzie ten rodzaj od wieków kwitnął, wytworzony zapewne socyalną potrzebą. Pięćdziesięcio-milowe zwie-

rzyńce w Państwie Niebieskiém miały inne jakieś znaczenie, niż je ma ogród w naszym pojęciu.

Zresztą gdyby, przypuścimy, naród nasz był się zamknął sam w sobie i nie nie przyjmował od obcych, kto wie, czy dziś mielibyśmy przyjemność widzieć w ogrodach naszych te rozmaite gatunki owoców, jarzyn, kwiatów, jakie mamy? Wyprowadzając cywilizację i kulturę z tych materyałów, jakich pierwotnie dostarczały nasze ziemie, niezawodnie musielibyśmy przestawać na ulęgalkach, które niegdyś tak smakowały żarłocznemu Mikołajowi Rejowi.

Instykt narodowy, na szczęście, nie trzymał się tej ciasnej teoryi, i bardzo dobrze się stało.

Cywilizacja szła do nas z południa i zachodu. Lepsze gatunki owoców przynieśli z sobą Benedyktyni i Cystersi, równie jak jarzyny; później królowe z Włoch lub Francyi przybyłe, uczyły jak ozdabiać mieszkania wiejskie wspaniałemi aleami, wirydarzami, stosownie do smaku, jaki w ich ojczyźnie panował.

Ani wątpić, że dawniejsi piastowscy książęta, wojewodowie, dostojnicy duchowni mieli takie sady, jakie dziś w niektórych zakątkach lub po klasztorach widzieć się dają; sztuka mało miała przy ich zakładaniu do czynienia, tak samo jak przy homerycznym ogrodzie króla Feaków. Zresztą w zamkach zbudowanych na czubach najwyższych gór, nie było miejsca na pejzażowy ogród, a nawet byłby on tam zbytkiem niepotrzebnym. Na romantycznych szczytach Tęczyna, Melsztynu, Czorsztyna, Lanckorony, komuby na myśl przyszło układać z klombów pejzaże, kiedy pod nogami rozciągał się widok, na jaki ani Le Nôtre, ani Kent, ani nawet Chambers nie potrafiłby się zdobyć? Sad owocowy i grządki z aptecznemi ziołami wystarczały potrzebie, kiedy oko miało szerokie pole rozkoszy przed sobą.

Jagiellonowie pochodzący z leśnej Litwy, miłośnicy łowów, zakładali zwierzyńce. Pełno ich jest po różnych miejscach, nie w rzeczywistości, lecz w nazwie. Sztuka nie miała i tu nie do czynienia, chyba że wycięła linię lub zbudowała myśliwski dworzec.

Za Wazów, z obszerniejszemi stosunkami z zagranicą, ze wzmagającym się pociągiem do okazałości i do dzieł sztuki, zaczęto zakładać ogrody na sposób włoski, z całym smakiem, jaki wówczas panował.

Jarzemski w rymowanym opisie Warszawy za Władysława IV, zostawił w kilku rysach wizerunek tych ogrodów, gdzie roślinność i miejscowe położenie na podrzędną rolę były skazane, a pierwszą grały koncepta, w rodzaju tryskających laweczek Pliniusza.

Najlepiej dowiemy się jak to wyglądało z samego opisu.

O ogrodzie Kazimirowskiego pałacu tak mówi:

„Od Wisły są baszty z altanami, pozłociste, miedzią nakryte, z nich na kilka mil patrzeć można na pola, łąki, lasy i wody i liczne pływające szkuty i komięgi... Zszedłem do niższego ogrodu, aż z murawy nad dużą sadzawką porwały się jelenie i daniele, przestraszone przez pływające tam łabędzie; żórawie chodziły po brzegach, dzikie gęsi pływały tam wspólnie z łabędziami.

„Krynica wyżej leżąca, wijąc się jakby rzeczką małą, dodaje wody do sadzawki. Czworogranny wysoki kamień stoi nad źródłem; na nim Kupidynek ze strzałami, obwieziony balustradką francuzkiego wynalazku.

„Tam, gdy uważałem dokąd mam iść wprzód, obaczę, aż grają w piłki; na dłuższej ławie były kamienie żelazne, do tych ciskając zrzucano je z ławy; ten co ostatni zrzuca, wygrywa.

„Idę dalej, znów wytrysk wody, a nad nim Neptun; niedaleko altana z gankiem; w niej rzeczy wcale pańskie i cudne malowania; na dole piwnica niegłodna w napoje. W bok altany stoi żołnierz z piką i rapierem, jedną nogą trzymający naprzód, drugą w tył, jak gdyby chciał powiedzieć: „Placu dotrzymam.” Tuż jest kompas godziny wskazujący, do którego gdy się przybliżam, by widzieć, która godzina, zniknął cień, siknęła woda, oblała mię, — a ja w nogi między krużganki zewsząd okryte drzewami owocowymi. Przy nich znów z marmuru żołnierz srogi z piką mierzy na mnie; ja nazad, chybię drogi i wpadam na Delfina z otwartą paszczą, a na nim siedzi chłopiątko z pałką

w ręku; wszystko to z marmuru bardzo kunsztownie zrobione.

„Zmordowany, chciałem usiąść i odpocząć, ale nie wiedziałem gdzie; wszędzie rozmaite kwatery z najrzadszych kwiatów i ziół; w rogach, jak gdyby baszty sklepione z drzew dają schronienie i cień w czasie upałów. W bok stoi na górze misterny wiatrak i wody w różne miejsca prowadzi (machina hydrauliczna). Puszczam się dalej, aż nowy cud: widzę na słupie konia z marmuru dziwnej roboty; przychodzę nakoniec do domu ogrodnika, aż tam rozmaite drzewa cudzoziemskie, pomarańcze, figi, kasztany, oliwy, kaulc, rapy, kardy, finoki, selery, angury, gwardy, ogurkones i cytrones; znajdziesz tam sławne ziele, tabakę.“

Kolumnadę pałacową tak opisuje:

„Wszedłem pod kolumnadę, widzę zagrodzenie z drótu, miedzianą blachą pokryte, w niem mnóstwo rozmaitych ptasząt, tuż ogród z płotem od Wisły, w nim kwatkeri pełne wonnych ziół i kwiatów, we środku marmurowa fontanna; wszędzie posągi odlewane ze spiżu. Tu Herkules Iwa dusi; tam urodziwy koń spodem od węża kąsany, z bolu do góry wspina się nogami.“

Wszystko to wygląda raczej na muzeum rzeźby lub na menażeryę niż na ogród.

Odtąd smak ten panował wyłącznie. Zapamiętałem jeszcze ogrody z wysokimi, strzyżonemi z grabiny szpalerami, które zwykle tworzyły czworobok z jednej strony zamknięty.

W szpalerach tych powycinane były jakby bramy lub okna. Lubiono je, bo w lecie chłód dawały; o żadnym jednak widoku nie można było pomyśleć. Wyglądało to jak zielone mury więzienia lub cytadelli. Plac leżący między szpalerami, dzielił się na kwatery z rabatkami kwiatów obsadzonych nienniknionym bukszpanem. Tu i owdzie stały ciemne świerki, pozbawione naturalnych warkoczy, wystrzyżone w najrozmaitsze kształty; także barbarzyństwo popelniano na akacyach i innych gęstolistnych drzewach. Zgoła, cały dowcip sadił się na to, żeby nie tak nie wyglądało, jak Pan Bóg stworzył. W takim ogro-

dzie nie obeszło się bez groty wyłożonej muszlami, bez kopca zwanego ślimakiem i bez jakiejś świątynki. Jeżeli zaś była woda, to koniecznie nad brzegiem figurowało jakie wodne bóstwo lub jaki figielek, np. mostek, co się zapadał pod przechodzącym, labirynt, z którego niemożna się było wydobyć, i t. p. Lecz były to tylko resztki owych włoskich ogrodów, konserwowane jako pamiątka.

Dowcip Krasickiego napiętnował je na wieki; widać, że na nie patrzył w chwilach ich świetności, gdy mówi: „Bukszpan sztucznie zasadzony z pomocą piasku, cegły, węgla i tłuczonych skorupki, wydawał na wzór adamaszku, kwiaty i floreesy... Do tego nawet stopnia doskonałości przychodziły kwatery, iż się w domu bez Paprockiego, Okolskiego i Niesieckiego obejść było można.

Widział z okna jegomość klejnot rodowity,
Koroną uwieńczony, laurami okryty,
Na tarczy, którą ledwie mógł znieść olbrzym srogi,
Właściwy domu zaszczyt, dwa ogromne rogi.

„Na wstępie straż: posągi z deszczek jaskrawo, a więc dokładnie, sztucznie, dowcipnie a wspaniale malowane wydawały się.

Stał i w prawą, i w lewą rycerz wąsem hardy,
Bo sążniste trzymając w rękę halabardy,
Każdy z nich na przychodnie gdy oczy wytrzeszcza,
Zastępowały miejsca ogrodów bożyszczka.

„Niedość było kunsztownej sztuce hollenderskich zwłaszcza i niemieckich ogrodników czynić z drzew słupy, obeliski i piramidy: ledwo pojętém wysileniem przeistaczali je w posągi.

Grał na cytrze Apollo z jodły złotowłosa,
Ceres z szyszek borowych piastowała kłosa,
Błyszczał Neptun trójzębny od bżowego lustru,
Jowisz w zapale rzucał pioruny z ligustru,
Mars z figi rozjuszony zabójczém rzemiosłem,
Bachus na tyce chmielu, z Sylenem i osłem,
Wenus wdzięczna jałowcem z uśmiechu i gestu,
Gracye porzeczkowe, Kupido z agrestu.

„Zgoła, cokolwiek w historii, mitologii, architekturze, małowidle, heraldyce znaleźć się tylko mogło, wszystko to ogółcone z ozdób przyrodzonych drzewa znosić musiały; a ten był najlepszy w kunszcie swoim ogrodnik, który je najwymyślniej strzydz, krzywić, zniżać, rozciągając, strugać, rozpościerać, naciągać umiał.”

Trafne te uwagi zakończył Krasiecki dwuwierszem najlepiej malującym charakter tych płodów zepsutego smaku:

„A gardząc przyrodzenia okazałym płodem,
Bez drzew, roślin i kwiatów ogród był ogrodem.”

Wprawdzie przestał on nim być, tylko nazwa mu została.

Krasiecki pierwszy wystąpił uzbrojony strzałami dowcipu, przeciw tej dziwacznej modzie, lecz wystąpił, gdy już inny smak zaczął panować. Sentymentalny wielbiciel natury Rousseau, nie został bez wpływu, i ci, którzy zasmakowali w angielskich ogrodach, popadali znowu w inny rodzaj śmieszności, naśladując Gesnerowską idyllę, która wyrzuciła sentymentalne dziwactwa.

U nas nowość ta znalazła wielu naśladowców mianowicie u płci pięknej, która naczytawszy się sentymentalnych romansów i sielanek, do góry nogami przewracała naszą pocziwą polską wieś, aby ją zrobić podobną do Szwajcaryi, a skromny stawek dostarczający ryb w dni postne, zamienić na jezioro Genewskie, jeżeli nie z wyspą, bodaj z kępą na środku, gdzie pod cieniem płaczącej wierzby leżał kamień poświęcony jakiemu serdecznemu wspomnieniu.

Krasiecki w satyrze: „Żona modna” wyszydza z całym dowcipem ten idylliczny sentymentalizm, gdy wkłada w usta modnej damie przyjeżdżającej po ślubie do mężowskiego majątku te wyrazy:

— „A ogród?”

Pokorny małżonek odpowiada:

— „Są kwatery z bukszpanu, ligustru...”

— „Wyrzucić: nie potrzeba przydatnego lustru,
To niemieczyzna. Niech będą z cyprysów gajki,
Mruczające po kamykach gdzie niegdzie strumyki,

Tu kiosk, tu meczecik, hollenderskie wanny,
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyanny,
Wszystko jak od niechcenia, jakby od igraszki,
Belwederek maleńki, klateczki na ptaszki,
A tu słowik miłośnie szczebiecze do ucha,
Synogarlica jęczy, a gołąbek grucha.
A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy
Nad nieszczęściem Pameli, albo Heloisy....”

Rzeczywiście panowała wtenczas mania przerabiania siedlisk wiejskich na sposób zagraniczny, która rujnowała nieraz właścicieli. Komicznie wyszydza ją Krasiecki w liście do księcia Stanisława Poniatowskiego:

„Wiatraki po nizinach, młyn w górze bez wody,
Rowy w piasku, gdzie chmielnik, tam sadzić winnice,
Krzaki w ścieżki wycinać, a lasy w ulice,
Z łąk na piasek dla trawy pozawozić darnie,
Z pasieki dla wygody zrobić królikarnię.
Gdzie staw, ma być zwierzyniec, a gdzie pasą owce,
Sypać wzgórki, niech błądzą pomiędzy manowce.
Pasterkom, aby grały pokupować flety,
Niech wójt chłopom w niedzielę tłómaczy gazety,
W poniedziałek dla dzieci kurs architektury,
Botanika we środę, a ciągłymi sznury
Niechaj pierwój ksiądz pleban uczy dobrze mierzyć,
Potem może napomknąć, jak potrzeba wierzyć.”

Ostatnie wiersze pokazują, że i o cywilizacji naszego chłopka nie zapomniano, chociaż dziś niejednemu się zdaje, że pierwszy wpadł na ten pomysł; przeciwnie, i dawniej tak samo myślano, a nawet nie różniono się tak bardzo w metodzie edukacyjnej. I wtedy jak dziś zalecano architekturę, botanikę, miernictwo, my dodaliśmy grammatykę i lingwistykę, a tak jedni jak drudzy postępowce, katechizm usunęli jako naukę nieobowiązującą.

W tym sentymentalnym okresie przypadającym na ostatnie lata panowania Stanisława Augusta, idylla panowała w naszych ogrodach. Poznikały szpalery, bukszpany, strzyżone świerki; z poutraćanemi nosami kamiennych i drewnianych bożków powyrzucano za płot, poburzono

siedliska żab, grotty wilgotne, a natomiast stawiano obłożone korą brzożową kabanki dla pustelników, szwajcarskie domki, złamane kolumny z napisami lub ogromne kamienie także z napisem, wszystko poświęcone przyjaźni, wspomnieniu, melancholii, nadziei i t. p. Architektura ta z gałązek i kory dogadzała ówczesnemu romansowemu usposobieniu. Pustelnia stawiała się nieraz przytułkiem dwojga błądzących kochanków, zaskoczonych burzą. Zdarzało się i to, że światowicie za pustelnika przebrany, wykradał w pobożnych zwierzeniach się tajemnice serduszek. Mistyfikacya i intryga będące także w modzie, bardzo dobrze mogła korzystać z dzikich promenad, pustelniczych domków i wysp cieniowych, niezbędnych w każdym ogrodzie.

Z nastaniem mody angielskich ogrodów, nowość ta zawracała głowy.

Niejeden właściciel lub właścicielka (a kobiety rej tu wodziły), nie rachując się z majątkiem, zakładał ogromne parki, kopał jeziora, kanały, wznosił góry, stawiał nowe ruiny zamczysk, zgolał grunta, na których niegdyś dobrze rodziła się pszenica lub żyto, zajmował pod kilkudziesięciomorgowy ogród, że można było prawie z Horacyuszem, narzekającym na podobny zbytek, zawołać:

„Szczuple już tylko pod pług idą lany,
Tak gmachy rosną; staw każdy z Lukrynem
Równa się niemal, a nagie płatany
Wiąż wypychają ożeniony z winem.”

Widywałem nieraz takie ogrody, używające niegdyś głośniejszej sławy, jak przeszedłszy w ręce dłużników lub uboższych dziedziców, przedstawiały widok opuszczenia. Owe kabanki, mostki, świątynki, szwajcarskie szalety, pogniły na słotach, jeziora zarosły pokrzywką i szuwarem; młynki romantycznie rzucone nie obracały się, bo w spadającym strumyku ze skały wody nie było. Słowem wszystko to wyglądało o sto procent brzydziiej niż najmniej malowniczy kawałek lasu, zostawiony tak, jak go wydała natura....

Upięknienie staje się nieraz oszpecceniem, jeżeli ciągle staranna ręka nie czuwa. Krasicki niedarmo narzekał, że w podróżach swoich po różnych okolicach Polski odbywa-

nych, rzadko gdzie spotkał ogród porządnie utrzymany. „W czasie letnim—powiada on—ledwo gdzie mogłem owoców dostać, a kiedy się zdarzyły, najgorszego były rodzaju; toż samo o jarzynach mówić można.”

Przypisywał on to wówczas, a temu pewnie lat ośmdziesiąt, próżniactwu, jak widać z tych wyrazów:

„Sposób życia na wsi sąsiadów moich wielce był nudny, i choć niby to zatrudnieni gospodarstwem, po większej części nie nie robią, i jeżeli jeden drugiego odwiedzi, ziewając, chodzą z kąta w kąt i zrzędzą; wszystko się im naówczas źle wydaje.”

Od tego czasu zapewne wiele się u nas zmieniło, z powodu, że ludzie więcej muszą pracować na siebie niż dawniej; nie idzie jednak za tym, żeby kraj produkował tyle lepszego gatunku owoców, ileby mógł produkować, lub żeby siedliska wiejskie tak były przyozdobione ogrodami, jakby być mogły, gdyby.... Och! nieszczęsne to *gdyby!* Przejdź wzdłuż i wszerz miasteczka nasze, spojrzysz na rynki, gdzie w podsieniach sprzedają na nieckach wiśnie, gruszki, śliwki, jabłka, i jeśli masz serce, odważ się skosztować, a niezawodnie konwulsyjnie się skrzywisz, jak gutaperkowa maska. Ułgałka, jak za czasów Mikołaja Reja lub jeszcze za Piasta, gra tu najpierwszą rolę. A o upiększeniu okolicy klombami drzew, aleami, jakże trudno tam myśleć, gdzie zasadzone drzewko mniej doznaje opieki przed brutalstwem jadącego chłopca, przed szkodnictwem dzieciaków, niż w Paryżu pierwsza lepsza kieszeń przechodnia, nad którą czuwa opiekuńcze oko miejskiego sierżanta!

Owoce w wielkiej ilości mogliby produkować tylko drobni właściciele, z których każdy ma sad przy swojej chałupie, niekiedy nawet bardzo malowniczy tą aksamitną murawą, tym chłodkiem, jaki dają splecione z sobą gałęzie wisień, czereśni, śliw, jabłoni, lecz w gruncie mało wartym, bo drzewa stare, nieokrzesane i w złych gatunkach, a najczęściej objedzone przez dzieci nim jeszcze owoc dojrzeje, właścicielowi nie przynoszą żadnego dochodu.

Włościanom naszym trzeba by wszczepić to zamilowanie nie gołém słowem, lecz przykładem. Gromadę wiemy jak trudno namówić; wszakże wybrawszy jednego gospo-

darza i dopomógłszy mu dobrimi szczepami, gdy ten przekona się, jakie dochody będzie mógł ciągnąć z sadu, prędko znajdzie się naśladowców.

Nie sądźmy jednak z tego, na cośmy patrzali lub patrzymy, żeby u nas nie znać było usiłowań w przeszłości tak co do upiększenia siedlisk wiejskich, jak co do pielęgnowania ogrodów, mianowicie pod względem pożytku, który także do wielkich przyjemności życia należy.

Sobieski, ów król ziemianin, gdziekolwiek jego majątki leżały, upiększył je, zasadzając przepyszne aleje kasztanowe i lipowe. Jeszcze po dziś dzień wspaniały całej okolicy nadają wyraz olbrzymie drzewa, pamiętające jego czasy; po dziś dzień są tam wsie prowadzące znaczny handel owocami, mianowicie śliwami i orzechami włoskimi, a willanowski ogród pod samą stolicą założony, nie był bez wpływu na zamiłowanie ogrodnictwa.

Przykład dany z góry, i to w dostępnych warunkach, rozszerzał się i różnym okolicom przybywało wdzięków.

To pewna, że w lepszych, spokojniejszych latach, kiedy Rzeczpospolita używała pomyślności, tak siedziby wiejskie, jak dworce dziedziców, jak obojętne włości, stroiły się naturalnym urokiem kształtnego porządku. Panowie możni, jeżdżący za granicę pozwalali sobie naśladować w domu to, co gdzieindziej widzieli, ztąd też i panującego smaku nie było; ten coś z Włoch przywiózł, ów z Niemiec, inny z Francji i Hollandji, ale że nabytki te nie miały odpowiednich sobie warunków w kraju, więc uważano je za wymysł pański i nie starano się naśladować. Szlacheckie dworki miały swój osobny typ; ideał ich znalazłem w *Ziemianinie* Jakóba Poniatowskiego, pisanym niemal trzy wieki temu. Pomijam plan zabudowań, jako mniej należący do rzeczy, a przytoczę co mówi o urządzeniu ogrodu:

„Niech płynie pod dwór rzeka, w pewnych brzegach
„zawarta, bystra, przezorna, sprostowana, za nią niech będzie ogród w kwadrat wymierzony od niej, a kęs z południa ku słońcu nachylony, suchy, równy, wyniosły,
„a gruntu przedniego, porządnie ogrodzony, pergutami
„ostrzeszony, w kwadraty rozdzielony, fontannami polany,

„a ziół rozlicznych pełny. Za ogrodem sad w cynek, naj-
„mniej we dwadzieścia rzędów drzew młodych a już rod-
„nych, gładko z płonki, bujno z koron wybiegłych, w tymże
„nasienniki pełne, a wiernego owocu. Chciałbym jeszcze
„ptaśnika, chciałbym domku do wódek, ziółkom, drzewkom
„schowania, a ile więc przewoźnym (egzotycznym), tamże
„też wirydarza swych ziółek i przewoźnych... Przeciw temu
„wszystkiemu niechby stanął zwierzyniec lasu prawie cud-
„nego, ciemny, zielony, cichy, wymierzony po sznurze, po-
„dzielony łąkami i na krzyż od płotu, tamże drogi w kwa-
„terach, a rzeczka przez pośrodek. Las lipowy przeciwko,
„tamże zaraz pasieka; jako fortecy nie chcę, tak ani tego,
„aby miał być pierwój: „Pomaga Bóg!” niżeli: „Otwórz!”

Gdyby nie ten sznur, ta linia prosta, ta forma kwad-
ratu, tworzyłyby to najśliczniejszy pejzażowy ogród. Czegoż
więcej potrzeba, żeby wieś zrobić piękną i przyjemną, kiedy
ma sady wyborne dające owoc, szklarnię na przysmaki
i roślinne rzadkości, zwierzyniec gęsty, cienisty, z rzeczką
płynącą, z łąkami i na domiar rozkoszy lipowy gaik z pa-
sieką?

Jest to plan skromnych, lecz dostatecznych rozmiarów;
taką mogłaby być każda niemal wieś polska, co ma las
i wodę, a jakże niewiele jest takich, gdzieby to wszystko
znaleźć! Za Krasickiego czasów było jeszcze gorzej, gdy
powiada, że w przejażdżkach swoich po kraju spotykał
ogrody, ale tak zaniedbaone, że zniknął ślad pierwotnego ich
założenia. Ot i przyczyna: niedbalstwo! Mógłby kto podać
jeszcze za przyczynę: zmianę właścicieli; poprzednik był lu-
bownikiem ogrodu, następca nie lubił się tęp bawić. Ależ
mniemam, że miłość porządku połączona z obowiązkiem
utrzymania tego co jest, nie należy do kategorii gustu. Inna
rzecz mieć wykształcony smak w przyozdobieniu swego
siedliska, inna żeby go w przyjemnym dla oka porządku
utrzymać. Lecz oto wpadłem na niewyczerpaną materię
pracy i porządku, i trudno z niej wybrnąć, zwłaszcza gdy
przyjdzie porównać się choćby z sąsiednim Szlązkiem.

W każdym razie niemożna zaprzeczyć znacznego po-
stępu od czasu Krasickiego, tak dalece, że w wielu stro-
nach fizyognomii kraju zmieniła się znacznie przez upodo-

banie w pięknych budynkach, ogrodach, wysadzanych ulicach, dobrze utrzymanych mostach i wodach.

Dla Małopolski wzór ten dawały Puławy.

Dla Pobereża i Ukrainy wzorem był Tuleczyn i humańska Zofiówka.

Charakter tych wpływów różnił się nieco, ale skutek mniej więcej był ten sam, to jest: powszechniejsze upodobanie w upiększaniu siedlisk wiejskich.

Duszą Puław była księżna Izabella, jak znowu duszą Zofiówki był Szczęsny Potocki, a raczej miłość jego ku pięknej Greczynce.

Puławy mają cechę rezydencyi wielkiego pana, Zofiówka poetycznej fantazyi.

Pierwsze były punktem zbornym dla wszystkich znamenitości i dla całego sąsiedztwa; do Zofiówki trzeba było jechać umyślnie, jak się jedzie, aby oglądać jaki dziw natury, wodospad, pieczarę lub ruiny zamku. Sama ona dla siebie stanowiła całość.

Brzegi Wisły, téj najdłuższej z rzek naszych, ledwie w kilku punktach odznaczają się malowniczością, to jest koło Krakowa, koło Puław i koło Kazimierza, a są to właśnie miejsca górzyste i do koryta rzeki przyparte, gdy wszędzie indziej brzeg płaski z piaszczystymi zaspami, nie daje się zbliżyć ani pięknym gmachom, ani rozkosznie położonym siołom, ani gruppom okazałych drzew, któreby się przyglądały w wiślaném zwierciadle. Trudnoby też odbywać tak poetyczną, urozmaiconą żeglugę po téj rzece, jaką na Renie między Moguncją a Kolonią zwykli odbywać turyści; nie ma też czego zazdrościć naszym flisakom téj usypiającej monotonii, jakiej doświadczać muszą splawiając drzewo lub zboże do Gdańska, ani nawet Klonowiczowi, który, jak wnoszę, nie dla szukania wrażeń odbył tę podróż, i zapewne długo mózg suszył, wzywając w pomoc wszystkie reminiscencye klasyczne, nim rymem opisał, nie rzekę, ale flisackie przygody i termina.

Tylko tam malowniczą, natchnioną umie być Wisła, gdzie przed wiekami przedarła skały, jak pod Tyńcem, Wawelem, lub gdzie przebiła się przez pasmo wzgórzy, jak pod Puławami i Janowcem. Miejscowość ta musiała podo-

bać się i naszym przodkom, kiedy na prawym brzegu od Lubelskiego powstał starożytny gród Kazimierza, noszący jeszcze ślady swojej dawności i świetności w tych ogromnych śpichrzach, stojących nad wodą, w tych kamienicach okrytych rzeźbami i symbolami średniowiecznymi, nad którymi na cyplu góry panują szczątki zameczyska, wzniesionego zapewne dla obrony handlowego miasta i bogatych składów. Tuż naprzeciw na lewym brzegu odpowiada Kazimierzowi miasteczko Janowiec, leżące u spodu stromej, obrosłej góry, dźwigającej na swoim grzbiecie świeże zwaliska janowieckiego zamku. Miejsca te, jak widzimy, ubrały się w liczne pamiątki przeszłości; piastowskie czasy podają rękę czasom Zygmunta III, te znowu toczą rozmowę z bliższym nas wiekami Stanisława Augusta i późniejszych kolei, unosząc się nad wspaniałymi ogrodami Puław, zdobitych brzeg prawy.

Niemożna było obrać pyszniejszej okolicy na założenie w niej rezydencji dla dworu wielkiego pana. Malownicze ruiny zamków, kościoły z resztkami gotyckiej architektury, jakieś zwaliska aryańskiej bóżnicy, piętrzące śpichlerze, strome wzgórza ubrane w drzewa, w wiejskie chaty, w wijące się po spadzistych trawnikach ścieżki,—wszystko to przegląda się w szerokiem korycie wiślanem, a z każdego miejsca widok rozległy z szerokiem niebem, dalszą perspektywą urozmaicony, czarujący, wesoły i narysowany wielkimi liniami panoramy.

To nadbrzeże, zatoków nadwiślańskich czoło,
Pasmem gór i pagórków uwieńczone w koło,
Gdzie natura zasiadłszy z wszystkich wdzięków zbiorem,
Ożenia swe powaby ze sztuki wytworem.

Poeci owych czasów poświęcali pióra swe opisom Puław, wdzięczni kaprysowi natury, która te miejsca stworzyła, a jeszcze wdzięczniejsi artystce, która ozdobiła je sztuką i pamiątkami. Był to więc gotowy materyał, pozujący przed nimi jak przed fotografem elegancko wystrojona piękność. Na nieszczęście fotografami być nie umieli, i zamiast prostego opisu, dawali parafrazy sentencyami ozdobione, do których przymieszowali wspomnienia historyczne,

narysowane tak niepewnie, tak mglistą barwą pociągnięte, że i krajobraz, i sceny z przeszłego życia wydają się jak wytarte malowidło *à la grisaille* na ścianie spustoszonego pałacu.

Puławy, jak mówią historyczne podania, należały w XVI i XVII wieku do rodziny Tęczyńskich, potem przeszły w możny dom Lubomirskich, do których także i Janowiec należał, leżący na przeciwnym brzegu. Z końcem XVII w. wziął je w posagu za Lubomirską, Adam Sieniawski marszałek w. kor., który wystawił tu wspaniały zamek, zniszczony i spalony później przez Karola XII, co pokazuje, że miejsce to, pomimo swoich uroków, często było wystawione na niebezpieczeństwa wojny. We wszystkich bowiem wojnach był to punkt strategiczny dla dogodnej przeprawy przez Wisłę. Po ostatniej Zofii Sieniawskiej, która primo voto była za Denhoffem, Puławy dostały się księciu Augustowi Czartoryskiemu, wojewodzie ruskiemu, i przeszło lat sto utrzymywały się w posiadaniu tej rodziny, która nadała im najwięcej świetności przez ozdobienie miejsca i ześrodkowanie życia obywatelskiego i umysłowego. Szczególniej w końcu przeszłego wieku, kiedy Warszawa była w rękach pruskich, tworzyły one ognisko życia, które ściągało nawet monarchów (*). Wszystkie ówczesne znamienitości grupowały się tam. W blizkim Kurowie mieszkał ks. Piramowicz, w jego sąsiedztwie Ignacy Potocki mar. w. ks. litewskiego, w Oleśnie brat jego pan Stanisław Potocki, późniejszy minister oświecenia, ks. Zabłocki, Książnin, Niemcewicz; ci dwaj pierwsi nierozłączni od Puław, ten ostatni gościem przybywając z Ameryki, tam znalazł przytułek. A któż przeliczy tysiące przewijających się jak rok boży gości, przychodzących się ogrzać się przy tych wyższych umysłach, promieniejących nauką i zawsze goniących za wyższym życia celem! Sama romantyczność położenia, sam ogród w angielskim smaku nie potrafiłby wyrzucić tego przyciągającego wpływu, gdyby nie głowa domu, księżę feldmarszałek w. austr., mąż pełny nauki, a co większa, przystępny

(*) Między innymi przebywał tam cesarz Aleksander.

dla wszystkich, hojny, gościnny, nieobojętny w rzeczach obchodzących dobro kraju, i doskonale pojmujący, co mogło sprzyjać temu dobru, a co uszczerbek przynosić. Czując on jak wiele zależało na oświacie i na utrzymaniu majątków, pomagał chcącym się kształcić, wysyłał swoim kosztem ludzi za granicę, wsadzał przez swoje wpływy na odpowiednie ich zdolnościom posady, a dla braci szlachty podupadłej miał zawsze otwartą szkatułę, lub wieść do wydzierżawienia w którymkolwiek z licznych swoich kluczów. Księżna, osoba wysokiego światła i serca, również pojmowała zadanie obywatelki. W młodszych latach przebywając długo i często to w Anglii, to we Francji i Włoszech, starała się dobry smak, miłość porządku, ludzkie obchodzenie się z poddanymi zaszczerpieć przykładem na własnej ziemi. Na wzór angielskich parków założyła puławskie ogrody, sprowadziwszy na ten cel Niemca ogrodnika Pope'go, a później Anglika Sauvage'a. Sama rozmiłowana w ogrodnictwie, badała tę gałąź, i stosując ją do praktycznych potrzeb kraju, napisała nawet dzieło: *Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów*, gdzie nie dając ścisłych prawideł, które mogłyby swoją ścisłością odstręczyć, usiłuje rozbudzić zamiłowanie do piękności rozspanych w naturze i potrzebujących tylko małego starania, żeby się stały rozkoszą dla oka, uprzyjemniły wiejskie siedlisko i nie przyniosły uszczerbku w gospodarstwie. Powiada też w przedmowie: „Myśli tu umieszczone w szczupłym obrębie, tego jedynie dowiodą, że nie tylko ogrody upiększają wiejskie mieszkania, ale że ogrodem stać się może każde miejsce, każda wioska, każdy folwark, najmniejszy kątek.... Ktokolwiek chce się nad tym zastanowić, przyzna pewnie, że dawne ogrody nie mogą takowemu celowi odpowiedzieć. Smutnie obojętne, zawsze tę samą postać okazują. Godziny, dni i wszystkie pory roku upływają dla nich bez odmiany. Chodzący po nich, życie całe trawi bez nadziei upiększenia lub zabawy; nie raz żałuje nawet, że musi utrzymywać drogo swoją robotę, na którą z niesmakiem patrzy.”

Jest to, jak widzimy, oddziaływanie przeciw włoskiemu stylowi ogrodów, tak kosztownych a tak niewdzięcznie szpetnych. Widać, że jeszcze ten zepsuty smak utrzymywał

się w początkach tego wieku, kiedy księżna dzieło swe pisała. W następnych słowach jeszcze wymowniej powstaje na to zepsucie smaku:

„Już wszyscy poznali, że nadto regularny ogród, ulice proste, ogrodzenie wysokie, obcinanie drzewa, wymuszone ich kształty, że to, mówię, póty bawi, póki się robi, a ogród takowy raz zakończony, tak zbrzydnie właścicielowi, że sam się nie spostrzegając, ustawnie szuka innej przechadzki, do ogrodu nie zajrzy, idzie do lasu, w pole, na trakt albo do wsi. W lesie znajduje w gęstwinie cień, odmiany rozliczne, dróżki coraz nowe; w polu go mur nie otacza, wysokie zagrody nie tamują mu widoku; na trakcie spodziewa się czegoś nowego, a we wsi spotyka ludzi, bydło i tysiączne odmiany. Dla czegoż, pytam się, zakładając ogród, tego wszystkiego weń nie wistoczyć, a przynajmniej po części z nim nie spoić i nie zbliżyć?”

Nieużyteczność podobnych zakładów wykazana tu w praktyce; szlachec miał taki ogród, ale do niego nie zaglądał, wolał pole, las, łąkę, gościniec nawet. Włoski ogród był to kosztowny sprzęt, bez użytku, dostępny tylko możniejszym, a zatem przechodzący granicę możliwości miernych fortun, które nie mogąc wystarczyć na szpalery, ostrzyżone drzewa, posągi, bukszpanowe esy i floresy, wyrzekały się wszelkiego upiększania wiejskich siedlisk. Nie dziw więc, że właściciel skromnej wioski, choćby najromantyczniej położonej, wdrygał się na samo wspomnienie ogrodu.

Uspodobienie to dobrze maluje księżna w jednym ustępie swego dzieła:

„Nieraz pytałam, czy jest jaki ogród w miejscu, o którym słyszałam, że ładne i sposobne do tego? Na to mi właściciel z przesadą, a czasem z naśmiewaniem odpowiadał: „Taki jest ogród, jaki powinien być u szlacheca: jest kapusta, marchew, cebula.” Kiedy potem zapytywałam się jeszcze, czy są drzewa jakie owocowe? odpowiadano mi, że są, ale krzywe, stare, spróchniałe i zarosłe.—„A ile dzikich?”—koniec odpowiedzi był: „Ot zwyczajnie, jak na partykularzu.” Niektórzy tém się zastawiają, że nie mają czasu chodzić około ogrodu. Ja im radzę, żeby odkładali na to

godziny drzemaniu poobiedniemu poświęcone, lub grze w maryasza z ks. proboszczem....”

Zająć umysły zajęte drzemaniem lub maryaszem, przez rozbudzenie w nich uczucia piękności dla natury, było nader szczęśliwym pomysłem, który księżna wykonała w praktyce i w teorii. Sława puławskich ogrodów, nietylko w kraju, lecz i za granicą głośna, stała się wyrocznią. Z najodleglejszych stron zjeżdżano się, żeby oglądać Puławy, i jeśli nie na tak ogromną skalę, to w odpowiednich do majątku rozmiarach zaczęto zakładać ogrody, a raczej ozdabiać wiejskie siedliska, odpowiednio do materiałów, jakich dostarczało miejscowe położenie. Smak coraz się więcej kształcił, i niezawsze trzeba było z Anglii lub Niemiec sprowadzać ogrodnika planistę, aby dworzec szlachecki otoczyły malownicze klomby, stare drzewa, wijące się ścieżki, lub szyba czystej wody ukazywała się w perspektywie. Przez widzenie w praktyce i porządzenie się książki, napisanej przez księżnę, niejedna pani domu, jeżeli miała smak wrodzony, sama potrafiła stworzyć sobie ogród pejzażowy, utrzymać trawniki, tu rzucić zgrabny mostek, owdzie postawić ławeczkę, lub kawał polnego głazu z jakim sentymentalnym napisem, co także należało do mody z Puław przejętej.

Od ogrodów przykład rozszerzał się i dalej. Księżstwo oboje czując smutny stan włościan pogrążonych w ciemności i niedbalstwie o poprawę swego bytu, zakładali szkółki, przebudowywali chaty, tworząc z nich jakby osobne dworki z ogródkami, sadami i zabudowaniami gospodarskimi. Taką wzorową wsią były przytykające do Puław Włostowice.

Widok Włostowice zdjęty z natury, tak rysuje Klementyna Tańska:

„Wieś ta porządnie na równinie rozciągnięta jest taką, jakich niestety! bardzo jeszcze w kraju naszym mało; jej domowstwa chędogie i wygodne, dobrze utrzymywane sady, ogródki, żywe płoty, rowy bite, mosty całe, kładki, szeroka i sucha droga, nadzwyczajna obyczajność mieszkańców, schludny ich ubiór, piękny kościół, plebania, domy nauki roboty, same nazwiska gospodarzy nad bramą ich podwórza wypisane, przedstawiają dziwnie miły i zaspaka-

jający widok, który jeszcze wymowniejszym i miłszym się staje przez tak blizkie z Bochoćnicą sąsiedztwo. Gdybym się nie bała obrazić kogo takowem przystosowaniem, odważyłabym się powiedzieć: Bochoćnica romantyczność, Włostowice klassycyzność mi przypominały.⁷

Mniejsza o to porównanie, będące przycinkiem do owęj upartęj walki ówczesnej romantyków z klassykami, ważniejszém byłoby porównać wzorowe w duchu porządku i czystości gospodarstwo ze starém nałogowem niedbalstwem, którego typem była Bochoćnica.

Dwie te obok siebie leżące wioski trafniej byłoby nazwać *postępem i konserwatyzmem*, a nazwy te często dzisiaj dawane najniestosowniej, tutaj znalazłyby zastosowanie.

Księżna mająca genialne pomysły, nie zatrzymała się na samém upięknieniu siedlisk wiejskich, pokazując w praktyce, co trzeba robić, żeby włościanina przyzwyczaić do porządku, ochędóztwa, zamięłowania w poprawie bytu, chciała go jeszcze zrobić obywatelem. W tój myśli napisała książkę z radami dla ludu.

Od tego czasu, pomimo szumnych przechwałek, o włos nie zrobiono więcej.

Tak tedy z tego ogniska rozehodziły się światłe promienie praktyką i teorią poparte. W powolnym, ale pewnym postępie piękniała fizyognomia bliższych okolic, podnosiła się strona moralna włościan.

Lecz wróćmy do ogrodów puławskich, które były czémś więcej niż zbiorem klombów, ścieżek, napisowych kamieni otoczonych powojem i pięknych widoków.

Za pałacem obszernym, malowniczym, z tarasami pełnemi drzew i kwiatów, lecz nieimponującym ani zewnętrznym, ani wewnętrznym przepychem bankierskim, jaki dziś w modzie, księżna w cieniu wysokich drzew, na cyplu wzgórza panującego nad łaczą Wisły, wystawiła świątynię na wzór starożytnęj świątyni rzymskiej w Tyburze. Gmach to okrągły, dokoła bieżną korynckie kolumny z napisem na froncie:

„Przeszłość Przyszłości.”

Świątynia ta była składem pamiątek; było to muzeum archeologiczne, jedyne, jakie wówczas w polskich ziemiach

istniało, z tą jednak różnicą od zwykłych muzeów, że do każdego zabytku wiązała się wielka tradycya. Każdy miecz, każda zbroja, każda chorągiew, każdy klejnot przypominał jakąś wielką postać historyczną, jakieś zwycięstwo lub fakt znaczący, i budził w sercu oglądającego te pamiątki uczucie żalu.

Milcząca to, a jednak wymowna katedra.

Świątynia Sybilli natchnęła Woronicza wspaniałym rymem, w którym wyśpiewał przeszłość tonem podniosłym epei. Tego rodzaju poemat mógł się urodzić w chwili skończonego politycznego bytu. Jest to epeja, a oraz i elegia, surma bojowa, po której łza spływa.

Niemcewicz, gość puławski, przybywający z Ameryki, napisał był poemat, w którym życie panów tego ogrodu odmalował w dniu jednym, a raczej w czterech częściach każdej doby: w poranku, południu, wieczorze i nocy.

W wojennej epoce Napoleońskiej, polityka mogła liczyć tylko na oręż, szabla też miała wielkie znaczenie.

Instynktem wyższej kobiety odgadła to księżna Izabella, i ogrody puławskie zamieniły się w muzeum ciepłych jeszcze pamiątek. Nie były to zbiory archeologiczne w dzisiejszem znaczeniu ściśle naukowém; nikt bowiem wtedy nie rozprawiał o nich, dochodząc z jakiego są materiału, z jakiego czasu, kto mógł je wyrabiać, kto pierwszy podał wzór wyrobu, na co takowy służył, i jak się z nim obchodzono. Cały ten przybór często jałowój erudycyi nie zajmował niezycjéj głowy; sama pamiątka mówiła więcéj i obudzała takie uczucia, jakich nie obudzi dziś najuczepsza rozprawa.

Rzeczywiście też pamiątki zgromadzone w téj świątyni jak osobliwością swoją niejednego z dzisiejszych archeologów wprawiłyby w gorączkę, której skutkiem byłby stek wątpliwości lub hipotez, służących do popisu z erudycyą, tak ówczesnych profanów, przynoszących tylko entuzjazm dla wielkości i sławy przodków, przejmowały cześć i zapalem dla tych relikwii.

A były tam przedmioty godne królewskiego skarbcza, tak pod względem pamiątkowym jak artystycznym. Taka książka do nabożeństwa Władysława II, korałowe popiersie

Bolesława Wstydlivego, pieczęć Przemysława, czarny płaszcz Lokietka, tarcza Floryana szarego, stół Kazimierza W., wszystkie piastowskie zabytki, a po nich jagiellońskie, jak: trzewik Jadwigi, łańcuch złoty akademii krakowskiej, dwa miecze krzyżackie, chorągwie na nich zdobyte, szkatułka kardynała Oleśnickiego, wachlarz Bony, strzały Tarnowskiego hetmana, sztuciec koralowy po Barbarze Radziwiłłównie, szabla Batorego, buława Zamojskiego, książka do nabożeństwa Samuela Zborowskiego, zegarek roboty Zygmunta III, głowa Żółkiewskiego, tarcza i pierścień Chodkiewicza, burka, tarcza i kryształowa czara Czarnieckiego, zdobyte chorągwie i inne sprzęty na Turkach przez Sobieskiego, różne pamiątki po Augustach saskich i Leszczyńskim, suknia Stanisława Poniatowskiego, w której był przez konfederatów porwany, wazon z kości słoniowej, szaty, zbroje, pisma, wizerunki tylu osób z tylu wieków ubiegłych, razem zebrane, przedstawiały niejako historię illustrowaną... Każdy tu przedmiot wiązał się z dziejowem wspomnieniem osoby znamienitej lub faktu głośnego.

Wstąpiwszy do tego muzeum, taki, co znał historię, pojmował ją żywiiej, bo mu się uobecniała w zabytku dotykany ręką własną, oglądanym własnymi oczyma; taki, co jej nie znał, uczył się jej, bo ciekawość jego obudzona, kazała biedz po objaśnienie do książek, lub wypytywać świadomych rzeczy.

Możeby dzisiejszy archeolog litośnie wrzucił ramionami na niejednu z tych zabytków mających bardzo wątpliwe pochodzenie, jak owa tabakierka Wierzyńska, która poprzedziła odkrycie Ameryki i używanie tartej tabaki; atoli choćby w tych obfitych zbiorach znalazł się niejeden apokryf, jak to zwykle się zdarza w wielkich kolekcjach, przecież najważniejsza ich część miała za sobą autentyczność.

Rzucona myśl przez księżnę znalazła odgłos w wielu znakomitych rodzinach historycznych, które pośpieszyły z ofiarowaniem do Sybilli tradycyjnych pamiątek po przodkach, przechowywanych z pokolenia w pokolenie z synowską miłością. Źródło to było autentyczne, podobnie jak i drugie, z którego księżna czerpała, a tém były groby

i skarbee kościołów, otwierające się dla niej z obywatelskiego obowiązku, ze szlachetną, choć niezawsze usprawiedliwioną gotowością. To bowiem pewna, i nauczyło nas późniejsze doświadczenie, że najbezpieczniejszym konserwatorem zabytków przed drapieżnością nieprzyjaciół, były zawsze klasztory i kościoły, a nie kolekcye prywatnych osób.

Łatwiej też położyć rękę na jeden zbiór, niż za rozproszonemi ściagać zabytkami. Szczególniej trzebieenie bibliotek klasztornych, które zamieniło się w regułę, odpokutowano stratą wielkich księgozbiorów, zgromadzonych w ten niegodziwy sposób.

Opisowi puławskich ogrodów poświęcił Woroniecz pierwszą pieśń swojej Sybilli; w innych pieśniach zamknął historyczne liryzmy, natchnione zbiorami Sybillińskiej świątyni. Któż nie zna tych wspaniałych wierszy brzmiających jak miedź koryncka?!

Biorąc się od Sybilli na lewo, widać tak zwany *Dom Gotycki*, na naczółku noszący napis: *Izabella r. 1809* Księżna, odkąd zaczęło przybywać do jój zbiorów mnóstwo zabytków i pamiątek tak obcych jak polskich, wzniosła ten przybytek dla pomieszczenia takowych. Nie z samych dzieł sztuki składało się to muzeum; przeważały tu same pamiątki, często nie nieprzypominające, chyba dla osoby, która je zebrała i wierzyła w ich autentyczność. Można nawet powiedzieć, że pamiątki te przyczyniły się do ruiny wielu pomników; chęć bowiem robienia kolekcji nie powstrzymywała od uszkodzenia jakiego drogocennego zabytku architektury lub sztuki. To też ściany Gotyckiego domku okryte były wmurowanemi ceglami, gżemsami, rzeźbami, wziętymi z rozmaitych zamków; lecz toby już mniejsza, ale co najgorsza, dla przypodobania się księżnic, nie szcędzono prawdziwych monumentów, które dziś, w wieku restauracji, nie mogą się doliczyć brakujących kapitelów, figurek, liści, a nieraz i ważniejszych ozdób, niemogących być zastąpionemi żadną tegoczesną fantazją. Nasze wawelskie pomniki królów i biskupów, oczekujące naprawy i restauracji, niejednaby tam cząstkę swoją znalazły, podobnie jak inne gmachy krakowskie. Na tych to ścianach zewnętrznych Gotyckiego domu w Puławach, spotkałeś się z orlem Kazi-

mierzowskim, wziętym z Łobzowa, mającym datę założenia piastowskiej rezydencji; znalazłeś i trzy słupki marmurowe z grobu Kazimierza W., i kule z grobowca Jagielly, i ułomek z Łokietkowego, i gałkę marmurową z monumentu Kazimierza Jagiellończyka rzeźby Stossa... Podobnież przeniosły się tam całe nagrobki z różnych średniowiecznych kościołów, i owe sławne głowy z izby senatorskiej w zaniku krakowskim, które raz nawet miały przemówić po łacinie: „Rex Auguste, judica juste.”

Nie byłoby w tém nic złego, owszem pewna zasługa, żeby zabytkom na zniszczenie skazanym, lub walającym się w poniewierce, dany był przytułek, aby kiedyś, gdy się je szanować i cenić nauczą, na dawne miejsce wróciły. Atoli tu nie zachodził ten przypadek. Pod skrzydłami kościoła mniej dla nich było niebezpieczeństwa, niż kiedy przeszły w ulamkach na prywatną własność; bo i to pewna, że taki kawał gruzu oderwany od całości, nie ma innego znaczenia, tylko w uczuciu osoby, dla której łączy się z jakim wspomnieniem.

Podobnemi pamiątkami, ze wszystkich stron świata ściągniętymi, upstrzone były ściany Gotyckiego domu. Była to więc kolekcya osobista, obchodząca tylko samą właścicielkę, cokolwiek w tém sentymentalną; bynajmniej zaś nie mogłaby obchodzić nietylko potomnych, ale i współżyjących nieobdarzonych tą sentymentalnością, w której celują, jak wiadomo, angielscy turyści, obławujący swoje kieszenie kamyczkami, listkami, szmatkami branemi z różnych miejsc historycznych, zaszczyconych ich bytnością.

Komentarzem do tego rodzaju kolekcji był napis na wstępie:

„Sunt lacrimae rerum, et mentem mortalia tangunt.”

Niewiększą wartość można było przywiązywać do pewnej części zbiorów umieszczonych wewnątrz w przeznaczonych na to szafach; osobliwie co do pamiątek po sławnych ludziach, które za drogie pieniądze nabywano w podróżach zagranicznych, jak owe strzały Wilhelma Tell'a lub béciki Montezumy, lub grzebień Bianki Capelli, pantofle pani de Maintenon, tabakierka Tippa Saiba, pugiinał królowej Georgii, którym zabiła Łazarowa, kałamarz Macchia-

vellego, pióro Woltera, ubiór, w którym był chrzczony Rousseau, łyżeczka po kapitanie Cook'u, kaftan Kromwella i wiele tym podobnych osobliwości, tak łatwych do znalezienia, jak łatwa jest wiara nabywców. Wiemy przecież, jakiego fortelu używał ogrodnik w Ferney'u, żeby zawsze dla wszystkich wielbicieli Woltera wystarczyły firanki przy jego łóżku, z których każdy brał kawałek na pamiątkę: oto co kilka lat sprawiał nowe, inaczej bowiem nie wystarczyłoby prawdziwych na obdzielenia tylu odwiedzających. Są też pewne pamiątki, które w swoim miejscu mają znaczenie, przeniesione tracą je. Do tego rodzaju należy zapewne i krzesło Szekspira, figurujące w domu Gotyckim. Dopóki stało w mieszkaniu w Stratfordzie, było zbyt drogim dla Anglików zabytkiem, aby go mieli sprzedawać do Polski. Dla tego też wydaje się być wielce podejrzaną pamiątką, podobnie jak i wiele innych, które nie nosząc cechy artystycznej, łatwo dały się zastąpić lada nieautentycznym sprzętem.

Ale mniejsza o tę słabą stronę zbioru w Gotyckim domu, malującą tylko usposobienie sentymentalne, panujące w owiej epoce, jeżeli zbiór ten pod innymi względami przedstawiał przedmioty wielce szacowne i godne uwagi znawców. Było tam bowiem mnóstwo portretów znakomych i głośnych w historii osób, były bardzo cenne autografy, zbroje, naczynia, starożytne sprzęty, wyroby sztuki pochodzące z gabinetów monarszych. Dziś trzeba by mieć królewskie dochody, ma się rozumieć bez obciążonego budżetu, aby takie skarby pozbierać. Wówczas, kiedy księżna generałowa robiła swoją kolekcję, łatwiejszy był sposób nabycia.

Rewolucya francuzka, wydawszy wojnę wszystkiemu, co służyło do świetności dawnego społeczeństwa, obniżyła wartość dzieł sztuki. Ten i ów obciążony w dochodach, często tulacz, za beceń spieniężał pamiątki rodzinne; inny pod naciskiem równości, w obawie, żeby go nie posądzono o arystokratyczne gusta, wyzuwał się z familijnych obrazów, bibliotek, zbrojowni; a tak bogactwa domowe wielkich panów francuzkich i włoskich stawały się przedmiotem handlu i szły w ręce brokanterów. Najpiękniejsze

zbiory prywatne powstały u nas w owym czasie zrobione przez panów wołyńskich i podolskich, mogących za granicą rozporządzać wielkimi summami, z powodu otworzonego obszernego handlu zbożowego przez Odesę.

Ozdoby wewnętrzne sal domu Gotyckiego odznaczały się dobrym smakiem, a nawet przepychem. Ściany pokryte kobiercami, makatami, gobelinami, a na tych porozwieszane trofea rozmaitych broni, obrazy, herby, a wszędzie napisy, zawsze z pewną przymieszką sentymentalności, cokolwiek mglistej jak w owym wierszu:

Wszystkiemu, co los zmienia i co czas pożera,
Człowiek tkliwém wspomnieniem ciekawość odbiera.

Słowem, że czy to krajowiec, czy cudzoziemiec, mógł tu nasycić swoją ciekawość; jeden miał czém rozognić uczucia dla świetnej przeszłości, drugi miłośnik sztuki podziwiać twory artystów średniowiecznych, starożytnik oglądać niejedną rzadkość, co wszystko, zważywszy na ówczesny stan zakładów naukowych nader upośledzony, robiło Puławy niemal ogniskiem oświaty, utrzymywało ducha i dawało podniecie do prac naukowych i literackich.

Same zbiory w prywatnej siedzibie umieszczone, nie mogłyby wprawdzie wywierać wielkiego wpływu na ogół, gdyby znowu nie przychodziła w pomoc wspaniałość i światło dziedzica, który będąc sam zamilowany w nauce, lubił otaczać się zdolną młodzieżą, starych pracowników tulić do siebie, a nadewszystko sposobem życia łatwym, gościnnym, przyciągającym, zrobić pobyt w Puławach bardzo ponętnym. Dla tego też Kajetan Koźmian, blizki sąsiad puławski i od wielu lat z tym domem zażyły, stawia go wyżej nad wszystkie możliwe domy dawniejsze, gdy mówi: „Z Puław smak, ogląda, obyczajność rozeszła się po całym kraju, a Lubelskie pod tym względem najwięcej im winno. Puławy otaczała inna, im tylko właściwa i od innych rodzin oddzielna atmosfera. Wszystko tam było rodzinne, swojskie. Nie było staroświecczożny, lecz starożytne cnoty przebiegały się przez ukształcone i ugrzecznione obyczaje, tak, że kto Puławami oddychał, można go było rozpoznać od innych... Była to prawdziwie wyspa zaczarowana,

w której stawało się koniecznością wzdychać do grona uroczych kobiet, a obok tego ileż cnot publicznych, ile domowych, ile ludzkości, ile dobroczynności, ile ofiar, ile poświęceń, ile hojności dla włóścian, dla kalek, dla ubóstwa, dla sierot nieszczęśliwych, ile nakoniec wzorów cnot starożytnych!...”

W jednym ustępie *Ziemiaństwa* poświęcił on jeszcze wymowniejsze, a niemniej prawdziwe słowa Puławom:

O wy, wieczne pomniki zacności i sławy,
Świetne z siebie, świetniejsze z mieszkańców Puławy!
Stolico cnot ojczystych, wdzięków i oświaty,
Ileż drogiech wznawiacie wspomnień dla Sarmaty!
Ile w niej bohaterów, wieszczów, mędrów słynie,
Tu serca cnot ich składem, a szczątków świątynie,
Tu żyją w każdym drzewie, tu tehną w każdym glazie,
I w tym sprawdzonym gajów Elizu obrazie
Zda się, że nieoddzielne od tarcz i orężów
Snują się po przysionkach dusze wielkich mężów...

Jednym słowem, było to ognisko prawdziwej cywilizacji.

Nawet historyk najnieprzyjaźniejszy wpływom wielkich rodów i ich znaczeniu w kraju, będzie się musiał liczyć z tak uderzającym faktem, któremu trudno zaprzeczyć.

Wysokie stanowisko w kraju zajmowane przez księżcia, podróże zagraniczne księżny, stosunki z najpierwszemi znamienitościami, zamięłowanie dzieł sztuki, a nadewszystko miłość ziemi ojczystej i nicustające pragnienie dodania jój największego blasku u obcych, aby przez to wzbudzić interes dla ziomek, oto było główne zadanie dostojnej pary, mającej na względzie z jednej strony wszystko, co dobre i właściwe duchowi swojskiemu, co odpowiada uczuciom domowym, podnieść i uzacniać, a z drugiej bogacie rozumnie wybranemi zabytkami z obczyzny przewyższającą nas kulturą i cywilizacją.

Kto wie, jak dzikie wyobrażenia mają o naszym kraju cudzoziemcy, nawet w dzisiejszym wieku kolei żelaznych

i dzienników, łatwo pojmie jakie mieć mogli w drugiej połowie zeszłego stulecia, kiedy komunikacye z Zachodem były tak trudne i długie.

Był to więc nader szczęśliwy pomysł, który podyktował księżnie list do Jakóba Delille'a, sławnego autora poematu o Ogrodach. Smutno jój było, że dobrze jój znane ogrody Wersalu, Chantilli, Trianonu, Blenheimu, Twickenheimu, Stowu i tyle innych, gdzie sztuka potworzyła cuda, choć sama miejscowość nie mogła wytrzymać porównania ze wspaniałością okolicy Puław, znalazły się w wykwiutnych opisach Delillovskiego poematu, a Puławy, choćby w ogóle polskie ogrody, nigdzie nawet niewspomniane. Wprawdzie poeta nie znał Polski, ani jój ogrodów; lecz tak samo nie znał wielu innych, które przecież opisał temi ogólnikami, co były u niego na zawołanie.

Wiele zależało na tém księżnie, żeby Puławy znalazły się w tym Panteonie ogrodów. Nie była to próżność, lecz szlachetna ambicya, żeby świat mówił o jój ojeźźnie i nie robił jój tylko siedliskiem wilków i niedźwiedzi.

Napisała więc list pełny ujmujących przymieł do poety, nie w swoim niby, lecz w imieniu towarzystwa wiejskiego, które chcąc upięknąć ustronie, radziło się jego poematu, a teraz chce się poradzić samego autora co do napisu na piramidzie marmurowej wzniesionej na cześć wszystkich autorów, którzy rozrzewniali i uprzyjemniali życie. Na jednéj stronie obeliska ma być: Pope, Milton, Young, Stern, Szekspir, Rasyń i Russo; na drugiéj: Petrarcka, Anakreon, Metastazyusz, Tasso, Lafontaine; na trzeciéj: pani de Sevigné, Riccoboni, Lafayette, Deshuliers i Safona; na czwartéj nakoniec: Wirgili, Gessner, Gresset i Delille. Każda strona będzie obsadzona emblematycznymi krzewami. Róże, jaśminy, lilie, fiołki ozdobią stronę kobiet, mirt będzie dla Petrarcki, Anakreonta i Metastazego, wawrzyn dla Tassa, wierzba płacząca, cyprys i cis towarzyszyć będą Szekspirowi, Youngowi, Rasyńowi; dla czwartéj, pisze księżna, wieś nasza wybierze, co tylko sady, gaje i łąki mogą mieć najprzyjemniejszego, i każdy mieszkaniec zasa-

dzi drzewko dla uwiecznienia pamięci pisarzy, którzy w nas wpoili smak do życia wiejskiego, a przeto przyłożyli się do naszego szczęścia. Otoż na ten pomnik potrzeba napisu, lecz kto go ma dać? Wszyscy zgodzili się, że tylko głowa i serce śpiewaka Ogrodów może coś stosownego wynaleźć.

List księżny dogonił Delille'a w Konstantynopolu, dokąd się był udał, towarzysząc hrabiemu Choiseul'owi, ambasadorowi francuzkiemu. Odpowiedział nań równie pochlebnymi komplementami tak dla samej księżny, jak dla znakomitych osób, które się przyłączyły do jej prośby, stosując do tego grona wsi miłośników i miłośniczek, piękny wiersz Wirgila: *Habitant di quoque silvas*. Nie przeskadza mu to jednak zwrócić uwagi na niestosowne porównanie między wiejskich poetów Rasyna i Gresset'a, a nawet tego ostatniego chlósnać przycinkiem za zły przekład sielanek Wirgiliusza; co się zaś tyczy miejsca, jakie jemu przeznaczono w tej plejadzie, wyznaje z całą skromnością autorską, jak wiemy, zawsze podejrzaną, że zasługi jego są zbyt małe... Koniec końców przesyła ów żądany napis: „Bóztwa wiejskie bóstwom sztuk pięknych.”

Wiersz ten jakże wybornie charakteryzuje ów wiek ósmnasty, co podawszy w wątpliwość istnienie Boga Stworzyciela, zaczął filozoficzny swój Olimp zaludniać bóstwami ziemskimi! Od tego to czasu stało się zwyczajem nazywać kobietę piękną lub kochaną bóstwem, poetów, muzyków, malarzy—bogami... Historia umysłowa najlepiej odbija się w języku.

To uwielbienie dla Delille'a nad brzegami Wisły, miało swój dobry skutek. Wdzięczny poeta w poemacie *Ziemiannin*, nie omieszkął kilku wierszy poświęcić tej okoliczności wzniesienia mu pomnika, gdy mówi:

Bohaterów, piękności, mędrców świetne grono

Wykształceni Sarmatów potomkowie bitnych,

Będący chlubą krain Lecha starożytnych,

Cheą wzniesić dla mnie na pięknych ogrodów swych

(łonie

Pomnik przy Saint-Lambertie, Popie i Thompsonie.

Czuając się jednak niegodnym tego towarzystwa, uprasza, aby w jakim ciemnym gaju poniżej Teokryta, nawet i Gessnera, a daleko od Marona, zostawiono mu kącik:

Zkąd rad będę poglądał, jak moje nauki
 Pełniąc, dawać będziecie wzór ziemiańskiej sztuki,
 Słodzić waszą samotność, zdobić brzegi Wisły,
 Wieś wzbogacać i śmierzyć burzliwe umysły.
 Szczęśliwy! jeśli echo w chłodzie tego cienia,
 Powtórz moje imię, mój hołd, moje pienia!

Ale tylko wzmianka. W drugiej edycyi ogrodów, którą ogłosił w Londynie r. 1802, jest cały ustęp poświęcony „Sarmackim ogrodem,” to jest Arkadyi i Puławom, gdzie pompatycznym stylem opisuje góry, doliny, drzewa, rzekę; w kilku wierszach mówi o pamiątkach w Sybilli złożonych, o pomniku z wierzbą płaczącą, a nareszcie i o sobie nie zapomina, dodając:

„Ja wiejski malarz, kto wie, czy przez rymy moje
 Nieśmiertelnym nie zrobię ogród, dzieło twoje.

„A przynajmniej, koło kamienia, noszącego moje nazwisko, niech kiedy niekiedy tańczą grona pasterzy i pasterek...” I innych jeszcze na tę nutę dorzucza kilkanaście wierszy sentymentalno-pastoralnych.

Dziś te ogólnikowe, podług jednego patronu robione opisy nie mają wartości; ale w epoce tyrad retorycznych, pięknych wyrażen, delikatnych sentymentów, uchodziły za kwintessencję wzniosłości poetycznej. Delille używał takiej sławy, że jeśli nie dał Puławom tej nieśmiertelności, jakiej dać nie mogły jego rymy, tak prędko zapomniane, to dał im niepospolity rozgłos, o co właśnie najwięcej szło księżnie, aby świat wielki za granicą powziął lepszą opinię o tej krainie sarmackiej i o geniuszu i smaku kożuszných Sarmatów.

Nie zapominajmy, że to się działo w końcu przeszłego wieku, kiedy bardzo niepoehlebnie cudzoziemcy o nas się wyrażali. Podobnemi pismami najwięcej zasypywali nas

Prusacy, nie tylko po niemiecku, ale i po francuzku. Wąż nim zadusi swą ofiarę, pierwój ją jadem oślini.

Napomknąłem już wyżej o roli, jaką grały Puławy. W braku urzędowej stolicy, stały się one stolicą duchową, a rola ta nie była stworzoną do chwilowej potrzeby, lecz w naturalnym toku rzeczy sama się znalazła. Zawsze bowiem dwór puławski rywalizował w pewnym względzie z dworem Poniatowskiego. Puławy więc wzięły na siebie przywilej, jako dom prywatny, utrzymywać czynność umysłową. Król dobrze wiedział o tém i sprzyjał temu działaniu, tém więcej, że go to nie zrobiło odpowiedzialnym. Od dawna pociągał też z puławskich ogrodów prąd ożywezej literatury. Książnin, Zabłocki, Niemcewicz, Karpiński, mieli tam zawsze nastrojone lutnie na ton elegiczny, albo na ton heroicznej ody, wołającej o czyny poświęcenia się, stosownie do tego, jak sprawa publiczna stała nisko lub szła w górę. Podobnież kiedy teatr w stolicy ograniczał się na wystawianiu komedyj i dramatów z lekkimi tylko i dobrze ugazowanemi alluzjami do okoliczności żywiej obchodzących publiczność, tedy na teatrze puławskim muza Książnina swobodnie wybuchała lirycznym płomieniem. Właśnie umysły nastrojone zabierały się do organicznych prac sejmu wielkiego, kiedy w Puławach wyprawiano widowisko, na które zjechało się mnóstwo poetów i senatorów; była to *Matka Spartanka*, opera we trzech aktach, napisana przez Książnina. Na przedstawieniu znajdował się Szczęsny Potocki, wojewoda ruski z synem, wówczas jeszcze wskazywany jako wzór najprzedniejszego obywatelstwa. Można powiedzieć, że cały ten spektakl był dla niego ułożony, kiedy Teona (*Matka Spartanka*) przez usta księżny generałowej, która grała tę rolę, wystosowała do niego następujący czterowiersz:

Co idziesz enoty drogą i prowadzisz syna,
Któremu miłość kraju miłość jest jedyna,
Oto *Matka Spartanka* teńąc w równym sposobie,
Komuż czulej się wyda, jeżeli nie tobie?

Posypały się na to widowisko rozliczne rymy. Jeden tylko wiersz Trembeckiego godzien pamięci, jako ten, co

umiał schwycić treść rzeczy, zrozumieć znaczenie Puław i ich panów. Na pozór są to niby kadzidla, w gruncie najprawdziwsza charakterystyka, gdy mówi:

„W tym domu wszystko znajdziesz oprócz jednej pychy.”

Albo w owym przepysznym zwrocie do pytagorejskiej wiary w metempsychozę, ulubione jego przywidzenie:

Wierzyłem, że Spartanki i dusza, i mina
W matkę, a Likanora serce przeszło w syna.

A dalej snując myśl z tego założenia, powiada:

Myslałem jak na części te duszę podzielić,
By mogły w moim kraju ożywiać ciało wiele!

Alte wyższe dusze nie cierpią podziału:

Bo wysoka krew, wielkie zamysły dziedziczy;
Gdy, co u innych cechę rozrywki posiada,
Na pożytek krajowy przestaczać rada,
Wyrosłaby nadzieja odzyskania sławy,
Gdyby można po całym kraju siać Puławy.

Każda więc rozrywka i zabawa miała tam swoją doniosłość; nie było to życie bez celu, o jakie tak często, a tak słusznie pomawiano u nas dziedziców wielkich fortun, posiadających jedną tylko sztukę trwonienia majątku, nie w służbie politycznej, lecz w służbie swych zachceń i fantazyj goniących po zagranicznych stolicach nie wiedząc za czém, chyba za próżną chlubą, że się było w Paryżu, Londynie, Neapolu, i że się tam zostawiło ogromne summy, a nie przywiozło do domu nie krom tęsknoty i nudów.

Można powiedzieć, że Puławy, dając wzór jak upiększać swoje siedliska wiejskie, jak uprzyjemniać życie na wsi, uczyły siedzieć w domu i zajmować się tym światem, jaki nas otacza i bliżej, i dalej. Cóż, że drobna szlachta pilnowała swoich zagonów, że grosz składała do kupy, kiedy nie mając wzoru dla siebie w jakim możliwym przewodniku, coby z nią żył, przodował wykształconym umysłem, praktycznym zastosowaniem pożytecznych ulepszeń

i wynalazków, konserwowała starą tylko gościnność i ciemnotę? Seree mogło najszlachetniej bić w piersi w godzinie stanowczej ofiary krwi i mienia, atoli na codzienny żywot nie wystarczało to, a ten włókł się najczęściej koleją przedawniałych nawyknień, wyobrażeń w ogóle bardzo ciasnych. Odkąd też w jakiej okolicy na wzór Puław znalazł się majątniejszy obywatel rządny, światły i prawy charakterem, a do tego umiejący żyć po sąsiedzku, tam punkt ten cywilizacyjny nie zostawał bez wpływu nieraz na cały powiat.

Tym sposobem zasiew puławski rozpleniał się po kraju, tém pomysłniej dla pospolitego dobra, że sposób życia książęcego dworu nie obudzał tój śmiesznej rywalizacji w okolicznej szlachcie, która nieraz jednowioskowych właścicieli przyprawia o ruinę, gdy się sadzą, żeby sprostać magnatom w wystawnym stole, meblach, liberyi, powozach. W Puławach było wszystko na bardzo wielką stopę pańskości, ale niemodne, niewykwintne elegancją i wymysłami. Mnóztwo sług, rezydentów i rezydentek, cugów, powozów, stół skromny, wino liche, ale przy stole zawsze rój gości. Niemcewicz w Satyrze do księcia generała ziem podolskich ofiarowanej mu na imieniny w r. 1809, karci go niby za nieumiejętność życia po pańsku:

Zamiast żyć jak przystoi panu tak wielkiemu,
Zamiast kamerdynerów suto haftowanych,
Wiatronogich biegunów, lokajów dobranych,
Zamurzane pajeczki w zielonych katankach,
Chrapią leżąc po sofach, snują się po gankach...
W jednych tylko Puławach widać jeszcze ciury.

A jednak są oni przedmiotem pieczołowitości księcia:

Jak się ma twoja żona, dzieci i wnuczeta?
Pytasz lubyh... froterów: ojeiec twój czy żyje?
Czy dobrze mieszka, dobrze śpi, jada i pije?

Albo otaczasz się kalekami, co na wojnie potracili ręce lub nogi, i wyrzucasz na nich połowę twoich dochodów, kiedy inni:

....grosz sypiąc, gdzie ich żądza ludzi,
Tracą się na psy, a ty tracisz się—na ludzi!

Księżna tak samo zepsuła się od ciebie:

Nie znajdziesz jój z pannami na złocistych salach,
Lecz albo w chatach wiejskich, albo też w szpitalach!

Ironiczny ten obraz życia puławskich panów wier-
ném jest malowidłem tój patryarchalności, znikającej z po-
śród naszego społeczeństwa; a była to patryarchalność nie
ograniczona do samego stosunku z klientami lub domowni-
kami, lecz intelligentna, czynna, cywilizująca, pełna szer-
kich widoków i dążeń. Wszystko to zostawało w ścisłej
harmonii z ogrodem, który był jakby kosztowną i misterną
ramą, służącą za oprawę tój wzorowej parze i jój rodzinie.
Sam ogród, aczkolwiek wspaniały, malowniczy, umiejętnie
założony, byłby tylko tém, co estetycy zowią sztuką dla
sztuki, w połączeniu zaś z mieszkańcami jego, tworzył jak-
by instytucję, z której rozechodził się dobry smak, ogląda,
światło, przyjemne i pożyteczne użycie czasu i fortuny,
współzucie dla nieszczęścia i nędzy, zajęcie się dolą ludu,
uszlachetnieniem i poprawą jego dobrobytu.

Ogród miał też charakter swych panów, był wierném
ich myśli zwierciadłem. Trafnie powiedział Helleniusz, że
tam nie ze starożytnych barw nie odjęto. Sztuka dzisiejsza
zjednoczyła się z przeszłością; dawne ogrodnictwo miało
okazałe dziedzińce, przepyszne ulice, ciągnące się nieraz o
mile, i łączące w rozmaitych kierunkach dwory sąsiednie,
przyjacielskie, lub też wiodące do miast większych. Drzewa
w ulicach, drzewa w gaju, na dolinie, tuż przy wjeździe,
były oznaką siedlisk możnych panów, że jeszcze dziś, choć
poznikały wielkie dwory, rzuciwszy okiem na okolicę po-
znasz od razu po bukietach ogromnych drzew, tworzących
jakby ogromną kotarę, po biegnących w pole, często bez
celu liniach kasztanów, lip, to jest, w prostym kierunku,
choć ze znacznemi szczyrbami, że tu zamieszkiwał jaki het-
man, wojewoda, dostojnik kościoła....

Stare drzewa dotąd najdłużej o przeszłości świadczą,
dłużej niż zamki i pałace, z których porobiono gorzelnie
lub cukrownie.

Najpiękniejszy pejzaż, bez stafażu, jak mówią malarze, to jest bez ludzi i zwierząt, zawsze jest w pewnym względzie abstrakcją, przestaje być ożywionym. Podobnie z najpiękniejszy ogród zyskuje na piękności i wspaniałości, jeżeli po jego ulicach, chodnikach, jeziorach, labiryntach snuje się tłum wesoly, igrający, elegancka pleć piękna, otoczona rojem wielbicieli niewyczerpanych w pomysły zabaw i niespodzianek. Pojmowała to księżna, i dowcip jej, smak wyborny, umiały w czarodziejski sposób korzystać z rozmaitych miejscowości puławskiego ogrodu i ożywiać go zabawami pełnymi oryginalności, ilekroć jaki znakomity gość zawitał, lub nadszedł dzień uroczystości familijnej, urodziny której z córek, synów lub męża.

Pamięć tych zabaw przeszła bez śladu, ze zgonem osób, które na nie patrzyły, gdyby nie pamiętnik spisany przez księżnę, która zapewne w mniemaniu, że potomkowie jej dożyją szczęśliwszych czasów i zechcą się bawić, ułożyła opisy tych uroczystości.... Moznaby je nazwać tradycją domową, obyczajem starożytnym; tak już ani majątki dzisiejsze, ani obyczaje, ani upodobania nie licują z tém wszystkim, jak nie licują turnieje, lub tak zwane *cours d'amour*.

Żeby jednak zachować wyobrażenie o tém, czém był ten ogród, przytoczę opis choć jednej takiej zabawy.

Księżna we wstępie do swych opisów powiada, że te zabawy nigdy nie pochodziły z ostentacyi i próżności; zbytek, lub marnotrawstwo drogiego grosza nie brały w nich żadnego udziału. Przyjaźń, przywiązanie, uczucie domowej szczęśliwości były wynalazcą tych zabaw.

„Trzeba też i to wiedzieć—pisze dalej księżna — że mieszkańcy Puław tworzą jakby osobną kastę, klan ścisłym węzłem złączony. Krewni, przyjaciele, dzieci, wychowawcy, słudzy, nawet chłopci tworzą między sobą ogniwa jednego łańcucha, niedającego się zerwać ani latami, ani okolicznościami.”

W takim to kole odbywały się najeżeściiej te uroczystości i zabawy.

Jedną z takich zabaw, a raczej przedstawień, skreśliła księżna pod tytułem: *Karawany*.

Podobne widowisko mogło się udać tylko w tych warunkach, jakie miały Puławy przed kilkudziesięciu laty.

„Liczni goście zebrani u nas — pisze księżna generalowa — byli zachętą do wyprawienia jakiej zabawy. Przyszło nam na myśl urządzić kawiarnię turecką nad brzegiem wąwozu przechodzącego przez ogród, a który oraz jest wielkim gościńcem prowadzącym do Lwowa i Krakowa... Gościnnie ten bywa bardzo odwiedzany. Jakoż rozbito bogate namioty tureckie, przyozdobione z całym zbytkiem orientalnym. Przepyszne kobierce, porcelany japońskie i chińskie, rozkoszne wonie, wszystko to służyło do ozdoby, niemniej jak kwiaty, a mianowicie róże w wazonach otaczały namioty, cały zaś obwód zamykały pomarańcze w kwiecie. Kawę, lody, sorbety i wszelkie chłodzące napoje roznosili bogato ubrani Turecy. Zdawało się, że cała zabawa skończy się na kawie, a raczej tym podwieczorku wyprawionym w uroczym miejscu, gdzie po lewej ręce mieliśmy grupę drzew starożytnych, naprzeciw portyk oranżeryi, u stop naszych przepaści wąwóz, przez który rzucony łuk kamiennego mostu bawił oczy ciągle przesuwałymi się tłumami widzów. Gdy tak wszyscy zasiedli, dała się słyszeć wschodnia muzyka, wygrywająca marsze tureckie..... Wtém rozległ się odgłos tysiąca dzwonek i klaskanie biczy..... Zaintrygowani tém goście rzucili się na most i na gościnnie.... Aż tu w głębi alei idącej ku wąwozowi, ujrzało ogromny tłum, z razu trudny do rozpoznania, co jeszcze bardziej drażniło ciekawość. W miarę, jak się zbliżała ta hurma, rozpoznawano postaci jeźdźców arabskich, nakoniec poznano, że to wschodnia karawana, zupełnie podobna do karawany na azyatyckiej pustyni. Trzysta przepysznych baranów otwierało pochód z dzwonekami na szyjach, pędzonych przez ogorzałych Arabów w ciemnych turbanach, brodatych i dzikiego wejrzenia. Sto krów z większymi dzwonekami z wolna postępowało za nimi, a przy nich szło dwunastu młodych hajduków ubranych z turecka, w papuciach na gołych nogach, w szarawarach żółtych, w czerwonych fezach, krótkich katankach, z długimi w ręku tyczkami, któremi popędzali bydło; a niektórzy odzywali się na ligawkach w sposób przyjemny dla ucha. Następnie przepyszne czystej krwi wschodniej rumaki, w bogatych rzedach prowadzili Arabowie, siedzący na najdzielniejszych koniach.

Za nimi szło dwanaście wielbłądów objuczonych; przy każdym był Arab w stroju używanym na pustyni, a na grzbiecie siedział chłopczyk w czerwonym fezie i szarawarach tegoż koloru. Cała ta służba karawanowa lśniła się od złota i jedwabiu. Nakoniec pokazały się karawany przykryte, gdzie się znajdowały kobiety... Przez otwory zakratowane porobione w płótnie, widać było ładne twarzyczki. Sama miejscowość i dokładne zachowanie szczegółów, sprawiły takie wrażenie na osobach nieznających naszego kraju, że złudzenie to wzięły za prawdę i uwierzyły, że to istotna karawana przechodząca gościńcem właśnie wtedy, gdyśmy siedzieli przy podwieczorku tureckim. Polacy poznali się na tej komedii, ale znaleźli ją tak piękną, tak zachwycającą, że po kilka razy orszak ten musiał przeciągać przed nimi. Lecz gdy dzień miał się ku schyłkowi, wróciliśmy pod namioty, gdzie zjadłszy kolację, długo jeszcze przy pełnym świetle księżyca, całe towarzystwo przechadzało się po wspaniałych alejach ogrodu.

„Do tej karawany nie należała żadna z osób naszego towarzystwa; wszystko to byli służący nasi, czy to Turcy, czy kozaki dworskie, czy parobcy i dziewczęta wiejskie.”

Wiele jeszcze w podobny sposób ułożonych zabaw i uroczystości opisała księżna; między innymi: Godziny, Sielanka na kępie, Zulu albo zemsta czarodziejki, Miłość i szaleństwo, Korsarze, Kartuzya, Śniadanie i t. p. Były to albo pantominy, albo małe sceny ze śpiewkami i tańcami, w guście Watteau, w których najeczęściej w różnych rolach występowała sama księżna lub osoby należące do jej rodziny. Jedne odbywały się w salach pałacu, inne, i te były najwięcej uroczyste, pod gołym niebem w ogrodzie, na Wiśle, lub w pobliskich wioskach.

Dużo byłoby mówić o tym domowym żywocie panów puławskich ogrodów, wywierającym taki wpływ publiczny; gdy rzecz ta atoli należy raczej do dziejów naszej kultury, pozostaje mi tylko dorzucić tę uwagę, że księżna generowała nadała rzeczywiście charakter naszemu ogrodnictwu, który jednakże niewszędzie utrzymał się, mianowicie tam, gdzie sprowadzeni z zagranicy cudzoziemcy założyli artystyczne ogrody bez uwzględnienia miejscowej tradycji.

Wyłączną własnością, że tak powiem, oryginalnością Puław, były drzewa starożytne, te prawdziwe ozdoby naszego pejzażu, o których Woroniecz tak pięknie się wyraził:

Każde drzewo coś mówi, uczy, przypomina
Ojca, matkę, sąsiada, przyjaciela, syna...

Otoż w artystycznych ogrodach padały one nieraz pod siekierą, dla odsłonięcia widoku i ustąpienia miejsca klombom karłowatych, egzotycznych krzewów, pod którymi w upały cienia nawet znaleźć nie było można...

Taką artystyczną fantazją, daleko, na krańcach dawnej Rzeczypospolitej, w głuchym stepie ukraińskim, był ogród zwany Zofiówką, współzawodnik Puław.

O parę wiorst od Humania, miasta wsławionego tragedią hajdamacką, gdy się puścisz piękną ulicą lipową, nagle ujrzysz się w zaczarowanym miejscu, i zdaje ci się, jakbyś nadeptał na kosztowny dyament... Nie bowiem nie zapowiada z daleka, że tam, przed tobą, ukrywa się siedlisko cudów, bo ani sylwetki wysokich drzew na horyzoncie wycięte, ani polykujące wody, nie zgoła nie dominuje nad monotonną powierzchnią stepu... Ogród ten jest prawdziwą niespodzianką przypominającą te powieści wschodnie, gdzie zabląkanemu na pustyni królewiczowi nagle ukazuje się zaczarowany zamek.

Rzeczywiście też niespodzianka spotyka tu za każdym krokiem. Wchodzisz w jar, witają cię ogromne, czerwonawe skały między dwoma wzgórzami zarosłemi, z pośród których sterczą olbrzymie głazy, leży zwierciadło jak lza przezczystej wody, z której tryska kolumna na 38 łokci przypadających ukośnie promieniach słońca, migająca barwami tęczy... Most na granitowych łukach prowadzi do oranżeryi, lecz ty obierasz drogę na lewo po pod gęstwinę lasu, z kądem uroczy widok na piętrzące się głazy, obwinięte powojem, strzelające jodłami. Nad wszystkie przepychy tego rajy, najpiękniejszym i najbardziej imponującym jest wielki wodospad. Niezawsze on szumi, bo prędko przebrałoby się wody, lecz kiedy go puszcza, długo ziemia trzęsie się i grzmi, jakby zbliżała się ulewna chmura... Bucha nareszcie obrus wody z wysokości kilkudziesięciu łokci, szeroki

na kilka i kilkanaście, i ośm razy rozbija się o granitowe progi, zlatując ze strasznym szumem w wielką szybę wody, która zabiela się jego pianą...

Podobną kaskadą żaden ogród się nie szczyci; sprawa ona ogromne wrażenie w tym roślinnym dramacie... Ogłuszony, zelektryzowany, chciałbyś się gdzie schronić, wytchnąć w urokaach zaciszy, i oto następuje ci się niejedna grotą ułożona z trzech olbrzymich granitów, lub z jednej płyty wspartej na głazie... Ale wszędzie dolatuje łoskot, skały się trzęsą... Uciekasz dalej i trafiasz na *Pola elizejskie*. Dolina to długa, przestronna, oprawna w ramy wzgórzy lesistych, wysłana szmaragdową murawą, po której wije się kryształowy strumień... Ustroń ta ma coś tak powabnego, tak wdzięcznego dla duszy, że chciałoby się w niej pozostać do końca życia; a może jest skutkiem kontrastu z szumiącą kaskadą, podobną do burzliwych namiętności, po których tak słodko znaleźć spoczynek. Co kilkadziesiąt kroków we wszystkich załawkach skał spotykasz się z jaką grotą lub ołtarzem, posągami, kolumnami... Wszędzie napisy... Niektóre melancholiczne, jak ten nad brzegiem strumyka:

Płyn strumyku szybkim biegiem,
Te na zawsze rzucaj cienie,
Z kwiecistym się żegnaj brzegiem,
Skrapiać dzikie śpiesz kamienie.
Tak szczęśliwy dzień uchodzi,
Choć zbyt rzadki dla człowieka,
Ledwo się go ujrzeć godzi,
Tylko błysnie i ucieka...

Albo ten drugi w grocie Kalipsy:

Strać tutaj pamięć nieszczęście, a szczęście przyjm wieszczę,
A jeśliś jest szczęśliwy, bądź szczęśliwym jeszcze.

Niektóre z tych napisów, mianowicie pierwszy, mają być dziełem samego założyciela ogrodu, któremu nieszczęścia struły schyłek życia.

Jedną jeszcze osobliwości Zofiówki pominąć nie wypada. Tą jest kanał podziemny. W łodzi o kilku wioślarzach udajesz się w krainę cieniów; płyniesz murowanym kanałem, długim na siedemset stop, mającym w pewnych odległościach okrągłe otwory w górze, dające światło. Łódź ta wypływa na *Słodkie morze*, czyli przepyszny staw, z wyspą sztucznie zrobioną pośrodku. Na tej wyspie miały być złożone zwłoki Szczęsnego Potockiego podług pomysłu Trembeckiego, który kazał mu żyć długie wieki w swoim poemacie. W innej stronie, przy ulicy wiodącej do oranżeryi, widać dwa ogromne granity przeznaczone na obelisk dla Zofii Potockiej, także podług poetycznego planu Trembeckiego:

Z ciemności wydostany to będzie miał zyskiem,
 Chmury swym dzielić końcem, zwać się obeliskiem.
 Komu on wystawiony, świadczy napis ryty:
 Wnuk Dijony dla czwartej poświęcił Charyty.

Opisywać szczegółowie ten ogród, ze wszystkimi jego mostami, fontannami, krynnicami, grotami, urwiskami, sadzawkami, korytarzami w skałach wykutemi, kioskami, altanami, świątyniami, byłoby jedno co utworzyć dzieło o przyozdobieniu ogrodów, takie tam bogactwo szczegółów, niemal przeladowanie. Jar zawalony granitami, kręcący się w rozmaitych kierunkach, przemieniono w twór najromansowszej fantazyi; z każdego załamka lub urwiska skały zrobiono cacko, które w zwyczajnym umieszczone ogrodzie, jużby w nim było osobliwością. Nie było tu miejsca na widoki obejmujące szerokie przestrzenie okolic, natomiast ucieczono się do przeobrażenia każdego miejsca w piękność wystarczającą dla siebie. Oko morduje się tu w ustawnych niespodziankach i admiracyach, a na niczem nie może spocząć dłużej, jeden obraz zaciera drugi, zupełnie jak w galerji malowideł lub w muzeum rzeźb, a nie śmiałybym powiedzieć, jak na widowisku czarodziejskiej opery, nie tu bowiem nie miało cechy dekoracyjnej: skały dziwiły olbrzymiścią, wyroby dłota były znakomite, każdy szczegół wykonany sumiennie i z najsamorodniejszego materiału.

Szczęśny Potocki, wojewoda ruski, bawiąc się polowaniem w okolicy Humania, uderzony romantycznością jednego jaru, powziął myśl założenia ogrodu na cześć ukochanej Zofii Greczynki. Z razu koszt zdawał się nieznacznym, bo sama natura miała dostarczyć bogatych motywów; atoli z jednych piękności i ozdób rodziły się drugie w nieskończoność, tak, iż upiększenie tego miejsca wyrachowano na 7 milionów złotych polskich. Założeniem ogrodu kierował zdatny oficer inżynierii Metzel, który umiał po mistrzowsku rozprawdzać wody i skorzystać z miejscowości. Nie ma też żadnej przesady w tém, co Trembecki napisał w poemacie opiewającym cuda tego ogrodu:

Kto gajów tuskulańskich smakował ochłody,
Kto uwieńczył Tyburu spadające wody,
Kto straszne Pausillipu przebywał wydroże,
Jeszcze i Zofiówce zadziwiać się może,
I przyzna, jeśli szczerłość usty jego włada,
Czém tamte w częściach słyna, ta razem posiada.

I to właśnie jest i pochwała, i nagana Zofiówki, że w niej dały sobie *rendez-vous* wszystkie piękności rozmaitych stref i wieków, a szczególnie mitologiczna Grecya i Rzym.

Cechy rodzinne są zupełnie zatarte w tym kosmopolitycznym ogrodzie; oprócz jednej grotty, jakby z łaski ochrzczonej grotą Łokietka, spotykasz zresztą same Kality, Tetydy, Wenery, Flory, Hymeny, Peleja, Nimfy, Nymfy, Pola elizejskie i Szkołę ateńską. Tak tu wszystko obce i pogańskie, tak przy tém schowane w tej rozpadlinie, że wydaje się być świeżo odkrytym dokumentem Herodotowych lub Strabonowych podań o tych koloniach greckich, co zabiegały aż w te strony, podobnie jak świadczą o ich pobycie wynajdowane monety i medale greckie... Zdaje się, że dwóch głów pomysły składały się na stworzenie Zofiówki.

Pan Szczęśny, pałający miłosnym affektem dla pięknej Greczynki, chciał zapewne, żeby była analogia między osobą a ogrodem na jej cześć założonym, i dla tego odwołał się do odległych wspomnień starożytnej Hellady. Było to do

wytlómaczenia, któryż bowiem kochanek nie widzi w przedmiocie swoim bogini? a piękność jak ta, co go podbiła, bardzo łatwo mogła iść w prostą linię od prababki swojej Afrodyty... Drugi, który dodawał konceptu, był Trembecki, wielki miłośnik Grecyi, tój zwłaszcza, co lubiła bawić się, kochać i filozofować. Mniemam też, że opisując Zofiówkę, w rymy tylko ułożył te plany i pomysły, które wpierw, nim jeszcze wykonane były w naturze, podawał w ustnych pogadankach.

Znać to z całego toku i ducha *Zofiówki*, gdzie poeta ściga więcej ulubione swoje wyobrażenia, niż zatrzymuje się nad opisami szczegółów miejscowych... Jest on jakby geniuszem starożytnéj Grecyi, unoszącym się nad jarem ukraińnym i marzącym złotemi snami, które u nóg jego przybierają kształt rzeczywisty...

Coś podobnego, choć nie na stepie ukraińnym, lecz w środku Warszawy okazywały ogrody na Solcu księcia podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego, których krótki opis zostawił nam książę de Ligne:

„Książę Kazimierz—powiada on—przez różne nasypy i przekopy, porobił w swoim ogrodzie efektowne widoki. Wybornego smaku salony otoczył górami; spotykasz tam jeden salon, niby przypadkiem, ale tak, że tego przypadku uniknąć niepodobna. Tu zapuszczasz się w głąb grotty, z której aby wyjść, potrzeba choć trochę światła... Zdaje ci się, że w głębi widzisz światelko, idziesz za niem, i znajdujesz salę precudnie ozdobioną, malowaną, umeblowaną przepysznie; wszędzie mozaikowe kolumny, płaskorzeźby i t. p. Inna podobna sala znajduje się na lodowni, gdzie się zabawia całe towarzystwo, nie będąc z sobą w styczności. Są tam bowiem dwa piętra, jedno dla tych, co lubią grać w karty, drugie dla lubiących się bawić pogadanką. Ten rodzaj przegrody, która jednak nie przegradza jednych od drugich, jest wcale nowym pomysłem. Znajdziesz tam oprócz tego bardzo piękny minaret, czyli wieżyczkę turecką z dzwonami zwołującemi na modlitwę. Znajdziesz rozmaite świątynie wykute w skale... Jest tam i piękna kolumnada, a blisko niej wspaniały teatr, wyglądający z wierzchu jak

kościół gotycki. Życzylbym, aby poprowadzono most po nad gościńcem, któryby łączył z sobą dwa ogrody, niepotrzebnie rozdzielone — chociaż są obadwa bardzo piękne. Znajdziesz tam i wysepkę, na której stoi miasto zbudowane jakby dla dzieci. Jest to bardzo ładna igraszka fantazyi.

„Książę zgromadza tam dzieci i wyprawia im festyny. Widzieć jak ta dziatwa poprzebierana w różne stroje rzemieślnicze, udaje kowali, szewców, krawców, stolarzy, mularzy, oberżystów i t. p., — jest rzeczą bardzo pocieszną. Lilipuckie to miasto ma i wojskową załogę, i duchowieństwo. Jest też i teatr maryonetek.”

Przyjęto w pewnym względzie za regułę zachowywaną w ogrodnictwie, żeby ogród był niejako przedłużeniem mieszkalnego domu. Co jeden ma, to w drugim także znaleźć się powinno; sale dla większych uroczystości, gabinety dla samotnych dumań, miejsca dla przechadzki czy w upał, czy w niepogodę, zgoła o każdej godzinie i porze, kiedy się wyjdzie z pod dachu, miło znaleźć pod gołym niebem to, do czegośmy w życiu codziennym przywykli... Ścisłe zachowywanie tej reguły wyrodziłoby ogród bardzo symetryczny i nudny, to prawda, atoli tylko tam, gdzie się brak podobnego związku czuć daje, najlepiej trafia do przekonania praktyczność owego prawidła. Zofiówka dla tej przychyni nazwać się może abstrakcyjnym ogrodem; nie łączy się ona z niczym, jest samą dla siebie; szukać jej trzeba umyślnie, żeby znaleźć. Wprawdzie leży ona nieopodal od miasta Humania, ale mieścina słomą poszyta, złożona z karczem żydowskich i dworków lepionych z gliny, niepowinna mieć pretensyi do korzystania z tak wykwintnych przepychów. Potoccy nie mieli tu rezydencyi odpowiedniej ich możliwości; w Humaniu był dwór murowany, szlachecki, gdzie mieścili się państwo, ilekroć przyszła im chęć przenieść się z odległego o dużych dziesięć mil ukraińskich Tulczyna w ten kraj rozkoszy. Ogród więc zaludnił się i ożywił z ich przybyciem, zwłaszcza około Świętego Jana, kiedy okoliczni obywatele zjeżdżali się na egzamina dzieci w szkołach bazylińskich.

Nie miała więc Zofiówka tego wpływu, jakim szczyły się puławskie ogrody... Oderwane piękności mniej zajmowały niż ułamki historycznego gruzu...

Prawdziwą rezydencją Potockich był Tulczyn, miasto o wiele porządniejsze i lepiej zabudowane od Humania, mające przepyszną starych drzew aleę prowadzącą do wjazdowej bramy, za którą otwierał się ogromny dziedziniec, zamknięty wspaniałym pałacem z kolumnadą, który przez zagięte w łuk po obu stronach oranżerye, łączy się z dwoma skrzydłami. Gmachy te noszą jakieś reminiscencye Luwru i Wersalu. Od drzwi pałacowych, ze strony ogrodu, rozciągał się olbrzymi kobierzec trawnika, na lekkiej pochyłości, kończącej się szybą pięknej wody, w której przeglądała się marmurowa grupa Neptuna i Nereid, przeglądały się ogromne kasztany i topole, a gdzie niegdzie płaczące wierzby kąpały swoje warkocze. Ogród ten o szerokich ulicach, z kłombami gajów, z wyspami na jeziorach, rzeką poprzecinany w różnych kierunkach, miał cechę pańskości, harmonizował z pałacem. Nie było tu żadnych cacek, ani niespodzianek; w massach drzew, przestrzeniach trawników, dalekich perspektywach, malowniczo prowadzonych wodach, mieściły się jego piękności. Chyba jedno tylko topole włoskie, których tam było do zbytku, nadawały temu krajobrazowi monotonne kształty i koloryt, lecz drzewo to sprowadzone przez Potockiego i rozmnożone mianowicie w jego dobrach, gdzie dotąd w każdym jarze widać lasek topolowy, używało jeszcze wówczas przywileju zagranicznej nowości.

Nie można jednak powiedzieć, żeby te zakłady ogrodowe Szczęsnego Potockiego pozostały bez wpływu; tylko ten wpływ miał inny kierunek, odpowiedni miejscowym stosunkom. Nie zapominajmy czém było Pobereże i Ukraina, nim Szczęsny z rezydencji swój w Krystynopolu przeniósł się do Tulczyna. Działanie jego najtrafniej scharakteryzował Helleniusz, gdy mówi, że w rozległych swoich majątnościach, środkami łagodnemi, umiarkowaniem, roztropnością, a najwięcej dobrocią serca, uczynił to sam jeden, czego dotychczas najsrozsze środki dokazać nie mogły. On to zaludnił i ubezpieczył Ukrainę, zaprowadził swoim kosz-

tem straż graniczną z drobnej szlachty, tudzież rząd silny i czujny w Humaniu, nadewszystko wszelkie nadużycia surowo karał. Sam się trudził gospodarstwem, zarządem Ukrainy, a lud widząc swego pana pośród siebie, uspokoił się, zaufał mu i oddał się pracy koło roli, zajął wygodne nad ruczajami siedziby, pozakładał przepyszne sady i ogrody. Zamiast niebezpiecznej jak dotąd włóczęgi, włościanin jął się handlu wołami i prowadził go na wielką skalę ku Warszawie, a w przeciwną stronę do Krymu wysyłał czumackie maże po sól i rybę. Od rzeki Bohu do Dniepru i do Mohylowa zakwitnęła pomyślność po wsiach i miasteczkach, włościanie przyszli do bajecznej zamożności. Dziedzie poprzestawał na umiarkowanych dochodach, a lud używał ślicznej, żyznej ziemi. Oprócz swoich sadów i gruntów, miewał na stepie z drzew owocowych założone gaiki, futorami zwane, w których pszczelnictwo znamienicie się rozwinęło. Pracą i staraniem jednego człowieka Ukraina zaczęła płynąć miodem i mlekiem. Nie przestał na tém Potocki, i myśl swoją względem ulepszenia bytu rozwijał.

Można więc z całą bezstronnością przyznać założycielowi Zofiówki tytuł cywilizatora Ukrainy.

Dwór puławski działał w kierunku historycznym—tulezyński w gospodarczym; pierwszy ożywił, drugi kolonizował pustkowie, szukał podstaw w materyalnym bycie.

I jeden, i drugi brał głębiej zadanie życia; bogactwa nie służyły tu za cel do ciągłej zmiany dekoracyi w krainie rozkoszy, lecz zostawiały po sobie pamiątkę na gruncie.

Jak Małopolska w Puławach, tak Ukraina, Podole i Wołyń w Zofiówce i Tuleczynie szukały wzoru w upiększaniu siedlisk wiejskich. Naśladowników znalazło się wielu, którzy nie mając własnego smaku i nie będąc szczerymi miłośnikami ogrodnictwa, sprowadzali sobie Anglików, Francuzów, Niemców do zakładania angielskich ogrodów i parków. Szczególniej Anglik Mikler utworzył przez lat kilkadziesiąt mnóstwo ogrodów, radząc się w tém tylko swojej fantazyi, nie zaś miejscowej tradycyi, a raczej mało zważając na fizyognomię i charakter polskiego pejzażu. Stare lipy, dęby, w gruppach lub ulicach, prowadzących do dworu i kościoła, padały nieraz pod toporem artysty, lubiącego

dalekie perspektywy. Samorodne pomniki wieków ustępowały miejsca wyczesanym gazonom i klombom z krzewów, które choć z za morza sprowadzone, nie mogłyby przecież wytrzymać porównania z naszą kaliną, dereniem i t. p.

Zawsze był to środek cywilizacyjny, przywiązujący do domowego ogniska. Piękna okolica, drzewa i kwiaty, które się własną sadiło ręką, każą się kochać, zatrzymują przy sobie, że już nie tak skwapliwie goni się wiatry po świecie....

VII.

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA

I KANTYCZKI.

Wigilia Bożego Narodzenia, nie wyłączając nawet Wielkiéjnocy, ma u nas ze wszystkich świąt cechę najbardziej rodzinna, domowa, serdeczna, odpowiadającą zwyczajom i charakterowi mieszkańców, które są towarzyskie, gościnne, otwarte; a jeżeli dziś reguła ta mniej jest powszechną, niż przed laty bywało, przypisać to raczej należy przeobrażeniu się stosunków towarzyskich, wpływowi obcych manier, aniżeli zupełnemu przekształceniu się przyrodzonych skłonności i usposobień.

Trudno zaiste byłoby zrozumieć polskiego szlachcica, trzymającego się wiejskiej strzechy, żeby wrot jego pilnował odźwierny lub szwajcar, a w progi domu nie śmiał nikt wstąpić, kto nie otrzymał formalnej inwitacyi na obiad lub wieczerzę.

Szlachcic ziemianin bez stosunków z ludźmi, bez zażyłości sąsiedzkiej, wolnej od ceremonii, niekrępowanej rachowaniem się z długów wizytowych i obiadowych, to ptak przelotny, który korzysta z wody, powietrza i innych darów bożych, ale się na wsi nie wywodzi. Jak wrota jego dworu zamknięte, tak i przystęp do jego serca. Żyje on na powierzchni, lecz nie krzewi się i w głąb nie zapuszcza korzeni; obywatelstwo świata tak przeistacza jego fizygnomię, że od razu przestaje być podobnym do siebie,

i do drugich. A przecież gdzie rzadkie są różnice w zwyczajach i obyczajach, tam zawsze panuje największa jednolitość; a przytém i ta jest korzyść, że człowiek nosi na sobie swój własny charakter.

Wracając do Wigilii Bożego Narodzenia jako do głównego tematu niniejszej gawędki, przyznam się, że o ile nie radbym na Wigilię błędzić w śnieżnej zamieci, który to rodzaj podróŜowania wcale nie jest przyjemny,— o tyle marłotnoby mi było, acz zziębłemu i głodnemu, zajechać w tym dniu przed ganek obywatela świata; nie dla tego żebym miał być źle przyjęty, lub nieopatrzony w wykwiłtne nawet wygody—o! bynajmniej! przecież ten rodzaj ludzi należy do wielkich czcicieli komfortu,—ale czego bym nie znalazł, jak dwa a dwa są cztery—to powitania z opłatkami w ręku, życzeń Dosiego roku, rybnój uczyły spożywanój na sianku, w liczném gronie rodziny i przyjaciół, piosłki śpiewanój przez pastuszków, która się nazywa Kolędą, a nadewszystko tego uroczystego spokoju, wesela i niebiańskiój harmonii, jak gdyby chór aniołów przegrywał na multankach i wiołach Nowonarodzonemu Dzieciatku. Zresztą, kto wie, możeby się znalazło z tego jedno lub drugie, a nawet i jeszcze coś więcej, bo do wykwiłtowego tonu należy tolerować zwyczaj, nieledwie przesady miejscowe,—ale co byłoby najtrudniej, to znaleźć tę atmosferę patryarchalną, tę poezję swobody i wesela pod słomianą strzechą, która w „cudownój tój nocy“ napełnia powietrze pieśnią: „Chwała Panu na wysokościach pokój ludziom dobrej woli!”

Nie powiem, czy to było dawno, lub niebardzo dawno, atoli przypominam sobie szczegół czy rys, mający z tego względu związek z Wigilią Bożego Narodzenia i opłatkami, że do tój ceremonii czy zwyczajnój łączyło się i coś więcej.

Na Wigilię był mróz trzaskający, a pod wieczór zerwała się zadymka. Jakiś podróŜny saneczkami i parą zhasanych koni kopał się przez zaspę; w głuchém polu nie było ani jednego drzewa, któreby wskazywało drogę. Nie więc osobliwego, że podróŜny zaczął błędzić, i byłby

niechybnie całą noc błdził, gdyby nie światełko ukazujące się w oddaleniu, podług którego kierując się, na raz zająchał przed ganek nieznanego sobie dworu.

— Gość! gość!—rozległo się w mieszkaniu, sługi po-
wybiegały, wybiegł i sam gospodarz. Podróżnego jak był
w wilczurze, osypanego śniegiem, wprowadzono do izby,
gdzie liczne grono osób siedziało przy wigilijnym stole...
Gdy zdjęto z niego futro, a blask od świec oświecił fizyo-
gnomię... gospodarz odskoczył, a nieznamy także się cof-
nął. Między nimi stanęła pani domu, trzymając w ręku
opłatek, i ofiarowała go przybyłemu do przelamania, co ten
po niejakiem wahaniu się spełnił; to samo za jej przykła-
dem wypadło uczynić i gospodarzowi...

Przenikliwym wzrokiem popatrzali na siebie, i półgło-
sem z ust ich wyszło: „Dosiego roku!...” Byli to dwaj za-
wzięci nieprzyjaciele, którzy się od lat kilkunastu procesow-
wali. Po przelamaniu opłatkiem nastąpił kompromis: „Chwa-
ła Panu na wysokościach, pokój ludziom dobrej woli!”

Tak wesołej Wigilii nie pamiętano w tym domu od
dawna. Wspomnienie „cudownej nocy,” to skarb poezji,
o którą każdy powinien się starać, aby ją nosić przez ca-
łe życie.

Nasi poeci, nie wiem dla czego, ominęli ten motyw
w swoich obrazach z życia domowego, szczególnież gdy
wieś chcieli malować. Wigilia Bożego Narodzenia w wiej-
skim dworze, w tém kole sere zbliżonych do siebie, upo-
jonych szczęściem widzenia się po długim rozstaniu, może
pogodzonych przy opłatku, wyciska się w pamięci serca
i należy do najrzowniejszych wspomnień późnej starości.

Same te kolędy, kantyczki śpiewane pod oknami
przez czeladź gospodarską na nótę staroświecką, pół koś-
cielną, tak dziwnie sympatyczną, wydają się być dźwięka-
mi spływającymi z nieba, i serce twoje wierzy, że téj „cu-
downej nocy” niebo łączy się z ziemią: Bóg się rodzi, anio-
łowie dają znać pasterzom, pasterze śpieszą powitać Pana,
a tak cudowna rzeczywistość w téj samej chwili odgrywa
się wszędzie, gdziekolwiek ciepło wiary nie skrzepło.

Na wsi, jeśli gdzie nie ma kościoła, gromadzi się gro-
no domowe, tak państwo jak czeladź, i do późnej nocy

wyspiewują kolędy. Jeżeli zaś jest kościół, wszystko śpiesz na mszę pasterską, odbywaną o północy lub nad ranem. Mnóstwem świateł goreją świątynie pańskie, miliony ust śpiewają nad żłobkiem Nowonarodzonego.

Pomysł tego nabożeństwa i jasełek wyszedł od jednego z największych Świętych.

Św. Bonawentura w żywocie Św. Franciszka Serafickiego taką opowiada legendę:

„Święty Franciszek na trzy lata przed śmiercią, przeżył o tym, jakby odświeżyć pamięć narodzin Dzieciątka Jezus, i jakby je odprawiać z największą uroczystością, celem wzbudzenia nabożnego ducha w powiecie Grecio. Żeby zaś nie wzięto tego za żart, co on chce przedsiębrać, prosił i otrzymał na to pozwolenie Ojca Św. Poczem kazał zrobić jasełka, nanieść siana do groty i przyprowadzić tam wołu i osła. Mając to wszystko, zawołał braciszków, ludność się zgromadziła i las zabrzmiał pieśniami: a tak, cudowna ta noc równie była świetną jak uroczystą, już tysiącem gorejących lamp, już rozlegającymi się pieśniami. Słowem, były to dźwięki pełne harmonii, i jasność isticie niebiańska. Sługa zaś boży Franciszek klęczał nabożnie tuż przy jasełkach, zalewając się obfitymi łzami i promieniejąc weselem. Msza odprawiała się w jasełkach, a dyakon Chrystusów Franciszek śpiewał św. Ewangelię. Nakoniec miał kazanie do ludu o narodzeniu się ubożuchnego Króla; a ilekroć chciał Go nazwać po imieniu, nazywał Go pieczętliwie betleemskim Dzieciątkiem.”

Legenda dodaje jeszcze, jako jeden cnotliwy i prostego ducha żołnierz, imieniem Jan, który dla miłości Chrystusa porzucił był stan żołnierski, utrzymywał, iż widział na jawie śpiące w jasełkach małe dzieciątko cudnej piękności.

Była to pierwsza msza pasterska i pierwsze jasełka. Jeden z nowszych religijnych malarzy niemieckich, pobożnego i wzniósłego ducha artysta, wziął temat z tej legendy do swego obrazu, i stworzył dziełko wielkiej prostoty i rzewności, tak, iż bez wzruszenia nie można patrzeć na tę scenę.

Okolica górzysta, zarosła lasem; w otworze pieczary widać jasełka; przy nich po jednej stronie Najśw. Panna, po drugiej Św. Józef; dalej wół i osieł. Przed jasełkami otoczonemi wieńcem lamp, kapłan mszę odmawia; służy mu grono braciszków zakonnych. Na wzniesieniu klęczy Św. Franciszek z podniesionemi rękoma w ekstazie. Dokoła na kolanach lud prosty: niewiasty, starcy, dzieci, w tłum wmciszani pastuszkowie górale grają na multankach, a drożyną wijącą się między górami, widać śpieszące pary na tę uroczystość wyprawianą pod gołym niebem, w otoczeniu tej uroczej natury włoskiej, z którą Święty Franciszek miał tak ścisłą zażyłość, że ją wciągał do wspólnej modlitwy u stop Zbawiciela. Wszystko stworzenie, ptaszki, drzewa, skały, zdawały się z nim razem klękać do pacierza i słuchać muzyki aniołów. Obraz ten—to kantyczkowa poezja z całym swoim naiwnym wdziękiem i spokojem, tchnącym ową wesołością, której źródłem serca niewinność.

Każda epoka, jak to wiemy, ma swoich sławnych malarzy, którzy jednak po pewnym czasie ustępują miejsca innym; bywają i tacy, co swém imieniem nigdy nie robili wiele hałasu koło siebie, a jednak obrazy ich tak są sympatyczne, tak przemawiające do duszy, jak woń skrytego w trawie fiołka, lub jak śliczna melodia piosnki gminnej.

Religijnym malarzem tej pasterskiej mszy Św. Franciszka jest Steinle; cni go wiele głośniejszych imion w dziedzinie sztuki, ale i najgłośniejsi nie budzą tyle co on sympatyj.

Z zakonem franciszkańskim, który prędko po swoim założycielu przyszedł do polskich krajów w wieku trzynastym, i do nas dostał się zwyczaj jasełek i pieśni na cześć betleemskiego Dzieciątka.

Jak wszędzie, tak i u nas, nowość ta przyjęła się od razu. Św. Franciszek miał niezrównany dar popularyzowania wszystkiego, a właściwie zamieniania najszczytniejszych pomysłów w codzienną praktykę życia prostego, ubożego ludu.

Cudowny jego geniusz świętości przenikał tajemnicę serca ludzkiego, kiedy prosił papieża Honorjusza o pozwo-

lenie wystawiania w jasełkach aktu narodzin Zbawiciela. Wiedział on, że maluczey i ubodzy noszą w sercu jakby uczucie żalu do sprawiedliwości bożej za nierówny rozdział darów téj ziemi;—zagoić téj rany nie było w jego mocy, aczkolwiek ubóstwo miłował nad wszystkie skarby, i sam się zrobił najuboższym z ubogich. Nie pozostało mu nic innego, tylko pokazać ludowi tryumf ubóstwa w tych jasełkach biednej stajenki, które obrał sobie za kolebkę Syn Boży nowonarodzony. Komuż anieli oznajmiają najpierw tę wielką nowinę? czy mocarzom świata? O nie!—pastuszkom, ubogim rolnikom, którzy słysząc, że Zbawiciel „narodził się w ubóstwie,” dzielą się z Nim swoją chudobą i znoszą mu dary. Ubóstwo obdarzające Boga, uprzedzające w téj ofierze samych królów Wschodu, jakaż to dla serc pociecha! Prostaczek, nędzarz tak podniesiony w duchu, nie ma już czego zawisnąć bogatym tego świata. Widowisko żłobka, bydłatek, przygrywających pastuszków, wyprawione przez Św. Franciszka, przyjęło się między ludem. Religijny ten dramat miał z początku tylko symboliczną prostą formę: żłobek, sianko, parę bydłatek; kapłani intonowali hymn ambrozyański o Narodzeniu Pańskim, a lud może śpiewał chórem jedną z tych prostych, a tak śpiewnych sekweneyj Św. Bernarda.

Forma dla tego kościelno-popularnego dramatu była już wynaleziona; teraz przyszła kolej na duszę i serce ludu, żeby się weń przelało. W miarę jak rosło zamiłowanie jasełek, mnożyły się osoby na scenie, rodziły się piosenki w dyalekcie ludowym. Sam akt Bożego Narodzenia zakreślał sobie coraz szersze koło, jak kropla spadająca na czystą szybę jeziora: z jednéj strony sięgał aż do grzechu pierwotnego, do wypędzenia Adama i Ewy z Raju; z drugiey aż do męki Zbawiciela i Zmartwychwstania. Tym sposobem utworzył się szeroki cykl misteryów, odgrywanych z udziałem pospółstwa podczas uroczystości Narodzin Zbawiciela i w Wielkim tygodniu na pamiątkę ukrzyżowania i śmierci Jego.

Zwyczaj ten, jak już wspomniałem, przeniósł się i do nas, zapewne w trzynastym wieku, i przyjął się tak samo jak we Włoszech, Francyi, Hiszpanii, Anglii i Niemczech.

Świątną epoką misteryj był wiek XV-ty i część XVI-go; z przyjściem reformy Lutra, misterya zaczęły popadać w dyskredyt, z tego mianowicie powodu, że augsburski reformator od razu dociekł bystrym swoim rozumem, jak dzielnym czynnikiem do szerzenia jego nauki były te popularne widowiska, które rad nazywał, „diese guten, ersten, tapfern Tragödien” albo „die freien lieblichen gottselige Komödien,” osnute na tle Starego i Nowego Testamentu. Im więcej zatem reformacja zaczęła uciekać się do tego środka, tém żywsze nastąpiło oddziaływanie ze strony duchowieństwa i rządów katolickich,

Władze duchowne postrzegłszy, że przeciwnik przybrałszy maskę liberalną, zaczyna przeciągać gmin na swoją stronę, coraz więcej ścieśniały zakres kościelnych widowisk, albo też nie dozwalały ich wcale. Czy u nas stawiono z téj strony tak silny opór, jak np. w Austrii?—nie ma na to jeszcze wyraźnych dowodów, lubo przypuszczać można, że jak tylko przeciwnik zaczął ciągnąć korzyść z tego rodzaju widowisk i wsuwać w nie swoje satyry i podrzeźniania, niezawodnie przeważająca opinia katolicka odjęła im kredyt i ogłosiła za ubliżające powadze kościoła. W Niemczech poddano te misterya energicznój cenzurze; policya krajowa zreformowana w r. 1542 i 1552 przez cesarza Ferdynanda, ściagała nie już same druki, lecz i włóczągów wiejskich, śpiewaków, wierszokletów, przez którą to surowość zaginęła cała ta literatura. Przechowywały się jedynie jeszcze tu i owdzie niektóre dawniejsze misterya z czasów przed reformacją, a lubo i w tych znalazło się niemało nieprzyzwoitości i satyr, lecz te nikogo nie raziły i były tolerowane, dopóki duch opozycji nie przybrał formy odszczepienstwa. Tym sposobem i te dawniejsze kościelne zabytki popadły w dyskredyt; niszczone je lub zarzucano, ocalając niektóre z nich ułamki, to jest piosneczki, czyli kantyczki przechowane w pamięci gminu. Skończyło się na tém, że widowisko jasełek usunięto za progi kościoła. Duchowieństwo zostawiło tę zabawkę rzemieślniczój gawiedzi i żakom, którzy skleiwszy sobie szopkę z tektury i porobiwszy lalki wystawiające Najświętszą Pannę, Świętego Józefa, Heroda, pastuszków,

chodzą z nią po kołędzie od domu do domu i śpiewają kantyczki, a niekiedy wkładają w usta figurek jakieś intermezzo, będące okruszyną większej scenicznej kompozycji.

Zbiór naszych kantyczek, — który nie ręczę czy wyzerpał wszystko, co w tym rodzaju mogłoby się znaleźć, gdyby zaczęto szukać na prawdę, — mieści jedną kołędę, zdającą się być fragmentem większego scenicznego widowiska, i to weale niepospolitej wartości. Nie pisał jęj lada klecha, albo organista, ale ktoś, co doskonale znał język i obyczaje ludu; a nie jest to utwór nowszych czasów, bo cała rozmowa pasterzy nie a nie nie przekracza po za granicę zwykłych kołęd. Sam wiersz, albowiem czuć tu i rymy i miary, nosi charakter pieśni gminnej ze wszystkimi zaniedbaniami i assonancami; a obok tego panuje dosadność i trafność wyrażen, jakiś nieszukany dowcip i humor, że zaprawdę osobliwość to w swoim rodzaju, a co większa, wskazówka niemylna, że dalszy rozwój w tym kierunku byłby doprowadził do komedyi prawdziwie ludowej.

Jest to nocna rozmowa ze snu zbudzonych pasterzy. Jeden z nich, Bartek, ockniony wielką jasnością na niebie, budzi Wojtka; ten wmawia w niego, że mu się coś przyśniło; ale on przecięż nie śpi, i nie tylko widzi światłość: „słyszę i śpiewanie, i prześlicne granie, hań za górecką.” — „Nie pleć płołka!” woła na niego Wojtek, lecz daje się nakoniec przekonać i podnosi głowę... „Gwałtu! gwałtu!” krzyczą oba na śpiących towarzyszy: „przebóg wstańcie, a cém prędzěj uciekajecie, bo idzie o zdrowie.” Pasterze w strachu chcą już odbieżeć swych owiec... Wstrzymuje ich Walek, i radzi wprzód wyrozumieć, co to są za dziwy, a o wytłómaczenie zapytać Bartosza, „bo to człowiek stary,” „wiem, żeś mądry, boś ty z młodu chodził z tablicą do fary.”

Bartek przypatrzwszy się dobrze těj światłości na niebie, wyprowadza rzecz od grzechu pierwszych rodziców wygnanych za to z raju, ale Bóg zlitował się i przyobiegał posłać na świat swego Syna, aby owym grzechem zarażone ludzkie plemię uzdrowił. Otoż właśnie zjawił się ten ojcom naszym obiecany Messyas, „przyjął na się ciało, aby się dość stało za grzech Jadama.” Uwierzyli słowom Bartosza

pasterze, atoli nie mogą pojąć: „Cego ci janieli, co się tam zlecieli, po nas żądają?”

— Żądają po nas, odpowiada Bartosz, abysmy biegli do szopy powitać Pana.

— Dobrze; ale kędyż go szukać? „My drogi nie wiemy, jesce gdzie zblądziemy, do srogiój kaźni.”

— Och prostacy! prostacy! woła Bartosz: przecież „janieli dość wyraźnie powiadają, że narodzonego trzeba szukać w Betleem Judzkiém.” Idźmyż więc, a gospodarzów uprośmy, aby pilnowali trzody razem z kondysami.

— Isć nie sztuka, mówi Tomek; „ale z cém isć to штука! Co damy tak wielkiemu Panu, kiedy nie godnego dla niego nie mamy. Chyba jak charłacy, że mu z nasój pracy co darujemy.”

Na to Bartosz: „Nie taki to Pan jak nasi, ażeby miał cego potrzebować; bo on na ochotę, a nie na złote patrzy podarki.” A zatém, „cy mało, cy wiele, zabrawszy w kobiele,” zaniesmy.

Tu dopiero ulubiona następuje scena, powtarzająca się niemal we wszystkich kolędach: pasterze przesadzają się w podarkach, i każdy opowiada co Panu zaniesie. Wszystko tu się znajdzie od cielątka, koźlątka do drobiu; od gruszek i jabłuszek, do miseczki i łyżeczki; od mleka i miodu, do pataszków w klatce, aż do mąki na kluseczki i kaszki tatarczanój.

Stary Bartosz gra rolę mistrza ceremonii: „A słuchajcie, jak tam przyjdziemy, upadniecie zaraz na kolana. A potém wasemi colami grzesnemi, bijcie przed Panem.”

— „Uczyniny jak mówis,” odpowiadają pasterze; ale ty bądź oratorem od nas wszystkich, bo my nie umiemy.

Idą tedy, a przyszedłszy pytają: — „A kędyż Pan? wszak nie widać domowstwa żadnego?”

— Oto w tój stajence.

— Co zaś! tam panience ma być spocznienie?

Wchodzą tedy pasterze do szopy i widzą narodzonego. Bartosz każe im ukłęknać przed świętém Dzieciątkiem i mówić za sobą: „Dziękujemy po tysiäckroć za tak wielkie dobrodziejstwa twoje, żeś ty sobie będąc Panem, Stwórca, na wszechmoćność swoją nie nie respektował, aleś się da-

rował nam mizerakom. Porzuciłeś śliene niebo tak piękniemi osute gwiazdami. Opuściłeś i janiółów; a tu między temi bydłętami raczyłeś leżeć w żłobie, mogąc wszelką sobie zrobić wygodę." Robak biedny ma swój kącik, mają swoje łożyska zwierzęta; ryby w wodzie lochy, gniazda w krzakach mają wygodne ptaszęta. „A ty Pan stworzenia, nie masz się gdzie przytulić, zewsząd tu wieje, biedno cię zagrzeje ten osieł z wolem."

Po skończonej oracyi Bartosz każe składać dary; „więc na jakie stanie podarki nas Panie, takieć dajemy." Poczém odzywa się do parobków: „Pójdźciez i wy parobcy, a na wasęj muzyce zagrajcie." Tylko „nie ciśnięcie się jak bydło pod sam cebuch ze swojemi basami." „Ty zaś Sobku chudy, podle nich graj w dudy, a zgadzajcie się!" Po skończonej muzyce, nad którą się tu nie rozszerzył autor, jak to zwykle bywa w kolędach poświęconych opisowi takiego koncertu, następuje pożegnanie. Bartosz, który ciągle głos zabiera, mówi: „Żegnamy was nasi Święte Państwo: my pastusy z parobkami wierne wasych miłości poddaństwo. Wprzód jednak niż ztąd pójdziemy, prosimy was, a najbardziej Ciebie, utajony w małym ciałku Wielki Boże, aby nam na chlebie nigdy nie schodziło, wszystko się darzyło po nasęj myśli. Lecz to fraska! o coś więcej prosimy Ciebie jedyny. Ucyńże to dla staruska tego i twęj matuchny przycyny: Jak światu pomrzemy, niech z tobą żyjemy na wieki w Niebie."

Na tém kończy się ta scena pastuszków, pełna życia i serdecznęj prostoty. Porównywałem ją z innemi tego rodzaju dyalogowanemi kolędami włoskimi, francuzkimi i niemieckimi: atoli naszęj pozostanie pierwszeństwo kolędzie. Włoskie mają wiele wdzięku i czułości, trafiają się w nich strofki pełne poezyi; francuzkie (Noels Bourguignons) mają pretensyę literacką; niemieckie są zbyt rubaszne, albo moralizujące.

Możnaby wnosić, że powyższa scena jest urywkiem większego dramatu na uroczystość Bożego Narodzenia, i że niegdyś była przedstawiana przez osoby. Sądząc ze stylu i zwrotów językowych, dałaby się odnieść do XIV-go wieku, i gdyby ta okoliczność mogła być dowodami stwierdzo-

na, wypadaloby to na korzyść tej literatury, która nie była książkową.

W kilku jeszcze kawałkach wchodzących w skład kantyczek dałoby się dostrzedz ślady wyraźniejsze należenia do większej udramatyzowanej całości; są to bowiem jakby odłamki ról pojedynczych. I tak, jest jeden ustęp, bardzo piękny, cały mówiony przez Najśw. Pannę, która snadź zmęczona drogą przybyła z Józefem do Betleemu i szuka noclegu:

„Pomaluśku Józefie, pomaluśku proszę;
„Widzisz, że ja nie mogę biec tak prędko w drogę,
„Wyrozumięj proszę, wszak widzisz co noszę...
„A tak myślę sobie, i chcę mówić tobie
„O gospodę spokojną, mnie w taki czas przystojną;
„Bo teraz w miasteczku i w lada domeczku
„Trudno o kącik będzie, gdy gości pełno wszędzie;
„Wolą pijanice szynkarskie szklanice
„Niżli mię ubogą, strudzoną wielką drogą;
„Wnijdźmy, rada moja, do tego pokoja,
„Do tej szopy na pokój, Józefie opiekunie mój,” i t. d.

Prześliczna to sielanka, i ktoby pisać chciał poemat z dzieciństwa Chrystusa, nie mógłby się utrzymać w innym tylko w tym tonie; każdy inny byłby już manierą.

Znajduję jeszcze urywek wyjęty jakby z roli Heroda, który woła w rozpacz:

„Ach biada, biada mnie Herodowi,
Utrapienemu wielce królowi,
Żem ja takiemu, czasowi złemu, podpadł kłopotowi!”

— Nie wiem czy to prawda, czy bajka, mówi dalej, ale głoszą, że się urodziła jakaś dziecina, która ma Żydom królować.

Przerażony tém każe zbroić się ludziom swoim:

— „Na koń co prędzęj wszyscy wsiadajcie,
A do Betleem miasta biegajcie; [najcie.”
Tam dla jednego dzieciątka małego wszystkie wyści-

Jest jeszcze wiele innych kawałków, które wydają się prologiem otwierającym widowisko i przygotowującym do niego publiczność. Między innemi:

„Nuż my chrześcianie serdecznie się radujmy
 „Dnia dzisiejszego,
 „Że się raczył narodzić z czystości panieńskiej
 „Syn Boga żywego:
 „Aby szatańską moc,
 „I jego wszystką złość
 „Wiecznie zagubił,
 „A nas chrześciany
 „Za swe własne syny
 „Poślubił,” i t. d.

Jeżeli wolno robić wnioski i szukać przyczyn tego sfragmentowania większych dyalogowych kompozycji, tedy bardzo być mogło, że odkąd duchowieństwo zaczęło nie sprzyjać tego rodzaju widowiskom, a może i surowo zabraniać, zachowały się w pamięci nieczytających i niepiśmiennych aktorów tylko te kawałki, które lepiej nadawały się do śpiewu, i były wzięte do kantyczkowego zbioru ogłoszonego drukiem, tymczasem większe kompozycje będąc w rękopismach, na zawsze przepadły.

W zbiorze niemieckich „Weihnachtspiele,” osobiwie przedrukowanym ze starych rękopisów XIV lub XV wieku, możnaby znaleźć pierwovzór, a raczej to, czém był z kroju i układu taki „Iudus de nativitate Domini.”

Najpierw co do osób, wchodzą tu: Mojżesz, Balaam, Dawid, Salomon, Judasz, Jeremiasz. Z tymi prorokami łączą się zaślubiny Józefa i Maryi, Zwiastowanie, Narodzenie, przybycie trzech królów, trzej królowie przed Herodem, spotkanie się ich z pasterzami, rzeź niewiniątek nakazana przez Heroda, ucieczka do Egiptu, żale Racheli i t. d. Z osób tych można sądzić, z jakich ustępów składała się całość. Niewszystkie atoli dyalogi, czy misterye, zakreślone były na tę obszerniejszą skalę; większa ich część traktowała tylko jeden epizod.

Jedno tylko misteryum francuzkie z XV wieku, z manuskryptu St.-Gallen, jest założone na obszerniejszą jeszcze skalę niż powyżej przytoczone niemieckie. Znajduje się ono w zbiorze Achilla Jubinal'a: „Mystères inedités du XV siècle,” T. II, i zaczyna się od stworzenia świata i upadku pierw-

szych rodziców, z czém łączy się przepowiednia przyszłego odkupienia, w głosach proroków. To pierwsza część. Druga otwiera się zaślubinami Maryi i dalej idzie w wiadomym porządku historycznym.

Ślad jest, przynajmniej dla mnie niewątpliwy, że nasze jasełkowe misterye były zakreślone także podług tego planu, i być nie mogło inaczej, gdyż dla wszystkich służyło tło jedno.

Niektóre urywki w zbiorach kantyczek świadczą o tém najdowodniej, a sądząc z ich wyrażeń i stylu, pozwalają się odnieść co najmniej do XV wieku. Można też powiedzieć, że mają piętno wcale oryginalne, jak między innymi to narzekanie na grzech Ewy dającą się uwieść węzowi, i obraz smutnego jej stanu po wypędzeniu z Raju:

W rajuś miała coś jeno chciała,
Rozkoszys zażywała, boś wszystkiego dość miała...
Uzesalaś się, przemuskalaś się,
Chodziłaś jak łateczka, a nigdy przez wianeczka...
Bogaś wzgardziła, raj opuściła,
Niebogo, nieboraczko! zapłaczesz sobie oczko.
Uszargana, uchlastana,
Nie kiedy będziesz chciała, robić będziesz musiała.
Zdejm manele, pójdź do kądziele;
Niebogo nieboraczko! zapłaczesz sobie oczko.
Zdejm forboty, pójdź do roboty;
Niebogo, nieboraczko! zapłaczesz sobie oczko.
Weźmiěj motyczkę, także przęcliczkę,
Zarabiaj sobie chleba, boć go Bóg nie da z nieba.
Zapłaczesz sobie obie, rozmyślając o sobie i t. d.

Podobnych ustępów jak ten, jest kilka, a wszystkie bez wyjątku piękniejsze, poetyczniejsze, niż cały zapas rymów Mikołaja Reja i innych z epoki przed Kochanowskim. U tych znać aż nadto sadzenie się na styl i formy literackie; w kantyczkach i język lepszy, i formy oryginalniejsze, bo mające zacięcie pieśni gminnej. Przyglądając się też początkom naszej literatury, nie możemy wyjść z podziwienia, jak się to dzieje, że myśl najprostsza chodzi jak opętana w niedoleżnym słowie; czy autorowie dopiero

uczają się tego języka, aby nim pisać mogli? Czy ten język, którym wszyscy od wieków mówią, jest rzeczywiście tak niezdolnym do wyrażania myśli, że aż tak łamać się z nim potrzeba, aby coś wydobyć, i to jeszcze niezgrabnie, zawiłanie, ciężko? Mniemam, że przyczyna tej niesposobności nie leżała w języku, bo ten istniał od dawna i rozwijał się odpowiednio do potrzeb, jakie przynosiła cywilizacja w duchu kościoła, — ale właśnie zrobił się przełom, tak zwana epoka odrodzenia klasycyzmu zaczęła tworzyć inną literaturę, inne mieć wymagania, inne podawać wyobrażenia, i ztąd przyczyna, dla czego ci, co pierwsi zaczęli w ojczystej mowie książki pisać i drukować, znaleźli się w konieczności tworzenia sobie stosownego do nowych pojęć i form języka, tém więcej, że należąc do rzędu uczonych humanistów, musieli tém samém biegłej być w łacinie niż w polszczyźnie, a przeto myśleć okresami Liwiusza i Cicerona.

Kantyczki zupełnie inny noszą charakter, nie a nie nie widać w nich klasycznego wpływu; taka swoboda i naturalność słowa, tyle wdzięku niewiedzącego nie o sobie, tyle ciepła, a takie bogactwo form poetyckich, że czujesz w nich od razu, jak muzyka podała rękę poezji.

W ogóle wszystkich kantyczek o Bożem Narodzeniu jeden jest temat, ale w jak nieskończenie rozmaity sposób wyzyskany, i to nietylko co do treści, lecz i formy! Wszystkie tu przewijają się i obrazy i tony — od najpateyczniejszego do hulaszczorubaszczego. Bogactwo tak wielkie, jakiegobyś może i nie znalazł w dawniejszej literackiej poezji, a co o humor prawdziwie domorodny, jaki w niektórych kantyczkach panuje, to i nie pytaj, chyba u pana Paska, który był żołnierzem a nie literatem.

Ta strona szczeroludowej muzy, odpowiadająca upodobaniom prostaczków, widocznie rozkoszuje się w niektórych tematach, poświęcając im często całą kolędę. I tak w każdej prawie kolędzie pastuszkowie śpieszą z darami do Nowonarodzonego, ale kilka jest takich, co wyliczają całą litanię przysmaczków; inne znowu opisują koncert, w którym figurują najrozmaitsze instrumenta; nie dość na tém, jest tu i koncert wszelkiego rodzaju ptaków. Zapewne

dawna to kolęda, w której ktoś pierwszy wspomniał o ptaszkach:

Ptaszkowie w lesie śpiewali, o Jezusie się pytali:
Gdzie się Jezus narodził? drogę do Nieba otworzył?

Posłużyło to zaraz na nowy motyw: ptaszkowie zaczynają grać niepoślednią rolę w kantyczkach, gdyż pomysł ten widzimy już szerzej rozwinięty w następującej bardzo ładnej kolędzie:

W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszystkiego stworzenia,
Ptaszki się w szopę zlatują,
Jezusowi przyśpiewują.
Słowik zaczyna dyszkantem,
Szczygieł mu dobiera altem,
Szpak tenorem krzyknie czasem,
A gołąbek gruchnie basem,
Wróbel, ptaszek nieboraczek,
Uziąbwszy, śpiewa jak żaczek.
Dziw, dziw, dziw, dziw nad dziwy,
Bóg i człek razem prawdziwy, i t. d.

Jest jeszcze jedna kolęda, i to prawie najdłuższa ze wszystkich, gdzie przeciąga cały gabinet historii naturalnej:

Więcej tam było wszystkiego
Niżeli w arce Noego.

Trafna charakterystyka połączona tu z wesołym humorem, prawdziwy jarmark ptasi, gwar nieprzeliczonych rozmaitych głosów, oddających hołd Nowonarodzonemu Dziecięciu:

Zając siedząc z królikami,
Bębnił swojemi nóżkami,
Wróble zaś gwarzyły, gdy sobie podpily
Z dzierlatką, z czeczotką,
Papuga też gaworzyła,
Coś z cudzoziemska mówiła.
Żołna z indykiem była tam syndykiem.
Bażant był szafarzem,

Paw ogon śliczny roztoczył,
 Lecz sprosnym wrzaskiem wykroczył.
 Sęp siedział jako sęp,
 A jeleniowe zaś czoło,
 Na rogach mając świece w koło,
 Tam wszystkim świeciło, aby widać było,
 Cieszyć się, cieszyć się i t. d.

Tę swobody niełatwo spotkać u starych naszych poetów, którzy ciągle są jakby spętani myśląc do kogo mają być podobni, żeby nie być samymi sobą. W tych kantyczkach, robiąc się pastuszkami i czerpiąc w żywiole gminnym, mają świeżość fantazyi, a niekiedy prawdziwe uniesienie liryczne, jak w tej ślicznej kolędzie;

Hej nam hej! Wszystek świat dzisiaj wesoly,
 Wszystek świat dzisiaj wesoly,
 Ujrzawszy z nieba anioły.

Hej nam hej! Dzieciątko się narodziło,
 Dzieciątko się narodziło,
 Niebo ludziom otworzyło.

Hej nam hej! Panna idzie ozdobiona,
 Panna idzie ozdobiona,
 Słońcem, gwiazdy ustrojona, i t. d.

W niejednej kolędzie spotykają się wiersze i obrazy, które mi by nie pogardził i najpierwszy poeta; szczególnież pieszczoty z Bożem Dzieciątkiem mają urok macierzyńskiej miłości, coś tak chwytającego za serce, jak wspomnienie lat dziecinnych:

A tam osieł z wołem, pod nieba okołem,
 Parą weń swą puchają, Dzieciąteczko rozgrzewają.
 Wejdę w szopę: mali anieli strugali
 Złotą wierzbkę i lipkę Dzieciątku na kolébkę.
 Jeden kąpiel grzeje, a drugi się śmieje,
 Trzeci pieluszki suszy, każdy rad służy z duszy.

A tenże drugi obrazek ubóstwa:—Jego łódeczko? Żłobek kamienny.—Obicie? Ze strzech wisząca pajęczyna.

W jakiej odzieży Pan z Nieba leży?
Za purpurę, perły drogic,
Ustroiła go w ubogie
Pieluszki nędza, pieluszki nędza.
Co za bankiety, co miał za wety?
Piersi niewinněj mateńki,
Nad kanar słodsze mateńki,
Kosztował Panie i t. d.

Jest i inny podobny obrazek, a jeden i drugi zapewne z XVII wieku lub jeszcze dawniejsze:

Kto się nie dziwi ze łzami,
Widząc Pana z bydlętami?
Pająki snują obicia,
Ze słomy dywan drogi,
Z chust podłych zimne okrycia,
Zamiast puchów—barlogi.

Każdy przedmiot otaczający Dzieciątko nowonarodzone staje się przedmiotem wyłącznej pieczyoty, i ma sobie poświęconą jedną piosnkę, jak np. siano:

O siano, siano, kwiecie drogi,
Że się na tobie kładzie Bóg ubogi!
O siano, siano, o nieprzeplacone!
Godne, byś było w raju pokoszone!

Wesołość, świat iście dziecięcy tryska z kołody, która i dziś jeszcze bywa śpiewana na skocznej nótę:

Przyskoczę ja do tój szopy z ciecha,
Aleć Dziecię małe się uśmiecha,
Ten śmiech oczu tych niechaj będzie dla wszystkich.
I pocznę przed Dzieciątkiem skakać,
By nie chciało na tém zimnie płakać.
Więc isę pocieszyć, przed Nim czołem nizko bić, i t. d.

Niemozna się nie rozrzewnić tą prześliczną kołysanką włożoną w usta Najśw. Panny:

Witaj synu najśliczniejszy,
Witaj Jezu najwdzięczniejszy,
Li, li, li, li, memu Dzieciątku małemu.

Nie trzeba zapominać, że te kolędy składali po większej części organisci, bakałarze szkólek parafialnych, a zatem nie należy się po nich spodziewać ani wytworności stylu, ani wyszukanych rymów, ale za to jest takie życie, tyle uczucia, że bez wahania się kantyczkom sprawiedliwość każe dać miejsce pomiędzy lirycznymi poezjami w naszej literaturze. Nie zrobią one wstydu nawet poetom złotego wieku. Imiona tych autorów tak są nieznanne jak imiona tych malarzy średniowiecznych, u których pobożne natchnienie, a raczej wzniesienie duszy do Boga zastępowało samą umiejętność akademicką. Można by też powiedzieć, że sztuka była wtenczas od Boga, a w Bogu była sztuka. Kto złożył pieśń, namalował obrazek, wykuł posążek, nie śmiał głosić swego nazwiska, bo raz, że utwór jego dany był na ofiarę, a potem, że artysta nie uznawał go za swoją własność. Najpewniej kantyczki nasze, których liczba dość znaczna, były składane przez duchownych lub przez ludzi należących do kościoła, to jest kantorów, rybaltów, organistów. Było to niejako rodzajem współzawodnictwa i popisu, żeby na nadchodzące święta Bożego Narodzenia, w tej lub innej parafii, dała się słyszeć nowa kolęda z akkompaniamentem chóru śpiewaków lub organów. Nótę brano najczęściej ze światowej muzyki zasłyszanej na pańskim dworze, gdzie mistrz kapeli starał się o nowe, modne tańce, jak paduany, galardy, menuety i inne, które pod różnemi nazwiskami dostawały się do nas z Włoch i Francji, lub w kraju były komponowane.

Ztąd taka nadzwyczajna ilość form wierszowych, jak może w żadnym języku spotyka się w naszych kantyczkach.

Mickiewicz, na jednej prelekyi w *Collège de France*, pierwszy zwrócił na nie uwagę; inni historycy literatury i estetycy najczęściej pomijali je milezeniem, kładąc w kategorii rymów częstochowskich, na które jeszcze wiek XVIII jak rzucił wzgardliwe spojrzenie, tak dotąd cięży na nich, a przynajmniej nie dość ożywiło się zajęcie, na jakie istotnie zasługują. Bo jeżeli pieśń gminna znalazła tylu nawet przesadnych admiratorów, to i kolędy przecież nie należą do rodzaju arystokratyczno-manierowanego ry-

motwórstwa! Zawsze to lud śpiewa, a z tą różnicą, że nie w karczmie, lecz w kościele.

Zasługiwałyby te drogie zabytki na staranne zebranie i uklassyfikowanie podług swojej treści; jedne bowiem noszą charakter zwięzłej prostoty, i te są oryginalne, inne niechybnie będą naśladowaniem tamtych, dają się łatwo odróżnić lżejszym, niekiedy nawet rubasznym tonem i nadużyciem maniery.

VIII.

Z OKOLICY PODGÓRSKIÉJ.

Ledwo kilka godzin temu, jak spieczonego czerwocwém słońcem i rozpalonym brukiem, zaduszonego kurzawą i śwędem węglanym, uniósł pociąg kolei żelaznej, obdarzając równie niemiłym piskiem lokomotywy, dymem węgla, zaduchą wagonu i niezajmującą rozmową podróżnych. Byłem niby na świeżém powietrzu—ale powietrza nie było; niby na polu, łące, na wsi, pod opieką szerokiego błękitu zasianego gwiazdami—ale tego wszystkiego nie było w tém zasklepieném pudle; tylko mdławy błysk lampy, oświetlający te same ludzkie twarze, które codzień spotykam na ulicach. Oddałem się w ręce cywilizującej pary i pieszczącego komfortu, więc się mną opiekują jak głodnym lekarze, gdy weń wmawiają, że chory. Ale dość już tego. Pociąg się zatrzymał, a ja po chwili siedziałem na okrytym wózku, który prędko rozsta się z nadwiślańską płaszczyną, i wspinając się na coraz wyższe wzgórze, przeniósł mię w to szafirowe pasmo gór, tak malowniczo zamykające widnokrąg, dla tysiąca siól rozsianych po obu brzegach Wisły.

Już było dobrze z północy. Chłodek jeleni, jak mówi śpiewak Mohorta, pociągał z wądołów nalanych mgłami; światło pełnego miesiąca oblewało każdy szczyt wyższy, i głos ciszy pustynnej panował nawet nad odzywającym

się w zbożu chróścielem i przepiórką; woń kwitnącego żyta i skoszonego siana panowała w powietrzu.

„O jakżeś cudna świętojańska nocy!”

powtarzałem w milczeniu, bo choć miałem obok towarzysza, z którym mógłbym się dzielić każdym wrażeniem, jednakowoż takim uczuciom najlepiej w schowaniu, podobnie jak fotograficznej karcie: póki w skrzynce, słońce maluje ją barwami i złotem; wyjmiesz na jasność, zostają tylko cienie—a cóż są słowa? tylko cienie uczuć naszych. Wtórując tedy milczeniem téj uroczystej ciszy nocnej, nie spuszczałem z oka odgrywającej się sceny na niebie. Księżyce, jak król w monologu odziany złotogłowiem, sam jeden przechadza się wielkimi krokami; gwiazdy, niby chór greckiej tragedyi, coś mu tam dogadują pół trwożliwie, pół tajemniczo, a tymczasem jakaś postać świetlana, podsluchująca, slania się za kulisami widnokręgu. Czy to przeczućie zbliżającej się katastrofy, że bladeść niezwykła powleka oblicze królewskie, a chór, echo jego wrażeń, blade jak on i w głąb się usuwa? Chwila rozstrzygająca—promienisty i rumiany młodzieniec wchodzi na scenę tryumfalnym krokiem spokoju, nawet miecza nie ma; za to każde spojrzenie jego, jak miecz topi się w piersiach przywłaszczyciela—Egista, Klaudyusza, Makbeta, i wielu ich tam naliczysz umierających zawsze pod koniec piątego aktu. Czemuż ci wszyscy mściciele, ten Orest, Odys, Hamlet tacy krwawi, lub tacy nieszczęśliwi? jednego Eumenidy zgrają wściekłych psów gonia, owego czarna melancholia, tego zapach krwi trapi ustawnie? Owoce najsprawiedliwszój zemsty zawsze nosi w sobie gorycz lub truciznę występku. I w starożytnych, i w nowożytnych tragediach znajduję jeden i ten sam sens moralny,—a tu codzień od stworzenia świata powtarza się dramat spokojnego, poważnego i wielkiego zwycięstwa światła nad ciemnością, prawdy nad uludą, prawa nad przywłaszczeniem, a zwyciężający promień coraz silniejszym świeci blaskiem, nie uczuwając zgryzoty wewnętrznej, że przywłaszczyciela pokonał. Otoż i nowy temat do dramatu, choć dramat jak świat stary. Goniać za archeologicznymi zdobyczami po ziemi naszej, znalaz-

łem go na niebie, téj najstarszój archeologicznej księdze, co ją pokrywa nieśmiertelnemi kartami.

Czytelnik tedy wybaczy ten wstęp, może zbyt rozmazony, do rzeczywiściej reszty; ależ nie mogąc czytać na ziemi pograżonej w ciemnościach, puściłem myśli na strop niebieski, i to mi drogę skracało. Inaczéj bowiem, chcąc zawsze być dokładnym opowiadaczem, musiałbym podobnie jak w bajkach powtarzać: Jechałem, jechałem, jechałem.

Okazale świeciło słońce kiedyśmy wjeżdżali w uroczą dolinę Dunajca, wyslaną po obu brzegach szerokimi łąkami i łakami, nad któremi rysowały się ciemne bukiety drzew otulających wieśniacze chaty; tu i owdzie wystrzelał podnioślejszy szczyt kościółka, lub białał dworzec pański, a nad wszystko pięły się szafirowe góry w swoich malowniczych załamach, tworząc jakby olbrzymie ramy do zmieniającego się co chwila pejzażu. Widoki tu szerokie i nadzwyczaj dla malarza przyjazne; natura wszystko skończenie skomponowała, zupełnie jak nad Renem, z tą różnicą, że ani prozaiczne winnice nie psują harmonii, ani regularność cywilizacyi nie zgładziła fantastycznych linii biegnących sobie samopas. Poetyczność tych stron musi być niezmiernie wymowna, kiedy jednemu z naszych pisarzy wytrąciła pióro, a włożyła pendzel; a wiemy przecież, że nasi starzy nie lubili malować pejzaży dla pejzaży, i to z natury; im dość było na tych konwencyonalnych drzewach, krzaczkach, zamkach rzuconych na mocne niebieskie tło, co się nazywało niebem, jak to widać w obrazach Rafaelicznych. Madonna lub jaki Święty głównym jest przedmiotem,—pejzaż podrzędny, niczém. Dla tego moeno mię zastanowiło kilka wierszy Zbylitowskiego, mieszkającego tu w téj okolicy, bo czuję, jak sfotografował pisząc te słowa:

... Ano kołem

Stoją Tatry wysokie i długie Bieściady,
I bory gałęziste, i szczepione sady:
I u saméj wsi widać gaje jaworowe,
I wesołe dąbrowy, i drzewa bukowe,
I rzeka tuż pod górą, na której dwór leży,
Szum wdzięczny po kamieniach czyniąc, bystro bieży.

A po niej tratwy płyną i z zbożem komiegi,
I ciosane wańczozy tuż pod same brzegi!
Młyn na niej...

Taka dokładność rysunku nieczęsto się spotyka u dawnych pisarzy, dla tego też ten widoczek i dziś podobny aż do gatunku drzew wymienionych przez Zbylitowskiego. Przy każdej prawie wsi to samo się powtarza: biały dwór na wzgórzu, u stop czysty jak łąza Dunajec, lub mętna Biała, lub szmerząca Ropa, ale tylko jedno, pełniejsze i bystrzejsze dunajcowe wody spławiają drzewo powiązane w tratwy.

Nie jednakże nie da się porównać z widokiem odsłaniającym się na lesistą, ostro ściętą górę, na której sterczą zwaliska Melsztyna, podpasaną błękitną wstęgą Dunajca. Prawdziwe średniowieczne rycerskie gniazdo, z kąd można było urągać i samemu królowi, a przynajmniej schować się przed jego gniewem, jak Długosz uczynił. Kto tak wysoko usiadł, musiał i władać szeroko jak promień jego oka zasięgał. Nasza historia średniowieczna występuje tu w wyraźniejszych rysach niż po kronikach. Wzdłuż dunajcowego koryta biegnie zamek za zamkiem: Melsztyn, Czehów, Tropsztyn, Filipowice, Rożnów, Zbyszycze, Sącz, aż do Czorsztyna, to pas obronny od Węgier; konieczność bezpieczeństwa kazała stawiać te warownie, gdy później potrzeba wewnętrznego spokoju kazała je zburzyć; sterczą też na stromych działach kawały murów, reszty okrągłych baszt i szczytów strzelnic powiewając zielonemi sztandary, które pozatykał ostatni zdobywca: leśne pustkowia. Chociaż tyle wspomnień ciągnęło mię do zwiedzenia tych zabytków, choć obiecywałem sobie upoić się czarującemi widokami tej romantycznej doliny, jednakowoż odłożyłem tę wycieczkę na później, kiedy prawdziwe lato zawita w te góry, bo teraz jeszcze czerwcowy fawoni za nadto pachnie świeżością zasp śnieżnych.

Przeprawiwszy się przez Dunajec, tę starożytną Drużynę, od której idą herbowni, podobnie jak od Szreniawy, pożegnałem go z żalem, równie jak Melsztyn przeglądający się w jego ruchomym zwierciadle, i zwróciłem się na Za-

kliczyn, ubogą mięscinę, ale używającą najpiękniejszych widoków, chociaż w gruncie wątpię, ażeby osiedli tam szewcy, dostarczający obuwia na wszystkie jarmarki okoliczne, mieli czas unosić się nad malowniczą panoramą.

Resztę mniej zajmującą pod względem pamiętek i widoków drogi do Biecza, ożywiły na chwilę najbliższe Łucławice. Starych tu zwalisk, ani murów nie widać: za to stare lipy i dęby, jakieś szczątki tarasów czy okopów, każą ci się domyślać, że tędy przesunęła się nie bez śladów historya. Sam dwór, choć odnawiany, powiada strukturą swoją, że dawne czasy pamięta. Miałżeby to być, bodaj w części ten sam dworzec, gdzie przemieszkiwali właściciele Łukławic, Stanisław Taszycki i Abraham Błoński, owi gorliwi różnowiercy, co tam założyli akademię aryańską? Gdzież ślady tój szkoły? Nie wiem czy tradycya umiałaby miejsce pokazać, gdzie ją tak skrętnie zacierano, że niedawnymi czasy nie przepuszczone nawet półtrzeciowiecznemu głazowi na grobie Socyna i wrzucono go w nurty Dunajca. Dziwna gorliwość! Któż się mógł jeszcze obawiać niebezpieczeństwa od grobowego kamienia? Ziemia wyrozumialsza przytula kości aryanina, zapisanego na kartach naszych dziejów, nie wchodzi, czy źle czy dobrze, ale zapisanego. Pomnik grobowy to także kamienna karta historyi. Dziwię się tedy, że nie nie pozostało z tój akademii aryańskiej, która choć się przytuliła do wiejskiej strzechy zamożnego szlacheica, nie mogła ostać się długo jako wymysł przemijający, niezgodny z duchem i powołaniem narodu. Nie ocaliła jój nawet świetność kilkunastoletnia pod rządami różnowiercy Walentego Baumgartena z Memla; studia i dysputy teologiczne, metafizyczne, fizyczne i logiczne przebrzmiały, a wspomnienia ich próżnobyś szukał w podaniu ludu; nawet głuchy szum drzew, tych może naocznych świadków, o czém inném rozpowiada niż o subtelnych dysputach, a dunajeowa woda, ta współlaktorka heretyckich obrzędów, pieści się wciąż z romantycznymi brzegi, wciąż odzwieriedla błękity i słońce, i nocne światła i ognie świętojańskiej sobotki. A jednak Dunajec grał tu w obrzędach aryańskich niepospolitą rolę, jak drugi Jordan w Starym i Nowym Testamencie. Satyryczny wier-

szyk „Peregrynacya Dziadowska” przechował nam dokładny opis snadź studyowany na miejscu. Nie mogę go pominąć, bo każda taka pamiątka, jak skolligacenie z wielkim domem uzacnia genealogiczne drzewo, tak i miejsce uzacnia gdzie stoi.

Posłuchajmyż co prawi dziad peregrynant o chrzeście aryańskim:

Więc pójdę do Łukławic, choć do aryanów,
Nieźle też tam być musi, bo tam dosyć panów...
Mało też tam od Żydów coś trochę trzymają...
Mając i tój, i owój wiary po kawaleu,
Ale to najstraszniejsza, że się chrzczą w Dunaju.
Tak się chrzczą: kto przyjmuje wiarę u nich nową,
Wrąci go pod Dunajec pospołu i z głową,
To go trochę potrzyma, aż modlitwy zmówi,
A potem go za włosy porwie ku wierzchowi,
I tak mu będzie czynił do trzeciego razu;
Nie ma on tam agendy ani też obrazu,
A co gorsza, kiedy się przytrafi chrześć w zimie,
I pół roku poleży, nim go febra minie.
Ode chrztu nie nie biorą, krzyżmo u nich tanie,
Chrześcielnica dobrze głębsza niżeli w Jordanie.
Post największy w niedzielę, w piątek wszystko je-
[dzą i t. d.]

Rozstawszy się z rozkosznemi dolinami, zacząłem powoli piąć się ku wyższym okolicom, jałowszym, dzikszym, miejscami smutnym, ale zawsze w wądołach przerznionych potokiem, obukieconych drzewami, wysłanych aksamitem łąk, znajdowałem prawdziwie sielskie, zaciszne i malownicze widoki. Najmniej ładna z tych wsi podgórskich, jeszcze była perłą w porównaniu z wioskami nizin, rzuconych bez żadnej fantazyi na wydmie piaszczystej, obrosłej karłowatą sosną lub niebieską ostrą trawą. Roślinność nawet bujniejsza tu, ogrodowiny i zboża jak tylko życzyć można, ale to jedynie w pobliżu potoku, bo im wyżej, tém grunt uboższy kamienie tylko rodzi. Moznaby podług tego ułożyć skalę dobrych i złych gleb, której podziałkę stanowiłyby węższe lub szersze doliny. Gdzie wążutki strumyk wieś przerzyna,

tam i niewiele rodzajnej ziemi; gdzie szersza rzeka, tam i rozłożystsza dolina, tam i obfitość mieszka, i gospodarstwo o wiele łatwiejsze. Zabudowania wieśniacze wszędzie świadczą o dostatku budulcu, lubo góry mocno огоłocone z borów, co w wielu miejscach odjęło im najpiękniejszą ozdobę, kształty ich bowiem są po większej części przysiadłe, prawdziwe garby, gdzie nigdzie tylko na paśmie ciągnących się wzgórz podnosi się szczyt okazalszy, jak Liwocz w okolicy Olpin, lub Cergowa nad Duklą. Zresztą za każdym pasmem, które przejdiesz, wyrasta drugie, a za tём znówu błękitnieje trzecie, a wszystko Beskidy. Mogłem też wołać z poetą:

„Beskidzie zielony, w trzy rzędy sadzony!”

Niektóre miejsca, gdzie droga prowadzona samym grzbietem, czyli, jak tam mówią, działami, miałyby coś podobieństwa z falistym gruntem Podola; ale taki równy obszar niedługo ludzi oko, bo na raz się odkrywają po jednej i po drugiej stronie przepaściste wądoły zarosłe jedliną i świerczyną wijące się w najfantastyczniejszych zawrotach pomiędzy piętrzącymi się górami. Taki widok ma coś nadzwyczaj uroczystego; zdaje ci się, żeś postawiony na pograniczu dwóch światów, abyś mógł zaglądać w ich tajemnice i porównywać z sobą. Coby to było — pomyślałem — gdyby jeden z tych pejzaży został przy swojej zimnej, trochę szorstkiej, ale zawsze wspaniałej naturze północnej, a drugi odział się w barwy, kształty, roślinność i słońce południa! Taki kontrast, gdyby go gdzie spotkać w jednym rzucie oka, należałby niezawodnie do najszczytniejszych wrażeń na kuli ziemskiej; ale na nieszczęście! oba pejzaże i prawy, i lewy tak tu do siebie podobne, jakby dwie doskonałe kopie. Taka już natura nasza, że zawsze czegoś więcej pragnie niż to, co ma, zwłaszcza że tego, co ma, niejednenby nam zadościł.

Ponieważ krajobraz bez stafażu mniej więcej kuso wygląda, więc i ja nie chciałbym wśród obfitości widoków zapomnieć o ich mieszkańcu. Wieśniak tu nie ma żadnych prawie cech różniących się od Powiślan. Choć w górach, jeszcze to nie góral. Sukmany białe, kapelusze czarne, albo

te wełniane obrzydliwe czapki, które widziałem jak fabrykują Tynieczanie zupełnie kształtu maźnicy długo używanej; u kobiet kolorowe gorsety, pstre spódnice i biała chusta okrywająca głowę i wyższą część ciała, — oto strój cały. Wprawdzie w kroju guni białej u mężczyzn jest odmiana, bo z ramion spada niewielki czworograniasty kołnier, coś niby z węgierska; tę gunię nazywają czuwą, podobnie jak kobiety płótno okrywające je: lochtaszką. Co do moralnych przymiotów, chłop leniwy jak wszędzie, ale już poczyna uczuwać potrzebę ulepszeń we własnym domu, zwłaszcza że mu nakazują od władzy wyprowadzać kominy, aby się w dymie nie wędził, wstawiać większe okna, a jeżeli ma budować nową chałupę, to już musi się do przepisanego stosować planu. Niemożna powiedzieć, żeby teraz nie obudziła się w chłopach chęć nabrania oświaty; niektórzy ciągną się z ostatniego, aby tylko synów utrzymywać w szkołach publicznych lub na nauce rzemiosła; gdzie zaś los nadarzy gorliwego plebana lub wikarego umięjącego dobrze prowadzić szkołę, tam pilnie uczęszcza dziatwa i robi zadziwiająco postępy. Szkoda, że takie przypadki nieczęsto się znachodzą, a jak się znajdują, to lada kaprys wszystko popsuje, co stanęło mozołem.

Nie wątpię, że przyjaciele pieśni ludowych nie gniewaliby się, gdybym im przytoczył jaką piosenkę posłyszaną przy robocie, kiedy to gromadka z pola schodzi, lub tę, co śpiewają pastuszki przy bydle, lub wesolą przy tańcu; wyznają, że lubię takie poezye sielskie, jednakowoż mimo najlepszej chęci, nie mogą służyć. Lud przestał śpiewać! Nie jest to tylko zdanie moje, ale wszystkich, co bliżej nań patrzą. Zjawisko tego rodzaju możnaby tém wytłómaczyć, że śpiew, który wyrażał ich tęsknoty po lepszości, ich smutki i cierpienia, stał się niepotrzebnym, odkąd przeszli w byt niezawisleszy niż dawniej. Pieśniami pocieszali się w niedoli, powiada Tacyt o Germanach; przyczyna niedoli przeszła, z nią i przyczyna śpiewu ustała. Nie ze wszystkiém zgodziłbym się na to zdanie; czemuż Bretończyk, Fińczyk, Prowensal, Serb, Tyrolczyk nie przestali śpiewać, choć na swobodzie żyją? Zresztą śpiew wieśniaka z okolic podgórskich nigdy nie był melancholijny ani tęskniący; rubaszna

wesoła piosnka jak przedtém tak i teraz mogłaby towarzyszyć jego zatrudnieniom gospodarskim, jego zabawom i wieczornym schadzkom. Daleko prędzej widziałbym w tej zmianie skłonność do pozbycia się dotychczasowych tradycyjalnych wyobrażeń i obyczajów. Chłop nasz wyswobodzony nagle ze stosunku zawisłości od dziedzica, wyobraża sobie, że powinien wyswobodzić się i ze swoich obyczajów, przesądów, nawyknień tradycyjalnych, i formować się na jakiegoś bezbarwnego racjonalistę, co to nie ma jeszcze dojrzałości rozumu, a już wstydzi się swojej dziecięcej prostoty. Symptomat ten, zbyt świeży, aby miał czas stać się powszechnym, zaczyna się objawiać niemal wszędzie. Poetyczna strona pieśni, legendy, obrzędu, najpierw się ułatwia; przesąd trzyma się dłużej, a nawet ile wnoszę, nie będzie go ubywało, ale owszem przybędzie w postaci potwornej i śmiesznej. Uważałem to na ludnościach najbardziej zracyonalizowanych i zmateryalizowanych, że się kochają w najgrubszych i najniedorzeczniejszych zabobonach. Chłop podgórski w liczbie wielu innych ma także swój zabobon, jakiego nie spotkałem w innych częściach naszej ziemi. Przejeżdżając uderzyło mnie, że na polach blisko drogi, a mianowicie na nizinach, gdzie sadzą kapustę, stały wybornie wykonterfektowane strachy; tu jakiś żołnierz pali fajkę, tam ogromny chłop potrzasa pałą, owdzie szlachcic w kapocie podartej wziął się pod boki, i inne podobne lalki postrojone i ustawione najdziwaczniej.

— Przecież to nie na wróble? spytałem, wskazując świeżo zasadzoną kapustę, dając do zrozumienia, że wróble kapusty nie jedzą.

— Juźci nie na ptaki, ale na uroki, odpowiedziano mnie.

— Na czyje uroki?

— Na ludzkie; żeby złe oko nie urzekło kapusty, musi się pierwój zwrócić na tego dziwoląga, i już potém urokliwe wejście nie szkodzi.

— Rozumiem—to konduktor uroków!

Możnaby dowieść opierając się na tém, że lud nasz pierwój wynalazł konduktory niż Franklin, tylko nie chciał ich zastosować do piorunu. Zawsze za pomysł mógłby się

upomnieć o brevet d'invention, gdyby go za niezastosowane pomysły dawano.

Rozmowa w tym sensie prowadzona, nie pozwalała mi z razu uważać na najnieznośniejszą drogę pod słońcem; dopiero gdyśmy się na łeb spuszczały z góry, skacząc jak kaskada po sterczących kamieniach, przyszła mi uwaga, że więcej do drogi niż do téj kapusty przydałyby się konduktory. Na co mój towarzysz obywatel tych stron pocieszył mnie tylko, że po ulewnych deszczach jesiennych bywa jeszcze gorzej.

Nie przeczę, lecz to wiem, że dawno już nie miałem przyjemności jechać tak fantastyczną drogą jak ta, co prowadzi do Biecza od strony Rozenbarku. Tędy zapewne musiał przed trzystu laty jeździć z Krakowa poczciwy ksiądz Płaza, Kromerowski fac-totum, kiedy narzeka na trzydniową ciężką podróż po takiej drodze, że mało nie zbył żywota.

Bez szwanku jednak spuściliśmy się z przepaścistej góry, wynagrodzeni więcej niż sownie widokiem, jaki niespodzianie powitał nas u Jój podnoża.

O paręset kroków, na wzgórzu, pokazał się kościół farny biecki, skarpiasty, z ostrzystą facyatą gotycką, z wysoką obok stojącą wieżą, wszystko z czerwonej cegły pomieszanej z polewaną, która gdzie nieddzie szła w kostkę, gdzie nieddzie w kraciaste lub ząbkowate wzory; kilka starych lip, mur wyszczerbiony obronny strzelnicami, a dalej nieco baszta okrągła przypierająca nieddyś do bramy wjazdowej, i jakiś gmach niedzisiejszej struktury—wszystko w gęstej zieleni sadów przedstawiało pejzaż skończonej piękności, a tak odrębny od dzisiejszych widoków, że mi serce zabiło mocniej, niż bije kiedy szukając po księgach bibliotek natrafisz na jaki rys nieznan z naszej przeszłości, lub rzucający większe na nią światło. Wiek Jagielly i obu Zygmunów przesłał mi słowo pozdrowienia. Zdawało mi się, że z gotyckich drzwi kościoła wychodzi niewieścia postać i rozdaje jałmużnę ubóztwu cisnącemu się do stop swojej królowej; tam znowu z okna mieszczańskiego domu wygląda chłopię, i przypatrując się cudnej dolinie Ropy i tym opasującym ją szczytom błękitnych Beskidów, czer-

pie w młodą pierś miłość do téj ziemi, której bogactwa i dzieje miało kiedyś opisać. Jadwiga i Kromer, dwa niepożyte imiona, dwie gwiazdy świecące nad Bieczem, świecące miłosierdziem i sławą.

Pomijając pretium affectionis, jakie można mieć dla Biecza ze względu na pamiątki, sama fizyognomia i charakter tych murów, co na przyłądku usiadły, aby patrzeć na szemrzącą górską rzekę skaczącą po zielonój, nieprzejrzanej dolinie, wzdłuż której wieszają się szafrówce Beskidy, ma tyle malowniczości, że się dziwię dla czego w Bieczu nie rodzą się sami malarze? Możeby później jaki Salvator Rosa mówił z przekąsem: „Tutto il monde e pittore,” ale przynajmniej zjawisko to możnaby sobie przez miejscowość wytłómaczyć. Co do mnie, przyznaję się, gdybym miał wtedy pendzel i farby, niezawodnie zostałbym autorem pejzażu, tak mi się łatwem zdawało przenieść te cuda na papier lub płótno. Na szczęście nie miałem nawet ołówka na czém świat artystowski niewiele stracił, równie jak czytelnicy niewiele zyskali, gdy słowami siłę się malować pejzaże. Niewdzięczna praca! zupełnie podobna do tych widoczków układanych z zaszuszonych listków, mchu, kory brzoźowej i folgi mającej udawać wodę.

Jeżeli rzut oka ogólny tyle miał powabu, nie wątpię, że oglądanie szczegółów przyniesie równą pociechę. Niegdyś gdzie teraz murowany gościniec idzie pomiędzy cmentarzem farnym a ową okrągłą basztą, musiała być wjazdowa brama z fossą i mostem zwodzonym, gród to bowiem był warowny tak dla bezpieczeństwa od sąsiednich Węgier, jak i od łotrzyków, którzy zawsze tu grassowali. Dziś jeszcze pokazują na pagórku miejsce przeznaczone na tracenie góralskich hultajów, tego pokolenia biesów, jak utrzymują niektórzy, wywodzący od nich nazwę „Bieskidów.” Egzekucye podobne odbywać się musiały na wielką skalę, kiedy w r. 1614 stracono tu na jeden raz 120. Ztąd i rzemiosło kątowskie miało w Bieczu, że tak powiem, swoją główną szkołę; nie wiem czy wykładano teorię, ale to pewna, że na praktyce nie brakło.

Z owéj bramy, która zamykała miasto od strony Sącza zaraz na wstępie znalazłem oparty o ścianę domu

pięknie rzeźbiony kamień z herbami Półkozic, Trąby i Le-liwa, należącemi do Mikołaja Ligezy, który w r. 1570 własnym sumptem wystawił i ozdobił tę bramę. Był to jeden z tych starostów bieckich, co się przyczynili najwięcej do upiększenia miasta; imię jego i herby spotyka się tu często.

Stare kościoły nasze są to prawdziwe muzea rozrzucone po kraju; dotąd niebardzośmy umieli je szanować i cenić, dla tego tyle najciekawszych zabytków marnie zniszczało. Z trwogą wchodziłem do kościoła, wąpiąc czy rzeczywistość odpowie oczekiwaniu. Na szczęście znalazłem więcej, niżelım się spodziewałem. Jeden rzut oka na wnętrze téj gotyckiej świątyni przekonał mię, że tak pięknego egzemplarza średniowiecznej architektury nie znajdzie się u nas, nawet w samym Krakowie. Po cztery snugłe, ośmiogranne kolumny biegnie dwoma rzędami środkiem nawy, a ostrołuki tryskające z ich nagłówków krzyżując się i wiążąc w węzły, lekko unoszą sklepienie. Taka w rozmiarach panuje symetria i harmonia, tyle lotności w sklepieniach, że się oderwać od całości niepodobna. Szczytna prostota! mająca powinowactwo z ową harmonijną i spokojną architekturą helleńską. W katedrach północnych Niemiec, Flandryi, Francyi, W. Brytanii spotykasz misterne ozdoby: te róże z posągami świętych, te koronkowe rozety, te symboliczne gzemсы i kroksztyny, które sztuka chrześcijańska mająca kamień na zawołanie tak hojnie rozsiała; u nas o jedynym ceglany budulec mogły tylko udawać się świątynie pełne prostoty i harmonijnego ogółu — co właśnie jest głównem architekta zadaniem; bo ozdoby więcej do rzeźbienia należą.

Upojony wrażeniem, jakie na mnie zrobiło wnętrze kościoła, po chwili dopiero postrzegłem, jak niewłaściwie kamiennego koloru bielidłem posmarowano całe wnętrze. Wydaje się to schludnie i świeżo, ależ właśnie ta świeżość wiele ujęła efektu, starła piętno dawności, nie licząc ile delikatnych wyźłobień i kanciastych gzemсов zginęło pod grubą warstwą bielidla i tynku. Dzisiaj kiedy po obwodach ustanowieni są konserwatorowie, nie należałoby robić podobnych odświeżeń budynków, obrazów i innych zabyt-

ków, bez odwołania się o radę jak sobie w danym przypadku postąpić. Niewinny ten, domowy wandalizm, stokroć więcej poniósł niż wandalizm historycznych najeźdźców.

Po wrażeniu, jakie na mnie sprawił styl architektury, doznałem innego również mocy, a to zbliżywszy się do wielkiego ołtarza, gdzie ujrzałem obraz wystawiający Chrystusa przed złożeniem go do grobu. Józef z Arymatei i Nikodem, trzymając w ramionach bożkie zwłoki, chcą je owinać w cienkie i drogie prześcieradło; Marya Magdalena, Marya Jakóbową, Salomea i inne pobożne niewiasty klęczą u stop gotowe do tej usługi, z wyrazem żalu i boleści, że nie mają więcej olejków i wonności, aby ukochanego mistrza namaścić niemi. Uroczysty ten moment przemawia z obrazu; wszystkie osoby otaczające Chrystusa tak są przejęte boleścią, a tak zajęte aktem pogrzebu, że jako widz, czujesz się wciągniętym w to kolo i radbyś także pełnić ostatnią usługę u ciała Zbawiciela. Nie wiem kto ten prześliczny obraz malował, lecz ile wnoszę po charakterze niemylnym, jest on szkoły włoskiej, i to z dobrego czasu. Wprawdzie zbyt zazielenione tło jak w wielu obrazach Tytiana naprowadzałoby na tego mistrza, lecz z drugiej strony więcej tu miękkości w pendzlu, a wdzięku tyle co w utworach Corregia. Nie znając się dość na obcych malowaniach, abym na rzut oka poznał czyjego pendzla jest obraz, badałem raczej samą estetyczność utworu. Ciało Chrystusa martwe studyowane anatomicznie, a przecież wyraz ludzkiego cierpienia i bożkiego poświęcenia się z miłości dla ludzi nie zniknął pod usiłowaniem sztuki; artysta ten wiele musiał umieć, a czuć tyleż, jeśli nie więcej. W głowach niewiast, szczególnie w podeszłej matronie z błękitną osłoną, przebija smutek starości, smutek, co się już nie spodziewa niczego na ziemi; młodsze niewiasty splakane i pogrążone w żalobie, ale dla nich życie ma jeszcze uśmiechy... Ugruppowanie tak szczęśliwe, że czytasz od razu całą myśl, nie tu nie potrzebuje tłumaczenia, bo tu wszystko mówi: od wyrazu twarzy do najdrobniejszego fałdu draperyi rzuconej bez najmniejszej pretensyi i z wielkim rozumem. Jest to jednym słowem obraz z rzędu tych rzadkich, w których zakochać się można, tyle w nim sym-

patycznej pięknoty, obraz, któremu dość napatrzeć się nie-
można, tyle w nim mistrzowskiej sztuki. Oglądając go ile
mogłem najbliżej, przekonałem się o potrzebie prędkiej
i bardzo umiejętniej restauracyi: jest poprzecierany bowiem tak
mocno, że w jednem miejscu znać szeroką pręgę świecąca
golemi niemi. Tylko jaki ze sławnych rzymskich restaura-
torów, między innymi nasz Nowotny, co sobie zyskał nie-
poślednią w tym zawodzie sławę, mógłby temu obrazowi
dawną świetność przywrócić. Pewnej wiadomości o histo-
ryi tego obrazu nie znalazłem; są tylko szczegóły, pozwalają-
ce się domyślać, że pochodzi z fundacyi Wielopolskich,
którzy będąc starostami bieckimi do połowy XVII-go wie-
ku, mieli tu swoją kaplicę, gdzie ten obraz był umieszczony,
póki go do głównego nie przeniesiono ołtarza. Jeśli tak jest,
dał go zapewne Jan Wielopolski woj. krak., pan możny,
fundator klasztoru Reformatów w Bieczu. Portrety trzech
Wielopolskich w całej postaci, zdobią jeszcze ściany farnego
kościółka; zawieszane zbyt wysoko, nie pozwalają widzieć
czy są przy nich jakie napisy lub nie.

Po lewej ręce od wielkiego ołtarza wisi portret Kromera
w stroju biskupim; oblicze zamysłone, nawet pochmurne,
ocienienia gęsta czarna broda. Mierne to malowanie,
a prędzej zła kopia lepszego oryginału, nie odpowiada wy-
obrażeniu, jakie możnaby mieć o tym bogobojnym kapłanie,
niepoślednim pisarzu dziejów i statystyce. Drugą po nim
pamiątką jest nagrobek, jaki rodzicom swoim położył ka-
zał w kaplicy krawieckiej z lewej strony od chóru. Brzmi
on w tych słowach:

Bartolomeo Cromero avo et Gregorio Cromero patri
viris consularibus et sacelli hujus conditoribus. Annae Bi-
naroviae aviae et Agneti Czermnensciae matri, matronis
nobilibus et honestis — Martinus Cromerus Doc. Crae. et
Varm. Can. Secr. Reg. pos. anno 1557. O tym napisie
wspomina i ks. Płaza w swoich listach do Kromera: „Szczę-
śliwie W. M. epitaphium dla tego, iżby W. M. poprawił, jeśli po-
trzeba. Racz mi też W. M. oznajmić, jeśli herb z tablicą
mam dać gotować, albo poczekać?”

Jeżeli tu mowa o tym nagrobku, tedy herbu nie ma
na nim żadnego. Zdaje się, że chociaż Kromer wspominać

lubił o szlachectwie swoich rodziców, wywodząc po ojcu herb Pierzchała i Osmioróg, a po matce herb Ramult i Jastrzębiec, z tém wszystkiém nie odważyłby się położyć go na tablicy. Wtenczas nie była to łatwa sprawa podszycić się pod klejnot szlachecki; każdy szlachec miał prawo upomnieć się o to, jak o rzecz niesłusznie przywłaszczoną. Sam Kromer własną zasługą uzyskał dla siebie herb, którym się mógł przecię pochlubić. Zygmunt August dał mu pół orla uwieńczonego laurem w wyższej połowie tarczy; niższą zappełnił bindą austryacką cesarz rzymski Ferdynand. Pierwszy zjednał mu historia, którą napisał, drugi siedmioletni urząd poselski. Niektórzy sądząc podług dzisiejszych wyobrażeń, przymawiają mu radzi: czemu będąc mężem uczonym i biegłym w rzeczach publicznych, tyle się o te herby kłopotał? Właśnie też dla téj przyczyny, że tak wystrzeżił zasługą, nie mógł się zostać bez klejnotu, nie chcąc zapewne spotykać obelg i poniżeń, jak wtedy gdy posłował do cesarza Ferdynanda z Mikołajem Czarnym Radziwillem, a ten rozsiadłszy się sam jeden na ławie, gdzie było miejsca na dwóch, dał mu do poznania: Nie równyś mi, stój sobie! Postrzegł Kromerowską konfuzję cesarz, doskonały polityk, umiejący zawsze kaptować przyjaźń sekretarzy królewskich, i rzekł: „Sedeat uterque cum et in legatione uterque contineatur.” To się działo, kiedy nie był jeszcze nobilitowanym ani koadjutorem warmińskim, ani głośnej sławy dziejopisem; a później, kiedy te wszystkie zaszczyty spłynęły na niego, jakież miał słone kolacze nietylko z kapi tułą warmińską niechęcą go przyjmąc, ale ze stanami świeckimi, które namiętnie przeciw niemu protestowały! Między innemi znalazłem ciekawy liścik pisany przez ks. Kuczborskiego z Krakowa 1572, w którym przesyła Kromerowi wypis z 19 artykułu sejmiku opatowskiego.

„O biskupstwo Elsborskie (Heilsberskie czyli Warmińskie), aby szlachecowi było dawano, y ta Coadjutoria aby była cassowana o Cromera, y na potom, aby nie była, bo to expectativa. A iżby ten sam nie był tim biskupem, o czo się mocno oponowacz y króla Imci prosicz dla niebezpieczeństwa, którebi stąd na koronę przysiesz mogło, i t. d.”

Ksiądz Kuezborski za całą uwagę dołożył tylko te wyrazy: Chłopi szaleni! Krzyki te, jak u nas zwykle dotyczące najzasłużniejszych, uciszyła dopiero energia Batorego. Toż samo powtórzyło się, kiedy po śmierci Hozyusza przyszła nań kolej zostać biskupem warmińskim. Grzegorz XIII i Batory znowu zmuszeni byli wystąpić z groźnym nakazem do kapituły i do stanów pruskich, aby go za pasterza przyjęły, reflektując, że jeżeli dawniej mógł siedzieć na stolicy warmińskiej Herman z Pragi i Jan z Miśni, dla czegoż nie może siedzieć Kromer Polak? Argument bardzo logiczny, ale nie dla zapamiętałych i zawistnych.

Jeżeli wyniesienie się Kromera na tak wysokie dostojenstwo duchowne w Rzeczypospolitej klóło w oczy starą szlachtę nie lubiącą ludzi nowych, tém bardziej pobudzało przeciw niemu stany pruskie, skwapliwie lgnące do hereetyckich błędów, które on dzielnie zbijał piórem, godny zastępca i następcą Hozyusza, a niemniej i władzę swoją trzymał w rygorze. Do tych kłopotów i walk nieustających przybywały jeszcze zmartwienia. Wprawdzie dwóch swoich rodzonych braci pokierował świetnie: Andrzej odznaczył się jako łaciński rymopis, a choć wcześniej odumarł, bo jeszcze w r. 1558, zostawił po sobie zaszczytną pamięć; Mikołaj poparty względami, jakie Kromerowi cesarz Ferdynand świadczył, otrzymał dochodne opactwo welehradzkie; trzeci tylko Bartosz, co był piwowarem w Bieczu, wiódł żywot ładaco i nieraz zapewne dawał pole niechętnym do urągania z biskupiego pochodzenia. Wyobrażam sobie, ile poczęwi Bieczanie musieli się namartwić postępkami Bartosza: jeden brat powiernik monarchów, księżę kościoła rzuca blask na rodzinne gniazdo, upiększa je, opatruje funduszami, wyrabia dla niego przywileje i różne dogodności, drugi jak dzień boży łązi po szynkach i zapija się z kompanami, tłukąc na rachunek księdza biskupa kuffe i szyby, a na całe gardło przechwalając się braterskimi zaszczytami i bogactwami.— W listach ks. Tomasza Płazy, proboszcza Ś. Szczepana w Krakowie, pisanych do Kromera, napotykać można częste wzmianki o tym braciszku. W jedném miejscu najładniej go odmalował:

„Venio ad expeditionem fratris. Pan Bóg świadkiem, iżbym się był odkupił tój drogi bieckiej, częścią ze strony zdrowia, częścią obawiając się trudności ze strony pana Bartosza dziwaka, bez których nie mogło być i bez nakładów na jego utraty. Prędzójby Etyop zmienił farbę swęj skóry, niż on swe naganne obyczaje. Jest to skaranię bozkie, iż w. m. dał takiego brata marnotrawcę i niewdzięcznego.....

„.....Nie czezą tu pana Bartosza, ale on o to nie dba. Trzebaby mu jednego, coby za nim chodził z worem pieńędzy, a ze dzbanem wina. Mówili mu to w oczy, iż skoro z Bieczu odjedzie, będzie tańsze wino i mięso.”

Później, może dla tego, że nadużywano jego kieszeni, trudniejszym był Kromer w opatrywaniu swojój rodziny, pozostałej w Bieczu, bo w liście z r. 1572 ks. Plaza upomina się za nimi: „Począłeś w. m. dobrze dzieciom czynić, przy których się ojciec z matką dobrze ma, już rącz czynić do końca.”

Ile mogłem zauważyć ze wzmianek w tych listach rozsianych, skończyło się na tém, że Kromer sprowadził Bartosza do Warmii. Co się z nim potem stało? nikogo nie obchodzi, i tutaj jeślim tę pospolitą figurę wprowadził, to jedynie dla antytezy, aby i z tój strony uwydatnić postać naszego historyka, a przytém odświeżyć miejscowe wspomnienie.

Innych zabytków łączących się z pamięcią Kromera nie ma w kościele farnym, ale jest tuż przy kościele kamieniczka piętrowa, z grubemi murami, sklepieniami izbami, i z jedną obszerniejszą komnatą na wyższm piętrze, przechowującą jeszcze szczątki ozdób w odrzwiach, oknach, gzemсах. Wszedłszy tam, chciałem wyobraźnią odtworzyć sobie siedzibę mieszczańskij zamożnej rodziny w początku XVI wieku: odgadywać kącik Marcinka, gdzie sypiał, i okno, gdzie stawał chłopięciem i marzył patrząc na góry, lub ślęczał nad książką. Duch takich istot wybrańczych powinien przecież napelniać miejsca kędy zbudził się do życia. Na nieszczęście zbyt prozaiczna rzeczywistość ploszyła wyobraźnię, a tą rzeczywistością była kancelarya jakiegoś

urzędu: symetryczne półki i stopy zakurzonych papierów rozsiały się w gnieździe naszego historyka. Trzech królów: Zygmunt August, Batory i Zygmunt III nadali przecięż domowi, gdzie się Kromer urodził, przywilęj własną podpisaną ręką, uwalniający posiadaczy onego na wieki wieków od wszelkich powinności i czynszów. Przyznam się, że nieciekawym już byłęm pytać, w czyjém dziś posiadaniu? Najpewnięj obęy to ktoś rodzinie Kromerów.

Dobrodziejstwa, jakie Kromer świadczył rodzinnęmu miastu, były zapewne rozliczne: wyjednać komu łaskę u króla, którego był sekretarzem, wstawić się u starosty za czyją krzywłą, dać Bieczaninowi rekomendacyę do dwora jakiego pana—tego się nie liczy, bo to są zazwyczaj obowiązki przywiązane do klienteli czepiającej się każdęj znakomitości tytułem zażyłości od dzieciństwa, w imię współobywatelstwa powiatowego lub miastowego. Obok tych drobnych usług nie wąpię, że musiał mieć na uwadze handel i upięknienie miasta. Z listów ks. Płazy widać, że się przyczynił do zbudowania ratuszowej wieży, którą w kraju podgórskim liczone do wyższych od żywieckięj i sądeckięj. Wzmiankuje o tęp Płaza: „Domurowaliby byli wieże tego roku, ale się muru miejskiego obalilo więćej niż 50 łokci, ten tedy zaraz oprawują.” Niewątpliwie nakładał na to Kromer, kiedy znowu Płaza mówi: „Z herbem i blachą nie się nie mieszka, bo i królewskiego (herbu) nie wprawią, aż wieże dokończą, co nie będzie tego roku.” Widać, że historyk nasz miał zamiar ozdobić ją swoim herbem, do czego tytułem fundatora mógł sobie rościć prawo. Dzisiaj nie ma śladu Kromerowskięj tarczy, najpewnięj nie było jęj, bo mogła przecięż tak samo się utrzymać, jak herby i napisy, co dotąd się dochowały w połowie wieży. Jest tu wiersz łaciński na pochwałę orła z przyrównaniem do Zygmunta Augusta, położony r. 1570, pod nim orzeł, niżej ośła głowa Ligęzów, napis Nicolaus Ligęza de Bobrek Castellanus, a pod tęp znowu łacińska apostrofa do oślęj głowy.

Więćszą pamiątkę zostawił Kromer, robiąc fundusz na studentów bieckich, biorących nauki w Krakowie, którego opiekunem postanowił Płazę. Czytałem ten zapis ze wszelkimi formalnościami i zastrzeżeniami dokonany pod r. 1569,

kiedy się pisał jeszcze doktorem oboj. praw, kustoszem sandomierskim, kanonikiem krakowskim i warmińskim, oraz sekretarzem J. K. Mości.

Najciekawszy dokument, o którym mylnie wspomniano jako o Kromerowskim testamencie, jest opis pozostałości po nim w pieniądzech, ruchomościach i krescencyi; lubo przy wyliczeniu téj spuścizny znajdują się wzmiankowane kościoły i osoby, którym biskup warmiński porobił legata, jednakowoż nie jest to właściwy testament nieboszczyka, ale tylko tabellaryczny wyciąg z niego. Ogromna sukcesya wynosząca do 60 tysięcy marek w gotówce, a na zamkach biskupich do 80 łasztów żyta, 22 pszenicy, 58 owsa, krom srebrnych i złotych naczyń, dostała się w podziale na krewnych, a najwięcej na kościoły we Frauenburgu, Krakowie, Bieczu, Wiślicy i Kielcach. Tak więc choć Kromer skąpił w podeszłych leciech, zebrane mienie zwrócił na uposażenie tych beneficjów, któremi zawiadował.

Patrząc na portret Kromera w kościele farnym zawieszony, rozgadałem się i za wiele, i za mało o tym mężu: za wiele ze względu na drobnostkowość podanych szczegółów, za mało ze względu na ważność téj historycznej postaci. Co do obojga powinno mię usprawiedliwić, że będąc w Bieczu, miałem głównie na myśli tylko to, co go z tém miastem łączyło bliżej. Żałuję jednak, że więcej nie umiał zdobyć.

Starowolski w swojém dziele: „Monumenta Sarmatarum” podaje wiele nagrobków u fary bieckiej, których dziś nie znalazłem. Najciekawszy ze wszystkich, a jeszcze ich wiele, jest na prawej stronie, alabastrowy nagrobek Mikołaja Ligezy z Bobrku, kasztelana wiślickiego, bieckiego, żyłaczowskiego starosty — który Ligeza, jak brzmi polski napis: „Na śmiertelność swą pomnąc i niepewnej godziny pewien będąc, wczas sobie za żywota postawić kazał r. 1578, wieku wtenczas jego 49.” Taki wiersz polski umieszczony na tym grobowcu:

„Iż każdy, który się na świat człowiek rodzi,
Z rąk Pańskich w tę tu nizkość pielgrzymować chodzi,
Podobien w tém synowi, który ojca swego
Opuści, z okazania ku dobremu jego,

Za ojcem, gdyż mu kazał, sobie go wzywając,
Tęj drogi dobrodziejstwa hojnie wspominając,
A siadłszy za żywota na tym swoim grobie,
Wszystkie dary co mi dał wyliczyłem sobie.
Najprzód mię urodziwszy w domu starożytnym,
Opatrował i szczęściem, tak mogę rzec zbytnym.
Na dworze królów świetnych, naprzód z pacholety
Byłem chowan. Potémem do dworzan przyjęty,
W rychłym czasie chorążtwo nadworne mi dano,
Starostwo żydaczowskie zarazem przysłano,
Czechowskie państwo, w kilka lat starostwo bieckie,
A przytém zawichojskie państwo. To mi wszystkie
Fortuny za lat młodych wieku dzisiejszego,
Kiedym usiadł na stole państwa wiślickiego.
Przyszła mi śmierć przed oczy. I tak się jęj zdało,
By pod tym alabastrem schowano me ciało.

Starowolski w swoich „Monumentach” podaje łaciński nagrobek tegoż Ligezy, a o tym nie wzmiankuje; tymczasem dziś łacińskiego nie ma, chociaż z treści powyższego napisu przekonywamy się, że mauzoleum to było gotowe od r. 1578, Ligeza zaś skończył swój żywot w r. 1603. Postać rycerza leżąca na grobowcu, musiała być modelowaną kiedy zmarły był w sile wieku, a nie starcem 75-letnim. Znać to po twarzy wyobrażającej średniego wieku mężczyznę. Leży on ręką wspierając głowę, z nogą zgiętą w kolanie. Jest to zwykły charakter owoczesnych pomników.

Wszyscy ci kamienni rycerze mają taki wyraz, jakby kładli się w grób z tą niespokojną myślą, co to po nich osierociała Rzeczpospolita pocznie? czy sobie da radę, czy znajdzie obrońców? Bo gdyby prawych synów nie stało, oni zawsze gotowi stanąć przy niej z kamiennymi tarczami i buzdyganami. Charakter pomników odmieniał się z wiekiem. Na najdawniejszych z XII, XIII i XIV wieku widać lekko wyżłobiony kontur, wyobrażający postać na wznak leżącą ze złożonemi rękoma; ziemskiej myśli tu nie ma: kontur to tyle co cień, co słabe przypomnienie życia. W XV wieku ten sam układ postaci wyciągniętej na wznak jak w trumnie, ten sam wyraz wiecznego spoczynku w twarzy,

z różnicą, że dłóto nie zrobiło konturu, ale plastyczny rzeźbiło posąg z mieczem u boku, lub przed sobą. W XVI dopiero wieku zaczynają się ci śpiący rycerze, co pół duszy oddali niebu, pół ziemi ojezystej, i takich najwięcej przechowało się po kościołach. Najbardziej zajął mię w grobowcu Ligęzy wyrzeźbiony na płycie, pod wyżej przytoczonymi wierszami, koń z zarzuconą uzdą na szyję z siodłem wyrobionem z całą drobiazgowością ówczesnego okulbaczenia aż do najmniejszego rzemyka i sprzążki, u siodła upięta trąba kształtu naszych rogów myśliwskich! Koń ten niewielki zapchnia ledwo w czwartej części szerokie pole płyty kamiennęj, i każe wnosić, że miejsce czy na inne płaskorzeźby, czy na napis zostawiono. Nie mogłem sobie wytlómaczyć znaczenia tego rumaka, chyba że to był ulubiony towarzysz bojów Ligęzy, którego on wykonterfektować kazał. W samej górze nad tym nagrobkiem jest mniejszy, z tymże złączony i mieszczący dwa napisy: Mikołaj Spytek Ligęza z Bobrku, dziedzic na Rzeszowie, kasztelan czechowski, i Jan Ligęza z Bobrku, dworzanie królewicza polskiego 1591. Są to synowie Mikołaja, których miał z Elżbiety Jordanówny, wdowy po Stanisławie Bonarze.

Paprocki sławi wielką miłość ku ojczyźnie, jakiej Mikołaj złożył dowody pod pięciu królami, a Niesiecki powiada o nim: „Tota vita a vino abstemius.”

Po lewej stronie w ścianie załamującej się ku presbiterium, jest drugi podobny nagrobek z wyobrażeniem rycerza w pełnej zbroi. Gruba warstwa bielidła zarównała napis, jeżeli jaki był, a róg ołtarza zakrył część ornamentów, a może i napisy; dla tego niepodobna wiedzieć czy to nagrobek. Myślałem czy nie Jana z Wielopola Wielopolskiego, lub Andrzeja Jemielnickiego, o których Starowolski wspomina, lecz na mieczu wryty herb Strzemię nie był klejnotem żadnego z dwóch wymienionych. Szukałem w Niesieckim wszystkich Strzemięńczyków, w nadziei, że znajdę między nimi jakiego kasztelana lub starostę bieckiego, lecz były to po większej części rody niepiastujące znaczniejszych urzędów w Rzeczypospolitej. Jeden tylko Piotr Sulowski sędzia grodzki biecki, posługujący na sejm r. 1569, jest najznakomitszą figurą z rodu Strzemięńczyków, którzy

cośkolwiek mogli mieć wspólnego z Bieczem. Poczywiw Długosz, gdy do jego herbarza zaglądnął, dał objaśnienie przez zapisanie stariej tradycyi. Powiada on, że za udział w zabójstwie Św. Stanisława, nigdy żaden używający klejnotu Strzemię nie piastował jakiegobądź wyższego urzędu, ani się odznaczył czémkolwiek. Poszukując możeby się dał zrobić jaki wyjątek, lecz wszystkie nasze herbarze niedostarczyły mi przeciwnego dowodu, chociaż o trzysta lat od Długoszewego późniejsze.

Dość wysoko na ścianach i kolumnach kościoła wiele jeszcze spotyka się nagrobków, zazwyczaj małego rozmiaru, lecz interesujących z powodu, że pod krzyżem, lub wyobrażeniem jakiego patrona, klęczą wymalowane bądź pojedyncze osoby, bądź grona złożone z kilkunastu figur. Pod względem strojów, szczególnieij mieszczańskich z XVI go wieku, są one ciekawe. Strój to czarny, niekiedy długi, zupełnie jak ten, co Żydzi nasi przechowali; niekiedy kusy. W kolorowe kapoty i pasy stroiło się mieszczaństwo małych miasteczek, i to późnieij.

Żeby już nie pominąć godnego uwagi, wspomnę o tych formach czyli stallach mocno zrujnowanych, co stoją pod wielkim chórem. Ściany ich, a raczej wezłowia okrywa bardzo ładna rzeźba nakładana kolorami. Tyle w tych esach i floresach dobrego smaku, i taka obfitość kompozycyi niepowtarzającej się, że zabytek ten z początków XVI-go wieku zasługiwałby na staranną naprawę. Stalle przy wielkim ołtarzu, chociaż bogatsze w ozdoby rzeźbione i malowania, lubo również grożą upadkiem, nie mogą jednak porównać się z temi, skazanemi już na zapomnienie. Gdzieindzieij niż u nas, dawnoby zdjęty z nich rysunek figurował w jakim piśmie poświęconém zabytkom stariej sztuki.

Po obejrzeniu fary, poszedłem oglądać miasto. Wązka ulica prowadzi od kościoła w rynek dość obszerny z ratuszem i wieżą po środku. Wieża, o której napisach i herbach wspomniałem przy wspomnieniach o Kromerze, zachowała jeszcze ten charakter dawniej architektury, podobający się zawsze; u dołu skarpy, wyżej ośmiokątne piętra, wznoszą się jedne nad drugimi; sam szczyt tylko dobudowany późnieij na zniżonėj wieży. Co się zaś tycze ra-

tusza, z dawnego ani śladu, bo na tém miejscu stoi kamienica w owym obrzydłym stylu, w jakim pobudowano różne gmachy publiczne od lat kilkudziesięciu. Prawdziwy styl koszarniany.—Samo miasteczko schludne i ciche. Głęboko w ziemię zapadłe domy murowane, gęste żelazne drzwi w facyatach bez okien, świadczą, że tu niegdyś były składy i sklepy; a tu i owdzie odłam gżemsu rzeźbionego lub kamiennych odrzwi, sklezione sienie z szerokimi wychodzonemi wschodami, rozpowiadają o zamożności dawnych czasów. W jednym z narożnych domów oglądałem dość obszerną izbę zawałoną żydowskimi rupieciami, której ściany nie straciły do szczętu dawnych ozdób; w około jakieś resztki pilastrów, jakieś niby girlandy i medaliony, jedno z próżnym polem, w innych znalazłem popiersie w płaskorzeźbie Zygmunta Augusta. Co większa, utrzymała się poprzeczna belka ze starym napisem:

Boże! prowadź do skutku intent twego sługi,
By żyjącym w tym domu był wiek czerstwy, długi.

Ponieważ niedaleko znalazłem wyrażoną datę r. 1757, jako odnowienia tego domu, więc wnosić można, że przy reparacyi odmieniła się fizyognomia téj izby.

Jeszcze jedna droga pamiątka pozostała mi do zwiedzenia: dom szpitalny, fundacyi królowej Jadwigi. Stał tu obok kościołek Św. Ducha, przy którym był szpital, ale z kościoła ani śladu, jak ani śladu z dwóch zamków bieckich i z tyłu innych gmachów; pobożna tylko fundacya przetrwała wszystkie burze i zmiany. Ze wzruszeniem patrzałem na ten domek o pięterku, z którego wyglądała jakaś schorzała kobieta. Grube poczerniałe jego mury, okna głębokie, od wchodu wschodki prowadzące na zbutwiały ganeczek, takie to wszystko nędzne, takie zapomniane, takie rozsypujące się, a jednak stoi za łaską bożą, jak każdy gmach zbudowany miłością. Opieka dobrej Jadwigi czuwa nad tym przytułkiem cierpienia i sieroctwa, jakby świadczyła, że dzieło zaczęte na tym świecie, nie kończy się na tantym. Lubiła ona Biecz, i nieraz w nim przesiadywać lubiła z mężem swoim Jagiellą, który go także lubił i często w nim załatwiał sprawy koronne. Tutaj bo-

wiem odbywały się jego zaręczyny przez wyznaczonych panów rady z Anną hrabianką Cylijską, wnuczką Kazimierza W. Tutaj go, choć może szukał wytehnienia w zwierzynnych borach i cudnej okolicy, dochodziły i kłopotliwe sprawy, jak wtedy gdy Wasyl Krasny przybył z oświadczeniem, że Świdrygiełło nie tylko nie wróci Łucka i innych grodów podolskich, ale nadto domaga się ustąpienia Kamieńca. Wmieszał się i pośrednik do tych zatargów bratnich, komandor toruński wysłany od mistrza Rusdorfa z ofiarą na pośrednictwo. W takich stosunkach musiało się miasto podnosić, témbardziej, że i późniejsze postanowienia królów nakazywały, aby wszelkie towary prowadzone z Węgier, nie na Nowy Sącz, ale na Biecz obierały drogę. Handel przewozowy i składowy przyczyniał się wiele do dobrego bytu mieszkańców; wznosiły się domy, ruch się utrzymywał, i przyszedł czas, że Biecz otrzymał miano: *parva Cracovia*.

Nie mogłem wyśledzić, kiedy miasto to dostało starostę grodzkiego, i kiedy utworzona została kasztelania mniejsza. Być może, iż to przypadnie na czasy Kazimierza W., który jak wiadomo tyle robił dla polepszenia stanu miast. Przedtém bowiem Biecz z okolicznemi włościami należał do kapituły krakowskiej, która się zamieniała z Wacławem Czeskim za dobra Kamieńcą zwane. W skutek zaś intryg Muskaty, mających na celu odsunięcie od tronu Łokietka, odebrano państwo Bieckie i przyłączono do dóbr stołowych królewskich.

Tyle co do dawniej jego historii; a teraz zakończmy jeszcze całość obejrzeniem reszty miasta. Wysokie wzgórze, na którego świątym szczycie leży Biecz, niegdyś opasany obronnym baszciąnym, murem zamkniętym bramami, łączyło się dawniej zapewne mostem lub krytą drogą z pobliskim wyższym nieco pagórkiem, na którym dziś stoi klasztor OO. Reformatów. Na tém miejscu stał dawniej zamek, rodzaj cytadelli, starszej może niż samo miasto. Jan Wielopolski starosta biecki, uzyskał pozwolenie na sejmie znieść ten zamek, zapewne grożący ruiną, a natomiast wystawić klasztor. Było to w r. 1642.

Wszakże zamek i gród przeniesiony został do miasta; starzy ludzie zapamiętali jeszcze ten gmach, z którego nie wiem nawet czy te folwarki i gospodarskie budynki powstały, co dziś nizezemną swoją strukturą szpecą pamiętne miejsca. Położenie dawnego zamku, wnosząc z tego jak się teraz konwent Reformatów przedstawia, musiało być okazałe; przypominam to sobie ze starego widoku Biecza, zdjętego w XVI wieku, a zdobiącego jakiś atlas w rodzaju tych, jakie w Antwerpii wychodziły. Kilkanaście starych drzew w gęstwi swojej pokazuje biały mur klasztorny. Pamiątek godnych osobliwej uwagi nie znalazłem w kościele; jest tylko kilka nagrobków. Jeden jakiegoś Wawrzyńca Piotrowicza, ucznia akademii krakowskiej, *veri Musarum cultoris*; nie wiem czy nawet ks. Juszyński, co tylu poetów nazbierał, wiedział co o płodach jego muzy. Drugi nagrobek świeższy: Stanisława z Łętowa na Bobowej Łętowskiego, podczaszego i wielkorządcy krak., regimentarza partyi małopolskiej, rotmistrza znaku hussarskiego, zmarłego r. 1775.

Oprócz klasztoru OO. Reformatów, znajdowały się inne jeszcze dwa kościoły: Ś. Barbary i Ś. Piotra; pierwszy nie wiem nawet gdzie stał, drugi był za miastem na wzgórzu, lecz niedawno go rozebrano i na tém miejscu zbudowano kaplicę. Tak tedy miasto, co wydało Kromera, co pięć kościołów miało, i taką wieżę ratuszną, i takie zamki, i najpiękniejszą okolicę o jakiej pomyśleć można, nie pochlebiało sobie, biorąc przydomek: *parva Cracovia*.

Złe gospodarstwo, wielowieczne klęski krajowe, upadek handlu przez zmianę gościńców handlowych, a zapewne i nierządni starostowie, ci najwięksi niszczyciele, przyczynili się do upadku starożytnego grodu, który nie był i od innych klęsk wolny, jak to wyczytuję w liście ks. Płazy pisanym w r. 1573; powiada on, że w przeszłym roku zmarło w Bieczu na powietrze przeszło 1,800 ludzi; jest tam domów pustych kilkanaście, i jeszczeby zapłacono komu, żeby w nich mieszkał. W czasie zaś moru tak się miasto wyludniło, iż bramy nie miał kto zamykać, a na rynku trawa urosła. Ostatnia klęska, jaka Biecz dotknęła, trafiła

się w r. 1770 podczas konfederacji barskiej, trzymającej się długo w okolicznych górach pod wodzą Kazimierza Pułaskiego, ucierającego się z Derewiczem. Lubo wspomnienie konfederatów dziś się już zatarło, jednakowoż dowiedziałem się o szczególe zachowanym przez starca górala, który był świadkiem téj wojny. Powtarzał on wiersze, jakie Derewicz miał przesłać Pułaskiemu stojącemu obozem pod Tyliczem:

Od Tylicza aż do Bieczu
Wszędzie pełno Derewicza.

Na którą to groźbę odpowiedział Pułaski:

Między Bieczem a Tyliczem
Koniec będzie z Derewiczem.

Ostatnia groźba nie ziściła się. Pułaski poniósł klęskę pod wsią Izbami na pograniczu węgierskiem, gdzie jeszcze można widzieć na ścianie w cerkwi wymalowaną tę bitwę ze wzywaniem pomocy N. Panny Izbiańskiej,—a za wsią okopy konfederackie. Fara biecka posiada dokument, świadczący o wszystkich klęskach, jakich to miasto doznało w roku 1770...

IX.

BAJKA KRASICKIEGO.

Osobliwy to przymiot bajki, ale bajki co się nazywa; czyli takięj, jaką umiał stworzyć geniusz Ezopa, Lafontena, Krasickiego, że w którymkolwiek chcesz wieku i u którego bądź narodu, znajdzie zastosowanie w życiu i w jego rzeczywistości. Ta uniwersalność bajki pokazuje, że ludzie wszędzie są ludźmi; a bajka z pokorną minką tnie prawdę, gorzką nieraz prawdę—a jednak uchodzi to jęj na sucho; bo kiedy świat się oburza na gołą prawdę, na bajkę nie może się gniewać, tak się figlarka zaszyje w skórę wileżą lub niedźwiedzią, taki sobie czub przypawi, tak nastrzępi pióra, że nie wiedzieć kogo się czepić: kto tam wie co się pod maską ukrywa?

Próżnoby łamał sobie głowę, mózg suszył najzagorzalszy archeolog, czy tam badacz choćby tak niearcheologicznej epoki, jak czasy króla Stanisława Augusta, gdyby mu się zacheiało robić historyczny komentarz do bajeczek księcia biskupa warmińskiego i dochodzić zdarzeń i przygód, bądź prywatnych bądź publicznych, jakie mogły mu być podać materję do napisania tęj lub innęj bajeczki. W jakież to morze domysłów zabrąłby biedak! a coby się napocił, naciągając już zdarzenie do bajki, już bajkę do zdarzenia! i jeszczeby w końcu nie mógł z pewnością powiedzieć:

„Oto zwierciadło,
Co wszystko zgadło.”

A co najgorsza, że jego rzeczywistość uchodziłaby za bajkę, a przy bajce zostałaby rzeczywistość. Lecz zkądże myśl poety bierze prędkę do swoich tkanek? Ze wszystkiego i z niczego — wszakże i najbystrzejsze oko nie dojrzy tych słodyczy w kwiatach ukrytych, któremi poi się pszczela.

Cóż na to poradzić? jak dociec z kądem co się wzięło? kiedy nawet uczone nasze antropologi, przed których dociekliwością ustąpić powinny wszystkie sekreta świata, niczego jeszcze nie dociekły, choć nawet nieboszczykom nie dają spoczynku, powołały przed swój areopag czaszki i piszczele, protokółarnie zasypują je pytaniami, i gotowiby nawet użyć kodeksem zniesionych tortur, żeby wymódzi jaką kategorię odpowiedzi! A tu nie i nie; grobowe milczenie! Jest to tak obrzydły upór u tych nieboszczyków, że możnaby nań bajkę napisać, albo ukuć nowe przysłowie: „upartym jak kość,” i vice versa: „ciekawym jak antropolog.”

Dziwić się bajce, która od razu przyznaje się, że nie jest prawdą, tylko bajką, że ta nie chce wypowiadać się przed nami, jakiemu faktowi, jakiej okoliczności zawdzięcza swój początek?... A jednak nie się nie dzieje bez przyczyny; przyczyna musiała egzystować, kiedy stworzyła bajkę. Dzikie rozumowanie! Alboż to pocięciu niewolno czegoś zrobić z niczego? Coś mu tam zaświta w głowie, jakaś iskierka wyskoczy z mózgu, on ją w lot chwyta, chucha, dmucha, jak Plesio w „Piosnce Wujaszka,” aż ni z tego ni z owego zrobi się bajka, która ot tak sobie jest sama dla siebie.

Cóż to komu szkodzi? Czemużby bajka nie mogła być dla bajki, kiedy może być sztuka dla sztuki? Nie wdając się jednak w te estetyczne subtelności, zdanie moje przechyla się na stronę rzeczywistości, dostarczającej najlepszego materiału pocięciu, choćby nawet w braku takowego miał go przenieść na mglistą przyszłość. Trzeba bowiem przypuszczać, że pocięciu powinni mieć dar odgady-

wania nawet w tak trzeźwym rodzaju, jak Ezopowa bajka, która nie potrzebuje zasiadać na trójnogu Pythi, a tylko stoi sobie koło niego, i nie wpadając w stan ekstazy, czyta w prozie przyszłości zdrowym i bystrym rozumem.

Że nieomylna jest moja teoria, przekonałem się na jednej bajeczce, bardzo dowcipnej i ułożonej bardzo dramatycznie, dawno już, bo za starego etatu, kiedy bajeczki swoje puszczał w świat książę biskup warmiński, który tak dopiekl niewyszukanym dowcipem i wesołym humorem nowszej generacyi poetom, że ci, nie mogąc mu sprostać, wypowiedzieli wojnę i dowcipowi, i wesołości, wymazując takowe z poetycznego kodeksu, a na domiar kary, kazano tym jego bajeczkom pokutować po szkółkach, aby ten zbytek dowcipu i wesołości przygasić łzami wyciśniętymi gronem bakalarskiej feruly. Nie wiem, czy książę biskup podobnie jak Horacyusz dla swoich pieśni, przeczuwał ten smutny los swoich bajeczek, skazanych do końca świata pokutować w ustach szkolnych żaków, deklamujących beklowym głosem: „Bił ojeicie różgą dziecię, że się nie uczyło,” i gdy tę aluzję żywo biorą do serca, zanosząc się od płaczu, w przewidywaniu coby spotkało śniatka, jeżeliby się targnął na bolącą powagę.

Wszakże nie o tój bajeczce, mieszczącój tak dotykalaną prawdę, chciałem rozpowiedzieć, lecz o innój, która mnie bardzo zaintrygowała, bo obracając ją na wszystkie strony i przymierzając do różnych faktów i okoliczności, jakie mogły się stać w owych czasach, kiedy ją książę biskup skomponował—nie mogłem ani raz dobrać do niój klucza. A komentarz bez klucza, to pusta zabawka filologów, coś podobnego do kołatka, który siedzi w moim stoliku i toczy go, w przekonaniu, że połowa méj pracy do niego należy.

Tymczasem bajeczka ta zawsze wystawiała moją dociekliwość na ciężką próbę. Ileż to razy zapytywałem samego siebie, podziwiając dramatyczny jój układ, charakterystyczne role jój aktorów, prowadzone tak naturalnie, z taką żywą prawdą, z tak zaspakajającym rozwiązaniem! Zkąd on to wziął? gdzie on patrzył na coś podobnego w rzeczywistości? kto mu podsunął ten koncept?

Przecież z palca sobie nie wyssał, jak ten poeta amatorów, który posyła strzeliste strofki do księżycy, lub pieje hymny na cześć wiosny, téj najnieznośniejszej ze wszystkich pór roku, przypominającej schodzącą z pola grymaśną załotnicę.

Żeby taką bajeczkę napisać, nie potrzeba bujać po obłokach, ale chodzić po ziemi i obserwować co się na niej dzieje; nie można nawet użyć gotowej foremki na odlanie bajki, bo lada kto od razu pozna się na téj sztuce; słowem trzeba brać z życia tak samo jak wodę bierze się z rzeki.

A więc coś, co się stało na bożym świecie, musiało poprzedzić tę bajeczkę, o której tyle już nagadałem, nie powiadając jój tytułu. Atoli takie interesujące incognito, nie da się długo utrzymać, i rad nieraż zmuszony jestem zdjąć maskę z tajemniczój bajeczki!

Obawiam się jednak, żeby nie nastąpiło rozczerowanie w moich czytelnikach, gdy im powiem, że to jest bajeczka o „starój, trochę ślepój, trochę krzywój” Czapli, co to nie mogąc już łowić ryb, skoczyła do głowy po rozum, i z taką odezwą wystąpiła przed zgromadzeniem ryb różnego gatunku i miary:

— O przyjaciółki! wielkie grozi wam niebezpieczeństwo! mówiła Czapla.

— Cóż się stało? cóż się stało?! wołały przestraszone ryby.

— Oto „wczora z wieczora” podsłuchałam spisek rybaków, którzy zmierzwszy sobie ciężką pracę łapania was na wędkę lub w sieci, postanowili staw spuścić i wybrać was co do nogi.

Ryby w płacz.

— Cy! cy!—mówiła Czapla—nie desperujcie przyjaciółki! mam dla was sposób ratunku.

— A to jaki? mów! mów! wołały ryby.

— Oto przenieście się do drugiego stawu, gdzie pełno ślężnej wody, a ryb nie ma, więc nie będą go spuszczały.

— Ależ my same tego nie potrafimy — odrzekły ryby — chyba ty nas poprzenosisz; nie prawdaż, kochana Czaplo?

— Radabym oddać wam tę przysługę, ale nie wiem czy zdołam; bo to ciężka praca na moje stare lata—i rzekłszy to, podniosła łapę i zaczęła się skrobać w głowę.

— Zlituj się, ofiaruj się dla nas! krzyknęły chórem.

Nie dała się długo prosić dyplomatyczna Czapla, i wzięwszy dziobem pierwszą rybę, co jęj się nastawiła, uniosła w krzaki i zjadła. Wybierając je tak po kolei, na długi czas miała sutc śniadania, obiadki i wieczerze, aż narzeszeie przesycawszy się temi przysmakami, chciała dla odmiany skosztować raków.

Upatrzwszy okazały egzemplarz, oświadczyła mu gotowość swoją do przyjacielskiej usługi... Rak się nadstawił, Czapla go wzięła, i zamiast nieśe do wody, zniosła swoim zwyczajem w krzaki... Rak widać niebity w cienie, przewachał zdradę, i niewiele się namyślając, jak ją pożyrcami uchwycił za kark, tak i udusił.

„Padła nieżywa—
Tak zdrajeom bywa.”

To zakończenie byłoby bardzo pocieszające, gdyby w rzeczywistości los tęg Czapli spotkał wszystkich zdrajców, i to natychmiast, na goręcym uczynku; atoli najeżęścięj kara tak idzie w przewłokę, że ludzie nietylko zaczęli już wierzyć w bezkarność tęg zbrodni, lecz jeszcze uwierzyli w osobliwsze szczęście sprzyjające nizezemnym.

Moralny ten obrazek wybił mi z pamięci obowiązek przeproszenia „Cieniów księcia naszych poetów” za obdarcie tęg jego bajeczki z lekuchnych obłoczek wiersza i rymu. Zuchwalstwo to z mojęj strony! ale cóż robić w naszych prozaicznych czasach, jeżeli nie przerabiać poetycznych dźwięków na prozę praktyczną i realną? Nie gniewaj się więc „Cieniu poety” i nie zapominaj o tęg, że należąc do potomności, daleś jęg carte blanche do robienia z tobą, co się jęg podoba.

Masz przecię świeży przykład na *Panu Tadeuszu*, który choć wart sto razy więcęg od twojęj *Wojny Chocimskięj*, a przecięż pastwi się nad nim jakiś Francuz z Czarnęg Wypsy, który jak się domyślamy, jeżeli nie jest czystęg krwi Murzynem, to musi być najmnięj Mulatem okrutnym z ga-

tunku tych, o jakich lubili rozpowiadać starzy legioniści, co robili wyprawę na St.-Domingo. Zresztą zarzut świętokradztwa, jakiego się dopuściłem na tej bajce o Czapli, łatwo mi odeprzeć tym ważnym argumentem, że Jego Wysokość Książę Biskup Warmiński nie ma do niej żadnego prawa. Tak jest, żadnego. A to jakim sposobem? Najprostszy w świecie; gdyż zdarzenie, z którego ułożył bajkę, wyłącznie do nas należy, w naszych oczach się stało, weszło przecież do gazet, dostało się nawet na deski teatralne, i zakłopotало głowy autonomicznych polityków, przewidujących panowanie semickiego plemienia nad rasą kaukazką, nad tymi ukochanymi przez pana Duchyńskiego Aryami (ma się rozumieć nie z opery), którzy własnym kosztem wynoszą się do antypodów, przez które zapewne chcieliby się dostać do pierwotnej swojej kulebki.

Tak jest; obstać przy swoim: bajka o Czapli do nas należy. Autorstwo księcia biskupa zaczyna mi być bardzo podejrzanem, jeżeli nie znajdzie się dowód, że mógł ją pisać w wieszczym natechnieniu i w mgłach przyszłości widzieć to, co się w sto lat stać miało. Z tem wszystkiem, nim się znajdzie dokumentny dowód, stwierdzający powyższe przypuszczenia, trzymam się swojego klucza do otwarcia tej bajki tak tajemniczej, jak zamek do kassy Werthejmowskiej.

Najprzód kto jest ta Czapla? i kogo przez nią rozumiał, kiedy ją odmalował „trochę ślepa, trochę krzywa?” wszakże i w pasporcie pod rubryką „szczególnych znaków” trudno o dokładniejszy rysopis.

Tę Czaplą jest nie kto inny, tylko jakiś przybłęda do jednej wioski w okolicach Tarnowa. Zjawił on się tam w ciasnej surducinie, w laskowych pludrach, które bujając na jego cienkich i długich nogach, przypominały zwinięty żagiel na maszcie. Pod pachą miał on plik papierów, na nosie okulary, na głowie wytartą czapkę z orzelkiem, tak zwaną „imponirkę,” a do tego w jednej kieszeni kałamarz, a w drugiej nic. Przybywszy do wsi, wstąpił do karczmy, długo coś szwargotał z arendarzem, a widać, że się zrozumieli z sobą, bo arendarz nalał mu spory kielich gorzałki, arendarka zaś ukroiła kawał szabasowego gugła.

I jedno, i drugie znikło w mgnieniu oka, bo Czapla choć utykał na jedną nogę, zrobił dziś parę mil, co mu dodało i pragnienia, i apetytu. Była właśnie niedziela; po summie napelniła się karczma chłopstwem wracającym z kościoła. Arendarz zaprezentował panu wójtowi, a następnie wszystkim znacniejszym gospodarzom tę nieznaną figurę, którą „imponirka” mimowolnie zwracała na siebie oczy z prawnym uszanowaniem.

Z rekomendacyi dowiedziano się, że Czapla jest zwołanym jurystą, i że umie pisać suppliki i podania nietylko do powiatu, lecz i do sądu, nawet do namiestnictwa, a w ważnych wypadkach nawet do cesarza... Zaraz też otoczono Czapkę, częstowano gorzalką i zakąską, ten i ów ciągnął do siebie, i w sposób rozwlekły a ciemny, jak zwykle u chłopów, opowiadał o swoich zajęciach, to z sąsiadem, to z dziedkiem, to z proboszczem. Czapla popijał, zajądał i słuchał kiwając głową, lub grożąc palcem... Tego jeszcze dnia napisał parę supplik i za trudy swoje okazał się bardzo bezinteresownym, co chłopów mocno ujęło, tak, iż nie wyszło parę tygodni, a Czapla stał się bożyszczem wioski, która nabrała takiej ochoty do pieuniactwa, o jakiej przedtém w tym cichym zakątku nie było słyhu. Czyżby to dowodziło, że kiedy jest lekarz, to się rodzą choroby, kiedy jurysta to procesa? W takim razie musielibyśmy przystać i na ten fałszywy wniosek, że gdyby nie było ani jednych, ani drugich, nie byłoby ani chorób, ani pieuniactwa.

Tym trybem szło życie w owój niegdys spokojnej wiosce, gdzie się mnożyło procesów ile włosów na głowie; w skutek czego Czapla urósł w wielką estymę i zyskał sławę wzorowej bezinteresowności. A że to się miało ku ziemi i zdarzały się często przymrozki, marzył biedak w wytartej surducinie i laskowych spodniach, budująca ofiara bezinteresowności. Wprawdzie kilka dusz miłosiernych, którym ciepło było w baraniach kozuszkach i czapkach, wniosło na walnym zebraniu u pana wójta, żeby złożyć się w gromadzie i Czapkę od stop do głowy oporzadzić. Zaraz w tym celu uformował się komitet, wybrano prezesa, sekretarza i radnych, napisano gorącą odezwę o składki: atoli te jakoś tak leniwo wpływały, że z tego, co się zebrało,

ledwoby sprawił halsztuch i kamizelkę. Tymczasem Św. Marcin był za pasem, a Czapla jak marznął tak marznął, przeklinając w duszy zbiorowe miłosierdzie.

Pewnego wieczoru, wróciwszy z Tarnowa, gdzie forytował różne sprawy gromadzkie, miał długą naradę z arendarzem, która trwała do późnej nocy. Nazajutrz przypadło jakieś święto, więc rozesłał wieni, zwołując wszystkich gospodarzy na ranną godzinę do karczmy, gdzie miał im objawić rzeczy największej wagi.

Zeszli się chłopci, zasiedli ławy, a pan wójt prezydował.

Czapla wstał na mównicę, a tą była próżna beczulka, i rzecz swoją zaczął od obcesowego pytania:

— Czy słyszeliście jak was ciarachy wyzyskują?

— Nie słyszeliśmy—odpowiedziano chórem.

— A więc nie wiecie, że za pięć lub dziesięć reńskich musicie ciężko robić pańszczyznę przez cały boży rok?

— Nie wiemy nic o tém, bo któżby tam robił za takie głupie pieniądze!

— Jeżeliście nie słyszeli, ani wiecie, ciągnął mówca,— to posłuchajcie, a dowiecie się.

Tu wymownym i przekonywającym głosem rozwinął po swojemu ową pickielną teorię, i wykazał jak na dłoni, że ten figiel wprost prowadzi do pańszczyzny, a pańszczyzna do poddaństwa....

I znowu zaczął im kłaść jak łopatą w głowę, przytaczając rozmaite dość naciągane dowody, że tak zwani teraz „właściciele większych posiadłości” chcą ich zaprzędz w poddaństwo.... Żeby zaś większe na słuchaczach sprawić wrażenie, dodał po krótkim retorycznym przestanku:—i grunta odebrać....

— Co! grunta odebrać? Nam grunta odebrać!! wrzasnęła tłum—nie doczekają tego! pierwój my im odbierzemy.... Za co jeden ma więcej mieć niż każdy z nas gospodarzy? Wołało rozgorączkowane chłopstwo, miotając się i grożąc pięściami....

Kilku poważniejszych zaczęło z niedowierzaniem kręcić głową, i zaraz poszło radzić z panem arendarzem, który obojętnie stał sobie za szynkwasem i przysłuchiwał się tój scenie....

— Cóż wy na to, panie arendarzu? pytał ten i ów....

— Co ja na to? Jużcie pan Czapla musi coś wiedzieć, kiedy tak mówi.

— Choć tak gada, to i cóż z tego? My przecież lepiej wiemy, że co moje, to moje. Grunt mój, płacę z niego cesarzowi podatek i jestem sobie pan. Co mam, tego mi nikt nie odbierze, a mogę dostać więcej z dworskich obszarów.... Bo na co tam jednemu tyle pola, kiedy go sam nie może obrobić? Nie prawdaż, panie arendarzu?..

— Dobrze mówicie, panie Wojeicchu; ale tymczasem jak wam pieniędzy potrzeba, musicie iść do dworu na zarobek..

— No i cóż z tego? Sam ta przecież nie pójdę, tylko poszlę parobka lub dziewczkę na zarobek... Niech na mnie zarabiają; albo to ich darmo żywię i odziewam?

Przez cały tydzień o niczém we wsi i na schadzkach w karczmie nie gadano, tylko o tój pańszechyźnie zręcznie nałożonej przez „większych właścicieli” za pomocą tak zwanych: *Porcyj*. Kwestya ta była obrabiana równie szeroko i namiętnie jak po gazetach. Czapla bowiem umiał żar rozdmuchać i straszyć widmem, które przybrało postać morowego powietrza...

Jednakowoż bystry ten dostrzegacz prędko rzeczy pokombinował, i przyszedł do przekonania, że trzeba chłopów zażyć z innój beczi, bo na te plewy trudno ich złapać. Chłop uwłaszczony od lat blisko trzydziestu, może mieć zachcenia na własność dworską, ale swojego tak jest pewien, że nieraz mu się marzy rola udzielnego szlachcica, gotów nawet przyswoić sobie stare przysłowie:

„Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie”, ma się rozumieć z pewną odmianą tytułów, zastosowanych do okoliczności.

Widząc zatem Czapla, jak rzeczy stoją, uciekł się do innego sposobu, i zaczął skrycie obrabiać tak zwany proletaryat wiejski reprezentowany przez komorników, parobków i inne indywidua nieposiadające gruntowej własności.... Ci nastroszeni i podbechtani przez niego, znaleźli się w karczmie na zgromadzeniu possessyonatów, radzących jeszcze o owym powrocie do pańszechy, ale z widoczném niedowierzaniem, co Czapłę i arendarza wprawiało w niedobry humor...

Zdarzyło się, że jeden z gospodarzy, nadąwszy się i zasadziwszy czapkę na bakier, zawołał na Maćka, co siedział w komorném, aby mu podał ognia do fajki.

Maciek nie ruszył się i odrzekł zuchwale:

— Służcie sobie sami, aboście to nie taki chłop jak ja?....

— A jużci że nie taki! krzyknął ów gospodarz z oburzeniem... Ja dziedzie na moim gruncie, a ty co?.... hołysz i kwita....

Za Maćkiem ujęło się zaraz kilku innych parobków i komorników, a żony ich także rozpuściły języki....

Wszczęła się wrzawa; proletaryat odgrażał się gospodarzom i dowodził im, że takie samo mają prawo do posiadania gruntów, jak i oni....

— To upominajcie się u dworu! wołali gospodarze....

— Na co nam dwór krzywdzić, który nam daje zarobek? odpowiadali niepossessyonaci; wy raczéj oddajecie nam część gruntów, któreście zabrali z gromadzkich obszarów. My do dworskiego gruntu nie mamy prawa, ale do gromadzkiego mamy....

— Nie macie! krzyczeli jedni...

— Many! wrzeszczeli drudzy...

Czapła, który nie mieszając się w ten spór, siedział niby obojętny spektator na boku, znalazł się niebawem w kłopotliwém położeniu odpowiadania na mnóstwo pytań, któremi go zarzucono.... Atoli odpowiedzi jego weale nie były uspakajające dla possessyonatów.

— Widzicie sami, panowie gospodarze—mówił on,—że tym biedakom stała się niesprawiedliwość. Jeżeli wam dostały się grunta, to i oni powinni byli coś dostać z wiejskich obszarów.

— A to niech im dwór daje—czy mało ma?....

— Dwór ma dworskie, a do włościańskich gruntów oni takie mają prawo jak i wy....

— Glupstwo! do tego nigdy nie przyjdzie, abyśmy się dzielili z tymi charłakami...

— Nie mówcie tak gospodarzel!... Teraz bardzo prze-myślują nad tém, jakby i tych biedaków uwłaszczyć.... Niedawno czytałem o tém w gazetach....

— Nie doczekają tego! wołali gospodarze—pierwój po-
ucinają nam głowy, niżbyśmy z naszego dali odjąć sobie
jedną grządeczkę...

— Kto to może wiedzieć, co tam w górze uradzą?...
mówił Czapla, kręcąc głową... Lada dzień może spaść coś
takiego.... Chyba wypadłoby pojechać do miasta, i tam, tu,
owdzie wypytać: czy nie słychać czego o tém nieszczęściu?

— To kochany panie pisarzu, weźcie mój wóz i konie,
i ruszajcie do świtu, a trzeba pytać między Żydkami, bo
te bestye wszystko najpierw wiedzą...

Tak mówił pan Wojciech, niezmiernie zalterowany
zuchwałością Maćka, który mu nie chciał podać ognia do
fajki, a miał tak niezmysłony apetyt na jego morgi...

Nazajutrz skoro świt, kopnął się Czapla do powiato-
wego miasta i pod wieczór wrócił, a gdy przejeżdżał koło
karczmy, gdzie na podsieniu stało kilku gospodarzy, wołał
z wozu wywijając czapkę: — „Cieszcie się, wszystko dobrze!”

Jakoż chcąc się podzielić pomyslną wiadomością z za-
niepokojoną gromadą, zawezwał wójta i wszystkich zamoż-
niejszych gospodarzy do karczmy na walne posiedzenie.

— Przywiozłem wam coś nowego, czego się nie spo-
dziewacie!—mówił Czapla do zgromadzonych.

— A co? może już przyszło, żeby się dzielić z tą ho-
łotą? zapytało kilku.

— Ej głupstwo! z tego na teraz nie będzie, chyba
tam za rok, lub dwa, a może i trzy... Tymczasem pokaże-
cie im figę...

Chłopi weseliej popatrzali na Czapłę i zbliżyli się cie-
kawie. Czapla z tryumfującą miną wziął się pod boki
i zawołał: — „Słuchajcie gospodarze!!”

I stała się głęboka cisza w zgromadzeniu. Czapla
wyjął jakiś papier z zanadrza i czytał.

Był to list jednego gospodarza z sąsiedniej wsi, któ-
ry przed dwoma laty sprzedał był chałupę, grunt, chudobę
i wyemigrował do Ameryki razem z kilku Szwabami, któ-
rym znudziło się gospodarować na szczerym piasku.

— To ten Maciek, co to hultał się po jarmarkach
a konikami handlował! —powtarzali między sobą chłopi; —
próżniaczysko pewnie gdzie leży pod płotem.

— Nie zgadliście przyjaciele! rzekł tryumfująco Czapla. On już nie Maciek, ale pan Maciej, pan całą gębą. Słuchajcie co tu pisze: „Z początku szło mi twardo, ale dzisiaj, dzięki Bogu, mam piękną chałupę, jakby nie przy mierzając dwór naszego szlacheica. Las pod bokiem; rąbię go sobie, kiedy mi potrzeba... Na błoniu w trawie po pas pasie się moje stado koników i bydła; będzie tego z pięćdziesiąt sztuk... Kto chce fortunę zrobić, niechaj tu przybywa; za rok zostanie panem... Żebyście się przypatryli, jak teraz wyglądamy i ja, i żona, i dzieci, posyłam wam swoją fotografię... Powiedzcie sami, czy to warto horować na tych jałowych morgach, gdzie to kłosek kłoska goni, siedzieć w kurnej chałupie i każdemu się opłacać? A jak krowę wygnasz na pańskie pole, to ci zajmą; a jak pójdziesz do lasu urąbać gałąź, to ci siekiere zabiorą i jeszcze z grzbietu zedrą sukmanę... Tutaj wolno mi wszystko, i nikogo nie mam nad sobą. Ja tu pan!...”

List ten zrobił wielkie wrażenie, ale jeszcze większe zrobiła fotografia przedstawiająca bardzo piękny dworek z ogródkiem i gankiem, w którym siedział pan Maciej w paletocie, w kapeluszu na głowie i z fajeczką na długim cybuchu, a obok niego pani Maciejowa w okazałym czepku ze wstążkami, w jedwabnej sukni i w kraciastym szalu. Małe Maciejęta bawiły się przed gankiem.

Fotografia obiegała z rąk do rąk, i słychać było wykrzyki podziwiania: „Taże to Maciek! wykapany Maciek! Któżby go nie poznał? A Maciejowa wygląda jak nasza dziedziczka!”

Kiedy się już dosyć napatrzono, Czapla podniósł głos i zawołał: „Teraz przekonajcie się, że to nie święci garnki lepią. Hultaj Maciek, a wyszedł w Ameryce na człowieka; czegoż dopiero spodziewać się mają porządni gospodarze, jakimi wy jesteście? W Ameryce kto nie chce może zrobić fortunę i zostać panem, nie takim panem jak wy tutaj, co wam wasi parobcy chcą grunta odbierać!”

Ostatni ten argument bardzo trafił do przekonania, zapal ogarnął całą wioskę, że nie wyszło parę tygodni, a większa część gospodarzy posprzedawała swoje grunta, chałupy i dobytek i wybierała się na przesiedlenie do Ameryki.

Czapla prowadził cały interes, a chcąc być wiernym swojej misji do końca, towarzyszył jako umięjący po niemiecku wędrującej gromadce do Hamburga, gdzie wszystkie Ryby wsadziwszy na pokład okrętu, pożegnał ze łzami, a sam powrócił do wyludnionej wioski, aby dodawać ducha tym, co się jeszcze nie mogli zdecydować na tę podróż. Między tymi był jeden wcale zamożny i niegłupi gospodarz nazwiskiem Rak, który posiadał znaczne i najlepsze grunta; a kiedy go namawiano do Ameryki, odpowiedział, że chce czekać, póki się nie dowie, jak się jego dawnym sąsiadom powodzi? Nareszcie Czapla i tego Raka postanowił obrobić, gdyż na jego grunta i chatę zagięty już był parol. Długo nie skutkowały żadne namowy, aż w końcu Rak bardzo się rozsierdził z powodu przegranego procesu z dworem o kawałek sporniej sianożęci, co go zdecydowało do zaatlantyckiej wędrowni.

Wyprzedaż majątku i dobytku nie potrzebowała wiele czasu, bo dość znalazło się amatorów, jak się zdaje podstawionych przez arendarza. Rak zabrał żonę, dzieci i służki, wsiał na kolój, a zobowiązawszy Czapłę do towarzyszenia sobie w drodze do Hamburga, stanął tam szczęśliwie. Czapla miał w Hamburgu pełno znajomych i mnóstwo interesów; więc cały dzień biegał jak najęty... Rak poważnie przechadzał się nad brzegiem i podziwiał stojące w porcie okręty... Właśnie przybił jakiś statek—i któż z niego wysiał? Oto kupka dawnych jego sąsiadów obdartych, wynędzniałych i wyciągających rękę do spacerujących po brzegu bogatych kupców.

Mądry chłop wszystko rozumiał; dla tego też nie potrzebował wypytywać się o szczegóły.

Zmrok właśnie zapadł. Rak ze zwieszoną głową wracał do swojej gospody, i w drodze na zakręcie ulicy spotkał się oko w oko z Czapłą. Rak mówił, że mu się cni, i zaprosił pana Czapłę na piwko.... Do późna siedzieli obadwaj w szynku, mieszając rozmaite trunki, a chociaż Czapla miał mocną głowę, Rak miał mocniejszą, bo chwającego się na nogach kompana musiał prowadzić, a raczej ciągnąć za sobą... Przechodzili nad kanałem, na ulicy nie

było żywej duszy—wtém coś chlupło w kanale... Rak poszedł dalej, mrużąc pod nosem:

„Tak zdrajcom bywa.”

Zaprawdę nie umiem sobie wytłómaczyć, jakim sposobem mógł Krasicki skomponować swoją bajkę, kiedy historyjka dopiero co opowiedziana zdarzyła się w sto lat po niej i dała materję do komedyi p. Ancyca: „Emigracya Chłopska,” której tylko to zarzucam, że nie tak tragicznie się kończy jak bajka.

X.

O PIÓRZE I PISANIU.

Ktokolwiek zwiedza bibliotekę Jagiellońską, podają mu wielką księgę, aby w niej zapisał swoje nazwisko jako gość zwiedzający; przy téj sposobności może oglądać i to okazałe pióro, jeśli się nie mylę, łąbędzie, którém się podpisał przejeżdżający przez Kraków monarcha. Ozdobne to pióro przechowywa się jako pamiątka, mająca zarówno historyczne jak podaniowe znaczenie i jest przywiązane do miejsca. Szczegół ten naprowadza na podobne pamiątki, drogo nieraz płacone przez amatorów sentymentalnych osobliwości, które lubo same przez się nie są osobliwością, nabierają znaczenia i wartości przez to tylko, że ich używała jaka znamienita osoba, sławna w swoim czasie bądź wielkiem znaczeniem, bądź nauką, bądź dziełami wojennemi.

Jakążto wartość w oczach autora miałyby pióro Dantego, Kopernika, Machiawela, Szekspira, Kochanowskiego, gdyby mu towarzyszyła pewność, że w istocie pierwszy pisał niém swoją *Komedję*, drugi *De revolutionibus orbium*, trzeci *Il principe*, czwarty *Hamleta*, a ostatni, dla nas najdroższy: *Treny po swojej Urszulce!* Ale gdzież szukać, gdzież znaleźć takie pióro i taką pewność? Żeby ją mieć, potrzebaby wiarogodnych dokumentów lub niewątpliwych społecznych świadectw, a takich nie ma, bo współcześni najczęściej nie troszczą się o żyjące wielkości, ani domyślają się jakiej sławy mogą dostąpić po śmierci, i jak ta sława urość może z wiekami. Podobnież wiele poeci, myśliciele, uczeni, sami

nie mając się za wielkich, nie przypuszczają, żeby przedmioty należące do ich powszedniego użytku, miały kiedyś uchodzić za drogocenne relikwie, więc też i nie myślą o nadawaniu im cechy niemal urzędowej autentyczności. Zresztą miałyby to stronę wcale śmieszną, gdyby jaki autor za życia rozdawał stare pióra, kałamarze, znoszone rękawiczki lub inne części ubioru i kazał je uważać za przyszłe relikwie, poświęcone własnoręczną jego dedykacją, z tą pewnością z góry powziętą, że potomność będzie się o nie dobijała, przepłacała na wagę złota i chowała w muzeach. W każdym razie pamiątkom tego rodzaju sentymentalność nasza nadaje urok, można bowiem o nich marzyć do woli, widzieć np. Dantego trzymającego to pióro, które zatrzymało się, nim znalazło trudny rym *terciny*, malującej piekielne męki potępieńca; można na widok pióra Kochanowskiego wyobrażać sobie, jak mu się lzy polały padając na papier, gdy pisał:

Jeślim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić
I kwoli temu wieku lekkie rymy stawić,
Bodajżebym był raczej kolebkę kołysał
I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał!

Z pióra można odgadywać rozgorączkowanego Adama z demonicznym ogniem w oczach, piszącego improwizację Konrada, kiedy pędzone jakąś nadludzką siłą paliło papier, a skrzyp jego rozlegał się w ciszy nocnej... aż w końcu z rąk mu wypadło, i poeta padł bez zmysłów.

Puściwszy skrzydła wyobraźni, myśl nasza może bujać i rozkwilać się nad piórem, które trzymała ręka wieszca, filozofa, artysty; samo zaś pióro, jako martwy przedmiot, nie nie mówi; człowiek mówi i czuje, biorąc je tylko za temat, za punkt wyjścia do swoich rojeń. Otoż właśnie dla tego do kategorii sentymentalnych pamiątek zaliczam takie rupiecie jak pióro, strzępki odzienia, stare rękawiczki, wstażki wypłowiałe, suche bukiety, a nawet włosy, mające mieć sympatyczne własności, zgoła cały ten sentymentalny arsenał umieszczony w kieszeniach kozaczka pana Szarmanckiego (*).

(*) Osoba komedyi Niemcewicza: „Powrot postła.“

Zapewne jest jakaś tajemna potrzeba dla dusz czułych, że lubią gromadzić podobne *souvenir'y*, a może jest to tylko potrzeba ciągłego odżywiania krótkiej i niestatecznej pamięci.

Historyczne wielkości swojego czasu najwięcej miały amatorów łakomych na lada drobiazg, który od nich pochodził. Jakież to w zbiorach grają role takie między innymi pióra Napoleona, któremi podpisywał traktaty lub bulletyny po odniesioném zwycięztwie, albo pióro Fryderyka II, którem pisał złe wiersze francuzkie, lub Woltera, który bardzo dobrze pisał, a tyle piór zostawił po sobie, że każdy z turystów zwiedzających od stu lat fernejską rezydencję musi *coûte que coûte* dostać na pamiątkę pióro po wielkim mistrzu filozoficznej blagi.

Owoż kiedyś tak rozmyślał nad piórem, któremu podpisywali się potentaci, sławni wodzowie, a bez ustanku pisali poeci i rozmaici autorowie, przyszło mi do głowy opowiedzieć historję tego narzędzia do wyrażania myśli widomymi znakami, narzędzia, które podobnie jak język, może być i bardzo smaczną potrawą, i tak niezdrową jak sztylet morderey.

Pozwalam sobie domysłu, lubo nie obstaję przy swoim zdaniu, z obawy skarcenia przez jakiego archeologa, że pierwsza próba pisania musiała być kijkiem na piasku u brzegu morza lub rzeki, tam bowiem powierzchnia jego, to jest piasku, bywa tak gładka, tak ubita, że niemal zaprasza do pisania. Zdaje się, że tego sposobu nieraz próbowali zakochani, pozbawieni innego środka wynurzania swych uczuć, jak na to mamy liczne dowody w starożytnych i nowych romansach. Wreszcie piasek tak jest wybornym materiałem do pisania zaklęć i przysięg na wieczną miłość, że dotąd nie wynaleziono nic lepszego! *Scripta manent* — straszna przestroga. Piasek zatrzasz, i nie ma śladu.

Czy długo ten sposób wyrażania myśli utrzymywał się między ludźmi, nie umiem powiedzieć; atoli nie wątpię, że archeologia gdy głębiej zapuści się w przedhistoryczne czasy, rozstrzygnie i tę wątpliwość, bo jak wiemy, dobrze już posunęła się naprzód, aby cofnąć się chciała. Zresztą w tej mojej skromnej pogadance o piórze dziwną byłoby

pretensją współzawodniczyć z tymi czarodziejami, co grobom każą spowiadać się z sekretów, a czaszki biorą na inkwizycję i pytają o miejsce urodzenia i o familię, chociaż one uparte jak kość, niezawsze chcą odpowiadać,—ale badaczy to nie odstrasza.

Otoż w ciasnym zakresie moich poszukiwań o dziejach narzędzia do pisania, nie śmiem posunąć się dalej nad starożytność grecką i rzymską. Tak jedna, jak druga używała tak zwanego *καλαμος calamus*, czyli po prostu trzcinki rosnącej w miejscach wilgotnych. Najlepsza miała się znajdować w Egipcie nad Nilem, a jeszcze lepsza, za czém Pliniusz obstaje, w Knidosie. Trzcinkę tę zacinano nożykiem, szlifowano pumeksem, a właściwie równano nosek, jeżeli bardzo się spisał. Rzecz oczywista, im bardziej doskonalila się sztuka pisania, tém wybredniejsi byli kaligrafowie w dobieganiu sobie trzcinek w najlepszym gatunku, toż papyrusu i czernidła. Jest ładny wierszyk w antologii greckiej, opisujący historję takięj trzcinki, co to w prostocie swęj nie wiadomości ani marzyła o wielkiem swém przeznaczeniu. Poeta każe jęj mówić:

„Byłam trzcinką nieplodną: na gofęj łodydze
Nie rość gronom, ni jabłkom, ni gruszkom, ni fidze.
Lecz mię wziął na Helikon ktoś, co usta moje
Rozciął i wązkim rowkiem puścił czarne zdroje,
Któremi mię napawał,—aż wnet jak natchniona
Wydałam cudne głosy z milczącego łona.”

Nazwisko poety, co ten epigram złożył, jest podobno Pallades; ale mniejsza o autora, kiedy rzecz udatna sama się zaleca.

Podobnej trzcinki, co Grecy, używali do pisania Rzymianie, u których nazywała się *calamus*, także *arundo*, *fistula* albo *canna*. Taki *scriba librarius* czyli przepisywacz, przygotowawszy sobie karty papyrusu, posklejawszy je jedno do drugich podłużnie, przeciągał je pumeksem, gładząc wszelkie chropowatości, i dopiero zabierał się do pracy. Pod ręką już miał gotowe wszelkie niezbędne materyaly i narzędzia, jak linję, ołówek, stylus, trzcinkę, nożyk, pendzel do liter złotem malowanych, kałamarz, flaszeczkę z cy-

nobrem do tytułów dzieła, rozdziałów i t. p.; bez tego wszystkiego nie mógł obejść się *librarius*. Najprzód, aby pismo było równe, liniował tę długą wstęgę papieru, oddzielał kartki i wszędzie jednakowe zostawiał marginesy, a ostrzem stylusu znaczył, ile wierszy ma każda karta pomieścić. Ukończywszy te prace przygotowawcze, zabierał się do pisania, przykładając się z największą uwagą i pilnością, aby każda litera była piękna i czysta, nie szcedząc przytém ozdób na początkach rozdziałów. Zwykle pisano tylko po jednéj stronie.

Kiedym się już zapuścił w tę manipulacyę, nie od rzeczy będzie nadmienić, że do powszedniego użytku mieli Rzymianie woskowe tabliczki, tak zwane *tabellae cerae*, rodzaj pugilaresów, pisano na nich ostrzem *stylusa*; ten *stylus*, także *graphion* zwany, bywał z żelaza, miedzi lub srebra, z jednego końca zaostrozony, z drugiego płaski; ostry koniec służył do pisania, płaski do mazania; ztąd to poszło wyrażenie: *vertere stylum*, obrócić stylus, czyli biorąc przenośnie, poprawić co się napisało. Ztąd też mówi Horacyusz w często cytowanym wierszu:

Saepe stylum veritas, iterum quo digna legi sint
Scripturus.

Z tego to niewinnego narzędzia do pisania zrobiła się broń mordercza, nazwana sztyletem. W historii nawet odgrywa *stylus* ogromną rolę. Juliusz Cezar opadnięty przez kolegów-zbójców w pełnym senacie, bronił się swoim *stylusem* i nawet ramię przebił nim Kassyszowi, *graphio trajectit*, jak powiada Swetoniusz. Później tak często sztyletowano się *stylusem*, że aż zabroniono używać tego narzędzia, szczególniej między uczącą się młodzieżą.

Lecz wróćmy do *scriby*, mającego do czynienia z trzeinką, tém niewinném narzędziem, które się nie zmazało zbrodniczym czynem.

Pisanie, póki druku nie wynaleziono, było pracą męczącą, do której trzeba było wprawiać się od młodu, siedzieć na miejscu kamieniem, nie mieć żadnych upodobań młodości, ani téj krwi żywój, która ciągnie do zabaw i pustot, a tylko cierpliwość i natężoną odwagę, żeby ani jednéj

literki nie opuścić, kreseczki nie zapomnieć, a cóż dopiero sens przemieni! Liczny to musiał być cech tych *scribów* w Rzymie, a jakich kłopotów nabawiali oni księgarza, którego interesem było śpiesznie wygotować manuskrypta, aby przychodzącym do jego kramu nabywcom dogodzić na pierwsze zawołanie.

Jestem pewien, że satyryk Persyusz w trzeciej swojej satyrze odmalować chciał takiego leniwego *scribe*, co to wyszukiwał sobie różne przeszkody, aby tylko nie pisać, bo tam go gdzieś czekali weseli rówiennicy, z którymi przecięż miliej pohulać niż siedzieć i pocić się nad stawianiem liter.

Choć zwięzle, ale dobrze go odmalował satyryk:

Bierze książkę, pergamin dwubarwny rozkłada,
Toż karty papyrusu—trzcinką w ręku włada...
Lecz jak pisać, gdy czarny gąszcz dziób trzcinki zlepia,
Lub nazbyt rozwodniona nie chce pisać sepia? (*)
Lub do jakiej włoś w piórze przywodzi rozpaczy,
Gdy się wlecze i na raz dwie litery znaczy?!

Możnaby tu zastosować znane przysłowie: „Zły tancerzniczy fartuszek na przeszkodzie” — ale darmo! i najlepszemu kaligrałowi nieraz pisać się nie chce, a lekka trzcinka lub piórko ciąży mu w ręku jak centnar ołowiu.

Przypomnijmy sobie Tukaja w balladzie Mickiewicza, jak on to leniu zabiera się do napisania cyrografu:

Szuka atramentu, piasku,
Idzie kreślić pismo grzechu,
Ale idzie bez pośpiechu;
Już ciemno, pisać niewczesnie,
W atramencie jakieś pleśnie,
Dwie świece musiał zapalać
I dwa kałamarze nalać.
Coś mu zabolalo w łokeiu,

(*) Rzymianie oprócz atramentu robionego z sadzy lub kości palonój, używali także sepji do pisania; Persyusz mówi w jednym wierszu: *Nigra quod infusa vanescat sepia lympa.*

Wziął pióro, na piórze włosk
 I bardzo spisany nosek,
 Otrząśł, przyciął na paznogeiu,
 Po długim względzie, rozględzie,
 Wreszeie pisze: „Niech tak będzie!...”
 Głową i piórem kołysał,
 I nie więcéj nie napisał...

Bardzo wierzę, że Tukajowi, zapisującemu duszę w moc Belzebuba, niebardzo pisać się chciało. Ale to są przesady ciemnych wieków; w naszym oświeconym panicz zapredający duszę i ciało brodatemu lichwiarzowi, nie robi tyle ceregielów; bierze pióro do rąk i jednym zamachem kładzie podpis na cyrografie. W czynności téj nie strzyka, go w łokciu, włosk nie zawadza na nosku pióra, a czy atrament gęsty czy rzadki, czy czarny lub białdy, co go to obchodzi? Podobne drobnostki nie zatrzymują go, tém mniej, jeżeli nawet nie zada sobie fatygi przeczytania liczby wypisanej na cyrografie.

Muszę to przyznać, że pisanie w naszym wieku, a *eo ipso* podpisywanie się całém nazwiskiem z imieniem chrześniém, przydomkiem i t. d., stało się rzeczą tak zwykłą, że nad nią nikt się nie namyśla, palce tak są wprawne, papier nęcący atlasową białością, a piórko lekkie i posłuszne, że o tych Persyuszowskich lub Tukajowych impedimentach ani mowy być nie może.

Nasi starzy nie byli tak pochopni, ani tak wprawni do pióra, ręka ich przywykła machać szablą, borykać się z koniem, była ciężka, a przytém kochając się w żywém słowie czyli konwersacyi, nie lubili pedanteryi, jakiej pisanie wymaga. Kiedy już trzeba było list pisać w pilnym interesie, co za skweres i rwetes po całym domu, żeby znaleźć pióro lub kalamarz z wyschlým atramentem! Przecięż Radziwiłł Panie Kochanku cały boży rok kazał czekać posłańcowi, nim mógł się zdobyć na danie odpowiedzi listownéj. Słowem, pismo było rzeczą niemaléj wagi, potrzebowało zachodu i nieraz krwawy pot wyciskało z czola pisarza.

Na gorącym uczynku schwycił to Fredro w *Zemście*, kiedy pan Cześnik każe staremu Dyndalskiemu pisać za dyktowaniem list z oświadczynami do panny, niby od jej kochanka. Biedny Dyndalski, stokroć biedniejszy niż rzymski leniwy *scriba*, biedniejszy nawet niż balladyczny Tukaj, bo z gwałtownym Cześnikiem to nie przelewki!

— Maczaj pióro, pisz i kwita, mówi Cześnik.

Dyndalski zasiada do pisania.

— Pisz waść: „Bardzo proszę...” Co to jest?

— B.

— To?

— B duże—*a capite*, jaśnie panie.

— B? to kreska; gdzież dwa brzuszki?

— Jeden w spodzie, drugi w górze.

— B, B duże, kto pomyśli, może zgadnie.

— No, no, pisz waść, a dokładnie.

Cześnik dyktuje powtarzając swoje zwykłe, co słowo „mocium panie,” wtém przerywa pisarzowi, pytając: Co to jest?

— Żyd, jaśnie panie, lecz w literę go przerobię...

Na co groźny Cześnik:

Jak mi jeszcze kropla skapie,
To cię trzepnę tak po lapie,
Aż proformę wspomniesz sobie...

Jeżeli żyd na liście wywołał taką burzę, cóż dopiero stanie się z biednym skrybą, gdy mu przyjdzie odczytać co napisał, a jako posłuszny i sumienny sługa, pisał za dyktowaniem co słowo cześnikowskie przysłowie „mocium panie!”

Najkomiczniejsza to i najoryginalniejsza scena, żywcem schwycona z tych postaci i charakterów, których już nie ma. List romanсовy konceptu starego Cześnika, pisany ciężką ręką, która tylko umie stawiać niezgrabne litery i robi żydy,—jakiż to przedni temat do komedyi!

Lecz dokądże to zabiegłem? od cytaty Persyusza, od ballady o Tukaju aż do Fredrowskiej komedyi! Myśl przewalowała kilkanaście wieków, teraz rada nie rada, musi

wrócić do rzymskich czasów, aby dopowiedzieć, czego jeszcze nie dopowiedziała.

Otoż wracam do trzeinki, do starożytnego *calamusa*. Utrzymują badacze, że to narzędzie do pisania było w używaniu jeszcze w VII i VIII wieku ery chrześcijańskiej, a nawet w IX, jak to widać na miniaturze jednego inicjału w manuskrypcie, znajdującym się w Bibliotece burgundzkiej w Brukselli. Przeciwnie woskowe tabliczki i *stylus* przeżyły trzecinę aż do XV wieku. Dziś miejsce woskowych zastąpiły kartki pergaminowe lub z czarnej szyfrowej masy, a zamiast *stylusa* ołówek, narzędzie niewinne, które niezdolne jest do morderstwa.

Trzecinę wyrugowało pióro gęsie, mające własności, z jakimi trzcina nie była w stanie współzawodniczyć. Dla czego zaś Rzymianie nie wpadli na ten pomysł? Chybaby przypisać temu, co Krasiecki mówi:

Gęsi, co Rzym obroniły,
Wielbione były.

Jednakże z biegiem wieków, przemianą wyobrażeń, cześć dla kapitolijnskiego drobiu poszła w zapomnienie, zstarzała się jak uczucie wdzięczności. Jakiś dowcipny mnich, bo w tych wiekach tylko po klasztorach szukać było rozumu i nauki, wpadł na szczęśliwy pomysł znalezienia tego, co było pod ręką, to jest gęsięgo pióra, a zarzucenia trzeinki, którą trzeba było sprowadzać z za morza, gdzieś z za Nilu lub z Knidosu, bo nasza niesposobna była do pisania. Nowego rodzaju pióra dały się wybornie temperować, nosek zachowywał całą sprężystość, można nim było pisać i grubo, i cienko, rysować nawet te fantazyjne ozdoby około wielkich inicjałów i na marginesach.

Mnich, który rozbrat wziął ze wszystkimi marnemi uciechami tego świata, który jeżeli nie odmawiał pacierzy w swojej samotnej celi, to musiał potężnie się nudzić, stał się z konieczności wybornym *scribą*, kaligrafem, miniaturzystą, ilustratorem.

Poetycznie opisał Słowacki takiego mnicha-kaligrafa średnich wieków:

„W samotnej celi w Sinaju klasztorze,
Czekam posepny, aż wiek mój przemienie;
Modłę się patrząc na Czerwone morze,
Albo na skwarne Arabów pustynie.
Oto jest owoc pracy zakonnika,
Oto na białym księgi pergaminie,
Co się na klamry srebrzyste zamyka,
Są dzieje Rzymian, są dumania Greków,
Wskreszona pamięć dawnych wielkich wieków,
Które bez pisma jak ludzie pomarły.
Moja to praca nadal je zachowa!
Pod mojem piórem wzrastały wyrazy,
Różnie barwiłem początkowe słowa,
Na kartach błyszczą święcone obrazy,
Purpure, złoto i drogie błękity
Łączyłem cudną malowidła sztuką.
Księga ta będzie dla wieków nauką,
Księgę tę pisał mnich w celi ukryty.”

Po upadku państwa rzymskiego nauka i umiejętność pisania schronienie znalazły tak w duchowieństwie świeckim, jak w klasztorach, a w tych ostatnich przedewszystkiem. Zajmowano się przepisywaniem ksiąg świętych, a nawet literatury starożytnej, lubo z razu, jako na płody pogańskie mało zwracano na nie uwagi, nawet unikano styeczności z niemi, co się łatwo tłómaczy obawą zabałamucenia pojęć religijnych wręcz przeciwnemi wyobrażeniami.

Oddać się pracy pisania było ze strony zakonnika zasługą, równającą się najpobożniejszym uczynkom.

Pewny mnich nazwiskiem Rudolf, z klasztoru Św. Wedasta (S. Vaust), odmalował sam siebie piszącego przy pulpicie; z nieba patrzy na niego Św. Wedast i błogosławi mu...

Dodany pod tém wiersz łaciński, tak objaśnia tę scenę:

„Gdy piszę, Św. Wedast z nieba patrząc raczy,
Rachuje każdą z liter, które pióro znaczy,
Toż na ile brózd wierszy każdą orzę kartę,
Ilu punktami ostrza stronnice przedarte.

I laskaw na mą pracę podjętą w tém dziele:

— „Ile liter i wierszy, i punktów, tak wiele,
Rzekł mi, grzechów żywota będziec odpuszczoneo.”

Z taką wiarą, nie ma czemu się dziwić, jeżeli z klasztorów wychodziły areydziała rękopiśmienne od IX do XIII wieku. Żeby całe życie poświęcić pracy kaligrafii tak powolnej, tak zmuśnej, bo tu o prędkości pisaniu nie ma mowy, trzeba było zrobić niemalą z siebie ofiarę, gdy nieraz wykonanie jakiego ogromnego manuskryptu wymagało kilkunastu lat ciągłej pracy. Mimo całej wprawy, to charakterem takim, jakim są niektóre pierwszorzędnej piękności rękopisma pisane, na dzień niewiele wierszy stanęło. Zresztą *scriba* niewolniczo przywiązany do tekstu, z którego kopiował, jeżeli był żywej wyobraźni, tém więcej czuł mozół tej pracy; jedynym polem, na którym mógł rozwinąć skrzydła swojej fantazyi, były te miniaturowe inicjały i floresy wykonywane na marginesach piórem lub farbami. W nich też rzeczywiście odbija się twórczość oryginalna tych cichych pracowników.

W wiekach średnich wszystko miało swoją legendę; miał ją i zakonny *scriba*. Nie dziw, że legendami podtrzymywała się gorliwość, osładzał trud. Taką legendę opowiadano sobie o szkockim mnichu Maryanie w Ratysbonie, mającym sławę cudownego kaligrafa, bo gdy pisał, a świecy nie stało w lichtarzu, świeciły mu trzy palce lewej ręki, jakby trzy zapalone lampy. Trzeba wiedzieć, że podobnie jak w naszych czasach, tak i w średnich wiekach często zarzucano mnichom, jakoby tylko lekką bawili się robotą, to jest pisaniem, a zarzut ten pochodził od nieznających tej sztuki, która im wydawała się zbyt lekką. Ztąd też w starych rękopisach natrafia się na wiersz, będący jakby odpowiedzią na zarzut robiony im przez ludzi orężnego rzemiosła:

Tres digiti scribunt, totum corpusque laborat.
(Trzy palce piszą, a całe ciało pracuje).

Pewny opat z XI wieku, wyborny *scriba*, zwykł był podbudzać gorliwość swoich mnichów do oddawania się przepisywaniu w ten sposób, że im opowiadał rozmaite legendy, między innymi o jednym bardzo rozpustnym i grzesznym braciszku klasztornym, który mimo wielu przywar gorszących, jedną miał cnotę, że lubił pisać, i raz z włas-

nego popędu skopiował ogromny foliał jakiegoś pobożnego traktatu. Nareszcie przyszła nań godzina śmierci; dyabli porwali duszę utrzymując, że do nich należy; ale ujeli się za nią aniołowie, i na dowód zanieśli przed sąd niebieski ów ogromny foliał jego ręką spisany; pokazało się, że każda litera zmaszała jeden z jego licznych grzechów; po obrachunku zaś brakowało tylko jednej litery, aby wszystkie jego grzechy zostały zmaszane. W skutek tego pozwolono biednej duszy wrócić do ciała, aby mogła na ziemi grzech ten odpokutować.

Scriba zakonny nigdy nie bywa czémkolwiek wynagradzany za swój trud, a najmniej zapłatą pieniężną. Pisanem skarbił on sobie Niebo, zarabiał na zbawienie duszne. Powszechnie też powtarzano:

Scriptori pro penna dentur coelestia regna.

(Pisarzowi za pióro niech dane będzie królestwo
[niebieskie].)

Uczony Alkuin za czasów Karola W. odzywa się do współczesnych przepisywaczy w tych wyrazach:

„Praca przepisywania jest dziełem wielkiej zasługi przyczyniającej się do zbawienia dusz; przeciwnie praca około roli przynosi korzyść tylko ciału.”

Wyobrażenia te walczyły przeciw uciskowi brutalnej siły, z którą łamał się Kościół wszędzie i w każdym przypadku. Dziś wzruszamy ramionami na te legendy, na te różne instytucje średniowieczne, zapominając, że tylko tym sposobem podnoszono stronę duchową, aby przez nią zatrzeć stare nawyki pogaństwa i wywalczyć miejsce cywilizacji chrześcijańskiej.

W barbarzyńskich tych wiekach ciągłych niepokoїв i zbrojnych napaści, ciężka ręka co przywykła władać orężem, niechętnie imiała się pióra, uważając pisanie za coś poniżającego, zarówno z wrzecionem lub igłą, wyłącznie zostawionemi niewieście. Potrzeba było zrobić ofiarę z miłości własnej i opinii świata, żeby oddawać się pisaniu, bo i sami mnisi, choć związani ślubami wyrzeczenia się świata, niechętnie pełnili ten obowiązek. Sama karność posłuszeństwa, zamknięcie się w murach, równie jak wielkie przykłady,

wszystko to zniewalało do pracy piórowej, kształciło wybornych kaligrafów. Najznakomitsi mężowie swojego czasu, a święci po wszystkie czasy, jak: Ambroży, Fulgencyusz, Hinkmar arcybiskup w Remi (Rheims), ludzie bardzo wysoce uczeni i pobożni, sami własną ręką przepisywali najstarsze kodeksa. Przykład taki uszlachetniał pracę pióra.

Najwspanialsze manuskrypta, najświetniej iluminowane, najczęściej niewiadomiej są ręki, gdyż przepisywacze, którzy byli oraz miniaturzystami, nie mieli zwyczaju kłaść swego nazwiska na księdze, kosztującej ich całe życie cichój pracy. Pisali oni Panu Bogu na chwałę, a bliźnim na pożytek, z tego więc powodu nie czuli się w prawie ściągania sławy na swoją osobę.

Indywidualność ich znikala w obec wielkości celu. Można jednak tu i owdzie spotkać na końcu manuskryptu, dodanych kilka wierszy własnym conceptem *scriby*. Czasem trafi się znaleźć i imię chrzestne przepisywacza, datę roku i miejsca, co niezmiernie bywa poszukiwane przez paleografów i archeologów. Najczęściej w tym dodatkowym conceptie jest gorące podziękowanie Bogu za szczęśliwe ukończenie tej zmuśnionej roboty. Zmęczony pisarz rad porównywa się do żeglarza znużonego długim kołatanem się po morzu, a zawijającego do portu. *Sicut nauta desiderat adpropinquare ad prosperum portum, ita scriptor ad ultimum versum.*

Alboż też dziękuje Chrystusowi za ukończenie książki:

Laus tibi Christe, quoniam liber explicit iste.

Inny znowu marzy, jak po pracy uczęstuje się winem:

Post scriptum librum, scriptor, pulere bibe vinum.

Inny spodziewa się nagrody i ostrzega, że kto tę książkę ukradnie, to mu ręka upadnie, a właściwie, że potępiony będzie razem z Judaszem:

Finis est vere, pretium vult scriptor habere.

Qui te furetur, cum Juda damnificetur.

Ów pełny miłości własnej sam się chwali:

Scriptorum princeps ego, nec abitura dericeps
Laus mea nec fama, qui sim, mea litera clama.

Nareszcie jakiś światowy *scriba* mówi, że chciałby mieć piękną panienkę w nagrodę za zboląłą rękę:

Dextra scriptoris careat gravitate doloris,
Detur pro penna scriptori pulcra puella.

Jeden z niemieckich kopistów Biblii prosi Boga za trud podjęty, aby mu dał kapelusz, płaszcz i kaftan, a przytém na gospodarstwo kury, koziełki, owce i wolki, kobiet wiele, dzieci mało. (Manteln und Röcke, Geisse und Bëkke, Schaffe und Rinder, viel Frauen und wenig Kinder.)

Różne te koncepta były w obiegu między skryptorami, którzy je albo powtarzali żywcem za drugimi, albo przerabiali stosownie do okoliczności. To pewna, iż póki sami zakonnicy trudnili się przepisywaniem, nie pozwalali sobie rubasznych konceptów; dopiero później nabierające pewnej oświaty mieszczaństwo dostarczyło masę świeckich skryptorów piszących za pieniądze, a ci nie dobijali się o „*coelestia regna*,” lecz o zapłatę.

W wieku XIV i XV pomnożyła się ogromnie liczba świeckich przepisywaczy, którzy nie mając dostatecznej nauki, ani sumiennosci, popełniali tyle pomyłek, że powszechne były na nich skargi uczonych. Znaleźli się też przedsiębiorcy, którzy najawszy sobie pisarków, wystawiali na urząd całe biblioteki. I tak jeden z takich przedsiębiorców, Włoch Vespesiano, mając pod ręką czterdziestu pięciu pisarków, zawarł ugodę z Kosmą Medycyuszem, że w przeciągu 22 miesięcy dostawi mu dwieście tomów manuskryptowych. Maciej Korwin utrzymywał we Florencyi ciągle czterech pisarzy do kopiowania greckich i rzymskich klasyków; budynskie te kodeksa piękne są wprawdzie na oko, ale przepelnione błędami. W ogóle późniejsze roboty nie mogą wytrzymać porównania z sumiennie dokładną i cierpliwą pracą zakonników, którą stawiano na równi z dobrym uczynkiem i modlitwą.

Pewną jest rzeczą, że kopiści, szczególnież w piętnastym wieku, kiedy papier stał się bardzo przystępnym ma-

teryalem, i kiedy pisano więcej niż przedtém, używali dla pośpiechu różnych sposobów ułatwiających, które, jak snadno przepuścić, doprowadziły do wynalezienia sztuki drukarskiej. Wynalazek ten, nie od razu, lecz w przeciągu niewielu lat, powytrącał pióra z rąk kopistów. Domyślam się, że między tą zgrają *scribów* odkrycie Guttenberga rzuciło taki sam popłoch, jak za naszych dni budowanie kolei żelaznych przeraziło wszystkich najemnych furmanów i karczmarzy przy gościńcach pozbawionych rużu.

Pióro atoli nie przestało funkcyonować tak samo jak przedtém; owszem podwoiło swą czynność, lecz nie w rękę przepisywacza, tylko w rękę autora, który pisał pośpieszenie, często niedbale, aby go tylko mógł przeczytać składcą czczonek. Stare manuskrypta nie traciły przeto na wartości; poszukiwano ich skwapliwie, kopiowano do druku, one bowiem dostarczały najlepszych kodeksów greckich i rzymskich pisarzy. Zaslugą średnich wieków, a właściwie mnichów, którzy nagromadzili te skarby i dla potomności przekazali, żył cały okres tak zwanego odrodzenia, a humaniści, co tak wysoko nosili głowę w szesnastym wieku, im zawdzięczali całą swoją wartość i wziętość. Gęsie pióro z podwojoną szybkością ślizgało się po papierze wyrabianym w znacznej ilości, a tém samém przystępnym dla kieszeni ubogiego żaka lub bakałarza, którzy, jak dziś do politykowania, tak wówczas pochopni byli do mieszania się w każdą kwestyę religijną, co chwila podnoszoną przez zaniepokojone i samopas chodzące, a reformą wittenberskiego ex-mnicha rozwyrzone umysły.— *Stylus* i woskowe tabliczki dawno już wyszły z używania; nie stało więc morderczego narzędzia, którem się do krwi kaleczono w starożytnym Rzymie. W kłótniowym wieku XVI-tym, ilekroć jaki spór literacki wszczął się między wyznawcami téj lub innéj teoryi grammatycznój lub reguły, a spory te wybuchały z szaloną namiętnością, niepodobna było z gęsiego pióra zrobić broni mogącej cieleśnie ranić nieprzyjaciela; zrobiono więc inną, raniącą, a często i zabijającą moralnie. Kłótnie między teologami, filologami, filozofami, estetykami przybrały w XVI i XVII wieku ogromne rozmiary, były prowadzone z zawziętością, jeden nie oszczędzał dru-

giego i wszystko nań walił, nietylko to co wiedział, ale i to co ślina do ust niosła. Cierpliwy papier znosił te obelgi, a druk w mnóstwie egzemplarzy rozgłaszał po świecie. Najczęściej powody sporu były błahe i nieuzasadnione. Lambin z Manuceym aż się pobili o ortografię wyrazu *consumptus*. Uczony Scaliger od ostatnich słów lżył Erazma Roterdamczyka, że ten uważał łacinę Cycerońską nie za jedyny wzór i przewodnika dla piszących w tym języku. Pellegrini dowodził, że Tasso wyższy jest nad Aryosta; zdanie to wywołało ogromną burzę między literatami włoskimi. Zaczęto poniewierać poetą, zaprzeczać mu talentu, przypisywać chęć zadania obelgi Florenczykom i t. p. Prześladowany Torkwato udał się do akademii *della Crusca* o rozsądzenie téj sprawy, — i cóż zyskał od uczonego grona? Oto wyrok, że jego *Jerozolima Wyzwolona* jest ciężką i niesmaczną kompilacją, dzikim i nierównym stylem napisaną, i niemającą ani jednéj piękności, któraby okupiła niezliczone niedostatki. Trzeba było sto lat czekać, żeby ta sama akademja cofnęła niedorzeczny wyrok i przyznała „Jerozolimie” wszystkie zalety klassycznego dzieła. Należy to do największój niezręczności pisarskiej zbyt podnosić jednych kosztem drugich, co wywołuje najczęściej reakcyę przeciw wyegzaltowanemu pisarzowi, który, jeżeli żyje, najniewinniej ściąga na siebie gromy, jak ów nieszczęśliwy Torkwato.

Nielepsza to metoda porównywać między sobą autorów, mianowicie takich, którzy nie są prostymi naśladowcami czegoś lub kogoś; bo jeżeli się porównywa, to trzeba przypuścić, że sędzia ma już swój ideał, do którego innych przymierza, czyli mówiąc dobitniej, stawia ich jak rekrutów pod miarę, nie wchodząc bynajmniej w tę okoliczność, że można nie mieć przepisanej miary, ale za to być samym sobą i mieć swoją oryginalną cechę i fizyognomię.

Rozpatrując się w rozmaitych sporach literackich, dawnych i nowych, w których się mordowano końcem piór, przekonałem się, że takowe najczęściej powstawały z przesadnych pochwał lub nagan, tych nieproszonych entuzjastów lub detraktorów, niemających innego punktu wyjścia

prócz wynajdowania różnie między ich ulubionym wzorem a tymi, którzy go nie dościgli lub inną poszli drogą. Metoda ta przypomina owe skórzane klapy na oczy, niepozwalające koniowi nie widzieć koło siebie tylko wprost.

Z tych też sporów i kłótni *de lana caprina*, jak dawniej dobrze mówiono, zwykle nie zostaje, a często i tak bywa, że potomność zapomni nawet o głównym przedmiocie sporu. Kogoż dzisiaj obchodzi ta długa literacka wrzawa z powodu dwóch sonetów do *Uranii* i do *Joba*, jaka wrzała we Francji w XVII wieku? Kto się dziś troszczy o te miernoty dwóch zapomnianych poetów: Voiture i Ben-serada? A przecież te dwa wierszyki stworzyły dwa ujadające na siebie stronnictwa: *Uranistów* i *Jobelinów*; pogodziła je dopiero jakaś naiwna panienska, która zapytana, któremu sonetowi daje pierwszeństwo? odpowiedziała, czy przez roztargnienie, czy naiwność: „Trzymam stronę Tobiasza.” — Pochwyliła to publiczność, i zaczęła śmiać się sama z siebie, że mogła roznamiętnić się dla błahéj rzeczy.

Bywały i u nas podobne spory w szesnastym i siedemnastym wieku, lubo najwięcej teologiczne; literackie wszczeły się w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta, i to nie dla czcziej szermierki o jaki błahy powód, lecz dla zgromienia zuchwałego młokosa, który zaostrzył piórko na poszarpanie sławy kilku znakomitych dam stolicy, przez co dał zły przykład, bo zaraz zaczęły się sypać brudne a niedowcipne paszkwile, obiegające z rąk do rąk.

Powstał na ten wybryk Trembecki, pod imieniem Bielawskiego ukręcił bicz, którym potężnie wychłostał sprawców skandalu. Cięcia są tak potężne, że podobno na zawsze powinnyby odjąć chętkę do szarpania cudzej sławy bezimienną potwarzą, gdyby owa choroba bawienia się cudzym kosztem nie odzywała się co czas niejaki, mianowicie w chwilach ruchów umysłowych i politycznych. Nie zawadzi przypomnienie z tego *Antidotum* choć kilku wierszy:

Co za brudne postrzegam i nieznane chmury!
Jak grad lecą paszkwile, zwłószwały Mazury!

Z czasem ci pisarkowie do tój dojdą mety,
Żeby w plecach braterskich topili sztylety...
Żaluję was smolące i ukryte żaki!
Wasza droga prowadzi na pale i haki;
Postępki macie podle i nিকেzenne dusze,
Co z was będzie na daléj? Mandryny, Kartusze!

To porównanie pióra do skrytobójczego sztyletu napiętnowało podle rzemiosło paszkwilanta. Czy zaś ten wiersz uśmierzył swawolę? nie wiem; ale że niejeden, co grzeszył piórem, musiał się zarumienić czytając go, to bardzo jest do przypuszczenia.

Były i inne jeszcze spory między poważnymi pisarzami broszur politycznych, których rozjemcą także był Trembecki, zawsze pod przybraném imieniem najlichszego z wierszokletów, pod którego się podszywa: „Wodne mam imię Józef, ojezyste Bielawski.”

Późniéj, bo już w początku naszego wieku, wszczęła się była kłótnia literacka między Stanisławem Kostką Potockim, późniejszym ministrem oświecenia, a Franciszkiem Dmochowskim, ex-Pijarem. Pierwszy strzelił do swego antagonisty wierszem pożyczonym od Trembeckiego:

Niewielka od mych razów upadnie ofiara,
Gdy końcem mego pióra zabiję Pijara.

Na to dwuwierszem odpowiedział Dmochowski:

O wartość twych talentów nie będę się spierał:
Taki z ciebie literat, jaki był generał... *)

Ten sam Dmochowski pierwéj jeszcze wszczął żwawy spór z professorami akademii krakowskiej o nowo ukute wyrazy wprowadzone do ich pism, i porządnie ich wychłostał w piśmie: *Zakus nad zaciekami wszechnicy krakowskiej*. Urażony tém Przybylski, pisarz o tyle obfity, o ile niegodziwie po polsku piszący, odpowiedział wier-

*) Alluzya do jego generalstwa artylleryi W. Ks. Litewsk.

szem pod tytułem: *Heautomastix czyli bicz na siebie samego*.

Była to pierwsza pieśń dwunasto-pieśniowego poematu, z dodatkiem treści mającej się mieścić w dalszych pieśniach. Pochwycił to Dmochowski i napisał: *Urywek kręconego bicza w Krakowie*, gdzie Przybylski figuruje jako bohater wszystkich śmieszności językowych. Tak więc wyprzedzając Przybylskiego, zakończył tę kłótnię, która zresztą, o ile zacięta, o tyle była nudna. Między innymi komplementami dociął panu Jackowi tym czterowierszem:

O ty szczęśliwy Jacku! o pisarzu tęgi!
 Głowa twoja co miesiąc może rodzić księgi;
 Lecz za to mdle twe pisma, bez sztuki, porządku,
 A grzeszą przeciw prawom gustu i rozsądku.

Te i tym podobne literackie pojedynki, ograniczały się zwykle w małym kole osób interesowanych; publiczność nie miała w nich udziału, tłum profanów nie stawał ani po jednej, ani po drugiej stronie, co było powodem, że spór się nie rozogniał, i tym samym prędko upadał. Dopiero wojna między romantykami a klasykami przybrała inny charakter, bo do niej wmieszała się publiczność. Pióra ścierały się z sobą po pismach, które skwapliwie czytano, a na języki cięto się w każdym prywatnym towarzystwie; był to bój nieustający, do którego mieszał się jaki taki, co nie miał żadnego tytułu, żeby należeć do klasyków lub romantyków; dość, że wszystkim szło o coś, z czego rzadko kto umiał sobie samemu zdać sprawę. Rzeczywiście była to walka serca z głową, uczucia z rozumem, gorączkowego zapału z zimnym rozsądkiem, polotu wyobraźni z praktyką doświadczenia.

Z tego łatwo widać miarę, jakie musiało być zażarcie między dwoma obozami, jak z jednej i drugiej strony przesywano się piórem, deptano po sobie, co nie przeszkadzało liczyć zwycięzcom mnóstwo trupów, tym szczęśliwszych od zwykłych nieboszczyków, że zmartwychwstawiali na pobojowiskach, aby bić się na nowo.

Właściwa kwestya literacka niewiele zyskała na tym sporze, ale w gimnastyce umysłowej pióra nabyły wprawy, i rozszerzył się zakres pojęć.

Słowacki odmalował nam mnicha średniowiecznego, jak z okienka swego klasztoru, „patrzac na czerwone morze” albo „na skwarne Arabów pustynie,” pisał swoją księgę i barwił początkowe słowa „purpurą, złotem, drogiemi błękity.”

Zobaczmyż, w jakim usposobieniu zabierał się do pisanja romantyk:

„Bije raz, dwa, trzy... już północna pora,
Głuche w około zacisze.
Wiatr tylko szumi po murach klasztoru,
I psów szczekanie gdzieś słyszę...”

Straszno! poeta bierze księgę i chce czytać.

„Książka znudziła, porzucam,
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam...
Ot lepiej pióro wezmę, i wśród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl płącze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy,
Zacznę, bo nie wiem czy skończę...
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli...”

Poeta szuka „pociechy nie sławy” jak sam to wyznaje. Inaczej, w inném usposobieniu, siada do pióra trzeźwego usposobienia autor. Brodziński tak nam go maluje:

Gdy rolników z plugami wywołuje zorze,
Ja, zielony stoliku, ja przy tobie orzę,
Tyś mi jedno dziedzictwo; staniesz mi za niwę,
Gdzie dziatkom chleb obmyślą, lub imię poczciwe;
Tydzień cały najemnik, ale w dzień świąteczny,
W wieczność myślą się puszczam, nad ten czas ko-
[nieczny...

A w przyspieszonym świecie zmiennego obrotie
Cichej prawdzie hołduję i starzej prostocie.

W tych dwóch portretach odmalował się romantyk i tak zwany klasyk. Patrząc na nich, zdawałoby się, że mogli stać obok siebie w najlepszej zgodzie, a jednak toczyła się długa wojna między nimi, choć obadwa jedną pełnili czynność: *orzac piórami*.

Józef Korzeniowski, ilekroć porzucał grono towarzyskie i oddawał się do pracy, zwykł był mówić: „Idę gęsią orać.”

Ale dzisiaj wyrażenie to nie miałoby znaczenia. „Gęsią nikt nie orze,” bo gęś wyemancypowała się. Gdyby kto rozumiał język ptasi, tak jak go dawniej rozumiano, a chciał podsłuchać rozmów w gęsiem stadzie, pewnieby się dowiedział ciekawych rzeczy, a przynajmniej pochwalidła naszego postępowego wieku, który odrzuciwszy pióra gęsie, nie potrzebuje ich wyrwać ze skrzydeł gęgającej rzeszy. Zaprawdę, wyrwanie to miało coś barbarzyńskiego... Jeżeli szlachcicowi wypadło pilny list pisać—szukał atramentu, ale ani kropli; kałamarz wysechł; lecz na to była niewinna rada, bo trochę wody przywracało płynność czernidłu. Z piórem większy kłopot: rozstąpi się ziemio, pióra nie ma na całym gospodarstwie. „Wyrwać z gęsi!”—rozkaz wydany, i na dziedzińcu rozlega się wrzask przeraźliwy... Pacholek przynosi pióro, cały pęk piór, wprawdzie nie hamburyzowanych, jak niegdyś mówiono, lecz za to na końcu, jakby je we krwi umaczał...

Pióro gęsie należące już do archeologii, jak *calamus* i *stylus*, zawdzięcza swoją emancypację wynalazkowi piór stalowych, który to wynalazek przypisywany jakiemś dowcipnemu mechanikowi nazwiskiem Arnoux, nie dawniej niż od czterdziestu kilku lat, wszedł w powszechne użycie. Chyba jaki dziwak, jakiś zagorzały konserwatysta, z rodzaju tych, co za nie nie wsiądą do wagonu, pisze jeszcze gęsiem piórem. Żeby przeto gorzej miał pisać, niż stalowem, nie sądzę, a nawet przypuszczam, że daleko lepiej się pisze, bo ta wstępna operacja z oskrobaniem, zacięciem

pióra, przycięciem noska, z próbowaniem czy dobre do ręki, zabierając kilka minut, uspasabia piszącego do rozwagi, kiedy pióro stalowe, byle je umaczać, od razu pisze, a często pisze lecąc bez opamiętania się, jak pociąg po szynie żelaznej. Prawda i to, że i gęsie pióro niezawsze umiało statkować, i nie było posłuszne ręce, jak np. u tego sonecisty, który wyraźnie skarży się na nieposłuszeństwo narzędzia do pisania:

Wypiłem duszą moją duszę kalamarza,
Pióro już znaków, oko łez nie roni!

Wprawdzie pretensya do biednego pióra, niechęcącego ronić znaków, czyli pisać, dziką się wydaje, kiedy poeta wypił już cały kalamarz atramentu! W tym przypadku pozostało tylko pióro maczać we własnej duszy nalanęj atramentem. Czy sobie poradził w tej trudności? historia milczy.

To jednak pewna, że stalowe pióro nie jest jeszcze ostatniem słowem; któż zaręczy, czy koniec naszego wieku nie ukoronuje się genialnym wynalazkiem drukowania od razu bez mozołu pisania? Wyobraźmy sobie coś pośredniego między kantorkiem a klawikordem. Autor ciężarny myślą, zasiada w fotelu, otwiera kantorek, a mając przed sobą rząd klawiszów różnokolorowych, przebiega po nich palcami z biegłością Liszta; cicha ta muzyka, cicha jak myśl pracująca w głowie lub sercu, bo i sam wirtuoz jój nie słyszy,—ale jakże zdumia się profani, gdy improwizującę myśli jeszcze ciepliej ujrzą od razu wydrukowaną! Owe bowiem klawisze poruszają czcionkami, które odciskają się na papierze, jak telegramy.

Dotąd pióro było pośrednikiem, rodzajem dragomana między myślą a drukarnią; odtąd obejdzie się bez pośrednictwa. Myśl ludzka od razu sama się będzie drukowała.

Cóż na to powiedzą owi zacofańcy, niepoprawni gderace, uskarżający się, że dziś żelazne pióra piszą za prędko, a drukarnie za prędko odbijają?

Niech sobie mówią co chcą, ale owęj recepcie Horacyusza, aby „dziewięć lat dusić manuskrypt,” nim się go

światu ogłosi, niepodobna przywrócić powagi. Antyk ten do najstarszej należy starożytności, i tak głęboko zapadł w ziemię, że nawet sam Schliemann dokopałby się go nie potrafił.

Dziś wszystko dzieje się prędko, jakby pędzone siłą pary; robi się prędko, ale i prędko przemija.

Starożytność lepiej umiała dbać o swoją potomność, kiedy po niej tyle pamiątek do dziś dnia zostało.

XI.

KOBIERNICTWO I POTOP ZYGMUNTA AUGUSTA.

Nigdy u nas kobiernictwo nie stało na szczeblu tój doskonałości, żeby się do sztuk pięknych policzyć mogło. Było ono zawsze ordynaryjnym wyrobem na domową potrzebę, rękodzielnią praktykowaną w pewnych okolicach lub miastach, zamieszkanym przez tatarskie lub karaïmskie osady. W doborze kolorów, we wzorach niewoluńczo powtarzających się można i dziś jeszcze dostrzedz pochodzenie ich wschodnie.

Nie mogłem przeto znaleźć dostatecznej podstawy do traktowania o kobiernictwie w całej jego rozciągłości, aby do tego ogólnego poglądu i naszą produkcję przyczepić. Choćbym bowiem podszył pod arrasy i gobeliny nasze kilimki kulikowskie lub litewskie, nie dałoby im to większego znaczenia niż mają. Atoli okoliczność ta nie usprawiedliwia obojętności dla tój pięknej sztuki wełnianych tkanin, zdobiących niegdyś ściany pałaców królewskich, tэмbardziej, gdy w tym rodzaju przechowują się jeszcze tu i owdzie cenne zabytki, a o najznakomitszych mówi nasza historia.

Czytając opis Orzechowskiego sławnych kobierców zdobiących komnaty królewskiego zamku, kobierców, za które Zygmunt August zapłacił ogromną sumę stu tysięcy dukatów, kobierców, które w pieniężnych kłopotach Rzeczy-

pospolitój, często szły w zastaw do kupców gdańskich, aby opłacić zaciężnego żołnierza... lub uśmierzyć konfederację wojskową, — zadałem sobie najprostsze w świecie pytanie: Gdzie są te kobierce, te flandryjskie szpalery? Gdzie jest ten sławny *Potop*, który dał nazwisko całemu zbiorowi? Czy zawsze ubogi skarb Rzeczypospolitej, nie mogąc wykupić zastawu, dał go za przepadłe? Czy wykupiony gdzieś się zapodział w ostatniej katastrofie Rzeczypospolitej? Jaki wreszcie los spotkał te kosztowne tkaniny, które przecież nie zniknęłyby bez śladu, tém więcej, że podobne zabytki nie traciłyby na wartości, owszem w każdym czasie umiano je wysoko cenić i poszukiwać? Muszą więc zdobić jakie zagraniczne muzeum, lub być w posiadaniu jakiego możnego amatora?

Na to znalazła się odpowiedź w dwóch wzmiankach ogólnikowych, które wprawdzie dawały wskazówkę, lubo nie dawały żadnej pewności.

Jak zaś doszedłem do odszukania Jagiellońskiego *Potopu*, opowiem w swoim miejscu; a tymczasem ze względu na te tkaniny, niepośledniego znaczenia w historii sztuki rękodzielniczej, wypada zrobić małe studyum, aby zrozumieć, jak wielką odgrywały rolę tak w najodleglejszej starożytności, jak w wiekach średnich aż do dzisiejszych gobelinów, — należały one bowiem do nieodzownych ozdób świątyn, kościołów, pałaców królewskich i pańskich mieszkań.

I.

Rękodzielnictwo tkanin wełnianych sięga najgłębszej starożytności; kobiercec był niejako pierwszym sprzętem domowym. W życiu pasterskim, które było wstępem do cywilizacji, koczujący Azyata rozbijając swój namiot na pustyni wilgotnej lub spalonej od słońca, pierwszy musiał pomyśleć jakby się uchronić od jednej lub drugiej niedogodności, — i wynalazł tkaninę z wełny, kobiercec, a ten z postępem czasu stroił się w barwy, służył nietylko na posłanie, lecz i na ozdobę. Najpewniej było to zadanie niewiasty, pilnującej namiotu i oddanej domowemu gospodarstwu.

Biblie, księgi święte hinduskie, Homer, mówią o kobercach i oponach.

Mojżesz w księdze Exodus podaje szczegółowe opisy opon zdobiących tabernaculum: „Dziesięć opon z bisioru kręconego, i z hyacyntu, i szarlatu, i z karmazynu dwakroć farbowanego z odmiennych maści robotą haftarską uczynisz.” W drugiem miejscu téjże saméj księgi, mówi: „Uczynisz zasłonę z hyacyntu i szarlatu, i z karmazynu dwakroć farbowanego, i z bisioru kręconego robotą haftarską, i piękną odmianą utkaną.” Wyraźnie jest tu mowa o tkaninach różnokolorowych (*opus polymitarium*), która to sztuka bardzo była uprawiana w Egipcie. O podobnych tkaninach natrąca kilka ustępów ksiąg Joba, a ze wszystkiego można wnosić, że kobernicy Mojżeszowi używali do swych tkanin nietylko wełny barwy purpurowéj, hyacyntowéj (czyli błękitnéj) i czerwónéj, lecz jeszcze złotych nici. Herodot w 3 księdze swojéj Historji daje wysokie wyobrażenie o tkaninach egipcjskich, gdy mówi o napierśniku podarowanym przez egipcjskiego króla Amazysa Lacedemończykom: „Napierśnik ten był z nici, ozdobny mnóstwem figur zwierząt tkanych złotem. Każda nitka tego napierśnika zasługiwała na osobliwą uwagę i podziw. Każda nitka aczkolwiek cienka, składała się z 360 nitek różniących się między sobą.” Musiało to być dzieło nadzwyczajnéj cierpliwości. W inném miejscu w księdze I (Klio) mówi o wyrobach ludów na Kaukazie: „Ludy te mają, jak słyzałem, pewne drzewo, którego liście utarte i rozpuszczone w wodzie, dostarczają im barwy do malowania na szatach figur zwierzęcych. Malowań tych nie zmywa woda, tak, jak gdyby były tkane z kolorowych nici.”

Świadczenia te i inne wskazówki posłużyły sławnemu Champolion'owi do rozpisania się nad tkaninami w starożytnym Egipcie. Powiada on, że ta obfitość tkanin i bogactwo kostiumów, jakie można widzieć na rycinach dodanych do jego dzieła, przekonywają, iż sztuka farbiarska, podobnie jak tkactwo, doszła w Egipcie do wysokiéj doskonałości. Egipt bowiem obfitował w różne barwiące substancje, w czém mógł współzawodniczyć z Tyrem, Babilo-

nem, Indyami, a rzecz dowiedziona, że tyryjscy kupcy mieli swoje zakłady w Memfisie.

Tkaniny babilońskie, raczej hafty, które starożytni zwali *malowaniem igłą*, słyęły od niepamiętnych czasów.

Świadcstwo Iliady i Odyssei wystarcza co do Grecyi. Teksta liczące po trzy tysiące lat mówią za starożytnością tkanych wyrobów. W IX pieśni Iliady wchodzimy pod namiot rozdaśanego Achilleśa pospołu z wysłanymi wodzami, którzy przychodzą gniew ten rozbroić. Achilles zaprasza ich do namiotu i sadowi na długich siedzeniach okrytych purpurowemi kobierecami.

W Odyssei (X pieśń) na pływającej wyspie Eola spotykamy się z kobierecami. Liczna rodzina tego dozorey wiatrów prowadzi żywot bardzo szczęśliwy:

W wonnych gmachach, gdzie stoły gięły się od jada
I napitku, a fletni odgłos brzmiał w przysionkach,
Tak we dnie; a zaś w nocy, mężę przy małżonkach
Śpią w łożach zaścielonych pięknemi makaty...

W piętnastej Idylli Teokryta *Syrakuzanki* spotykamy kilka wierszy malujących wspaniałe opony pałacu Ptolemeusza.

Podobnych miejsc można wiele przytoczyć z innych pisarzy greckich i łacińskich, stwierdzających tylko tę pewność, że kosztowne tkaniny używały wielkiej popularności w wiekach starożytnych i że dochodziły do cen ogromnych. Traktat przypisywany Arystotelesowi o problematach i rzeczach cudownych podaje następującą powiastkę: „Dla Alkistenesa z Sybarysu zrobiono tak przepyszną pawołokę, że osądzono ją godną ekspozycyi na uroczystości Junony-Lacyonii, ściągającej mieszkańców z całej Italii; obudziła też podziw większy niż inne przedmioty. Pawołoka ta dostała się następnie w ręce Dyonizjusza Starego, który odprzedał ją Kartagińczykom za 120 talentów czyli 300,000 zlr. Była ona barwy purpurowej, tworzyła kwadrat piętnasto-łokciowy, i od góry do dołu przedstawiała mnóstwo figur wrobionych w tkaninę. W górze były tam święte zwierzęta suzyjskie, u dołu perskie, w środku Zeus, Hera, Temis, Atene, Apollo

i Afrodyta; na dwóch rogach dwakroć był przedstawiony Alkistenes i Sybarys.”

Na nieszczęście ani w hipogeach, ani w grobach nie przechował się choćby szczątek tych tkanin kobierniczych, abyśmy mogli mieć o nich dokładne wyobrażenie. Domyślać się jednak można, że wyrób ten nie różnił się wiele od dzisiejszych wyrobów orientalnych. Do tego przypuszczenia upoważnia ta okoliczność, że ów warsztat tkacki, na którym niegdyś tkwały żony i córki patryarchów, lub kobiernicy Medyi i Babilonu, prawie nie odmienił się przez tyle wieków. Anthony Rich w swoim *Dykeyonarzu Starożytności greckich i łacińskich* podał nam rysunek tkackiego warsztatu podług wzoru znalezionej w Egipcie; jest on bardzo prosty i w zasadzie nieróżniący się od dzisiejszego. Na takim to warsztacie cała starożytność tkiała swoje kobierce, i dziś jeszcze kobiernicy na Wschodzie do swoich wybornych wyrobów używają tego samego warsztatu, jakiego używano przed trzema i czterema tysiącami lat, a co większa, sławne rękodzielnie francuzkich gobelinów wykonywają swoje areydziała w sposób tylko drobnemi poprawkami różniący się od pierwotnej fabrykacyi, którą nazwałbym heroiczną, jeżeli płody jęj opiewały poemata Homera.

Rzymianie zapewne znali od dawna kobierniczy warsztat, kiedy Owidyusz w VI księdze *Metamorfoz*, czyli *Przemian*, opisuje go tak dokładnie i ze szczegółami, jakbyśmy dziś patrzali na warsztat kobierców gobelinowych.

Jest to właśnie ten ustęp, gdzie poeta przedstawia Arachnę wyzywającą Palladę, która z nich piękniejszą wykona tkaninę. Obie zasiadają do warsztatu:

Do krosien w różnej stronie każda z nich zasiada,
I jak najcieńszą przędzę na ramę zakłada,
Brzeg kryje płótnem, postaw grzebieniem przeplata,
Wątek w ostrém czólenku samym środkiem lata,
Przez rozdzielone nici zręczna dłoń go ciska,
A karbowana płochą gęsto tkanie ścisła.
Tkają nici tyryjskim napuszczone sokiem,
A nadają odcienie niedostrzegli okiem....

...Gdzie nigdzie między nici każda złoto wszyla
I na tkance dzieł dawnych wspomnienie wskrzesiła.

Zdaje się, że rzymskie kobierce nie używały takiej sławy, żeby na nich poprzestawali zbyt krowicy czasów cesarykańskich kochający się w przepychu; z Azji bowiem sprowadzano wielkiej ceny kobierce i opony, po których zwycięzcy i ujarzmiciele świata deptali w swoich *cenaculach* i *pulvinariach*.

Najkosztowniejsze przychodziły z Frygii, nazywano je malowaniami igłą: *opus phrygium*, *acu pictum*. W steku bogactw i osobliwości złupionych przez Werresa na urządzie pretorskim, kobierce i opony niepoślednie zajmowały miejsce.

Był zwyczaj zdobić ściany pałaców cesarskich w kobierce tkane w obrazy *pictura textilis*, których dostarczała Azja, celująca artystycznością swoich wyrobów. Zwyczaj ten uszanowało chrześcijaństwo, przejmujące wiele rzeczy ze zwyczajów pogańskich, atoli napelniające je swoim duchem. Kobierce i opony przeszły na ozdobę kościołów, jak pierwsi ozdobiły mieszkania możnych kwiryków.

Cały inwentarz Anastazego, bibliotekarza rzymskiego kościoła w IX-tym wieku, daje liczny poczet rozmaitych kobierców służących do okazałości obrzędów kościelnych w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Były na nich wyrobione różne sceny z Nowego i Starego Testamentu, jak: Zwiastowanie N. Panny, Narodzenie Zbawiciela, Rzeź niewiątek, Chrzt, Rozmnożenie chlebów, Wjazd do Jerozolimy. Było tam i Ukrzyżowanie i Zmartwychwstanie, były Dzieje apostołskie, i ustępy z Żywotów Świętych, jak Św. Piotra, Jana, Marcina, lub Męczeństwo Ś. Wawrzyńca. Zapewne dzieła te wykonane były przez kobierników greckich, lub też haftowane.

Fr. Michel w dziele: *Recherches sur le commerce, la fabrication et l'usage des étoffes de soie, d'or, et d'argent* i t. d., takie w tej materii daje objaśnienie: „Znana jest powszechnie zręczność greckich rzemieślników w wyrobach tkackich i w farbierstwie. Odkąd handel i rękodzielnie założone przez Ptolemeuszów rozpowszechniły w Europie

znajomość i użycie jedwabiu, sztuka robienia tkanin przedstawiających osoby, tak się wydoskonaliła w ręku Greków (bizantyjskich), że i dziś nawet w obec naszego postępu, wyroby ich rozbudzają najżywszy podziw. Na todze jednego senatora chrześcijańskiego można było naliczyć ze sześćset figur; zręczny robotnik artysta przedstawiał w nich całe życie Chrystusa, wesele w Kanie, wskrzeszenie Łazarza i inne cuda.”

Tak więc docierając aż do źródła najdawniejszego społeczeństwa, spotykamy się tam z początkami téj sztuki, i widzimy, jak ona przechodziła z ludu do ludu, gdzie się rozwijała odpowiednio do przyrodzonych zdolności i do materyału, jakim lud mógł rozporządzać. Kościół chrześcijański użył tych tkanin do swoich ozdób, i przez nie, jak przez wszystko, czego się dotknął, szerzył bozkie słowo Ewangelii. Rzym dał w tém pierwszy przykład, naśladowany w całym chrześcijaństwie. Papięże zaraz od początku zdobili rzymskie bazyliki kunsztownie tkanemi kobiercami, a ten zwyczaj utrzymywał się tak w ciągu średnich wieków, jak w epoce odrodzenia za Leona X, aż do najnowszych czasów. Wielkie gotyckie katedry, bogate opactwa, klasztory, ubiegały się na wzór Stolicy Świętej o te przepyszne tkaniny, aby je rozwieszać na ścianach; niemniej były one przedmiotem współubiegania się między monarszemi dworami i zamkami możnych panów, które tak przyozdabiano w kobierce i makaty, jak dziś w malowidła.

Rzeczywiście, sztuka kobiernicza jest bardzo ważną gałęzią sztuk pięknych, jeżeli ją porównamy z witrażami i malowaniem ścienném, przewyższa je bowiem niekiedy wspaniałością efektu.

Karol Blanc w uczonej swéj pracy o sztuce dekoracyjnej tak mówi o zdobieniu mieszkań pańskich w wiekach średnich: „Nasi przodkowie z owych czasów żyli w świecie poctyczniejszym i więcej zajmującym niż nasz dzisiejszy. Pełni poezyi, byli poctami w architekturze wyrażającej uczucia religijne i rycerskie, byli nimi w malowidłach szyb kolorowych, niedopuszczających białego światła, aby się kąpać w atmosferze barw tęczyowych. Takież usposobienie kazało im lubować się w kobiercach

i oponach, które rozwieszali na ścianach, lub z których robili przepierzenia tworzące małe alkowy sprzyjające poufnej pogadance. Opony te miały charakter tajemniczy. Intrygi miłosne, tajemnice stanu, spiski, niespodzianki, skryte przemyki—wszystko to w tych wiekach rycerskich, nieustannych wojen, podstępów, kryło się pod temi ciężkimi oponami, które właściwie zastępowały ściany i drzwi, tém się różniące od dzisiejszych, że często miały uszy i oczy. Starożytność jak i średnie wieki lubowała się w tych kobierniczych oponach. Aleksander W. kazał wziąć na tortury Filotesa obwinionego o udział w spisku: a sam skryty za oponą podsłuchuje co obwiniony mówi. Agrypina także schowana za oponą obecna jest rozprawom senatu, w Szekspirze Poloniusz słucha z po za opony rozmowy między Hamletem a królową matką,—i ginie tragiczną śmiercią...

Kobiernictwo, mając tak szerokie zastosowanie do potrzeb i wygod średnich wieków, było jednem z najbardziej kwitnących, a oraz używających wielkich przywilejów i wolności rękodziel. Nietylko całe miasta, ale i prowincye oddawały się temu rodzajowi wyrobu. Francya, a mianowicie Flandrya, nietylko rywalizowała ze Wschodem, ale go prześcignęła daleko, głównie w tak zwanych kobiercach historycznych.

II.

Zebrane z różnych wzmianek w autorach, niemniej z inwentarzów klasztornych, archiwalnych dokumentów królewskich zapiski dają tę pewność, że sztuka tkanin wełnianych ciągle utrzymywała się od pierwszych wieków chrześcijaństwa przedewszystkiem, a może jedynie po klasztorach Zachodu, gdzie wyrabiano tkaniny służące do ozdoby świątyń Pańskich.

Industria ta nabrała jednak większej rozciągłości od czasu jak Karol Martel w początku ósmego wieku rozbił najazd Saracenów, a rozproszeni z tego pogromu, długo tułając się po kraju, zaczęli w niektórych stronach stale osiadać i brać się do kobiernictwa; wyroby ich wzięły ztąd nazwę saraceńskich. Nigdzie jednak nie powiedziano

gdzie ci rękodzielnicy osiedli, i jakiego rodzaju były ich wyroby. Mimo tego w statutach korporacyj kobierniczych długo przechowała się nazwa kobierców saraceńskich.

Biorąc na uwagę mnóstwo świadectw mniej więcej dokładnych, wnosimy, że kolebką sztuki kobierniczej, bo jeszcze za rzymskich czasów miało mieć sławę ze swoich tkanin, było miasto flamandzkie Arras. *Vestes Atrebaticeae* były poszukiwane i wysoko cenione przez Rzymian, którzy mieszkańcom dali przydomek *Aranearii*, zapewne przez porównanie z mitologiczną Arachną, która w swą sztukę rywalizowała z Minerwą. Wszakże dopiero po pierwszej krucjacie, kiedy rycerze Flandryi i Artyzji poprzywozili z sobą kobierce tkane w Bizancyum lub Smyrnie, zaczęto na ten sposób wyrabiać je w Arrasie, i prędko prześcignięto Lewantyków. Podług wszelkiego podobieństwa ci sami krzyżowce, co powracali ze Wschodu, przynieśli z sobą zamiłowanie w ozdabianiu mieszkań kobiercami i oponami, czego nauczyli się od Greków i Saracenów, do dziś jeszcze przechowujących ten zwyczaj.

Sposób wyrabiania tych tkanin bywał rozmaity. Otrzymywano je już to wybijając wzory kolorowe na gotowej, jednej barwy tkaninie, i wtedy nie była to opona tkana, lecz właściwie *malowanka*, mówiąc wyrazem używanym u gminu. Podobne figury lub wzory wykonywano jeszcze wyszywając je igłą i dobierając stosownych kolorów włóczki lub jedwabiu, i niemi zapelniając drobne kratki, kanwy lub płótna. Ten rodzaj dziś wszystkim jest znany, jak był znany w starożytności, która go nazywała *malowaniem igłą!*

Sławne kobierce miasta Bayeux, przedstawiające za wojowanie Anglii w r. 1066, są najslawniejszym pomnikiem haftarskim. Są one dziełem Matyldy, córki króla francuzkiego Henryka I, żony cesarza Henryka V, a następnie Godfreda Plantageneta, która z pomocą dam swego dworu miała dokonać téj olbrzymiej roboty mającej 214 stop długości a 18 cali wysokości. Fryza ta dostarczyła wiele ważnych szczegółów znanemu historykowi Augustynowi Thierryemu.

Robiono także kobierce z różnych skrawków materyi, które wycinano i zszywano z sobą, tworząc tym sposobem

mozaikę, twarze zaś i ręce i inne delikatniejsze części zastępowano malowaniem, lub je haftowano włóczkami i jedwabiem.

Ostatni, najdoskonalszy sposób należący do właściwego kobiernictwa, na tém zależy, że czy to postaci ludzkie, czy inne przedmioty naśladowujące naturę, wrobione są w tkaninę, tak iż przedstawiony obraz jest oraz kobiercem. W tym ostatnim rodzaju wyrobu słynęła Flandrya, a mianowicie miasto Arras, od którego wyrabiane tam kobierce i opony głośne i poszukiwane w całym świecie, przyjęły nazwę *arrasoir*.

Warsztaty kobiernicze zwane *haute-lisse*, tém się różnią od zwanych *basse-lisse*, że w pierwszych postawa naciągnięta jest prostopadle, a w drugich horyzontalnie; te ostatnie podobne są do krosien. Opisywanie szczegółowe konstrukcyi warsztatu, na którym dziane są kobierce, natrafia na tę trudność, że nam brak terminologii kobierczej, z tej zapewne przyczyny, że ten rodzaj rękodzielnictwa nie kwitnął u nas, a jeżeli były podobne rękodzieła, to znikły, a z nimi i odpowiedni język.

Chcąc mieć jakie takie wyobrażenie o wspaniałości arrasów w epoce, kiedy wyroby te doszły do największej świetności, trzeba je sobie przedstawić, jak za pomocą włóczek różnobarwnych, nici jedwabnych, złotych i srebrnych, produkowały te same kształty, te same tła złociste i kolory, tylko świeższe i bogatsze, niż te, co dziś podziwiamy w staroświeckich tryptykach, malowaniach ściennych i na kartach pergaminowych manuskryptów. Na tkaninach tych przychodzą te same tła złote, tylko świetniejsze; te same barwy co w krajobrazach lub szatach, z tą jednak różnicą, że zielone kolory pejzażów są żywe i w różnych odcieniach; a szaty są utkane z tych samych nici co rzeczywiste. Ciało równie traktowane jakby na malowidle, a wszystko, aż do wielkości naturalnej figur, przedstawia uderzającą okazałość sceny. Tkaniny te noszą charakter wielkiego malarstwa, z powodu swojej rozciągłości pozwalającej oddawać długi szereg zdarzeń historycznych lub allegorycznych, i to bez żadnej przerwy przeciętej ramami. Nic dziwnego, że o te monumentalne tkaniny ubiegano się, aby

zdobić niemi monarsze pałace, zamki baronów, bogate opactwa i katedry.

Jak już mówiliśmy, wzorów do kobierców arraskich w średnich wiekach dostarczały po większej części miniatury manuskryptów, które nieznani dziś malarze rysowali na kartonach na tę skalę, na jaką miał być wykonany kobierzec. Najwięcej w wieku XIV i XV czerpano przedmioty do tych tkanin z Pisma Świętego, z powieści rycerskich (*fabliaux*) i moralnych allegoryj (*moralités*), głośnych w swoim czasie; atoli wyrabiano i wizerunki osób panujących i dostojników duchownych; wyrabiano także pejzaże, drzewa, kwiaty, i te znane u nas były pod nazwą szpalerów (*verdures*). Jeszcze dodać można tę uwagę do ogólnej charakterystyki arrasów, że te, które wyrabiano do drugiej połowy piętnastego wieku, miały zazwyczaj tło złote, lub z zielonych liści i drobnych kwiateczków. Na takim tle rysowały się figury i zwierzęta.

III.

Zdawało się, że stan kwitnący tkanin kobierniczych, a przynajmniej korporacyj kobierników i tkaczy, które zatrudniały przy warsztatach prawie trzecią część ludności tych prowincyj, skończył się ze śmiercią Karola Zuchwałego i upadkiem burgundzkiego domu. Historia opowiada okropności, jakie się działy we Flandrach, kiedy Ludwik XI król francuzki, od dawna czyhający na tę bogatą zdobycz, zajął miasto Arras, osadził załogę francuzką, a kobiernicy i tkacze od dawna zaprawieni do rozruchów, dali hasło do wypędzenia załogi, w skutek czego nastąpiła okropna zemsta: jednych wymordowano, drugich rozpedzono, a miastu odebrano starą jego nazwę, przemieniając na *Franchisse*. Atoli żywotność tych przemysłowych i pracowitych Flamanów była tak niepokonana, że pomimo klęsk ogromnych warsztaty jak pierwój, tak i później nie przestały produkować. Sam zwycięzca uszanował przemysł i pracę tego ludu, i znowu zaczął naprawiać co zepsuł w pierwszym porywie zemsty.

Wszystko wróciło do dawnego porządku, a sam koniec XV i początek XVI wieku zajaśniał tkaninami arras-kiemi i brukselskiemi, które pod opieką książąt z domu austriackiego, stanowią jakby nową epokę w tém rękodzielnictwie; zaczęto bowiem także kobierce i opony podług wzorów i kartonów najslawniejszych malarzy flamandzkich i włoskich, przez co nabrały wartości artystycznej, gdy dotąd miały tylko dekoracyjną i archeologiczną.

O tkaninach z tego czasu, kiedy wpływ rozbudzonego malarstwa nadał im nową świetność i wartość, powiada znakomity znawca sztuki p. Witet, zastanawiając się nad kobiercem wystawiającym turnieje, a odkrytym w roku 1830 w Valenciennes.

„Mało obrazów, mówi on, zrobiło na mnie takie wrażenie, bądź siłą kolorytu, bądź łagodnie spływających się z sobą cieniowań, bądź czystością i szczerością rysunku, bądź nakoniec śmiałością i ciepłem całej kompozycyi, jak ta tkanina.”

Polegając na zdaniu tak znakomitego znawcy, widzimy, jak wielki skok zrobiło kobernictwo wieków średnich przez udział znakomych artystów epoki odrodzenia, których dzieła brano za wzór, a radom dawano ucha. Nowe wyroby mające charakter pięknych malowideł, mocno różniły się od owych wzorzystych kobierców i opon, jakie zdobiły w wiekach średnich kościoły i komnaty zamków. Zwykle na nich figury podobne były do grubego rysunku o czarnym konturze, jakby wyciętego i przyklejonego na tle zieleni liściastej, lub kwiecistej, tak, iż trudno było zrozumieć, co jaka scena wyraża bez napisów na wstęgach idących z ust, lub umieszczonych pod spodem. Zgoła pod względem artystycznym dawne kobierce stały nadzwyczaj nisko, dopiero pod sam koniec XV wieku a początek XVI, malarze flamandzcy zaprawni na wielkich dziełach dekoracyjnych, wtajemniczeni przytém w sposoby tkanin kobierciczych nadali nowy rozwój téj przemysłowi, która biorąc natchnienie z takich wzorów jak Leonarda da Vinci, Rafała, Jana z Udiny, Juliusza Romana, a poddając się takim kierownikom jak Van Orley, Coxius, Piotr Campana, licząc nareszcie takich opiekunów, jak Papież Leon X, Juliusz II,

Franciszek I, Karol V i Medyceusze, wydawać zaczęła arcydzieła, które do monumentalnych dzieł sztuki są policzone.

Najsławniejszym pomnikiem sztuki kobierniczej są te przepyszne arrasy, które Leon X kazał wykonać podług kartonów Rafaela, a dwóm jego zdolnym ucznióm, Van Orley'owi i Michałowi Coxius'owi, polecane było kierować robotą kobierników arraskich. Kartony te wykonał Rafael w r. 1515 i 1516; posłano je do Flandryi, do Arrasu, aby tam wykonano w tkaninie z włóczki, jedwabiu i złota, owe, jak zowią we Włoszech, *Arrazi*, albo *Panni di russia*. Paris de Grassis, papieżki mistrz ceremonii, podaje o nich wiadomość w swoim dzienniku i pisze pod r. 1519: „W dzień Św. Stefana kazał Ojciec Św. zawiesić nowe *arrazi* nader piękne, kosztowne, na których widok osłupieli wszyscy w kaplicy (Sykstyńskiej), albowiem zdaniem wszystkich, co tam byli, są to dzieła, jakich w świecie nie ma piękniejszych i niezmierniej wartości, bo kosztujące po dwa tysiące czerwonych złotych w złocie (*).” Wszystkie 20 sztuk ceniono na 40 tysięcy skudów; Vasari zaś cenil na 70 tysięcy skudów.

Parsavant, wielki znawca i biograf Rafaela, takie zdanie daje o tych kompozycyach mistrza z Urbina: „W kartonach tych znajdujemy Goetta plastyczną wielkość, połączoną z rzadkiem wykończeniem szczegółów, czém się odznaczała sztuka włoska na początku XVI wieku. Czystość smaku nabytego przez studyowanie antyku, łączy się tu z wyższém, właściwém sztuce chrześciańskiej życiem duchowém. Żaden mistrz nie wszedł od niego głębięj w tajemnicę ducha i prawdy życia; żaden wyżej nie wznosił się moralną potęgą, ani też tak porywającą dramatycznością w przedstawieniu, jak Rafael w obrazach z dziejów apostołskich przez to połączenie najwyższych wymagań sztuki. Słusznie kompozycye te uważane są za nierównie wyższe

(*) In die S. Stephani jussit Papa appendi suos pannos di russia novos, pulcherrimos, pretiosos, de quibus tota capella stupefacta est in aspectu illorum, quia, ut fuit universale judicium, sunt res, qua non est aliquid in orbe nunc pulchrius, et nunquodque pretium est volaris duorum milium ducatorum auri in auro.

od wszelkich obrazów przedstawiających sceny czysto historyczne." Jakkolwiek sławne są te obicia, niemniej największą ich sławę zrobiły kartony Rafaela, które w liczbie siedmiu sztuk znajdują się dziś w Anglii w zamku Hampton-Court.

Opony rafaeliczne przechodziły przez burzliwe koleje wojen i rewolucyj. W niewiele lat po ich zawieszeniu w Sykstyńnię konnetabl Burbon w roku 1527 napadł i złupił Rzym, a jego bandy zacieężnych Niemców zrabowały te kosztowne arcydzieła sztuki kobierniczój. Później, bo w r. 1555, odkupił je Juliusz III od konnetabla Montmorencego; atoli skradzione znowu w r. 1789, dostały się w ręce Żydów, którzy jedną sztukę przetopili na złoto; a inne przedali kupcom geneueńskim, od których Ojciec Św. Pius VII odkupił pozostałe opony w r. 1808.

Podług kartonów Rafaela, robiono jeszcze kilkakrotnie arrasy, jak to można się przekonać z opon znajdujących się po muzeach. Pan Viardot w dziele swojém o muzeach w Anglii zwraca uwagę na ten interesujący przedmiot i powiada, że liczba tych reprodukeyj nie musiała być znaczną z powodu, że gdzieżby się podziały te drogocenne zabytki, które nie mogły przepaść jak kamień w wodę?... Jakoż oprócz watykańskich znajdują się rafaeliczne arrasy w dwóch stolicach, to jest w Dreźnie i Berlinie. W pierwszej tój stolicy jest sześć sztuk wykonanych podług kartonów Rafaela, a w drugiej dziewięć.

Wspomina jeszcze Felibien (*), że katedra w Chartres miała dziesięć arrasów, które zginęły; miały one 40 łokci długości i były niegdyś wykonane we Flandrach podług rysunków Rafaela.

Jeszcze przeszło cały wiek sływał Arras, a w ogóle Flandrya, wyrobami kobierców. Do podniesienia tój industryi przyczynił się udział, jaki w niej brali znakomici malarze niderlandzcy i włoscy, którzy dostarczali kartonów; a niemniej cesarz Karol V, który odziedziczywszy hrabstwo

(*) Entretiens sur les vies et les ouvrages de plus excellents peintres anciens et modernes. (1666—1688).

Flandryi osobiwą opieką otaczał kobiernictwo, już to nagradzając hojnie malarzy dostarczających modelów, już wydając rozporządzenia i statuta zaprowadzające ścisły dozór i porządek między cechami i korporacyami kobierników. Wszakże królowie francuzey, zacząwszy od Franciszka I, nie przestawali współzawodniczyć z Flandryą; na wielu miejscach powstały manufaktury królewskie hojnie opatrywane i protegowane, co ściągało zdatnych rękodzielników z Flandryi.

Mimo tych usiłowań, dopiero za Ludwika XIV, mianowicie za ministeryum Colbert'a, powstała sławna na cały świat fabryka Gobelinów, która przez użycie najbieglejszych robotników sprowadzonych z Flandryi, przez zachętę i zapomogi rządowe, a głównie przez wpływ znakomitych malarzy, wyciskających pieczęć swego talentu na tych wyrobach, niebawem doszła do tój doskonałości, że nigdzie nie odważono się współzawodniczyć z jój produkcyami.

Geniusz uniwersalny Lebrun'a, królewskiego malarza, dokazywał cudów, wsparty dzielną pomocą znakomitych artystów powołanych do tój manufaktury „Gobelinois.” I tak Van der Meulen miał wydział bitew, koni, kostiumu; Jan Chrzyciel Monnoyer, kwiatów; Nikazy Bernaert zwierząt. Oprócz tego w pałacu Gobelinów otworzono szkołę. Blizko stu uczniów ćwiczyło się w swoim rzemiośle, pobierając naukę od mistrzów w rysunku i modelowaniu.

P. Lacordaire w wyborńm dziele o zakładzie Gobelinów takie daje zdanie o pierwszych tkaninach, jakie wyszły z tój rękodzielni: „Nietyle liczbą tkanin odznaczał się ten zakład, ile rzeczywistym postępowaniem dokonanym tak w kompozycyi, jak w sposobie wyrabiania tapetów. Stanowczo twierdzą, jako żadna, nawet z późniejszych epok, nie przewyższyła czasów Ludwika XIV w wyborze i kompozycyi wzorów, co ma zawdzięczać wyborńemu zarządowi tój manufaktury, a głównie malarzom kierującym robotami. To pewna, że ówczesni kobiernicy bynajmniej nie prześcignęli swoich poprzedników, szli bowiem za tradycyą swojój sztuki i znali te same sposoby, — jeden tylko wpływ i kierunek artystyczny sprawił to, że tak zwane gobeliny prze-

wyższyły wszystko, czego dotąd mogła dokazać sztuka kobiernicza.⁷

Później ubiegano się o to, aby w tkaninach gobelinowych naśladować obrazy wielkich mistrzów malarstwa; kierunek ten chybił celu, bo co innego jest tkanina, a co innego malowidło. I najgenialniejszy kobiernik, choćby miał na zawołanie najobszerniejszą skalę kolorów i ich odieni, nie jest w stanie oddać tego delikatnego wyrazu, jakim telnie obraz ręki mistrza, wykonany środkami, których kobiernik nie posiada. Pozostaje mu tylko włóczką i jedwabiem tłómaczyć obrazy dekoracyjne, tém więciej że kobiernictwo będąc z natury swojej sztuką dekoracyjną, do zrównania się z malarstwem nie może mieć pretensyi.

Jest to zasada dla wszystkich sztuk w szczególności, że każda powinna znać siebie i ściśle się trzymać tego zakresu, przekraczanie bowiem téj delikatnej granicy, dzielącej kunszt od sztuki, zawsze wpływa na niekorzyść produkcji.

IV.

Krótki ten rzut oka na dzieje kobiernictwa od najdawniejszych do najnowszych czasów, aczkolwiek ten rodzaj rękodzielnictwa nie znajduje u nas bezpośredniego zastosowania, jednakowoż nie może być obojętny: raz, że żyjemy w epoce, która ożywiła się wielkim interesem dla sztuki, a mianowicie dla sztuki zastosowanej do rękodzieli; podругie, że posiadaliśmy niegdyś ogromne skarby w wyrobach tego rodzaju, to jest oponach flandryjskich, szpalerach, matakach, arrasach, które zdobiły komnaty zamku na Wawelu, a później z przeniesieniem stolicy, zamku królewskiego w Warszawie.

Był to sprzęt monarszej okazałości, nabyty przez Zygmunta Augusta, który po matce swojej Włosce odziedziczył zamiłowanie do rzeczy pięknych i kosztownych, tak, iż skarbiec jego, zdaniem tych, co go oglądali, należał do najbogatszych co też i testament potwierdza.

Na pierwszy opis tych opon (cortinae) natrafiamy w rzadkiej dziś broszurze sławnego i ruchliwego publicysty XVI wieku Stanisława Orzechowskiego, której tytuł: *Panegyricus nuptiarum Sigismundi Augusti Poloniae Regis. Cracoviae, Lazarus Andreae excudebat MDLIII*. Jest to panegyryk na wesele Zygmunta Augusta z Katarzyną Austriaczką, siostrą pierwszej jego żony Elżbiety, drukowany w r. 1553. Broszura ta miała troje wydań z różnemi odmianami i dodatkami, które wszakże mniej dziś mają dla nas wagi niż zawarty w niej opis szczegółowy tych opon, jakie zdobiły komnaty królewskie przystrojone na tę wielką uroczystość weselną.

Opis ten, jako dokument współczesny, jedynym jest przewodnikiem mogącym na ślad naprowadzić w odszukaniu tych monumentalnych zabytków, które zniknęły. Opis w tłumaczeniu z łacińskiego, brzmi jak następuje, idąc porządkiem komnat:

„Po wieczerzy i tańcach, pisze Orzechowski, udano się wewnątrz komnat, aż gdzie była łożnica. U niewielu monarchów widzieć można bogactwo i wspaniałość okrywających ściany szpalerów. W tych tu pierwsze z Pisma Św. przygody igłą, jak gdyby pendzlem wyrażone były. Najprzód, początek bycia i klęsk naszych. Adam i Ewa na tle złotem stali, jak gdyby żyjący wyrażeni. A że cała ich historia dziwną sztuką i dowcipem wyrobiona tam była, żebyś i talent artysty, gust i wspaniałość króla naszego poznał, dokładnie wszystkie tu kreślę.

„Pierwsza opona szpalerów, u głowy małżeńskiego łoża wyrażała szczęśliwość pierwszych rodziców naszych, którzy że niewinni, nie widzieli się być nagimi, każda płeć odmalowana igłą ze wszystkimi wdziękami swemi.

„Na drugiej oponie widziałeś zakazaną jabłoń, tam i obłudę węża, i ciekawość Ewy, i grzech Adama zdawały się przemawiać.

Trzecia wyrażała nędzne wygnanie z raj u Adama, trwożę Ewy, zapalczywość zagniewanego Boga; to wszystko wyrażone było w najpiękniejszych odcieniach.

„W czwartej, żal i boleść rodziców naszych. Nieszczęśliwy Adam okryty skórą, wypędzony z raj u, ziemię lemie-

szem rozdzierał, Ewa zaś upokorzona z dwoma niemowlętami u łona, około ubogięj krzątała się lepianki; nad lepianką i koło Ewy nieznane ptactwo latało, jak gdyby się natrzęsając z wygnańców i wyrzucając im grzech ich.

„W piątęj, przyjemna Bogu ofiara Abla, Kain z zawiści i gniewu kasający swą rękę.

„W szóstęj rzucający się bezbożny Kain na brata Abla, lewą ręką porywa go za włosy, prawą podnosi szczękę końską, już gotów śmierć zadać; tuś widział wściekle oczy zabójcy, twarz rozognioną, najeżone włosy; rzekłbyś, że wszystkie miały nim jędze.

„W siódmęj, z otwartego nieba spozierał Bóg zagniewany; leżał broczący w posoce trup Abla, naprzeciw zbierający się do ucieczki Kain, rozpacz i zemsta w postaci kobiet ścigają zabójcę.

„Ósma wyrażała zbrodnicze niegodziwego Kaina potomstwo. Ci porywali niewinne dziewice, inni gwałcili małżonki, owi najeżdżali miasta, zabierali cudze własności; wszędy gwałt, zabójstwa, godne ojca takiego czyny.

„W dziewiętęj widziano Boga, mściciela zbrodni tych, przechadzającego się z Noem, zapowiadającego mu potop, który miał występne plemię wygubić. Tu wszystkie figury zdawało się mówiące prawie były.

„Takie były sypialnego pokoju szpalery. Żebyśmy zaś wierny opis podali tym, którzy tam przytomni nie byli, lub przez uszanowanie wniść do komnat tych nie śmieli, przydam resztę do historyi Noego, a chcąc to uczynić, muszę was na chwilę z sypialni królewskiej wywieść; wkrótce do nięj powrócinę.

„W średnim pokoju równie bogate i kunsztowne szpalery wyrażały rozmowę Mojżesza z Faraonem, przejście onego przez morze Czerwone, danie 10 tablic i wojnę z Amalachitami; wszystko wyszywane barwistym jedwabiem, złotem i srebrem.

„W sali, poprzedzającej przedpokój do sypialni, widziałeś Wszechnocnego, dającego Noemu przepisy względem budowania korabiu.

W drugim pokoju szpalery przedstawiały budowę korabiu tak wiernie, iż zdawało się, żeś słyszał młoty kowalów i uderzenia siekier ciesielskich.

„W trzecim Noe zgromadził do korabiu rozmaite zwierzęta, żywność dla nich, i sam ze swoimi zamykał się w niej.

„W czwartym widziałeś otwarte okna niebios, lejące się deszcze, powódzie z piorunami i grzmotami, przerażającymi trwogą, obalającymi na ziemię bezbożne plemię Kaina; jedni czepiali się drzew, wychodzących jeszcze nad wody; inni wdzierali się na wyniosłe skały, wszędy trwoga, okropne zamieszanie przerażały oczy patrzących.

„W piątym już ukojone morze i opadłe wody, bite ofiary, wznoszące się z ołtarzów płomienie, nakoniec ublagane Bóstwo.

„W szpalerach tych zadziwiającą sztuką wyrażone były trupy potopionych ludzi, już zmiękłe i gnijące. Nie bardzoż przerażającego ręka ludzka utworzyć nie mogła.

„W szóstej komnacie dziękował Noe Najwyższemu; jaśniała tęcza na niebie, znak obietnic bożkich.

„Takie były te, sztuką i bogactwem nieporównane szpalery.”

Z opisu Orzechowskiego widzimy, że wyliczone tu arasy przedstawiały sceny wzięte ze Starego Testamentu, mianowicie z księgi Rodzaju. Zachwycenie autora mogło być rzeczywiste na widok tych wspaniałych, złotem i żywością kolorów chwytających oczy opon flandryjskich, gdy o nich mówi: „że igłą jak gdyby pendzlem wyrażone były” (textu de picti).

Najżywszemi farbami maluje obraz *Potopu*, który na nim największe musiał zrobić wrażenie: „Jedni czepiali się drzew wychodzących jeszcze nad wody; inni wdzierali się na wyniosłe skały, — wszędy trwoga, okropne zamieszanie przerażały oczy patrzących.”

Zdaje się, że od silnego wrażenia, jakie ten obraz sprawiał, cały szereg tych opon otrzymał ogólną nazwę *Potopu*. Odtąd w różnych okolicznościach i pismach publicznych, gdy przyjdzie wzmianka o tych oponach, czytamy: *Potop Zygmunta Augusta*.

Lubo niewiadomo na czém opiera się tradycya, że król Zygmunt August zapłacił za te opony 100 tysięcy dukatów, a zatem o wiele większą summę niż Papież Leon X za arrasy tkane podług kartonów Rafaela, — zawsze trzeba przyjąć ten pewnik, że musiały kosztować ogromne pieniądze, kiedy będąc własnością skarbu Rzeczypospolitej, często zastawiane były w chwilach krytycznych, jak na prowadzenie wojny lub uśmierzenie żołnierskiego rokосу.

Dwór polski, podobnie jak inne monarsze dwory w owych wiekach, wiele dbał o okazałość, nietylko w klejnotach, szatach, rzędach i powozach, lecz i w przyozdobieniu komnat pańskich, do czego głównie służyły kobierne wyroby, szczególnieij flandryjskie. Ztąd też w naszym języku przechowały się nazwy: opon flanderskich, szpalierów, rac (panni di russia). Niewątpliwie królowie nasi, głównie z Jagiellońskiego domu, otrzymywali bądź darem od monarchów, bądź sami nabywali te sławne opony arraskie, które w wiekach średnich należały do koniecznych ozdób mieszkań królewskich. Gdy ściennych malowań nie używano, z powodu rzadkości biegłych w sztuce dekoracyjnej malarzy, i zresztą że to nie było w ówczesnym obyczaju, zawieszano kobierce na ścianach; wyściełano niemi podłogę, robiono z nich osobne gabinecciki; one zastępowały miejsce drzwi między jedną komnatą a drugą; one, gdy nie znano stołków wyściełanych włosiem, lub jak dziś na sprężynach, służyły do nakrycia ławek, stołów, łoża i t. p.

Jednym słowem, kobierce należał do najglówniejszego sprzętu. Dość zajrzeć w stare inwentarze zamków królewskich, książęcych we Francyi, lub rejestra wydatków dworskich, aby się przekonać, jaka obfitość była tych tkanin, i jak ogromne wydawano na nie summy. Najciekawszym w tym względzie był dwór Karola Zuchwałego księcia burgundzkiego. Pan ten o ile zuchwał, o tyle nieroztropny, kochał się w przepychu, i z takim bogatym taborem miał zwyczaj ciągnąć na wojnę, nie przypuszczając, że jój wypadek niezawsze może być pomyślny. W ogóle w owych wiekach, kiedy wojny nie kończyły się tak prędko jak za dni naszych, zabierano z sobą do obozów nietylko sprzęt do wygody służący, lecz i kosztowności w szatach i klejno-

tach. Otoż w trzech miejscach pamiętnych krwawemi bitwami w ostatniej połowie XV wieku rozsypały się te sławne skarby Karola Zuchwałego, to jest pod Grandsonem, Moratem i Nancy, które dostały się łupem wojennym chłopom szwajcarskim i Lotaryńczykom. Pod Grandsonem biedne chłopstwo szwajcarskie kiedy rozerwało obóz burgundzki i chwyciło łupy bogate, nie znając ich wartości, sprzedawało je za byle co. Ogromny dyament, który książę nosił na szyi, który niegdyś zdobył koronę Wielkiego Mogoła, a był największym w chrześcijaństwie, dostał się za talara jakiemuś wiejskiemu plebanowi; od tego przechodząc z rąk do rąk, coraz drożej płacony, zdobi dziś tyarę papieżką. Były jeszcze inne dwa sławne dyamenty, co podobnej doznały kolei; z tych jeden należy do domu rakuskiego, drugi znany pod imieniem *Sanci*, stał się własnością rodziny Demidowów.

Leż historyja tych klejnotów mniej nas tu obchodzi; więcej nierównie łup artystyczny, owe przepyszne makaty jedwabne i aksamitne haftowane perłami, owe sznury i kutasy kręcone z nici złotych, które utrzymywały namiot królewski, owe złotogłowy i adamaszki, owe koronki flandryjskie, a nadewszystko arrasy, które tam znalazły się w niesłychanej obfitości, a przy podziale między zwyciężkich Szwajcarów pocięte były na łokcie, jak zwyczajne płótno.

Dokoła królewskiego namiotu gorejącego od purpury i złota, stało czterysta innych namiotów należących do dworu i przedniejszych panów. Można sobie wyobrazić czego tam nie zdobyto, nietylko w klejnotach będących dziś ozdobą monarszych skarbców, lecz i artystycznych dzieł złotniczej sztuki jak relikwiarze, posągi apostołów lane ze srebra, ołtarz z kryształu skalnego, aż do książki do nabożeństwa w przepysznej oprawie. W drugiej, równie nie-szczęśliwej bitwie nad jeziorem Moratem (1476) obóz Karola Burgundzkiego znowu się dostał w ręce zwyciężkich Szwajcarów. Już w nim nie było tych bogactw, co w obozie pod Grandsonem, ale zawsze ogromna zdobycz w arrasach, zbrojach misterniej roboty, namiotach i t. p.

Pod Nancy zaszła trzecia katastrofa, która skończyła się śmiercią Karola Zuchwałego.

Z tego to źródła wzbogaciły się kościoły szwajcarskie przepyszniemi oponami. Szczególniej katedra berneńska dotąd przechowuje owe wspaniałe arrasy średniowieczne, będące przedmiotem studyów dla historii sztuki i archeologii.

Takich opon jest sześć. Jedna przedstawia Trzech Królów przynoszących dary Dzieciątku betleemskiemu; druga, gloryfikację cnoty Sprawiedliwości; inne w kilku sztukach, życie Cezara. Wszystko z opisem i rysunkami wydał Achilles Jobinal, włączając i inne arrasy z najdawniejszych epok, jakie się znajdują po katedrach, w niektórych zamkach i muzeach.

Cały ten ustęp z historii burgundzkiej wplotłem w moje opowiadanie dla pokazania, jak wielką rolę grało kobierctwo w wieku XV i XVI, i jak kosztowny ten sprzęt towarzyszył rycerzom nawet w wyprawach wojennych—zwyczaj, który, jak mnieman, przyszedł z krucyatami. Turcy bowiem zwykli byli ciągnąć na wojnę z taborem, gdzie nie tylko nie brak było kosztownych kobierców perskich i adziamskich, lecz znajdowały się łaźnie i haremy. Rozbicie namiotów Kara-Mustafy przez Sobieskiego pod Wiedniem odkryło tam mnóstwo zbytkowych przedmiotów, jakich się nie spodziewano znaleźć w obozie, kioski, fontanny, łaźnie, a nawet menażeryę, nareszcie i szpalery flandryjskie, które od dawnego czasu używały wielkiej wziętości na Wschodzie *). Dziś sześć sztuk tych opon darowanych przez Jana III biskupowi Małachowskiemu, zdobi górną część ścian katedry krakowskiej.

Wracając atoli do Zygmuntofskich kobierców, a rączej do jego testamentu z r. 1571, w którym rozporządza niemi, znajdujemy ten ustęp: „Także obicie wszystko, które

*) Froissard kronikarz francuzki pisze, że po bitwie pod Nikopolisem, kiedy Jakób de Helly przybył do Francyi, aby traktować o wykupno jeńców francuzkich będących w niewoli u Bajazeta, radził, że niczém nie możnaby tak ująć sultana, jak ofiarując mu kobierce tkane w Arrasie, a przedstawiające obrazy historyczne (de bonnes histoires anciennes). Posłano mu też historyę Aleksandra Wielkiego, zapewne nie podług Kureyusza, lecz wziętą z rycerskiego romansu o Aleksandrze W., który to rodzaj najwięcej do *fabliaux* dostarczał tematów.

jest w Tykocinie, albo gdzieindziej się znajduje: flander-skie opony ze złotem, albo figurami i prostej roboty; także złotogłowowe, aksamitne i inne jedwabne obicie, kobierce, szpaliery, race, i inne gmachów, komór, ścian, stołów, ław ochędzoztwa, łoże, podłogi i t. d.” Wszystko to zapisuje król pozostałym swym trzem siostrom i każe się niemi podzielić.

O Potopie jednak nie ma wzmianki, co pozwalałoby wnosić, że należał do skarbu koronnego, nie poszedł na podział. W każdym razie z przytoczonego ustępu z testamentu widzimy, jak wielka obfitość i różnorodność była tych tkanin po zamkach i rezydencyach królewskich.

Odtąd nie spotykamy żadnej wzmianki o Zygmunto-wskich arrasach; dopiero wychodzą one na widownię wśród wielkich klęsk, jakie spadły na Rzeczpospolitą za panowania Jana Kazimierza. W ciężkich okolicznościach, w jakich się ten król znajdował, tułając się po za granicami kraju, trzeba było uciec się do skarbu koronnego i zastawić nie tylko klejnoty, lecz i *Potop*. Bogaty mieszczanin gdański Grotta dał na zastaw 120 tysięcy złotych ówczesnych. Podczas abdykacji Jana Kazimierza warowały sobie stany Rzeczypospolitej, aby król przyrzekł, iż wróci obicie, *Potop* zwane, które dwa miliony kosztuje.” (Ambroży Grab. cytuje to z rękopismu: Acta Archi-Confraternitatis Compassionis Jesu Christi—znajdującego się u kks. Franciszk. w Krak., gdzie pod r. 1669 zapisana jest ta wzmianka).

Na sejmach i sejmikach często upominano się o wykupno *Potopu*, który długie lata leżał w zastawie u Grot-tów, i jak biskup płocki Szembek wyraził się w swojej mowie: „Za mojej bytności w Gdańsku przesuszał się po kościołach. Oddałby go był nieboszczyk J. P. Grotta za pięćdziesiąt tysięcy, a był zastawiony (in fallor) za sto tysięcy dobrej monety.”

Jan Odrowąż Pieniążek woj. sieradzki zaskarża pod-skarbiego w. k. Andrzeja Morsztyna, na którego głowę zewsząd sypały się oskarżenia, „że nie wykupił dotąd obicia potopowego sztuk wielkich kilkadziesiąt zastawionych u pana Grotty.”

Upominania się te miały nakoniec swój skutek. Już bowiem w czerwcu 1724 r. na processyi Bożego Ciała (jak piszą współczesne gazety), którą solennizował Jan ks. biskup poznański, w rynku (w Warszawie) wystawione były trzy ołtarze, a czwarty w zamku adornowany owém Rzeczypospolitęj obiciem, *Potop* nazwaném, które jmc pan podskarbi w. kor. (Jan Przebendowski) wykupił od sukcesorów ś. p. pana Grotty. A zatém za Augusta II Sasa wróciły te kosztowności, po latach przeszło siedmdziesięciu, na swoje miejsce.

Zaszła jeszcze inna okoliczność w r. 1676, gdy wyznaczona komissya traktowała z sukcesorami pozostałego majątku po królu Janie Kazimierzu. Książę d'Enghien, w swoim czasie pretendent do korony, a następnie dziedzic testamentowy, przytém roszczący sobie pretensye na mocy cessyi, zrobionęj na jego korzyść przez palatynową reńską — upominał się o owe kobierce *Potop* zwane (*peristromata Diluvium experimentia*); atoli odrzucono jego żądanie, kobierce bowiem były własnością skarbu Rzeczypospolitéj. Uczony Włoch Sebastiano Ciampi w dziełku swojem: *Flosculi historiae polonae* pisze, że znalazł list w archiwum Medyceuszów odnoszący się do *Potopu* Zygmunta Aug., i udzielił go Franciszkowi Longhenie, a ten go umieścił w życiu Rafaela, tłumaczoném na włoskie z Quatremère'a de Quincy.

List ten pisany do w. księcia tokańskiego, przez Santi'ego Boni'ego, sekretarza króla polskiego, z Krakowa d. 23 listopada 1676 r., zawiera następującą wiadomość: „Komissya zajmująca się sukcesyą byłego króla Jana Kazimierza, ma funkcyonować do miesiąca maja, w którym to czasie da się wiadomość, gdzie mogą być zapłaćeni kredytorowie, i nastąpią poszukiwania, czy książę d'Enghien stanie się spadkobiercą reszty, gdyż zdawałoby się, że ma ochotę na sławne obicia, robione *podług rysunku Rafaela*, do których rości sobie prawo.” (*)

(*) Da una Lettera di noticia degli affari di Polonia inderitta al G. Duca di Toscana da Santi Bani fiorentino, segretario regio del Re di

W liście powyższym spotykamy się z pierwszą wzmianką jakoby tapety Zygmunta Augusta były robione *podług rysunku Rafaela*, co wprowadziło Ciampi'ego na domysł, że chyba za czasów dwóch Sasów mogły być wzięte do Dreżna, atoli w galerii dreźnieńskiej znajdujące się arraszy były rzeczywiście wykonane podług kartonów Rafaela, dotąd przechowywujących się w Hampton-Courcie w Anglii. Pozostało tedy tylko przypuścić, że *Potop* mógł być robiony podług kopii z loggiów watykańskich wyobrażających sceny z ksiąg Genezy, co wszystko kazało się w nich domyślać wielkiej artystycznej wartości. Ś. p. Rastawieckiemu, który tak wiele zasług położył dla dziejów sztuki w Polsce, zawdzięczamy ważny szczegół do historii Zygmuntownskiego *Potopu*. Znalazł on w archiwum podskarbiego kor. Teodora Wessla konnotacyę wydanego obicia *potopowego* Rzeczypospolitej z dyspozycyi jwpana Teodora Wessla podskarbiego w. kor. do adornowania pokojów J. K. Mości Stanisława Augusta w zamku warszawskim, przy obecności wści p. Schmita starosty brodnickiego, imć pana Fontaniego architekta j. k. mości i Rzeczypospolitej.

Stanisław August wstąpiwszy na tron, zapragnął przystroić zamek ten bogactwem arrasów i gobelinów, znajdującem się w skarbcu koronnym. Lista wydanych sztuk niepoślednia. Skarbiec zawierał ogółem 156 sztuk kobierców, jako to: *Potopu* sztuk 21; *item* z herbami 11; szpalerów 47; taboretów 12; z cyframi S. A. (Sigismundus Augustus) 15; różnych kawalków 50.

W *Bibliotece Warsz.* T. I. z r. 1853 zamieścił ś. p. Rastawiecki *in extenso* odpis téj konnotacyi, która podaje

Polonia per la corrispondenza d'Italia, in data di Cracovia à 23 Novembr. 1676 in hala seguente, notizia: „La Commissione sopra l'eredita del fu re Casimiro resta limitata per il mese di maggio, al qual tempo si daranno gli assegnamenti, dove si passano pagare li creditori e si serutinera, se il S. Duca di Enghien sarà l'eredo del resto; parendo che abbia voglia delle famose tappezerie di disegno di Raffaello sopra le quali la Republica pretende aver qualche azione.“

Z dzieła: *Vita di Raffaello* scritta da Quantemère de Quincy e tradutta in Italiano. Con giunte di note illustrazioni dal sig. Francesco Longhena (Milano per Francesco Sonsagno, 1829).

bliższe szczegóły niż opis Orzechowskiego o arrasach *Potopu*, mianowicie co do rozmiaru ich i treści z Pisma Ś. I tak, na d. 14 sierpnia 1764 r. wydano:

1. Sztuka szeroka na łokci 16, cum inscriptione: Deus Adae et Evae, ne pomo ligni vescerentur, perciperat. Gen. 3.
2. Sztuka szeroka na łokci $9\frac{1}{4}$ cum inscriptione: Jubet Deus Adamo operari terram. Gen. 3.
3. Sztuka szeroka na łokci 10, cum insc.: Per fidem Abel meliorem. Gen. 4. Hebr. XI.
4. Sz. szeroka na łokci $4\frac{1}{4}$ cum inser.: Egredimur foras.
5. Szeroka na łokci $9\frac{1}{2}$ cum inser.: Iniustus Cain iracundiae suggesta. Gen. 4.
6. Szeroka na łokci 9 cum inser.: Cain a Deo correptus. Gen. 4.
7. Szeroka na łokci $10\frac{1}{4}$ cum inser.: Noe ambulat cum Deo. Gen. 6.
8. Szeroka na łokci 13 cum inser.: Noe per fidem ad salutem. Gen. 7. Hebr. 11.
9. Szeroka ł. $15\frac{1}{2}$ c. in.: Noe cum omni familia cunctisque. Gen. 7,
10. Sz. ł. $14\frac{1}{2}$ c. in.: Aquis inundantibus omnia pereunt, sola mediis tempestatibus servatur arca. Gen. 7.
11. Sz. ł. $15\frac{3}{4}$ c. in.: Deus aquis cessantibus servat. Noe cum familia cunctisque animantibus educit ex arca. Gen. 8.
12. Sz. ł. $13\frac{1}{2}$ c. in.: Noe exstructi altari Deo offert Holo-causta. Gen. 8.
13. Sz. ł. $10\frac{1}{2}$ c. in.: Deus benedicit Noe. Gen. 9.
14. Sz. ł. $10\frac{1}{2}$ c. in.: Noe inebriatus iacens. Gen. 9.
15. Sz. ł. $14\frac{1}{2}$ c. in.: Nimrod etc. Gen. 10.
16. Sz. ł. $7\frac{1}{2}$ c. in.: Descendit autem Dominus. Gen. 22.
17. Sz. ł. $5\frac{1}{2}$ c. in.: Contundamus linguam eorum.
18. Sz. ł. $4\frac{3}{4}$ c. in.: Dispertit eos Dominus.

Są jeszcze w spisie trzy sztuki ze zwierzętami, które liczono, jak się pokazuje, do tego szeregu obić potopowych, jak je nazywano.

W konnotacji tej wymienione obicia z księgi Rodzaju zgadzają się z opisem Orzechowskiego, nawet co do liczby osmnastu sztuk, biorąc na uwagę, że Orzechowski przechodząc komnatami, w jednej komnacie mógł dwie liczyć za jedną.

Zastanawia, że lubo różni podróżni zwiedzający Warszawę opisywali pokoje i zbiory Stanisława Augusta, czemuż nie mówią nie o tych obiciach zdobiących ściany zamkowe? Wina milczenia była zapewne, że tego rodzaju zabytki bardzo spadły w cenie tak u znawców sztuki, jak u publiczności, raz że wyroby gobelinowe lepiej dogadzały wykwintnemu smakowi, a i żywością barw ćmiły stare, wypłowiałe opony flandryjskie, a takimi zapewne już były arrasy i szpalery Zyg. Augusta, przesuszane po kościołach, figurujące zapewne na processyach Bożego Ciała, a przez wiele lat leżące w zamknięciu u Grottów. Odtąd nie ma już o nich wzmianki prócz w Niemcewicu, który w piątym tomie Pamiętników o Dawnej Polsce, powiada: „Ostatnie szpalery, którem ja jeszcze za czasów Stanisława Augusta widział wyrażające Potop, w r. 1764 zabrane i wywiezione z kraju.” Rok przytoczony widoczną jest pomyłką. Niemcewicz w tym roku był jeszcze dzieckiem, a *Potop* właśnie w tym roku wydobyto ze skarbcza. Trzeba więc czytać r. 1794, w którym po upadku rewolucyi Kościuszkowskiej *Potop* jako własność Rzeczypospolitej razem z biblioteką Załuskich zabrany był przez gen. Buxhoevden'a i wywieziony do Petersburga.

Radząc się tych wskazówek, pozostawało tylko szukać zapadłego Zygmontowskiego Potopu w Petersburgu.

Jakoż udałem się w tej sprawie do P. S., znanego w naukowym świecie z prac historycznych, lubo nie oddającego się sztukom i archeologii.

Uprzejme jego listy, pełne cennych wiadomości, naprowadziły mię prędko na ślad.

Pałace petersburskie mogą poszczycić się wielkim zbiorem tapetów z różnych epok i fabryk, tak dalece, iż nigdzie nie ma może tak obfitego materiału do robienia studyów nad zabytkami staroświeckich tapetów, jak w tej północnej stolicy.

Do ogólnej historii tych zbiorów tyle da się powiedzieć, że znaczną część *gobelinów* (pod tą nazwą objęte są tam nawet flandryjskie opony, tak zwane arrasy) otrzymała imperatorowa Katarzyna II w darze od Ludwika XV,

i prawie wszystkie darowała księciu Potemkinowi; chowano je też w tak zwanym pałacu Tauryckim, zbudowanym i darowanym carowej przez Potemkina. Następnie część gobelinów zakupiono w Anglii u hrabiny Kensington; są jeszcze tapicerye robione w Rosyi na wzór francuzkich. Nakoniec znaczna część dostała się do Warszawy, a na tych znajdują się cyfry *A. S.*, które tam powszechnie poczytują za cyfrę Stanisława Augusta, a nie Zygmunta Augusta, co naturalnie robi te opony prawie o półtrzecia wieku młodszemi niż są.

Dzisiaj całą tę masę tapetów wydobyto z magazynów dworskich i pałacu Tauryckiego i rozdzielono na cztery części odpowiednio do ich pochodzenia i treści przedmiotów: biblijnych, historycznych, mitologicznych i ornamentowych. Jedne przeto zawieszono w pałacu w Gieczynie; drugie oddano do kantoru stajen cesarskich; trzecie do akademii sztuk pięknych; czwarte do dyrekcji teatrów cesarskich. Dopiero w r. 1860 i 1861 ministerym dworu zwróciło uwagę na te skarby leżące w ukryciu, a nie mając miejsca na odpowiednie pomieszczenie ich w jednym gmachu, zniewolone było do rozdzielenia w powyższy sposób.

Staranne poszukiwania wskazały o sześć mil od Petersburga odległy pałac w Gieczynie, niegdyś rezydencję cara Pawła I, w którym miały się mieścić tapety biblijne z księgi Rodzaju (*Genesis*). Rzeczywiście znalazł się tam Zygmunowski *Potop*, jak to wykazuje następujący opis porządkiem sal.

Sala A.

O b r a z I. W głębi Ewa i Adam spożywają jabłko, na przodzie wypędzenie z Raju.

Deus adae et evae ne bono ligni vite vescerentur
perceperat, illi inobedientes cietti sunt paradiso.
Gen. III.

O b r a z II. Ofiara Kaina i Abła.

Per fidem abel meliorem obtulit deo hostiam quam
cain. *Gen. III. Hebr. XI.*

O b r a z III. Ucieczka Kaina.

cain a deo corruptus territur perfugit profugientem
vindicta et desperatio sequuntur. *Gen. IV.*

Sala B.

O b r a z IV. Kain zabija Abła.

iniustus cain iracundie suggestu iustum occidit
abellem. *Gen. IIII.*

O b r a z V. Wejście Noego do arki.

noe cum omni fãlia omnisq. generis animalib. in-
greditur arcam ridentibus impiis. *Gen. VII.*

O b r a z VI. Pijany Noe z trzema synami.

filio ridetur quod reliquos puduit. *Hen. IX.*

Sala C.

O b r a z VII. Kain prowadzi Abła na zabicie, chowając
za sobą paszczkę zwierzęcia jako narzędzie zabójstwa.
egrediamur foras.

Sala D.

O b r a z VIII. Adam uprawia ziemię, Ewa z dwojgiem dzieci.
jubet Deus adamo operari terram.

O b r a z IX. Rozkaz Noemu budować korab.

Noe ãbulat cum Deo cui deus futuri aperit diluvia
arcamq. servatricem facere iubet. *Gen. VI.*

O b r a z X. Bóg błogosławi Noego po potopie.

Deus benedicat noe eiusq. filiis ostenditq. eis positã
in nubibus iridem signa aeterni cum eis foederis.
Gen. IV.

Sala E.

O b r a z XI. Budowanie arki.

noe per fidem ad salutem domus sue aparat arcam
impïi virum subsonnantibus riden.... im.... *VII.*
Hebr. XI.

O b r a z XII. Wyjście z arki (pyszny, ogromny obraz).

deus aquis cessantibus servatum noe cum familia
cunctisq. animalibus educit ex arca. *Gen. VIII.*

O b r a z XIII. Ofiara Noego po potopie.

noe extracto altari offert deo holocausta ex omnibus animalibus mundi. *Gen. VII.*

Sala F.

O b r a z XIV. Potop.

aquis inundantibus omnia pereunt sola mediis in tempestatibus servatur arca. *Gen. VII.*

Porównywając z sobą trzy podane tu opisy *Potopu* Zygmunrowskiego, to jest opis Orzechowskiego, konnotacyę podskarbiego Wessla i powyższy tapetów pałacu w Gieczynie, znajdujemy między niemi najzupełniejszą zgodność; są to bowiem jedne i te same flandryjskie opony, należące niegdys do skarbcza Rzeczypospolitej.

Co do bliższych szczegółów tycających się stanu tapetów, podaje relacya naocznego świadka: Są to obicia bardzo suto tkane srebrem, a jeszcze gęściej złotem. Srebro poczerniało, lecz złoto zachowało swój połysk; nici złote wchodzą nietylko do tła, do haftów i bramowań na szatach figur, ale nawet części wypukłe ciała rozświecone są złotem. Rozmiary obić prawie jednostajne co do szerokości, która na oko może mieć 1½ do 2 sążni. Długość ich rozmaita. Szlaki przesliczne w rodzaju ornamentów loggiów watykańskich; są to fantazyjne rośliny przeplatane zwierzętami i figurami mitologicznymi, i tak: faun, kosz kwiatów, dwie nagie figurki, jedna siedzi na karku drugiej, znowu kosz kwiatów, pyzate dziecko, kosz kwiatów, paw, kwiaty, i t. d.

Oprócz tych wielkich obrazów z księgi Rodzaju, jest wiele mniejszych i węższych tapetów także przetykanych złotem i srebrem; wyobrażają one widoki rajy, zwierzęta rajskie i t. p. Na żadnym obrazie ani szlaku nie widzieć herbu lub nazwiska kobiernika. Stan tych opon oplakany. Wypłwiała zupełnie koloryt daje się tylko odgadywać; za to pozostał rysunek przepyszny. Piękność konturów i całej kompozycyi każe się domyślać jakiegoś wielkiego mistrza włoskiego z najlepszej epoki.

Gdy te arrasy zawieszano na ścianach, a w ścianie był kominek, wykrojono w tapecie czworokąt u dołu, by dać

miejsce kominkowi. W ten sposób uszkodzono najprzepyszniejszy ze wszystkich obraz *Potopu*, ten *Potop*, który dał nazwę całemu zbiorowi Jagiellońskich tapetów.

W przyległej Potopowi sali znajduje się niewielkie podłużne obicie tkane złotem i srebrem, z podobnym szlakiem jak na wielkich obrazach, co wskazuje, że z tej samej co tamte wyszło rękodzielni. Na tym obiciu w środku laurowego wienca orzeł biały w koronie z nastrzępionymi piórami, na piersiach jego dwie plecione litery A. S. pod orłem przewiązująca wieniec laurowy biała wstęga z napisem: *Scabellum pedum tuorum*. Pod wieniecem tarcza brunatna, na niej trzy białe belki, z obu stron data 1560,—a poniżej litery C. R. C. R. (Catharina Regina).

Ostatnia ta tkanina wymownym jest świadectwem do kogo cały ten zbiór prawdziwie monarszy należał i z jakiej okoliczności został zamówiony w fabrykach flandryjskich. Cyfra A. S. później C. R. i rok 1560 dają dowód niczym niezbity.

Tak tedy Jagielloński *Potop*, długo miany za stracony, znalazł się... Teraz tylko pozostaje ściślejsze studia prowadzić na miejscu, aby odkryć, gdzie te sławne arrasy były wykonane i podług *kartonów* jakiego mistrza?

XII.

ALBUM AMICORUM.

KSIAŻKA POŚWIECONA PRZYJAŹNI.

W r. 1876 w jesieni zjawiała się w Krakowie dama, przybywająca podobno z Hollandyi, która wywiadując się o osoby, mające pewne imię w literaturze, w świecie artystycznym i politycznym, nagabywała je o ich fotografie i własnoręczne podpisy. Czy zebrała, wiele i od kogo? to już mniejsza, ale to pewna, że z Krakowa udała się do Warszawy, aby tam powiększyć swoją kolekcję. Wspominały potém coś dzienniki o zrobionym zakładzie kogoś z kimś, że zbierze sto tysięcy fotografii i tyleż podpisów, należących do osób sławnych w bieżącym czasie, choćby tą sławą, jakiej dystrybutorami są dzienniki, to jest jednodziową. W każdym razie sto tysięcy sławnych ludzi! to liczba, którą można zaimponować wszystkim wiekom i starożytnym i nowożytnym. Będzie to zatem album największe w swoim rodzaju, album, jakimi się nie mógł poszczycić sławny baron Burkana.

Okoliczność powyżej wzmiankowana podała mi myśl do opisania kilku najstarszych albumów i przytoczenia niektórych poetycznych próbek, szczęśliwie zastosowanych do okoliczności lub osób.

Gdzie szukać początku wpisywania się do księgi pamiętek? Kto pierwszy miał pomysł gromadzić tego rodzaju

autografy? To podobno zostanie na zawsze tajemnicą. Przypuścić można, i tak jest najpewniej, że owi uczeni humaniści, co to w końcu piętnastego i w ciągu szesnastego wieku lubili się przejeżdżać po różnych krajach i zawiązywać stosunki z różnymi uczonymi, wpadli na pomysł zbierania ich podpisów i sentencyj do tak zwanego *Album amicorum*, co bardzo pochlebiało i próżności, i miłości własnej, gdy się mogli pochlubić znajomością lub przyjaźnią ludzi głośniejszej sławy lub znaczenia.

Weszło też we zwyczaj, że kto wyjeżdżał na podróż w cudze kraje, zaopatrywał się w takie album pięknie oprawne, pergaminowe, w formie podłużnym, i gdziekolwiek przybył, a poznał jaką wysoką lub sławną osobę, nie omieszkiał prosić jęj o wpisanie się na pamiątkę. Później albumy zapełniały się nietylko autografami, lecz i malowaniami, często wielkiej wartości, jeżeli były ręki jakiego znamienitego artysty, lub poezjami, jeżeli trafiły na poetę. Artyści z powołania niezawodnie miewali takie albumy zapełnione rysunkami biegłych rysowników lub malarzy.

Muzeum archeologiczne przy uniwersytecie Jagiellońskim, posiada w tym rodzaju bardzo piękny zabytek, pozwalający się domyślać, że ów sławny rzeźbiarz Wit Stwosz miał także album a właściwie *Kunstabuch*. Jakiś bowiem nieznany kaligraf norymberski, chcąc zapewne zbierać wzory do kaligrafii, przerysował z tego *Kunstabuch* Wita Stwosza, w wiele lat po jego śmierci, bo w roku 1603, trzy próbki starych charakterów z prześlicznymi miniaturami inicjałami, co zanotował w następującym przypisku: „Te trzy tu znajdujące się bardzo starożytne pisma, jakimi zwykle mnichy pisali dawniej swoje mszały, wyjąłem był między innymi w r. 1603, w Norymberdze, z *Kunstabuch*, należącego ongi do pana Wita Stwosza, chcąc przeto wskrzesić niejako pamiątkę po pomienionym panu Wicie Stwoszu.” *) Na czterech kartkach pergaminowych *in quarto*

*) „Diese gegenwärtige drei uralte Schriften mit der gleichen Litteris, die Münche inn Klöstern vor diesem ihre Messbücher geschrieben, habe ich Anno 1603 zu Nürnberg unter anderen aus Weilant

znajdujemy prześlizne wzory pisma tak charakterem łaćńskim, jak gotyckim, a mianowicie kolorowane inieyały *D*, *E*, *P*, tak wykwiniego smaku i takiej elegancyi, że trudno coś pięknieszego znaleźć w tym rodzaju.

Opierając się na podaniu onego norymberskiego kaligrafa, jest to piękny zabytek rysowniczego talentu kolegów i przyjaciół naszego rzeźbiarza, przechowany w równie doskonałej kopii, z której można mieć wyobrazenie, jak szacowne musiało być album artystyczne, czyli *Kunstbuch* Wita Stwosza, jeżeli go zapelniały podobne arcydzieła.

Co się tycze innych najstarszych albumów przechowanych w archiwach familijnych lub w zbiorach publicznych, znajdujemy tu i owdzie wzmianki, dające o nich wyobrazenie. I tak *Curiosités littéraires* Ludwika Lalanne'a podają, że pewny szlacheć pomorski nazwiskiem Daniel Behr, miał w r. 1586 album zapisane nazwiskami wielu sławnych ludzi i pełne pięknych łaćńskich sentencyj. Tak książkę August brunświcko-luksemburski, będąc studentem, w Wittenberdze podpisał się pod taką maksymą:

Pulcherrimarum rerum notitia non otio, sed negotio, non vigiliis, sed studiis, non votis, sed laboribus, non pretio, sed prece paratur.

Brat jego Ernest na innėj kartce tegoż albumu wpisał ten dwuwiersz:

Sperare in Christum et vitae tolerare labores
Et bene posse mori disce,—beatus eris.

Ów sławny autor *Argenidy*, którą tak pięknie przepolszczył Wacław Potocki, Barklayusz, kazał białym papierem poprzekładać traktat Lipsiusa *De Constantia*, i obrócił go na *Album amicorum*, gdzie mu się wpisywali najprzedniejsi uczeni swego czasu jak: Casaubon, Delrio, Justus Lipsius, Ericius Puteanus, Rubens i kilkunastu innych.

Herrn Veit Stoss seinem Kunstbuch nachgemacht etc., und wolbenannten Herrn Stoss zum Gedächtniss hiemit wollen herordnen“ (Przypisek nieznanego kaligrafa.)

W początku siedemnastego wieku sływał w Paryżu salon pani Desloges, żony dworzanina Ludwika XIII, u której, jak powiada Conrard w swoich zapiskach pamiętnikowych, przez jakie lat czterdzieści i kilka zbierał się cały świat najznakomitszych i najdystyngowańszych osób, nie wyłączając książąt i księżniczek krwi królewskiej. Zdawało się, że wszystkie Muzy garnęły się pod jej opiekuńcze skrzydła, aby składać hołd jej wysokim przyniotom umysłu i serca; jakoż salon jej wyglądał na prawdziwą akademię. Nie było ani jednego z lepszych autorów owego czasu, z którymby nie utrzymywała ścisłych stosunków, już to przyjmując go u siebie, już odbierając najpiękniejsze listy; toż samo da się powiedzieć o innych wysoko położonych osobach. Jakoż na jej cześć krążyło nieskończone mnóstwo wierszy i panegiryków.

Osoba trzymająca berło salonu paryzkiego, łatwo mogła zgromadzić w swoim albumie bogate żniwo pamiątek zostawionych przez najwyborniejsze dowcipy. Jednakowoż o istnieniu tego albumu wiemy tylko z podania owego złośliwego bazarza Tallemant'a des Reaux, który wypisał z niego kilka wierszy skreślonych ręką sławnego poety Malherbes'a:

Ce livre est comme un sacré temple
Où chacun doit à mon exemple
Offrir quelque chose de prix;
Cette offrande est due à la gloire
D'une dame, que l'on doit croire
L'ornement des plus beaux esprits.

Te szczęście wierszy mogłyby służyć za wzór dla literatury albumowej, wymagającej niezbędnie jakiegoś delikatnego komplementu dla osoby będącej właścicielką pamiątkowej książeczki, zwłaszcza jeżeli komplement nie odnosi się do mocniejszego affektu, który ma siedlisko w sercu.

Biblioteka narodowa paryzka *) zawiera album, czyli jak Niemcy mówią *Stammbuch*, z początku siedemnastego

*) Anzeiger für Kunde der deutschen Vorzeit, N. 4 1876.—Ein fürstliches Stammbuch aus dem 17 Jahrhunderte.

wieku. Jest on pergaminowy, w przepysznej haftowanej oprawie, pełny kolorowanych herbów, emblematów, miniaturowych inicjałów i napisów. Początkowo mógł należeć do ojca kurfursty Fryderyka IV, zwanego „królem zimowym,” potem zdaje się przeszedł na własność Ernesta, syna margrabi brandeburskiego. Na pierwszej karcie pod r. 1618 stoi napis: *Louis Philippe prince palatin*.

Mnóztwo podpisów należy do książąt i księżniczek Rzeszy. Sentencje ich zwykle bywają w duchu religijnym, tak łacińskie, jak niemieckie i francuzkie.

Przytoczę niektóre:

Si Dieu ne veut,
Fortune ne peut.

Albrecht Markgraf v. Brandenburg.

Pour toutes les dames vivre, pour une seule mourir.

Erich Adolf comte de Salm.

(1624) Il n'y a rien si précieux que la liberté.

Ernst Herzog zu Sachsen.

Auf Gott bau' ich,
Auf's Glück trau' ich,
Schön' Dames lieb' ich.

W tym sensie częste spotyka się tu życzenia wierszem i prozą. Ludwig Rheingraf taki napisał czterowiesz:

Rien je demande en ma vie,
Que bonne santé et belle amie,
Or et argent, gand (quand) je voudrais,
Et le Paradis, gand je mourrai.

Inny znowu Johann Philip Wildt - und Rhein-graf napisał krócej, choć dziką ortografią:

Les arm(es), la cour, ou lamour
Me feront heureuse (reux) quelque jour!

Najładniejsze wiersze są z podpisem: Louisa Pfalzgrävin (r. 1618).

Die Schlang' im Kreis ohn' Ends' ich macht,
 Die Rose bleibt kaum über Nacht;
 Der Mensch hat dieser beider Art:
 Sein Leib ist wie die Blumen zart,
 Sein Seele aber ewig weert
 Und wirdt nicht wie der Leib verzeert.

Najwięcej maksym jest tu moralnych; wszyscy mówią o ufności w Bogu, o cnocie będącej wszystkiego fundamentem, o niestałości fortuny i t. d. Bardziej charakterystyczne jest godło Maurycego de Nassau (r. 1622): *Je maintiendrai*. A także i Izabelli de la Tremoille (r. 1638): *Je crains pour ne rien craindre!*

Album to zawiera 212 kart zapisanych i zamalowanych różnemi emblematami. Daty przy podpisach położone ciągną się z niektórymi przestankami od r. 1607—1678. W tym zbiorze nazwisk ówczesnych panujących książąt i księży Rzeszy niemieckiej, spotykamy i trzy polskie podpisy. Pod rokiem 1628 czytamy:

Tendit in ardua virtus.

Radzivil Birzarum et Dubincarum Dux.

Był to, jak się domyślam, Krzysztof Radziwił, hetman w. lit. urodzony z Tęczyńskiej. Na pamiątkę dzielności jego i usług oddanych Rzeczypospolitej bito medal z témże samém godłem, co w tym albumie: *Tendit in ardua virtus*. Z Kiszczanki zostawił on syna Janusza, podkomorzego W. Ks. Litewskiego. Jest także pod tym samym rokiem: *Janussius Radzivil Birzarum et Dubincarum Dux*. Ten to Janusz razem z synem swoim Bogusławem, urodzonym 1620 r. z Zofii Elżbiety kurfirstówny brandeburskiej, córki Jana Jerzego, który miał 23 dzieci, a w téj liczbie 12 córek, musiał się w albumie tym wpisać razem z ojcem daleko później, niż wskazuje data przy pierwszém nazwisku Radziwiła pod r. 1628.

Ci trzój tedy birzańscy Radziwiłowie, zabite kalwiny, a do tego spowinowaceni już z książęcemi domami Rzeszy, znaleźli się w tym albumie pałatynów reńskich, książąt an-

halekich, meklemburskich, jak w kole rodziinném. Serce ich lgnęło zawsze więcej do tych obcych a wrogich rodów niż do własnej ojczyzny, którą często, osobiłwie dwaj ostatni, haniebnie zdradzali.

Więcej nierównie historycznego interesu ma dla nas album Adama Kazanowskiego, lubo względem osób w niem się zapisujących, natrafiamy na wiele tych samych nazwisk co w poprzedzającym, któreśmy opisali. Album to małego, podłużnego formatu, oprawne w czerwony aksamit, składa się ze stu kilkudziesięciu kart pergaminowych w połowie zapisanych. Historya tego albumu następująca, a dowiadujemy się jéj z notatki położonej na pierwszej karcie, gdzie czytamy: „Jaśnie oświeconej księżnie z Flemingów Czartoryskiej, opiekunce troskliwej pamiątek i zabytków ojczytych, Stanisław hr. Grabowski, senator wojewoda, minister oświecenia i wyznań Królestwa Polskiego, w dowód rzeczywistego poważania ma zaszczyt na pomnożenie zbiorów puławskich wdzięcznym sercem ofiarować d. 15 marca 1827 w Warszawie.” Nota dodana na końcu powiada, że Grabowski nabył to album w r. 1808 od jakiegoś Niemca w Warszawie. Później nie wiemy jaką drogą dostało się do wielkiego miłośnika rzeczy ojczytych Edwarda barona Rastawieckiego, który je razem z wielu innemi zbiorami swemi ofiarował na własność muzeum starożytności przy uniwersytecie Jagiellońskim, z kąd go piszącemu ten artykuł udzielono.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że album to było własnością głośnego w naszej historyi Adama Kazanowskiego, faworyta królewicza, a potem króla Władysława IV. Gdyby nie inne okoliczności, mające związek z tém album, o których w ciągu się opowie, to dwa napisy najdowodniej tę pewność stwierdzają. I tak:

Lux orietur justo, et recto corde lactitia.

*Illmo Dno Adamo Kazanowski Dno et Amico suo
veteri hoc in sui recordatione posuit
Johannes Philippus Turriaenus, S. R. I. et Vallissaxinae Comes.*

Drugi napis:

A piu fedele
Viececonte de Flesseilles Bregy et Corbeil
Carolo de Saumaisse Chasans
Fratello realissimo
Servitore fedele del
Monseignor Mareschalco Cazanoski.

Ponieważ większa część podpisujących się osób nie omieszkala położyć daty tak roku jak i dnia, więc naprowadza nas to na dokładne oznaczenie, w jakim celu i kiedy album to było sporządzone i czy nie przechodziło od pierwszego właściciela do innych rąk?

Patrząc na ten ciekawy zabytek, mimowolnie staje mi przed oczyma wizerunek Adama Kazanowskiego, wykonany pięknym rylcem Hondiusa, choć już w późniejszym wieku, kiedy był marszałkiem nadwornym kor. przy królu Władysławie IV. Z rysów tej zuchwałej postaci można wnosić, jak wyglądał za młodych lat, pełniąc urząd pokojowego dworzanina przy młodym królewiczu, z którym się razem wychował, jego przyjaźnią i poufalością szczycił i tyle sobie nieraz pozwalał, że aż król Zygmunt III, przestraszony zbyt czynnem marnotrawstwem syna, ztąd pochodzącem, że Kazanowski obdzierał niemilosiernie, kazał był pewnego razu, gdy królewicz przebywał u wód egerskich, pałac Kazanowskiego opieczętować. Wiedziano bowiem, że Kazanowski powyłudzał od królewicza najpiękniejsze rzeźby, obrazy, posągi, złote i srebrne naczynia, a nawet kosztowny pierścień dany królewiczowi w upominku od matki miał sobie darowany. Władysław powróciwszy z wód, gdy się dowiedział o tym rozkazie królewskim, padł ojcu do nóg, aby tej krzywdy nie wyrządził jego przyjacielowi. Po śmierci króla Zygmunta III zuchwałość i marnotrawstwo Kazanowskiego nie miało granic, co wywołało powszechne oburzenie przeciw rozpanoszonemu dworakowi i faworytowi. Sam Władysław IV przekładał mu, że i jego, i siebie gubi przez tę niepomiarkowaną utratność; na co Kazanowski odpowiedział: „Ani przy tobie najjaśn. panie

ubogim być nie mogę, ani bez ciebie bogatym być nie chcę.⁷⁾

Pobieżna ta charakterystyka Kazanowskiego, właściciela pomienionego album, zdawała mi się być tu potrzebną, aby pokazać jakie stanowisko od pierwszej młodości zajmował pan Adam, mianowicie w chwili, gdy po długich ociąganiach się królestwa obojga, a rodziców królewicza Władysława, stanęła nakoniec decyzja wysłania syna na podróż w obce kraje.

Królewicz sam podał osoby, mające mu towarzyszyć w tej drodze. Na liście tej jako głowa wyprawy, stał książę Radziwiłł Albrecht, kanclerz W. Ks. Lit., następnie Pac Stefan, pisarz i ref. lit., Łukasz Żółkiewski, starosta kałuski, Ostrożóg, wojewodzie poznański. Zaś z kategorii sług rękodajnych wymienił królewicz pana Denhofa, Adama Kazanowskiego, Ryłskiego i kilku innych należących do pokojowej usługi.

Było to 17 maja 1624 r., kiedy w dzień wyjazdu królewicz wysłuchał mszy u Św. Jana w Warszawie, poszedł się żegnać z rodzicami, którzy go do powozu odprowadzili z płaczem. Dyaryusz Paca ^{*)}, opisujący dokładnie tę całą podróż, służy za najlepszy komentarz do objaśnienia tych nazwisk, jakie mniej więcej zapisały się własnoręcznie w albumie Kazanowskiego. Na pierwszym miejscu zapisał się *Leopoldus Arch. Austr.* z godłem: *Pietas ad omnia utilis*, — chociaż ten dopiero później przybył do Wiednia z biskupstwa swego Passau, dla powitania królewicza, krewnego i gościa swego.

Pod nim, z datą 13 czerwca, podpisał się *Carolus Arch. Austr.* z godłem: *Desiderat anima mea ad te Deus*, — i dołączył datę 13 Junii, która wskazuje, że ten podpis otrzymał był Kazanowski w Nissie, dokąd najpierw zdążył królewicz z wizytą do swego wuja. Przyjazd do Nissy, rezydencyi arcysięcia, łączy się z komiczną anegdotą.

^{*)} Obraz dworów europejskich na początku XVII wieku, przedstawiony w dzienniku podróży królewicza Władysława skreślonym przez Stefana Paca, a wydanym przez Plebańskiego we Wrocławiu r. 1854.

„Gdyśmy do bramy wjeżdżali konno, pisze Pac, wszyscy po polsku ubrani (a było nas do 40 koni), straż rozumiała, że Bethlem Gábor kogo nasłał, bo były od niego naonczas postrachy i strwożeni byli sobą; ale wtém królewicza poznali, który, gdy wsehodem pewnym tam, gdzie arcyksiążę, mszy słuchał, bieżał, wypadł przeciwko niemu arcyksiążę, i pierwsze słowo powitania było: *Hi! mein Bruder, was hast du mir gemacht?*”

W Nissie zdobył Kazanowski, jak się z dat pokazuje, w d. 13 ezerwca, w którym to dniu arcyksiążę wyprawiał wesele niejakiemu Rolnolfowi, słudze swemu, kilka podpisów, między innemi:

Sic erat in fatis.

Rudolphus Comes in Liechtenstein—Niza 13 Junii.

Altri siempi, altri cure.

Nicolaus L. Baro de Burekhaus Stolz.

Quidquid agis, prudenter agas et respice finem.

Georg Friedrich Herr von Stahrenberg, zu p. gedehtnisz schrieb dies.

Henrique de Bibran. 13 Junii.

Zabawiwszy kilkanaście dni w Nissie, wyjechano z tamtąd w towarzystwie arcyksięcia do Wiednia, który był wesołego humoru i réj wodził w spełnianiu gęstych „Willkómów,” które coraz nowe wymyślał. W Wiedniu przyjęto królewicza i dwór „jego jako swoich familijnie, bez ceremonii,” jak się wyraża dyaryusz Paca. Komissarzem do usługi królewicza był wyznaczony przez cesarza Ferdynanda Conte Carlo di Porcia. W albumie nie spotykamy jego podpisu, tylko jak się zdaje jego żony: Margarita Contessa de Porcia.” Za to zaraz na pierwszych kartkach spotykam podpisy syna i córek cesarskich:

Consilio et Industria.
Ferdinandus Ernestus.

Maria Anna (późniejsza żona Filipa IV króla
hiszpańskiego).

Cecilia Renata (późniejsza żona Władysława IV).

Także przedniejszych panów i pań przy dworze ce-
sarskim będących:

Quo fata volent.

Carolus ab Harrach. (Był to konsyliarz rady tajnej
cesarskiej).

B. Mansfeldt (koniuszki nadworny).

Quanto mayor es la fortuna,
Tanto menos es segura.
Leonardus Carolus ab Harrach
Viennae Austriae 12 Julii.

Ernest Graf von Montecuccoli.

(Był to zapewne generał artylleryi, w służbie austriackiej,
pod którym służył sławny w wojnie 30-letniej Rajmund
Montecuccoli, synowiec jego.)

Podróźni nasi, pożegnawszy się z dworem cesarskim
i z Wiedniem, puścili się do Salzburga.

W miarę jak przejeżdżali jaki kraj, natrafiamy w al-
bumie Kazanowskiego na podpisy. I tak na pamiątkę wy-
bornego przyjęcia, jakiego doznali w pałacu gościniego
bpałata, znalazł się i jego podpis:

Paris Archiepiscopus Salisburgensis.

Wjechałszy do Bawaryi i bawiąc jakiś czas w Monachium i w innych rezydencyach elektora, mieli sposobność zapoznać się z domem elektorskim i przedniejszymi panami. Kazanowski, używając faworów królewicza, łatwo widać gromadził autografy do swego albumu. Zaraz bowiem spotykamy tam nazwisko starego elektora, którego noszono w krześle, pod godłem:

Agnosee — dole — emenda.

Gulielmus Bavariae Dux.

A syn jego, panujący elektor, co śpieszył z Norymbergi „na koniach” odmiennych, aby powitać dostojnego gościa, tak się podpisał:

Dominus Virtutum Nobiscum.

Maximilianus Utriusque Boiovariae Dux. S. R. Imp. Archidapifer et princeps Elector.

Jest i podpis jego żony:

En Dieu gesper (j'espère).

Elisabet Duchesse de Bavier Electrise.

Jadąc potem przez Augsburg oglądali ciekawości miasta, a królewicz był incognito na wieczery u Pana Jana Fukiera, „który jest głową domu swego.” — a nas kilku z nim — pisze Pac, dodając: „Po wieczery tańce były w niemaliej gromadzie Jungfrauen auszburskich”.

Zapewne jeden z krewnych Fukiera zapisał się w album:

Festina lente.

Franciscus Fugger, comes in Kirchberg.

Jest jeszcze wiele napisów, kobiecą ręką pisanych, odnoszących się zapewne do nowych znajomości, porobionych w Bawaryi i nadreńskich prowincyach. Nad Renem, gdy się zbliżano do Kolonii, przyjmował solennie polskich gości w Bacharachu Don Verdugo, gubernator Palatynatu Geldryi: „Po obiedzie — pisze Pac — prowadził nas tenże Verdugo do zameczku, nazwanego Pfalz, który wśród Renu stoi, i ztamtąd się palatyni Rhenu falegrafami zowią.”

Don Verdugo zostawił Kazanowskiemu rymowaną pamiętkę:

Ni mercer, ni al ancar
puedo amando lo, que quiero
Mas quanto mas desespero
menos me puedo mudar.

Don Antonio de Menesesy Verdugo.

Przy różnych podpisach osób nieznanych w historyi, tak mężczyzn jak kobiet, powtarzają się mniej więcej zwykłe sentencje łacińskie, niemieckie lub hiszpańskie, jak n. p.

Emitur sola virtute potestas.

Dum spiro, spero.

Qui non habet, quod speret, desperet nihil.

Deus ipse dabit virtutem.

Nach Gott und Ehr
Stets mein Begär.

Wass Gott will
Mich erfreuet was ewig bleibt.

La esperanca me entretienne.

La perseverança
Toda cosa alcança.

Tout avec le temps.

Antes muerto que mudado.

Tout par amitié, rien par force.

Jakiś między innymi: *Johann-befürsteter Graff zu Hohenzollern* podpisał się pod następującą sentencją:

Deus ipse dabit virtutem.

Ponieważ dyaryusz Paca Stefana nie wymieniał tych wszystkich osób, jakie się wpisywały w album Kazanowski, zatem niepodobna jest znaleźć objaśnień. To jednak godna uwagi, że żadna z podpisujących się osób nie jest bez tytułu księcia, grafa, barona na tym lub innym zamku.

Przyjazd podróżnych naszych do Belgii, gdzie ich świetnie i serdecznie przyjmowała areyksiężniczka infantka Izabella, wdowa po niedawno zmarłym areyksiążęciu Albrechcie, ta sama co zrobiła ślub, że nie zmieni bielizny, dopóki oblężona Ostenda wzięta nie będzie na Hollendrach; a że oblężenie trwało trzy lata, można sobie wyobrazić, jakiej barwy nabrała ta bielizna. Odtąd barwa ta stała się modną i nazywała się „izabellowatą.” Pani ta bardzo gościnnie podejmowała swoich gości w Brukselli, z kądem królewicz robił wycieczki, mianowicie do Antwerpii i oblężonej Bredy. Zdaje się, że w Belgii porobiono liczne znajomości między najpierwszemi rodzinami, bo album obfituje w podpisy grandów hiszpańskich, ich żon i córek. Potwierdza to Pac w dyaryuszu swoim, pisząc: „Jeździliśmy żegnać panie, co zacniejsze, zażywając zwyczaju tamecznego przy żegnaniu całowania, które przeplatane było pań, panien, nadobnych, szpetnych, młodych i starych; bo się inaczej nie godzi, skoro jedną pocznie całować w onęj izbie.” Pamiątkę tych znajomości przechowało album. I tak czytamy tam:

Philippus Dei gratia Princeps Comes
Arenbergius
Dux Arschotanus.

J' ayme, quij m' ayme.
Carolus Alexander Dux a Croij
Sacⁱ Romⁱ Imperij Princeps
Marchio Haure.

Nulle gloire sans honneur.
Lamberte de Ligne.

Plus tôt mourir que changer.
Isabelle de Berlaymont,
Par la grâce de Dieu princesse, comtesse
d' Arenberghe, Duchesse d' Areschot.

Mejor alto miror que baxo alcançar.
Genevre D' Urfé d' uschesse de Croij.

Un seul au coeur.
Alberte Marie de la Caume.

Królewicz bytnością swoją najwięcej zaszczycał dom księcia de Croy, tego samego co się pospołu z żoną wpisał do album. Pisze Pac: „Dwukroć u tego księcia byliśmy na balacie; bo to był człowiek w tamtych krajach zacny, a to co do zalecenia się napierw należało, miał panią nadobną i roztropną bardzo, której tam równej między drugimi nie było.” Książę ten był bardzo zazdrosny o swoją piękną żonę. Opowiada też o nim smutną historycę dyaryusz Paca: „W kilka niedziel po naszym odjeździe, w domu jego własnym, gdy w nocy z pokoju wyszedłszy, szedł przez sięń do łóżnicy, strzelono do niego przez okno i zabito. A lubo o to inkwizycycę wielką czyniono, mężobójcy znaleźć nie można. Sam nieboszczyk nim skonał, jedną ze dwóch przyczynę śmierci swojej dawał: albo że się kto na urząd jego (bo był podskar bim wielkim) nasadził, albo na żonę, której mu tam wszysey zajrzeli... lubo była to nieskażonej opinii białogłowa.”

Trzy jeszcze ciekawe podpisy, i to bardzo pięknym charakterem skreślone, spotykam w pomienioném album. Należą one wszystkie do dwóch rodzin, których przodkowie przed kilkudziesiąt laty dali głowy swoje pod miecz katowski srogiego księcia Alby. I tak podpisała się tu zapewne synowa straconego Egmonta, spopularyzowanego tragedya Goethe'go:

Una sola aurora ha de vencer mij noche.
Madelaine d' Egmont.

I córka czy synowa téjże:

Jusqua la morte.
Philipe Sabine d'Egmont.

Tuż w sąsiedztwie czytam podpis damy, noszącej nazwisko drugiego straceńca, hrabiego Horn'a:

Juliajne Sabine de Hornes.

Oprócz tego zapisywało się wiele innych dam z najpierwszych rodzin.

Z Belgii wyruszyli dalej nasi podróżni przez Flandryę, Lotaryngię do Alzacyi, gdzie na królewicza już czekał arcyksiążę Leopold, ten sam, który ich przyjmował w Nissie na Szlązku. Teraz podejmował ich w Savernie i wyprawił solenny wieczór. „Na ten bankiet, powiada dyaryusz, nietylko zjechało się ludzi zacnych siła, ale i pań gromada wielka; a byli i *Palatinus Rheni*, jednegoż domu z Fryderykiem, niegdyś królem czeskim (*), margrafowie badenścy, dwaj reingrafowie, dwaj grafowie von Nassau, dwa grafowie z Fűstenberku i innych przednich niemało.” Spotykam też podpisy ich w albumie. I tak:

Louis Filippe, Princee Palatin du Rhin,
due de Baviere.

Christophle, Conte et seigneur d'Ost-friese.

Plustot mourir que changer:
Herman Fortunat Marquis de Baden.

Tout avec le temps.
Wilhelm Graf zu Nassau-Saarbrűcken.

(*) Tak zwanym *Winterkűnig*.

Dla zbierających autografy, osobiście książąt panujących niemieckich, zbiór to nieoceniony.

Podróźni przez Szwajcaryę udali się do Włoch, zwiedzając najprzedniejsze stolice jak Medyolan, Wenecyę, Florencyę, Rzym, Neapol. Atoli we Włoszech nie nazbierał Kazanowski wielu pamiątek, bo prócz pary nieznanych podpisów, wzięto do niewoli osiemnaście tysięcy Prusaków i dziewięciu generałów. Marya Teresa, czytając na liście nazwiska jeden tylko ważniejszy wielkorządca neapolitańskiego:

Id equus quod validus.
Ferdinandus de Capua.

Największej liczbie podpisów towarzyszy data: rok 1624; kilka jest z r. 1626 i coś więcej z r. 1633. Między temi dwa autografy mają znaczenie historyczne. Jeden z roku 1626:

Quien no mira y piensa premero intente
En vano suspirat, trade se arrepiente.
F. Baron de Auehy.

Był to poseł hiszpański, przysłany z kolegą swym Gabyrclem de Roy do króla Zygmunta z zapewnieniem, że wkrótce ma przybyć przeciw Gustawowi Adolfowi na pomoc Polsce 24 okrętów hiszpańskich na morze Bałtyckie, z załogą 12 tysięcy żołnierzy. Zygmunt III dał się złudzić tym obietnicom Filipa III, które nie miały nie innego na celu, tylko żeby Szwedów zatrudnić w Polsce i nie wchodzić z nimi w żadne traktaty. Dyplomacya nasza jak prawie zawsze odgrywała i tu bardzo skutną rolę. Drugi podpis brandeburskiego dyplomaty także nie jest bez historycznego znaczenia, choć nie ma przy sobie położonej daty roku i miejsca:

Frisch und unverzagt
Wer weis, was der andere Jagt.
Herman Burggraf von Dohna.

O tym burgrafie często posylnym w różnych interesach do Rzeczypospolitej, ten przytoczę szczegóły, że gdy w r. 1611 Zygmunt III dawał w Warszawie na placu przed Bernardy-

nami inwestyturę na księstwo pruskie Janowi Zygmunutowi, elektorowi brandeburskiemu, wystąpił po odbytej ceremonii sekretarz nuncyusza apostolskiego z protestacją przeciw zniesieniu dwóch biskupstw pomezkańskiego i sambińskiego, na co burgraf pruski Dohna w głos odezwał się: „Mało to nas obchodzi!”

Godnym jest uwagi, że chociaż więcej niż sto kilkanaście nazwisk zapewnia karty albumu, nie spotkać między niemi ani jednego nazwiska Polaka, z wyjątkiem samego królewicza, który się podpisał w otoczeniu arcyksiążąt i arcyksiężniczek: *Vladislaus Sigismundus Prin. Pol. S.* Naprowadziłyby to mogło na przypuszczenie dwojakiego rodzaju: że albo Kazanowski lekcewał sobie przyjaźń własnych ziomków, albo ziomkowie lekcewałszy sobie Kazanowskiego, który ufny w protekcję i fawor młodego pana, wysoko głowę nosił, i chępiąc się znajomością zagranicznych książąt i panów, odstręczał od siebie. Dość, że *Album Amicorum* widocznie służyło mu na zbieranie obcych, a nie polskich autografów; co i za naszych dni się powtarza, gdy po wycieczce zrobionej do wód zagranicznych, przywozi się kolekcję fotografii, ofiarowanych sobie niby na pamiątkę ścisłej zażyłości z głośnymi autorami, dyplomatai, mężami stanu, a niekiedy nawet z jakim ex-królem lub pretendentem do tronu, aby tym pożyczonym blaskiem, który pada od wysokiej figury, używającej sławy europejskiej, świecić w swojej parafii i dać uczuć zazdrośnemu sąsiedztwu, że jeśli się nie umiało poznać na dystynkcyi właściciela lub właścicielki fotograficznego albumu, to się na niej poznali za granicą, i to najprzedniejsze dowcipy i najgłośniejsze wielkości.

Gdybyśmy nawet nie wiedzieli, czem był i jakim był Adam Kazanowski, to moglibyśmy odgadnąć jego sposób myślenia i widzenia z tego imionnika, jaki po nim przechował się aż do naszych czasów. Ten bowiem jeden podpis królewicza Władysława, znajdujący się w steku obcych nazwisk, zdaje się mówić: „Oto jedyny mój w Polsce przyjaciel; tego mając, o innych nie stoję.” W tym szczególe odbił się cały Adam Kazanowski.

Zamierzywszy trzymać się porządku chronologicznego w opisanii tych albumowych zabytków, tak obcych jak naszych, niepodobna mi pominąć sławnego albumu barona Burkany, jako bardzo ciekawego oryginalnością swego właściciela, niemniej odznaczającego się mnóstwem znajdujących się w nim autografów, pochodzących od najznakomitszych osób, żyjących w pierwszej połowie ośmnastego wieku, i to w rozmaitych krajach.

Któż był ten baron Burkana? Był to zawołany podróżnik, który cały świat objechał. Urodził się on w Aleppie w Syrii i wychowywał się od małego chłopca na dworze cesarskim w Wiedniu. Tam też umarł r. 1766. Kręcąc się po świecie zgromadził do swego albumu trzy tysiące pięćset trzydzieści dwa autografów, wyrażających uczucia przyjaźni, szacunku, podziwu, tak prozą jak wierszem, z nieskończonym szeregiem komplementów, pochwał, maksym moralnych, epigrammatów, żartobliwych i dowcipnych alluzyj, anegdot i t. p. Gdziekolwiek bowiem przybył ten świat przebiegający Syryjczyk, wszędzie zbierał podpisy miejscowych znakomitości.

Na pierwszej karcie tego ogromnego albumu był ozdobny tytuł następującej treści w łacińskim i francuzkim języku: „Świątynia pobożności, enoty, honoru, przyjaźni i wiary, poświęcona trwałej i wieczystej pamięci. Wy wszyscy, co jesteście jak Eneasza pobożni, jak Herkules silni, stali w przyjaźni jak Pylades, wierni jak Achates, wstąpcie do tego przybytku, uczciejcie go swoją obecnością, o co was prosi baron Burkana, Aleppo-Syryjczyk.”

Każdy, kto przeczytał oryginalne to zaproszenie, miał sobie za obowiązek pochlebny dla swój miłości własnej umieścić się czy w kategorii Eneasza, czy Herkulesa, czy Pyladesa, czy wreszcie Achatesa.

Zaproszenie, jak widzimy z mnóstwa podpisów, nie tylko nie doznawało odmowy, lecz owszem pociągało do znalezienia się w téj świątyni enoty, pobożności, honoru i t. p.

Ze steku różnych konceptów, niekiedy dowcipnych, częściej płaskich lub pospolitych, niekiedy pretensjonalnie śmiesznych, podam niektóre, żeby dać poznać charakter téj książki pamiątek. Montesquieu napisał: „Jesteś jak słońce,

boś widział każdą część świata." Książę de Ligne nazywa go „nieśmiertelnym obieżyświatem (*galoppeur éternel de toutes les parties du monde*), i prosi go, aby się od niego pokłonił wielkiemu Mogołowi i królowi Monomotappy, jeżeli będzie przejeżdżał przez ich państwa."

Wolter nazywa się nader szczęśliwym, że mu wolno zapisać się w tym albumie należącym do „człowieka wszystkich krajów, mówiącego wszystkimi językami, który jest prawdziwym kosmopolitą i umie zrobić się Francuzem w Gallii, Hiszpanem w Iberyi, Niemcem w Germanii i Anglikiem w Brytanii." Bibliotekarz królewski Pingré zapewnia, że cały świat paryżki podziwiał tego męża, gdy go ujrzał w r. 1753, „męża pełnego nauki, sławę Arabii."

Kawaler Eon, wówczas kapitan dragonów, a przytém sekretarz ambassady francuzkiej w Rosyi, napisał, a raczej napisała, że jest zachwycony, a raczej zachwycona spotkaniem barona Burkany po raz trzeci w ciągu swojej podróży; przytém spodziewa go się spotkać go w Stambule lub Pekinie. Jedna z kanoniczek w Paderbornie w Westfalii pisze: „Długo i napróżno szukałam fenixa starożytności: znalazłam go w osobie barona Burkany w Paryżu r. 1749." Inna jakaś dama z wielkiego świata nazywa go „przemysłną i pracowitą pszczołką robiącą miód dziwnej słodyczy;" inna: „Mentorem Oryentu;" jakaś markiza hiszpańska: „*Caballero celebre y gustoso*." Hrabina l'Hopital pisze: „Jestem zachwycona rozmową i wielkością duszy tego pana." Między innymi głośnymi swego czasu autorami, spotkać tam można nazwiska: Crebillon'a, Bonnet'a, Metastazego, Van Swieten'a, Hallera, Gesnera, Muratorego i t. p.

Album to największe liczbą podpisów i w swoim rodzaju bardzo ciekawe, było niegdyś własnością Goethe'go. Gdzie się dziś obraca? nie umiem powiedzieć.

Biblioteka Jagiellońska między licznymi swemi rękopismami posiada *Album Amicorum* należące niegdyś do profesora akademii, księdza Trzebińskiego. Kiedy ksiądz Kollątaj przeprowadzał reformę szkół i akademii w Krakowie, wtedy komissya edukacyjna pomyślała o wysłaniu

młodych profesorów do kształcenia się za granicą. Z tych dwóch, to jest księdza Trzezińskiego i Jana Śniadeckiego, wyprawiono do Getyngi, opatrzonych listami polecającymi od księcia Poniatowskiego, wówczas biskupa plockiego i prezydującego w Izbie edukacyjnej. Ci dwaj wysłani profesorowie zdaje się niebardzo sympatyzowali z sobą, bo, jak trafnie uważa Michał Baliński*), „bądź ich temperamenta, zdolności i gusta były bardzo różne, bądź że późniejsze między nimi zatargi więcéj ich jeszcze oddaliły nawzajem, dość, że żadnego o nim wspomnienia nie uczynił Śniadecki w tój epoce życia swego.“ Zapewne jest to dziwne, żeby kolega nie wspomniał o kolledze, chociaż obadwa znajdowali się pośród obcych na uniwersytecie zagranicznym. Atoli zdaje się, że równe musiało być usposobienie księdza Trzezińskiego, kiedy w albumie jego, gdzie miejsce znalazło tylu znajomych i przyjaciół, nie zachodzi się nazwisko Śniadeckiego.

Tradycyjnym widać zwyczajem zachowywanym między jadącymi za granicę uczonymi, opatrzył się ksiądz Trzeziński w *Album Amicorum*, i przybywszy do Getyngi w r. 1779, porobił znajomości tak między profesorami, jak uczniami, że mu się prędko zapełniły białe kartki albumu. Ksiądz Trzeziński kierował się na profesora filozofii, a że chciał także ćwiczyć się w fizyce, zapewne uczęszczał i na inne wykłady, mające sławnych profesorów.

Na pierwszej karcie albumu czytamy następujący napis: „Abt. And. Trzeziński in Universitate Cracoviensi Phil Doctor, missus a Celsissimo Principe Episcopo Poniatowski germano fratre Polonorum Regis in visum exterarum Academiarum, sumptibus supremi Collegii Praefectorum Institutioni Publicae — hoc amicorum Album Viris, titulis, meritis egregiis, ornatis, caeterisque virtute ac eruditione conspicuis Academicis, honoris sempiternaeque memoriae causa D. D. D. Anno vulgaris aerae Christianae 1780.

Ksiądz Trzeziński, jak widzimy z tego tytułu, musiał rzeczy robić porządnie, gdy tak wszystko wyjaśnił, aby

*) Pamiętnik o Janie Śniadeckim w Wilnie, 1865.

potomność nie miała najmniejszej wątpliwości tak co do jego osoby, jak albumu, i w jakich okolicznościach był on sprawiony.

W Getyndze pod r. 1780 spotykamy następujące podpisy profesorów:

Abraham Gotthelf Kästner
Math. et Phys. P. P. O.

Et hoc olim meminisse iuvabit.
Memoriae, honoris ob officii causa.
C. G. Heyne.

In cathedra sanamus omnes.
E. G. Baldynger, prof. med.

M. Joh. Tobias Meyer.

Johannes Beckmann,
Prof. oeconomiae.

Nihil ad vulgi opinionem, omnia ad conscientiam.
Jerem. Nic. Eyring Philos. prof.

Vivitur ingenio, caetera mortis erunt.
Honoris et memoriae causa scribebat
G. C. Lichtenberg P. Philos.

Moderata durant.
Hon. et mem. causa
Georg. Henr. Feder philos. prof.

Gnoti seautôn

G. Forster, Phil. Dr. et prof. ord. Casselle.

Naturae species ratioque!

Hujus albi possessori auditori suo perassiduo
itineris Hercynici socio suavissimo sui memoriam commendat.

Fr. Blumenbach.

Wszyscy ci profesorowie mają swoje naukowe zasługi i powagę imienia, przytaczanego często w historii téj lub innéj umiejętności. I tak Kästner sławnym był swego czasu matematykiem; Heyne filologiem greckim i łacińskim; Lichtenberg znakomitym fizykiem; Blumenbach naturalistą; nareszcie G. Forster synem sławnego podróżnika i towarzysza kapitana Cook'a, powołanego później na profesora akademii wileńskiej. Wyniósł ks. Trzeciński krom tych pamiątek z pobytu na naukach w Getyndze, jeszcze kilka nazwisk zapewne swoich współuczniów. Między tymi dwóch braci Stadionów, będących na naukach pod dozorem poważnego kanonika mogunckiego księdza Kolborna. Jeden ze Stadionów napisał po angielsku:

Remember Your most obedient Servant.

J. Philippe E. of Stadion.

Był to właśnie ten, który w Austrii w wiele lat później stał na czele gabinetu w czasie wojen Napoleońskich, i wszystkimi siłami popierał wojnę w r. 1809. Jego miejsce zajął po nim książę Metternich.

Jest jeszcze inny podpis zapewne uniwersyteckiego kolegi, napisany z piękną sentencją:

Sans vertu il n'y a point de vrai contentement.

Souvenez-Vous Monsieur de Vôtre très-humble et très-obéissant serviteur Philippe Comte d'Oetting et Wallerstein.

Polaków nie musiało być wiele w Getyndze, bo tylko jeden wpisał się do albumu: H. Graf Grabowski aus Lithauen, a pod tém po polsku: „Szczęśliwego powrotu do ojczyzny.”

Datty przekonywają, że w następnych latach, to jest 1781 i 1782 musiał ksiądz Trzeciński bawić w Strasburgu, gdzie zawsze wielu zjeżdżało się Polaków, lub zatrzymywało się w przejeździe do Paryża. Z tego powodu liczne tu polskie podpisy spotykam. I tak księcia Stanisława Jabłonowskiego, który napisał: „*Vitam impendere vero.*” Był to syn księcia Antoniego, kasztelana krakowskiego, urodzony z pierwszej jego żony Anny Sanguszkówny, wysłany dla kształcenia się za granicę, w towarzystwie dwóch Polaków, którzy także zapisali się w albumie naszego profesora. Jeden pod dwuwierszem Horacego:

Si fractus illabatur orbis,
Impavidum ferient ruinae.
Memoriae et amicitiae dedit
Christophorus Wiesiołowski.

Drugi po francuzku:

Adore un Dieu, sois juste et chéris la Patrie.
Se voue à votre amitié
Stanislas Breza.

Był to ten sam Breza, co później za Księztwa Warszawskiego był ministrem policyi przy królu saskim. Spotykamy także podpis przyjaciela księżny kurlandzkiej, wówczas w służbie francuzkiej:

Nec spe, nec metu:
Amicitiae causa.
Alexander Batowski,
Capitaine au Service de France.

Za Księztwa Warszawskiego był on w koniuszym dworu. Jest jeszcze ciekawy podpis cudzoziemca, co służył w polskiem wojsku:

Felix, quem faciunt aliena pericula cautum.
Amicitiae et memoriae gratia
scripsit haec
Antonius de Schwerin,
Praefectus armorum Regiminis pedestris
Principis Calixti Poniński
Exercitus Regni Poloniae.

Ksiądz Andrzej Trzeciński wrócił do Krakowa, objął professurę i był wmieszany w spory wewnętrzne wybuchłe między akademikami, co wywołało protestacyę innych profesorów, a mianowicie Śniadeckiego przeciw rektorowi Orzechowskiemu. Zdaje się, że właściciel albumu nie żył w wielkiej harmonii z wielką częścią swoich kolegów, albowiem nazwisk ich nie spotyka się w tym zbiorze dobrych znajomych i przyjaciół. Za to w późniejszych latach rok rocznie jeżdżąc do Karlsbadu, wzbogacał swój imionnik tak znajomościami obcemi jak rodakami.

Z tych różnych zdań wyrażonych tu i owdzie widać, jakie w pewnych momentach panowały wyobrażenia; wpiśnięte się więcéj samoistnie zaczęły objawiać przekonania, nie uciekając się już do oklepanych maksym wyjętych z Horacego, Wirgiliusza, Cycerona i t. p. Pod r. 1808 napisał mu w Karlsbadzie hrabia Findlater, ten sam, co tak wiele przyłożył się do upiększenia tych zdrojowisk, że jego imię dotąd tam żyje w pamięci: „Les rois sont faits pour les peuples, non pas les peuples pour les rois,” disait le Duc de Bourgogne. Puissent tous les rois suivre cette maxime pour leur propre bonheur et pour celui de leurs sujets!” Cenną pamiątką jest tu autograf Goethe’go, choć lakoniczny: „Zu gefälliger Erinnerung, den 11 Sept. 1812 in Carlsbad. Goethe.”

W przejeździe przez Wiedeń odwiedzał ksiądz Trzeciński Ossolińskiego i ten mu napisał co następuje:

„Unusquique tantum patriae debet, quantum ingenii sui vires valent exsolvere; externus putandus, qui illum aliquo munere non extulerit, non adiuverit. Joh. Długossius in Praef. Annal.”

Pod tém godłem następująca dedykacya:

Andreae Trzeciński
Canon. Cath. Cracov.
Olim
in Universitate Cracov. professori
Viro de Patria ac Patriis litteris
bene merito
inscripsit

Josephus Maximilianus Comes de Tenczyn
 Ossoliński
 Ces. Reg. Mtis. a Consilis status intimis
 Societatum Regiarum
 Varsaviensis ac Gottingensis
 Socius
 A. D.
 MDCCCVIII Calendis IXbris
 Vindobonae ad Danubium.

W roku 1812 w Krakowie, kiedy u nas odgrywała się owa smutna komedia konfederacyi generalnej, a Napoleon prowadził swoje zastępy w głąb Moskwy, inspektor żywności i zaopatrzenia wielkiej armii, takim komplementem uczcił księdza kanonika: „Vos principes sont si pures, votre morale si saine et si conforme à l'Évangile, que si j'étais le Souverain Pontife, je vous ferais Archevêque de Cracovie, bien convaincu, qu'un jour cette cité se glorifierait (comme celle de Cambrai) d'avoir eu aussi son Fénelon. C'est l'ennemi le plus implacable de la flatterie et l'ami le plus ardent de la vérité, qui vous aime et vous estime, qui vous a écrit ces quatres lignes. Rossingana ainé, inspecteur des subsistences de la grande armée française. Cracovie le 5 Août 1812, 1-re année de la restauration de l'Empire de Pologne, par la Grande Nation française, conduite par Napoléon.”

W r. 1813 za bytności swojej w Krakowie wpisał się Józef Kossakowski, autor, członek Tow. Przyj. Nauk, generalny rząd sekretny, a późniejszy wizytator szkół w Królestwie Polskiem. „W zapisaniu wdzięcznej memu niegdyś nauczycielowi pamiątki, miło mi kłaść imię moje obok szanownego męża, którego obywatelskie cnoty i wojskowe talenta cenić zawsze umiałem.” Ostatnie te wyrazy odnoszą się do Stanisława Wojczyńskiego, generała brygadiera, który powyżej wpisał się na tej samej karcie albumu.

Są też tu i wierszyki polskie, oznaczone tylko cyfrą A. S. (1813 w Krakowie).

Duchem Horacego tknięty,
 Mężu, hołd oddając Tobie,
 Ani pochlebstwem przejęty,
 Że co piszę, to i robię.
 Szanuję cnoty, naukę,
 Poznawania ludzi sztukę,
 Znam zazdrość, chytryść i zdrady,
 Które ty umiałeś znosić.
 Wszystko wybac; z mojej rady
 Daj się złym zawsze przeprosić.
 A tak imię filozofa
 Nawet i nienawiść plocha
 Koniecznie ci musi nadać,
 Bo jój mieczem będziesz władać.

Ostatni wiersz jakoś się nie udał, bo ów „miecz” więcej odnosi się do „nienawiści” niż do przebaczącej filozofii.

W tym roku 1813, jak wiadomo, koncentrowały się w Krakowie szczątki armii polskiej pod księciem Józefem.

Przebywał tu rezydent francuzki Bignon i wielu wojskowych urzędników francuzkich, po których ślad został w albumie księdza Trzecińskiego. I tak pod d. 25 lutego 1813 wpisał się Le chevalier de Murray, ancien major d'artillerie: „J'ai parcouru ce livre consacré aux temoignages de l'amitié; il renferme tant de belles maximes, que je ne trouve rien, qu'on puisse y ajouter, que le nom d'un des plus sincères amis de l'auteur estimable qui le possède.” Ks. Trzeciński ręką swą dodał następujące objaśnienie: „Jest to rodowity Francuz, jeden z owych, których Francuya przysłała do konfederacyi barskiej, z owych, którzy w r. 1773 d. 2 lutego wdarli się w zamek krakowski i bronili go do końca kwietnia onegoż roku pod komendantem Choisy. Znający mię z pism, poznał się był ze mną po swój niewoli sybiryjskiej w r. 1778. Ożeniony w Polsce, użyty w gimnazyach do języka francuzkiego, posiadając polski, znajduje się dziś przy ministrze francuzkim jw. baronie Bignon'ie i ma pensyę wysłużonego nauczyciela.” Ten Murray zostawił pamiętnik o konfederacyi barskiej.

W r. 1814 w Krakowie zapisał się w albumie Jerzy Samuel Bandtke „Lublinensis prof. Bibliographiae et Bibliothec. Universit. Crac.” Tegoż roku w Karlsbadzie, pod zdaniem wyjętym z Seneki: „Bene sperando et male habendo transit vita mortalium,”—Przateľstwj gęst sładky swazek przjtomnych a vzdálenych. In thermis Carolinis d. XXX Aug. 1814. Josephus Dobrowsky Slavophilus.

Nie mogę pominąć bardzo dowcipnego napisu jakiegoś adwokata Jahi z Lobensteinu. „Schlechte Minister hassen die Pressfreiheit aus demselben Grunde, aus welchem die Freudenmädchen die Strassenbeleuchtung hassen.” (Carlsb. 1816). Było to oddziaływanie opinii publicznej przeciw systematowi rządów po kongresie wiedeńskim. Zbyt wiele obudzonych nadziei, kiedy trzeba było pokonać Napoleona, zredukowano do minimum.

Pomysłów, któreby odznaczały się nie już pewną oryginalnością, lecz wyrażały samodzielne usposobienie i charakteryzowały niejako indywidualność wpisującego się w księgę pamiątek, rzadko znaleźć pomiędzy tymi, co swemi autografami zapelnili te stare albumy, o jakich mówiłem. Ten i ów, czy to panujący książę, czy z krwi panującej, czy jaki wódz wsławiony czynem wojennym, czy statysta lub dyplomata, dostojnik kościoła, poeta, uczony, professor, słowem ludzie rozmaitego stanu i kondycyi, licząc w to dworskie damy, przeważnie matrony, zalotne panienki,—wszystko to nie różni się prawie między sobą, chyba tém, że jedni stawiają niezgrabne kulasy, drudzy hieroglif zamaszysty, inni wprawniejszej ręki mają zacięcie wiekowi właściwe, że od razu poznasz z samego formowania liter, do jakiej epoki ich autografy należą. Jest też u niektórych pewna prowincjonalność w podpisie, czyli wyraźna chęć pokazania, że podpis panującego książątka Rzeszy powinien kształtem długich liter szeroko rzuconych uwiadomić na pierwsze wejrzenie, że go nie ręka prostego śmiertelnika kreśliła.

Kto biegły w odgadywaniu charakteru, temperamentu, lub socyalnej pozycyi człowieka z jego pisma, móglby obfite robić studia na tych albumowych autografach, lubo—jak wiem z doświadczenia, osoby przyznające sobie tę umie-

jętność nieraz popisowały się nią i w dziesięciu przypadkach myliły się dziewięć razy, w czém wydają mi się podobne do owych kabalarek, które rozłożywszy przed sobą karty, tak wiele sypią horoskopów, zwykle trafiających się w życiu, że w końcu coś musi się sprawdzić. Zdaniem mojem cała ta umiejętność zgadywania charakteru człowieka z charakteru jego ręki zgoła jest urojona, bo zasadza się tylko na jednobrzmiącym wyrazie: *charakter*; że zaś i moralne przymioty człowieka nazywamy jego charakterem i charakterem nazywa się pismo, czyli czcionki, które w XVI wieku nazwał „charakterem polskim” Januszowski,— owoż wyprowadzono z tego, że jest między nim ścisła analogia, i że pismo, co do sposobu stawiania liter i ich kształtu, musi być wiernem odbiciem się usposobień wewnętrznych. Dzięki téj mniemanej umiejętności, autografy nabrały dziś znaczenia; ma się rozumieć nietylko te, które myśli i uczucia piszącego wyrażają, takowe bowiem należą do kategorii zawsze cenionych dokumentów.

Wracając do starych albumów, dziwić się potrzeba, jak rzadko zdobył się kto na samodzielne powiedzenie tego, co czuł lub myślał: wszyscy niemal chowali się pod oklepiane maksymy pożyczone od Cycerona, Horacyusza, Wirgilego, Pliniusza, Seneki, w czém byli podobni do tych czarnych rycerzy ze spuszczoneym hełmem wjeżdżających w turniejowe szranki. Widocznie nikt nie chciał się z tém odsłonić, co myślał lub czuł, lub w jakich okolicznościach pisał. Sztywna ta lakoniczność zaczęła ustępować z albumów, odkąd właścicielkami ich stały się piękne, rozumne damy, gromadzące okolo siebie rój wielbicieli lub pięknych dowcipów, w rodzaju owéj wspomnionéj wyżej pani Desloges, co w początku XVII stulecia otworzyła w Paryżu salon literacki.

U nas moda albumów i sztambuchów dopiero w tym wieku stała się powszechniejszą, i zaraz album i sztambuch spolszczył się nazywając „imionnikiem.” Dziś nie ma pensyonarki eholdzącéj jeszcze w kuséj sukience, któraby nie zaopatrzyła się w pięknie oprawną z białemi lub kolorowemi kartkami podłużną książeczkę, mającą gromadzić wyznania i śluby dozgonnéj przyjaźni swoich rówiennic,

gdzie potem znajdzie się miejsce i dla wzdychającego młodzieńca, który także mówi o przyjaźni, a myśli o bożku skrzydlatym i o dwóch płomiennych serduszkach przyszłych strzala...

Dla wszystkich tegoczesnych właścioleek albumów nader pożądaną są rzeczą rymowane fraszki i komplementa pisane przez poetów. Poeci też podnieśli rzeczywistą ich wartość. Kto tylko ma album, radby weń zaciągnąć spotkanego gdziekolwiek poetę, który często gęsto widzi się w trudnym położeniu. Napisać jaki spowszedniały komplement—wstyd mu przed samym sobą; wyrazić co serce czuje—także niepodobna, jeżeli nie czuje; opiewać wdzięki—jeszcze trudniej, jeżeli ich się nie widzi; wysławiać cnoty na chybił trafił—także źle, bo można się pomylić lub przesadzić. Kłopot to nielada! a jednak odmówić niepodobna: właścioleka albumu tak pięknie prosi, że odmowa miałaby cechę obrazy. Musi więc jakaś tajemna nie łączyc proszącą i proszonęgo, żeby wierszyk się udał, zwłaszcza gdy klassyczny madrygał, który tak ślicznie umiał mówić, żeby nie nie powiedzieć, a tём samém piszącego wybawić z kłopotu, pogrzebany był z poetami XVIII wieku.

Co też to za szkoda, że po Krasiekim nie zostało ani jednego albumowego wierszyka! Onby to pokazał, jak można dowcipem wykręcić się z trudnego nieraz zadania. Za to ów zawołany kobieciarz Trembecki zostawił po sobie tę pamiątkę, ile mi się zdaje, w albumie pani Grabowskiej, gdzie napisał:

Imię moje polożyć na tym zbiorze modnym,
I wpisać kilka liter sądziłaś mię godnym.
Dam wyższych, gustu pełnych za kim będzie zdanie,
Temu ta nieśmiertelność za przywilój stanie.
Pysznę się więc, lecz oraz muszę się sposobić,
By kiedyś na podobny szacunek zarobić.
Gdybym miał co malować, znajdzie oko blisko
Przymiotów serca twęgo piękne widowisko.
Powinnaś być wielbioną w potomności całej,
Jak prawidło przyjaźni wiernój, szczerój, stalój.

Obok lekkich pochlebstw, będących w duchu epoki, jest też tu i prawda, odnosząca się do téj stałej przyjaźni, jaką ta pani okazywała królowi aż do samej śmierci. W innym wierszyku do jakiejś przyjemnej, pięknej i zapewne zalotnej damy kończy stary poeta żalowném westchnieniem:

Szczęśliwy, kto dotknięcia twojem licem gładkiem
Mógł zasłużyć, uprosić, lub porwać ukradkiem!
Gdyby mię czas w zbyt siwéj nie był zwikłał matni,
Chciałbym jeszcze popełnić ten grzeszek ostatni.

Słodki aż do ekliwości w wierszach swoich autor *Ludgardy*, lubo liczy się do poetów staréj daty, napisał parę trafnych, lekkich wierszyków albumowych, a z tych jeden w imienniku pani W. U. (Wandy Uruskiéj), tém więcéj zasługujący na uwagę, że w nim schwycił podobieństwo osoby, która go o wiele lat przeżyła i taką została do śmierci, jaką ją odmalował:

Kiedy talentu nie dały mi nieba,
Bym chwalił, co ganić trzeba,
A więc prawdy nie oszczędzę
I zapiszę ją w téj księdze.
Ujrzysz nędzę, wnet ją wspierasz,
Ujrzysz smutnych, lżą lzy ścierasz,
Tak naturalnie, lub skrycie,
Że każdy się pyszni w sobie,
Że uczynił łaskę Tobie...
O piękne to takie życie!
Ja w tém widzę czarów trocha,
Gdyż każdy Cię czei i kocha.

Pocziwego Kazimierza Brodzińskiego musiano zewsząd napastować o wiersze do albumu, a on nie mając serca odmówić, zostawił niejedną przez siebie wpisaną pamiątkę. Przyjacielowi swemu Leonardowi Wasiutyńskiemu napisał wiersz do przyjaźni w r. 1835, kiedy odjeżdżał za granicę, by do kraju już nie wrócić.

Od serca życzę, by tu każdą kartę
Zajęli szczerzy, wierni przyjaciele;
Wszystko co zmienne, zachodu niewarte,
W przyjaźni--ludzka godność i wesele.

Nią rozgorywa każda czysta dusza,
W niej miłość kraju i Boga się rodzi,
Przyjaźń szacunek u świata wymusza,
Lub sama świata niewdzięczność nagrodzi.

I ja tę rozkosz czerpałem w młodości,
Lecz moi znikli, z nimi wiek mój złoty;
Dziś są stosunki, nowe znajomości,
Imię przyjaźni, lecz nie masz istoty.

Wiersz ten nastrojony na ton bardzo poważny i smutny, zapewne też poeta napisał go w chwili pożegnania się. Weselszym, nawet figlarnym jest Brodziński w kilku bardzo ładnych wierszykach skreślonych w imionniku młodej panny. Widać jak hoża, ładna i żywa dziewczeczka rozbudziła w nim życie, kiedy pisał:

Gdybyś była aniołkiem, jak to rad uznaje,
Toćbym przecię przy tobie nie czuł grzesznych myśli;
Gdybyś była dyabelkiem, jak czasem się zdaje,
To już do cyrografu dawnobyśmy przyszli;
Gdybyś była ziemianką, poznałbym cię przecię,
Bobyś coś z nami ludźmi dzieliła na świecie.
Jeśliś nią, to nie dla mnie, i trzeba się zmusić,
Aniołka nie obrażać, dyabelka nie kusić.

Jest to niezawodnie najudatniejszy wierszyk albumowy. Przedmiot musiał być czarujący, gdy tak nastroił tęsknego poetę.

Co tylko Mickiewicz zostawił po różnych albumach, zdaje się pozbierano i ogłoszono w zupełnym wydaniu jego dzieł. Że więcćj jeszcze znajduje się takich wierszyków, ani wątpie, bo wiem z pewnością, że gdzie się pokazał, tam był nagabywany. Często ulegał prośbie illustrowanej wdzięcznym głosem i przenikającym spojrzeniem; częściej zniecierpliwił się i dawał lakoniczną odprawę w najpospolitszej prozie z własnoręcznym podpisem. Wonne te listeczki, które tu i owdzie uronił, miały własność zaprawiania nigdy nie-

wietrzejącym zapachem, jak olejkiem różanym, mnóstwa innych wierszydeł imionnikowych, które nabierały przez to tylko wartości, że obok nich mieścił się wierszyk Adama. Każde takie album stało się dziś bardzo drogą pamiątką. Z różnych tych imionnikowych wierszyków, które wyszły z pod pióra Adama, chociaż wszystkie noszą piętno jego geniuszu, najbardziej przejmującym jest to, co napisał do Ludwiki Mackiewiczówny, w smutnej chwili, gdy go wożono z Wilna w głąb Moskwy.

Nieznajomój, dalekiój, nieznanym, daleki,
Kiedy nas jeszcze losy dalej chcą rozegnać,
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: „Witam cię! Bądź zdrowa na wieki!”

Na ten temat ileż to napłodzono wierszy nie tylko do imionników! W innym usposobieniu pisał Adam w r. 1829, gdy był w Petersburgu, w imionniku panny Celiny:

Zaczyna się werbunek, widzę z dala, goni
Ogromna ciżba pieszych, hulaków, huzarów,
Niosąc imiona nakształt rozwitych sztandarów,
Chcą w albumie założyć obóz różnej broni.
Stanie się! Będę wtenczas siwym bohaterem,
I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku,
Jam w tej armii pierwszym był grenadyrem.

I stało się tak jak wieszcz przeczuwał, że ten pierwszy grenadyr wszystkich odsadzi i otrzyma rękę pięknej Celiny.

Piękne, choć przypominające Mickiewicza tonem i pomysłem są te wiersze, jakie Garczyński napisał w imionniku ukochanej osoby, z którą los go rozłączał na zawsze:

Różne są drogi nasze, ja na zachód płynę,
Ty na wschód—ty do domu uściskać rodzinę.
Kiedyż się zobaczymy? Patrz, na niebios pasie,
Gwiazdy tam rozrzucone ręką Stworzyciela,
Dalekie, próżno blaskiem ducha patrzą na się,
Nigdy się już nie zejda—sam Bóg je rozdziela!

Od czasu jak romantyzm wziął górę nad dawną szkołą klasyczną, napełniały się albumy namiętными wybuchami sere rozdartych, sere stęsknionych, sere zawiedzionych i zdradzonych. Rozczochrana rozpacz przelatowała po tych białych kartach, zdarzało się nawet, że pisała krwią, nie koniecznie ostrzem sztyletu dobytą z serca, jak się mówi poetycznie, lecz i skaleczony palec mógł miejsce kałamarza zastąpić. Dawny lekki i zalotny madrygał, wyuczony szezebiotać końcem ust umizgliwe dusery, już się prawie nie pokazywał; zabiły go, a raczej udusiły jak starego Pliniusza wulkaniczne dymy i lawy, będące na porządku dziennym nawet u takich kochanków, którym bardzo pomyślnie szedł interes sercowy. Był to czas, że bez odegrania roli Gustawa, niepodobna było starać się o rękę panny. A niechże broń Boże! panienka nie odpłaciła równym afiektem... Biada jój! zaraz na jój głowę spadła okropna klątwa: „Kobieto, puchu marny!” i t. d.

Pewnego razu byłem proszony od panny, podlotka, żebym napisał co do jój albumu, czém sprawiła mi nie-mały kłopot; nie będąc bowiem w osobliwym do niój afekcie, ani w widokach pozyskania wzajemności, a nie chcąc pod banalnym konceptem podpisać swego nazwiska, łamałem sobie głowę nad uklecciem kilku wierszy, któreby nie mówiły, a miały pozór, że coś mówią. Podlotek z niecierpliwością oczekiwał mojej improwizacji, a ja przewracałem kartki albumu, czytając to polskie, to francuzkie wierszyki, których tam było pełno. Nareszcie na przedostatniej kartce cóż widzę? Oto długą apostrofę, jak się zdaje wprost wymierzoną do właścicielki albumu, którą obwinia o dumę, o miłość „złota Tagu,” o serce kamienne, „z którego nigdy łza nie ciekła,” więc „wrzucić je do piekła.” W końcu groźba samobójcza i zemsta ducha, który w postaci skrwawionego widma nie omieszka napastować okrutnej we dnie i w nocy.

Przeczytawszy, parsknąłem śmiechem...

— Cóż pan tak zabawnego znalazłeś w moim albumie? zapytała trochę nadąsana panienka. Zmiłuj się pan, nie szydź z naiwnych wierszyków moich przyjaciołek.

— Tegobym nie śmiał — odrzekłem, — ale ten wiersz z groźnym wyznaniem, nie zdaje się być dziełem przyjaciółki!

— Pokaż pan!

To powiedziawszy, rzuciła się do albumu i prawie wydarła mi z rąk...

Zaczęła czytać... twarz jej mieniła się, to bladła, to krasniała mocnym rumieńcem... Nareszcie wydarła kartkę, zmięła i rzuciła pod nogi...

— Zmiłuj się pani! rzekłem z uśmiechem—jak można lekceważyć tak piękny utwór?

— Daruję go panu...

Na tę scenę weszła matka, i zaraz wyjaśniła się tajemnica autorska.

— Mamy tu we dworze poetę, rzekła pani X. *Dziady* Mickiewicza umie na pamięć i często deklamuje je przed parobkami w gorzelnii, którzy się z niego śmieją... Ale tego mu nie dosyć, bo na każde imienniny komponuje szumne sonety, a teraz, jak widzę, dopadł gdzieś albumu mojej córki i pewnie jakieś głupstwo nabazgrał...

— To nie głupstwo, przerwałem, to istny wulkan, mościa dobrodziejko.

— Natrę ja uszu temu wulkanowi... Niech lepiej pilnuje wydatków i rozechodów w gorzelnii, a nie tych rymów...

Z niewielką różnicą, wszystkie z owego czasu rymy do płci pięknej były *amoroso* i *furioso*. Poeci strasznie się gniewali na panny, jeżeli który dostał odkosza, lub jeżeli bogdanka okazała się niestałą... Było to panowanie terroryzmu w miłości...

Przyznam się, że z całej tej albumowej literatury estetyk niewiele się zbuduje, historyo-archeolog także mało co nowego zdobędzie, lecz zawsze może znaleźć jakąś charakterystykę moralnych i umysłowych usposobień towarzyskich. Dla tego życzyłbym wpisującym się w imionniki, żeby ich wiersze czy proza miały charakter rzeczywistej chwili, a przynajmniej żeby nie były tak ciężko poważne i nie ubierały się w szatę kapłańską lub w wieńce męczeńskie, gdyż taki kostium wymaga szerszej areny... niż kartki imionnika. To pewna, że ten rodzaj albumowy powinien mieć ton sobie właściwy, ton, który umiał wybornie

zachować autor *Książki sonetów*. Na dowód przytaczam ten sonet, który uważam za małe arcydzieło w swym rodzaju:

Pomnij, o dziewcze! gdy mnie już nie będzie,
 A ty gdy w przeszłość powrócisz wspomnieniem,
 Żem i ja niegdyś w twoich wiernych rzędzie
 Do twego serca przemawiał westchnieniem;
 Żem i ja niegdyś,—któż się tam ustrzeże,
 Gdzie tak ponętne czyhają nań sidła?—
 Żem i ja niegdyś twym wdziękiem w ofierze
 Sentymentalne układał wierszydła!
 Ospy miłosnej próżno się unika,
 Przebyć ją musi każdy, co się zowie:
 Niech więc ta kartka z twego imionnika,
 Gdy dzięki Bogu odzyskałem zdrowie,
 Jako świadectwo służy mi medyka
 Na to, żem moją odbył już we Lwowie.

Przed laty kilkunastu (1862) piękny miała pomysł pani znana z dobroczynnych uczynków i opieki nad ubóstwem, księżna Leonowa Sapieżyna, tworząc staraniem swoim trojakiego rodzaju albumy: jeden autografów, gdzie własną ręką wpisywali się rozmaici literaci, drugi malarski, gdzie były rysunki i akwarelle malarzy naszych, trzeci muzyczny, poświęcony oryginalnym kompozycjom. Albumy te puszczane na loteryę, przyniosły niemały dochód i łzę niejedną otarły, a los obdarzył wygrywającego bardzo szacowną pamiątką. Tym szczęśliwym był hr. Włodzimierz Dzieduszycki, obecny posiadacz tego szacownego albumu.

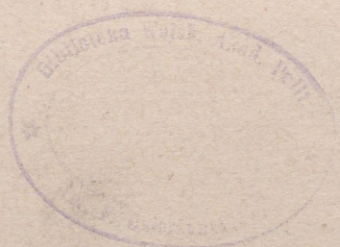
W albumie poświęconym autografom, a razem i niedrukowanym pracom autorów, znajduje się śliczny czterowiersz Aleksandra hr. Fredry (ojca), który w tej pobieżnej historii albumów powinien znaleźć miejsce, tém bardziej że będzie jej ozdobą:

Nie mnie już śpiewać, sztuczne wiązać tony,
 Już ręka słaba lutni nie nakręci;
 Ja tylko żebrzę, wędrownik znużony,
 Z przeszłości wspomnień, na przyszłość pamięci.

W liczbie tych, którzy pracami swemi wzbogacili to album, wymienię znaczniejsze nazwiska, jak: A. Bielowski, Zacharyasiewicz, Stanisław Pilat, Józef Szujski, Wincenty Pol, Leszek Dunin Borkowski, Antoni Małcki, Aleksander Szedler, Wiktor Baworowski, Ksawery Godebski, Kazimierz Stadnicki, Karol Szajnocha i t. d. Pamiątka ta miałaby jeszcze większe dla potomków znaczenie, gdyby każdy z wpisujących się był coś napisał odpowiedniego do chwili. Jakiżby to był pełny różnaitości obrazek! Co za bogate studyum z tych ulotnych rysów dałoby się ułożyć za jakie pięćdziesiąt lub sto lat!...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.







36900/
2.